

Kontynuacja wypełnionej akcją i muzyką,
sprzedanej w 2 000 000,
a w Polsce w 100 000 egzemplarzy serii
Osiemdziesiąt Dni, uznanej za
„bardziej pikantny
i wysublimowany odcień
Pięćdziesięciu twarzy Greya”.
„Publishers Weekly”

Gdy sztuka
jest miłością,
a miłość sztuką...

Zima

**Kwartet Tom 2
Przyjemności**



Vina Jackson


AMBER

**Kwartet
Przyjemności**
Tom 2

Zima

Vina Jackson

Przekład
MARTA CZUB



1. Smutek i nagość w Londynie

Grała głośna muzyka. W klubie było prawie całkiem ciemno. Zaschło jej w gardle i musiała znów się napić.

W drodze do baru poraziło ją pulsujące na parkiecie światło stroboskopu.

Mignęła znajoma twarz. Ręka obejmująca w pasie jakąś kobietę. Całująca się para.

Nie potrzebowała więcej światła, aby rozpoznać tę dwójkę.

Olen. I Simone.

Giselle chciało się płakać.

Pobiegła po śliskiej brukowanej nawierzchni w stronę kanału i w całkowitej ciemności ostrożnie pokonała wąski drewniany mostek na śluzie. W oddali rozległ się grzmot szybko nadchodzącej burzy.

Kiedy dotarła na wyłożony kostką lewy brzeg, zaczął padać deszcz. Bywała już oczywiście na Camden Market, ale zawsze za dnia, kiedy tętnił życiem. W nocy wydawał się opustoszały i upiorny, jak wymarłe miasto z

jakiegoś filmu.

W piersi poczuła ucisk, który zaczął osiadać na dnie żołądka. Wszystko ją bolało, barki przygniatał ogromny ciężar, ale nie natury fizycznej. Przykre uczucie sięgało głębiej, jakby coś rozdzierało jej duszę.

Było ślisko, więc zwolniła.

Marzyła o tym, żeby znaleźć się gdzieś indziej, gdziekolwiek, byle nie w Londynie. W rodzinnym Paryżu albo – w głowie nagle błysnęła zbłąkana myśl – w Orleanie, choć właściwie nie znała zbyt dobrze miasta, w którym przyszła na świat: polegała na wątpliwych wspomnieniach z wczesnego dzieciństwa, w którym wszystko wydawało się bardziej sielankowe. A może na zasadzie czystego kaprysu mogłaby uciec do Nowego Orleanu, o którym zawsze marzyła? Do miejsca, w którym nigdy nie była, ale które istniało w jej pobudzanej lekturą wyobraźni, pełne życia i czarów. Podobnie jak bohaterka powieści o wampirach Anne Rice, Giselle lubiła czytać. W momencie, gdy przyszła jej do głowy ta niemająca związku z tematem, zupełnie bezsensowna myśl, Giselle zdała sobie sprawę, że położone w sąsiedztwie Missisipi miasto już dawno nie wypłynęło w formie świadomej myśli. Dlaczego stało się to akurat teraz?

– Giselle!

Odwróciła się.

– Możemy porozmawiać? Proszę.

To był Olen.

W pierwszym odruchu chciała uciec. Ale coś ją powstrzymało i postanowiła zaczekać, aż ją dogoni. Stała na brzegu kanału, w miejscu, w którym zaczynało się lekkie podejście na Camden High Street, gdzie liczyła na jakiś autobus, który pozwoliłby jej uciec przed coraz bardziej szalejącą burzą. Włosy lepiły się jej do twarzy i szyi.

Olen wyglądał jeszcze gorzej: jego cienka biała koszulka i obcisłe dżinsy kleiły się do długiego, silnego ciała, czarne loki rozprostowały się pod wpływem ulewnego deszczu, który rozpadał się na dobre i zupełnie zmył z jego twarzy pewność siebie. Olen wyglądał naprawdę żałośnie.

Dobiegł do niej.

– Dzięki, że zaczekałaś – powiedział.

Ogarnęła ją nagle taka wściekłość, że miała ochotę mu przyłożyć za to, że publicznie ją poniżył. Nie odezwała się, starła tylko z policzków uporczywe łzy wymieszane z kroplami deszczu.

Olen patrzył na nią wzrokiem zbitego psa, zapewne milcząco błagając ją o przebaczenie. Stał z podkulonym ogonem, smagany deszczem, i z każdą chwilą coraz bardziej się garbił.

W momencie, gdy zobaczyła swojego chłopaka całującego się z jej przyjaciółką, Giselle uświadomiła sobie jedną rzecz.

Nie kochała Olena.

Odkrycie to zabolalo jak dźgnięcie nożem.

Nie zależało jej na Olenie ani trochę. Przez cały czas się okłamywała, zachwycona samym faktem bycia z kimś. Zachwycona faktem, że mogła się spodobać komuś takiemu jak Olen – przystojnemu, bezpiecznie egzotycznemu. Była naprawdę głupia.

– Co mam ci powiedzieć? – spytał.

– Nic.

Jej złość zaczęła opadać i ustępować miejsca współczuciu. Nie było jej jednak żal siebie, tylko jego. Choć nie kochała Olena, to przecież w dalszym ciągu darzyła go sympatią.

A teraz musiała mu w jakiś sposób wyjaśnić, że nie obchodziło jej już to, że przyłapała go z inną.

Mimo to w dalszym ciągu była zdenerwowana. Zagubiona. Zdezorientowana. Fakt, że tkwiła w związku z kimś, kogo nie kochała, to była dla niej poważna sprawa. Tak jakby nagle opadła z niej jakaś maska i musiała pogodzić się z myślą, że wcale nie jest tym, za kogo się dotąd uważała, tylko kimś zupełnie innym.

Pewnie powinna po prostu się oddalić, ale nie była w stanie wykrzesać z siebie potrzebnej do tego energii.

Zapadła niezręczna cisza. Ciągłe padało, a oni stali naprzeciwko siebie i żadne nie wiedziało, co powiedzieć. Ze względu na późną porę na ulicy praktycznie nie było ruchu.

– Przepraszam – powiedział Olen, wbijając wzrok w ziemię i przestępując z nogi na nogę.

– Masz za co...

Giselle usiłowała znaleźć właściwe słowa.

– Możemy o tym porozmawiać? – spytał prosząco Olen.

Giselle machnęła z rozdrażnieniem ręką, jakby wskazywała pogodę, i wzruszyła ramionami.

– Wydaje mi się, że to nie jest ani czas, ani miejsce na rozmowę.

– Ale gdzieś tu musi być jakiś bar albo kawiarnia.

Giselle spojrzała na drugą stronę ulicy i wybrzuszący się w pobliżu most. W oddali błysnęło pomarańczowe światło taksówki. Giselle miała wielką ochotę ją zatrzymać i pojechać do domu. Ale wiedziała, że nie stać jej na taryfę. Gdyby wydała na to pieniądze, najprawdopodobniej musiałyby przez resztę tygodnia żywić się fasolką z puszki i pieczywem tostowym, do czasu, aż jej konta nie zasili kolejna mizerna wpłata od rodziców. Z drugiej strony mokła coraz bardziej, a długi spacer do najbliższej stacji metra tylko pogorszyłby sprawę. A nie mogła sobie pozwolić na przeziębienie, bo za tydzień czekały ją egzaminy.

– Musimy wejść gdzieś do środka... – stwierdziła.

Olen był o rok wyżej w tej samej szkole baletowej i mieszkał na stałe w Londynie. Stres związany z egzaminami już go nie dotyczył. Giselle widziała kilka razy jego występ; niezaprzeczalnie był jedną z największych gwiazd w ich trupie. Gibki, elegancki i pewny siebie, sunął po drewnianym parkiecie tak, jakby taniec nie stanowił dla niego żadnej trudności. Pełne

gracji, płynne ruchy i komunikacja z innymi tancerzami zdawały się przychodzić mu zupełnie naturalnie, jakby nie potrzebował do tego znajomości żadnej techniki. W przeciwieństwie do Giselle, która wszystko okupowała wielkim wysiłkiem. Gdyby tylko Olen był równie pewny siebie w łóżku.

– Gdzie chcesz iść? – zapytał.

– Gdziekolwiek.

Ulicą High Street sunęła czarna taksówka, znajdowała się zaledwie kilka metrów od nich, kiedy Olen podniósł lewą rękę, żeby ją przywołać. Giselle wiedziała, że ojciec Olena ma dużą firmę transportową w Danii, więc w przeciwieństwie do niej chłopak mógł sobie pozwolić na taryfę. Nie musiał nawet liczyć na stypendium.

Taksówka skręciła gwałtownie w stronę chodnika, na którym stali, i zatrzymała się. Podbiegli do auta. Olen otworzył drzwi i zaczekał, aż Giselle wsiądzie. Opadła na skórzane siedzenie i poczuła ciepłą falę stęchlizny. Olen wskoczył za nią do środka i zatrzasnął drzwi.

– Dokąd jedziemy? – spytał taksówkarz.

W obecnym nastroju Giselle nie miała ochoty wracać do swojego mikroskopijnego pokoiku na poddaszu w Dalston, bo nieustannie przypominał jej o nieosiągalnych marzeniach i urażonej ambicji. Nie miała też ochoty wracać do przeciekającego dachu, którego właściciel nie miał najwyraźniej ochoty naprawiać, ani do kapryśnych dostaw ciepłej wody, przez które każdy prysznic zamieniał się w

nieprzewidywalną przygodę.

Giselle spojrzała na Olena. Czekał na to, co powie.

– Do ciebie? – zasugerowała. – Ale może najpierw pójdziemy się czegoś napić? Oczyszczymy trochę atmosferę? – Wiedziała, że w obecnych okolicznościach nie powinna do niego jechać: do dużego, przestronnego pokoju, co najmniej trzy razy większego od jej poddasza, który wynajmował na trzecim piętrze należącej do szkoły kamienicy w Kensington, miejsca zupełnie nie na jej kieszeń. Słowa uwięzyły jej w gardle.

Olen kazał taksówkarzowi jechać do Notting Hill. Kierowca przepuścił przedzierający się przez ulewę nocny autobus, a potem włączył się do ruchu i skręcił pod wiaduktem kolejowym w prawo. Giselle zdała sobie sprawę, że mogła wsiąść do autobusu, który jechał w stronę Wschodniego Londynu. Ale było już za późno. Źle zrobiła? Poczowała na kolanie gorącą dłoń Olena, który szukał pocieszenia albo przebaczenia, a może obu tych rzeczy naraz. Była na siebie zła, że nie miała wystarczająco dużo silnej woli, żeby po prostu odejść i zostawić go na deszczu. Taksówka zanurzyła się w noc i skierowała na południe.

– Nawet cię to nie obeszło, co? – odezwał się Olen ponuro, gdy siedzieli w jednym z wyłożonych czerwoną skórą boksów w Electric Diner i popijali swoje napoje.

Nie zważając na późną porę i nakazy zdrowego

rozsądku, Giselle zamówiła kawę, bo liczyła, że kofeina rozjaśni jej umysł.

Celowo pozwoliła, żeby Olen pierwszy zajął miejsce w boksie, bo mogła dzięki temu usiąść naprzeciwko; miała teraz doskonały widok na jego górną wargę pokrytą cienutką skorupką zaschniętej śmietany i kakao, które wchodziły w skład jego gorącej czekolady zaserwowanej z miniaturowymi ptasimi mleczkami unoszącymi się na warstwie pianki. Mleczne wąsy – inaczej niż to bywa na filmach – wcale nie dodały mu uroku. Giselle miała raczej ochotę nachylić się i obetrzeć mu brudne usta. Ale już wcześniej stwierdziła, że wygląda jak mały chłopiec, i nie miała ochoty bawić się w jego matkę.

Sączyła espresso i zastanawiała się, co odpowiedzieć. To było beznadziejne pytanie. Tak czy inaczej, znajdowała się na przegranej pozycji.

Odgarnęła z twarzy wilgotne włosy, uważając przy tym, żeby rękawami jedwabnej kremowej bluzki nie dotknąć lepkiego stołu. Inne klientki były ubrane swobodniej, w ciemne dżinsy lub minispódniczki i jaskrawe topy, a do tego adidas. Ich utapirowane włosy i mocny makijaż kontrastowały rażąco z naturalną twarzą Giselle. Giselle nie malowała się i wiedziała, że jej policzki są teraz pozbawione koloru i że gęste ciemne brwi przydają jej zawsze poważnego wyglądu, który w najlepszym razie sprawiał, że wydawała się niedostępna. Nigdy też nie farbowała swoich ciemnych

włosów, które – jeśli nie ociekały akurat wodą – okalały jej twarz w postaci sztywnego boba wykończonego nierówną grzywką przesłaniającą czoło.

Giselle nie pasowała nawet do Notting Hill, a co gorsza, uważała, że wręcz się tam wyróżnia. Była wyższa od Olena. Na płaskim obcasie tylko o jakiś centymetr czy dwa, ale jednak. A Olen nie był karłem. Giselle musiała usiąść bokiem, żeby móc wyciągnąć nogi pod stołem tak, by nie dotykać przy tym Olena.

W swojej kremowej bluzce i równo obciętej, krótkiej – ale nie za krótkiej – poważnej czarnej spódniczce i skórzanych lakierkach na płaskim obcasie Giselle wyglądała, no cóż, jak Francuzka. Przezroczyste cieliste pończochy, zapinane na pasie, chroniły jej nogi przed chłodem i wiedziała, że to też nie jest typowe. Większość jej rówieśniczek z Anglii nosiła grube kryjące rajstopy w jaskrawych kolorach, które zdaniem Giselle były krzykliwe, a do tego obcisłe i mocno wydekoltowane bluzeczki, które uwydatniały piersi.

Przypuszczała, że to właśnie dlatego Olen się nią zainteresował. Może i trzymała się trochę na dystans, ale nie wytaczała się o trzeciej nad ranem z klubów z cyckami na wierzchu, bez względu na pogodę. Przynajmniej wyglądała na dziewczynę, którą można przedstawić rodzicom. Olen stwierdził kiedyś, że ma klasę.

Giselle zacisnęła usta i uznała, że powinna mu powiedzieć prawdę. Poza tym nie przychodziło jej do

głowy żadne sensowne kłamstwo.

– Nie – odpowiedziała. – Chyba nie.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa na głos, od razu zrobiło jej się lżej na sercu.

Olen zakrztusił się i opluł się gorącą czekoladą. Wytarł nos rękawem.

– A tobie na mnie zależy? – spytała.

– No pewnie – prychnął.

– Jakoś nie było tego dziś widać – rzuciła cierpko Giselle. – Kiedy wciskałeś język w gardło Simone.

– Słuchaj... Przepraszam. Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Samo tak jakoś wyszło. Ale to nic nie znaczy. Byliśmy podpici i... – Wyciągnął rękę nad stołem, chcąc złapać dłoń Giselle, ale ona odsunęła ją, zanim jej dosięgnął.

– Mógłbyś mieć przynajmniej na tyle odwagi, żeby nie zwałać winy na alkohol – zganiła go. – Weź na siebie odpowiedzialność. Zdradziłeś mnie.

– Chyba trochę przesadzasz. Nie staram się siebie wybielać, ale to był tylko pocałunek. – Mówił naburmuszonym tonem, jak przyłapany na gorącym uczynku nastolatek, który mimo to dalej idzie w zaparte. Ale właściwie Olen faktycznie był jeszcze nastolatkiem, choć miał prawie dwadzieścia lat. Giselle kończyła dopiero dziewiętnaście.

Nie chcąc podnosić głosu, wysyczała:

– Zdradziłeś mnie!

W głębi ducha była skłonna przyznać Olenowi rację.

W końcu była Francuzką i uważała, że pocałunek to tylko pocałunek. Ogólnie nie przykładała do tego większej wagi. Ale widok wijącego się przed nią Olena sprawiał jej przyjemność. Czuła, że ma nad nim władzę, jakby przez samo to, że go przytąpała, miała prawo wymierzyć mu stosowną w swojej opinii karę. Giselle lubiła bawić się w Boga.

Żarówka w wiszącej nad nimi lampie zaczęła migotać i brzęczeć jak męczący komar. Do stolika podszedł kelner, aby ją wymienić i uprzątnąć spodki i puste filiżanki.

Był to krępy, szeroki w barach blondyn, który poruszał się z niezdarną, lecz niezaprzeczalną zmysłowością, jak zawodnik rugby, który w wolne dni powinien raczej kopać rowy, a nie roznosić herbatę. Stanowił całkowite przeciwieństwo ciemnowłosego, pełnego gracji Olena.

Giselle poczuła zapach kelnera – zapach potu i piżma – niezwykle męski, od którego mimowolnie zacisnęła uda, co z kolei kazało jej zwrócić uwagę na delikatne drapanie koronki, którą wykończone były pończochy i przytrzymujący je pas.

– Możesz mi wybaczyć? – spytał Olen.

– Chyba tak – odparła. – Chodzimy razem na zajęcia, więc nie mam wyjścia.

Olen ledwie zauważalnie skinął głową. Wyraźnie mu ulżyło i przygarbił lekko wąskie ramiona.

Każde z nich uczyło się wcześniej baletu w swoim

kraju, ale oboje mieli poczucie, że nie bardzo tam pasują. Giselle była najwyższą dziewczyną w swojej grupie i jedyną, która wśród ładnych, drobnych Francuzek, miała w sobie coś odrobinę egzotycznego; Olen zaś miał czasem wrażenie, że w Kopenhadze jest jedynym Duńczykiem o kruczoczarnych włosach, brązowych oczach i średnim wzroście.

Studiowali teraz w tej samej elitarnej szkole baletowej w Zachodnim Londynie. Giselle dlatego, bo zawsze lubiła przygody, bo pociągał ją urok i emocje związane z wyprawą za granicę i dlatego że udało jej się dogadać z rodzicami, którzy chcieli ją mieć na tyle blisko, by zawsze mogła wpaść do domu z wizytą. Olen zaś dlatego, bo był praktyczny i chciał poprawić swój angielski na wypadek, gdyby kiedyś miał mu się przydać w pracy, kiedy zakończy już karierę w balecie – o ile w ogóle będzie miał na tyle szczęścia, żeby ją zrobić.

Olen uczył się w ogólniaku francuskiego i tłumacząc się chęcią ćwiczenia języka, wykorzystał ten fakt jako pretekst, by zbliżyć się do Giselle. Schlebiało jej to, a poza tym czuła się trochę samotna, więc jego towarzystwo i zainteresowanie, a także możliwość rozmawiania w ojczystym języku sprawiały jej przyjemność. To, że miała chłopaka, dało jej pewnego rodzaju władzę nad innymi dziewczynami. Mocną pozycję w hierarchii społecznej, wrażenie normalności. Chodzili ze sobą od kilku semestrów.

A teraz coś takiego.

Giselle miała wrażenie, że wyczerpali temat. Co jeszcze można było powiedzieć? Ale przecież nie mogli siedzieć bez końca naprzeciwko siebie w niezręcznym milczeniu.

Odchrząknęła.

– Między nami koniec, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Będziemy się widywać na zajęciach, ale nie będziemy już parą. – Nawet gdyby znalazła jeszcze w sobie jakieś uczucie do niego, była zbyt dumna, aby pozostawać w związku z mężczyzną, który potraktował ją w ten sposób publicznie. Nie pozwoli się ośmieszać.

Wpatrywała się w niego, usiłując zrozumieć, co takiego w nim w ogóle widziała. W tej chwili nie czuła między nimi żadnej chemii. Ale czy czuła ją, kiedy się poznali? Nie miała nawet pojęcia, co by to właściwie miało oznaczać. Może na tym polegał problem? Żadne z nich nie miało doświadczenia.

– I co teraz? – spytał Olen. – Chcesz coś zjeść? Jeszcze się czegoś napić? A może... – Spojrzał na nią z nadzieją.

Giselle westchnęła. To znów ona musiała podjąć ostateczną decyzję, postanowić o ich przyszłości. Miała już dość tego, że w ich związku to ona zawsze dowodziła, jakby Olen był psiakiem, a ona jego panią.

– W takim razie jedźmy do ciebie – oznajmiła, narzucając sweter.

Rachunek zostawiła jemu. Bóg jeden wie, że już wystarczająco mocno musiała zaciskać pasa, a jemu nie

brakowało pieniędzy, zresztą zawsze nalegał, żeby płacić.

Stanęli blisko siebie na chodniku przy wejściu do kawiarni, chowając się przed deszczem i czekając na kolejną taksówkę. Olen z wahaniem objął Giselle ramieniem, a ona mu na to pozwoliła. Wiedziała, na co się zanosi i że to będzie ostatni raz. Teraz to i tak nie miało większego znaczenia.

Pamiętne pierwsze i ostatnie razy. Czy do tego sprowadzał się ich związek? Do początku i do końca?

Po przyjeździe taksówki Olen przytrzymał Giselle drzwi – dżentelmen w każdym calu – a ona usiadła wygodnie i wróciła myślami do ich pierwszego razu.

W Paryżu nigdy nie było okazji lub też, mówiąc szczerze, odpowiedniego chłopaka. Zawsze było coś przeciętnego w facetach, których poznawała – przez rodzinę, znajomych lub w szkole. Budzili w niej zero emocji. Giselle nie była sentymentalna, ale mimo to w głębi serca marzyła, żeby pierwszy chłopak, z którym pójdzie do łóżka, był inny, żeby zapadał w pamięć. Zawsze wiedziała, że to stanie się w Londynie. Tamtejsi mężczyźni mieli coś w sobie. Aurę kosmopolityzmu. Doświadczenie. I miało się to stać właśnie tego dnia.

Giselle przyjechała trzy miesiące wcześniej i zdążyła się oswoić ze szkołą baletową. Na jej roku byli studenci z całego świata, choć co ciekawe, jako jedyna pochodziła

z Francji. Były Brazylijki o jędrnych pośladkach, kilkoro ognistych południowców, dziewczyny z krajów skandynawskich, jedna podobna do drugiej, jakby zeszyły z taśmy, obdarzone boskimi kośćcami policzkowymi i chude jak diabli, nieskazitelnie piękne, choć przy tym chłodne i powściągliwe, lubiący zaglądać do kieliszka mieszkańcy Europy Wschodniej, którzy trzymali się razem i praktycznie z nikim innym nie rozmawiali. Nauczyciele byli wymagający, a lekcje trudne. Giselle wracała co wieczór do swojej kawalerki znajdującej się na samym końcu centralnej linii metra, czując, że wszystko ją boli i że umysł zasnuwa jej mgła wyczerpania. Przez kilka pierwszych dni czuła się tak, jakby ktoś jej wymierzył policzek; musiała oduczyć się większości tego, co poznała w paryskim studiu tańca, do którego chodziła od siódmego roku życia. Szybko też zdała sobie sprawę, że większość kolegów i koleżanek ze szkoły baletowej prezentuje dużo wyższy poziom, naturalny talent i zdolności taneczne niż ona. Ich ciała miały idealny kształt, ich pozycje były instynktownie czyste i wyraźne, a ruchy przychodziły swobodnie, ona natomiast była za wysoka, miała zbyt grube kości i męczyła się w milczeniu, usiłując nadążyć za resztą i wykonywać niekończące się komendy i korekty.

Wyjrzała przez okno na bielone fasady po drugiej stronie Lansdowne Road. Drzewa zrzucały liście przed nadejściem zimy. Niebo zaczęło się ściemniać wraz z nadchodzącym zmierzchem. Giselle zadrżała lekko na

myśl o kilku najbliższych godzinach, choć w domu było ciepło.

Olen poszedł do kuchni po wino. Jego pokój był olbrzymi, znacznie większy niż jej – wysoki, umeblowany ze smakiem i porządkiem. Wzdłuż przeciwległej ściany w równych odległościach przymocowano odbitki starych map i zdjęcia legendarnych tancerzy baletowych – Fonteyn, Niżyński i inni, których powinna znać, ale niestety ich nie kojarzyła. Biała pościel była nakryta prostą beżową narzutą. Giselle zerknęła nerwowo na łóżko. W przeciwieństwie do wąskiej pryczy, która zajmowała prawie połowę jej pokoju w Dalston, łóżko Olena było ogromne, na tyle duże, że spokojnie mogłyby się na nim zmieścić więcej niż dwie osoby.

– Proszę bardzo. – Olen podszedł do Giselle na bosaka, tak że go nie usłyszała, i podał jej kieliszek. – Jeśli wolisz, mogę zaparzyć kawę...

– Nie, wino jest okej. – Chciał jej najwyraźniej pokazać, że nie próbuje jej upić.

Upiła łyk. Wino miało bogaty, owocowy aromat i przyjemnie rozgrzewało. Smakowało tak, jakby było drogie. Giselle co prawda nie miała zbyt dużego pojęcia o winie, mimo że była z Francji.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy Giselle i Olen powoli się do siebie zbliżali: wiecznie razem na zajęciach, próbach, przerwach.

Olen był przystojny w ten nieco zniewieściały,

eteryczny sposób – miał oczy w kolorze czekolady i ciemne loki opadające na blade czoło. Mógłby grać rolę elfa albo nimfy wodnej; miał niesamowicie długie ręce i nogi i poruszał się z kocią gracją, przez co zaskakiwał swoją siłą, kiedy wykonywał podnoszenia tak, jakby partnerki były lekkie jak piórko. Był swobodny w obejściu, lubił flirtować i miał niesamowicie apetyczny tyłek, jak dwie brzoskwinie umieszczone na szczycie długich umięśnionych ud. Czasem gdy Giselle patrzyła na niego, kiedy rozciągał się przy drążku, miała ochotę uklęknąć przy nim i zatopić zęby w tych jędrnych pośladvach. Dosyć szybko Olen dał jej do zrozumienia, że mu się podoba. Zaprosił ją na kolację pod pretekstem chęci ćwiczenia francuskiego, którego uczył się w ogólniaku. Kilka razy się całowali podczas długich wieczorów w zadymionych pubach na Cromwell Road i Earls Court, gdzie studenci ze wszystkich roczników często lądowali pod koniec dnia. Pewnego wieczoru pozwoliła mu nawet wsunąć dłoń pod swoją bluzkę i dotknąć piersi. W obecności i przy dopingu tak wielu wspólnych znajomych zrobiło to na niej elektryzujące wrażenie. Było więc jasne, że pewne rzeczy są nieuniknione.

I oto proszę, Giselle znajdowała się w jego sypialni i zamierzała od razu za jednym zamachem przejść od pierwszej do ostatniej bazy, bo przecież po to przyjęła jego zaproszenie w ten sobotni wieczór. Umówili się, że pójdą do klubu w Soho, ukrytego w czeluściach jakiegś

piwnicy, na koncert amerykańskiej wokalistki folkowej. Mieli się tam spotkać ze znajomymi z grupy. Olen zaproponował jednak, żeby najpierw wpadli do niego, bo chciał się przebrać po milczącym spacerze, na który wybrali się po południu na Portobello Road. Oboje wiedzieli, że to tylko pretekst i że nigdzie już dziś nie pójda, tym bardziej że żadne z nich nie przepadało specjalnie za folkami.

Giselle czuła przy sobie ciepło jego ciała. Wyczuwała delikatny zapach limonki z mydła lub dezodorantu, którego używał, a także trochę pikantniejszą, mocniejszą nutę, przytłumioną, ale silną – Giselle wyobrażała sobie, że to zapach jego pożądania. Zastanawiała się, jak sama pachnie.

Olen musnął wargami płatek jej ucha, aż zadrżała.

Nikt nigdy nie dotykał jej w ten sposób.

Pieszczota ją zszokowała, ale jednocześnie podnieciła. Była dużo bardziej niezwykła niż prosty pocałunek w usta.

Przymknęła powieki.

Wiedziała, że to cisza przed burzą, że pieszczoty staną się wkrótce bardziej intensywne i że dziś w nocy w końcu straci dziewictwo. Kiedy to sobie uświadomiła, poczuła się tak, jakby otworzyły się przed nią jakieś drzwi, jakby w głębi brzucha pojawiło się drżenie i rozlało się po całym jej systemie nerwowym, popłynęło tętniącym krwiobiegem, jakby pękła w niej jakaś zapa.

Czuła jego oddech kilka centymetrów od swoich rozpalonych policzków.

Odwróciła głowę. Ich wargi spotkały się.

Język Olena napotkał jej język, w jej usta przeniknął jego trudny do opisu smak. Wilgotne ciepło. Przyjemna miękkość. Giselle zaczęła analizować swoje uczucia, emocje, które obudziły się w niej pod wpływem tej nowej intymnej pieszczoty. Chciała zapisać w pamięci każdą chwilę, aby móc się nią później napawać, rozkładać ją na czynniki pierwsze, ale nagle poczuła, że Olen rozpina jej sweter, a drugą ręką szarpie za rozporek przy dzinsach. W ile rąk byli wyposażeni mężczyźni, że potrafili ze skutecznością godną ośmiornicy zajmować się tyłoma rzeczami naraz? Giselle stała jak wmurowana, sztywna, ale uległa. Miała wrażenie, że jej ręce są zbędne, że nie wie, co ma z nimi zrobić. Czy powinna najpierw położyć je na twarzy Olena? Na jego głowie? Poniżej pasa?

Olen przycisnął się do niej, a ona wyczuła twarde wybrzuszenie na jego dzinsach. Wiedziała, co to jest, choć pierwszy raz w życiu poczuła męski wzwód.

Nadal oszołomiona pocałunkiem, czując na sobie usta Olena i jego nieśmiałe dłonie badające jej gołą skórę pod ubraniami, które udało mu się w jakiś sposób poluzować, zrobiła krok w tył, potem jeszcze jeden, i zaczęła przesuwać się w stronę łóżka. Olen postępował w ślad za nią w mało subtelnym *pas de deux* rozegranym na niewielkiej przestrzeni. Kiedy dotknęła łydkami ramy

łóżka, zaczęła się opuszczać, pociągając za sobą Olena.

Miękki materac ugiął się i przywitał ich wygodnym zagłębieniem.

Giselle poczuła przyspieszone bicie serca.

Jak często marzyła o tej chwili? Zastanawiała się, jak to będzie.

Miała wrażenie, że zaraz coś rozsadzi jej płuca, i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że przestała oddychać, tak bardzo pogrążona w swoich myślach, iż zapomniała o potrzebach swojego ciała. Oderwała usta od warg Olena i wzięła oddech. Olen leżał na niej – ciężki – i oddychał nierówno. Patrzył jej głęboko w oczy. Jego oczy były niczym ciemne dno studni, przyozdobione drobinkami w kolorze gałki muszkatołowej. Ciepłe, patrzyły na nią w niemym pytaniu.

– Tak – powiedziała Giselle, odpowiadając twierdząco na pytanie, którego Olen jeszcze nie zadał.

– Jesteś pewna?

– Jestem.

– Wiesz, że nie dlatego zaproponowałem, żebyśmy tu przyszli... – skłamał, szukając z trudem słów, jakby wszystko potoczyło się zbyt szybko i stracił panowanie nad sytuacją.

– Wiem – odparła. Doskonale zdawała sobie sprawę, dlaczego zgodziła się tu dziś przyjść i dlaczego on ją zaprosił. Zsunęła buty, przypominając sobie z uśmiechem, że w Paryżu zawsze jej się obrywało od

rodziców za wchodzenie w butach do łóżka.

Olen przyglądał się jej z uwielbieniem na twarzy.

– Masz... zabezpieczenie? – spytała.

– Oczywiście – zapewnił z pośpiechem. – W tamtej szufladzie.

– To dobrze.

Ściągnęła skarpetki i obcisłe dżinsy. Wiedziała, że nogi są jej mocną stroną. Naprawdę sięgały nieba. Olen gapił się na nią, co dodało jej pewności siebie.

Złapała go za ręce i położyła je sobie na piersiach, wyrrywając go z osłupienia.

Przez chwilę mocował się z zapięciem przy jej staniku. Teraz to on zrobił się niepewny, choć jak wiedziała Giselle, był od niej przynajmniej o rok starszy i – jak zakładała – dużo bardziej doświadczony w sprawach seksu. Między innymi z tego powodu, poza jego wyglądem i przyjemnym usposobieniem, Giselle świadomie wybrała go na swojego pierwszego kochanka. Zbyt wiele koleżanek w Paryżu narzekało na młodszych chłopaków, na ich nieudaczność, na mniejszą lub większą kompromitację i nie dającą spokoju myśl, że to tylko tyle. Giselle postanowiła sobie stanowczo, że jej inicjacja w świat seksu będzie bardziej satysfakcjonująca.

Rozebrali się i leżeli przytuleni, markując czułość i walcząc z niecierpliwością. Giselle rozkoszowała się naciskiem ciepłego, twardego penisa na swoje udo. Miała wielką ochotę odsunąć się na moment, żeby móc

wziąć go do ręki i dokładnie się mu przyjrzeć. Naturalnie widziała już wcześniej męskie członki, choć nigdy we wzwodzie. Rok wcześniej podczas wakacji razem z grupą znajomych rozebrała się niewinnie na plaży nudystów na południu – ale to było dla niej czymś zupełnie nowym. Nie chciała wydać się rozpustna czy nieskromna, a obawiała się, że jeśli będzie zbyt bezpośrednia, Olen weźmie ją za najgorszą i Giselle straci reputację. Niełatwo było odciąć się od lat drobnomieszczańskiego wychowania i konwenansów.

Dłonie Olena badały ją, przesuając się nieśmiało po jej nagiej skórze, i zapuszczały się niepewnie w intymne strefy. Giselle czuła bicie jego serca, rytm jego oddechu, napastliwą miękkość jego języka w swoich ustach, cytrusowy zapach unoszący się nad jego ciałem. Przesunęła dłońmi po jego plecach i delikatnie wpiła paznokcie w jędrne pośladki.

Jej brodawki zrobiły się twarde, a w środku zaczęło narastać znajome ciepło, formująca się powoli fala wypływająca z wewnętrznego świata, który był do tej pory celowo trzymany pod kluczem.

To było przyjemne uczucie, ale Giselle pragnęła czegoś więcej.

Obserwowała spod przymkniętych powiek, jak Olen w pośpiechu nakłada prezerwatywę. Wsunęli się pod kołdrę, a Olen ułożył się na Giselle, która posłusznie rozsunęła nogi. Nie spuszczać z niej oczu, poprawił pozycję i włożył rękę pod nakrycie, aby wprowadzić

zabezpieczony członek do jej pochwy.

Pierwsza próba wejścia skończyła się niepowodzeniem. Giselle była sucha, przerwali więc na kilka niezręcznych chwil, podczas których Olen poślinił palce i nawilżył w ten prowizoryczny sposób jej ujście.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Giselle westchnęła.

– Tak. Pospiesz się. – Giselle wstrzymała oddech i przygotowała się na ból, ale kiedy główka jego członka w końcu przebiła się do środka, mimo napotkanego oporu bez problemu przedarła się głębiej. Towarzyszyło temu jedynie ostre ukłucie, które szybko jednak zniknęło, załagodzone strumieniem uwolnionych endorfin i całą masą nowych emocji.

W końcu „to” robili. Ona, Giselle, uprawiała seks, kochała się ze swoim chłopakiem.

Złapała Olena za ramiona i mocno zacisnęła na nich dłonie, przyciągając go do siebie. Olen zaczął poruszać się w niej powoli. Giselle dała się ponieść chwili, wypełniona, otwarta i – jak miała nadzieję – kompletna.

Niecałe dziesięć minut później, gdy leżeli już osobno i z zakłopotaniem dzielili między sobą pościel, żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć, bo żadne nie było obeznane z obowiązującą po stosunku etykietą. Giselle wiedziała tylko, że nie miała orgazmu. Doznała pobudzenia, pieszczot, pokuszenia, ale nie dane jej było eksplodować, zanurzyć się w nowym, oślepiającym blasku. Z rozżalonym westchnieniem przypomniała

sobie opowieści rozczarowanych koleżanek. A więc ona też nie okazała się wyjątkowa. Przytrafiło jej się to samo. Może dlatego, że Olen był zbyt miły – uroczy chłopak, do którego z jakiegoś powodu nie była w stanie zapalać wystarczająco silnym uczuciem. O Boże, jestem okropna, pomyślała. Wykorzystałam go. Był dla mnie środkiem do celu. Obiecała sobie wtedy, że nauczy się go kochać. Że nauczy się być jego dziewczyną, jego partnerką, że będzie nad tym pracować.

– Możesz zostać na noc – wyszeptał. Na dworze było ciemno, choć nie zaciągnęli zasłon.

– Dobrze – zgodziła się.

Postanowiła z determinacją, że rano znów będą się kochać. I że tym razem będzie lepiej. Coś się w niej zadzieje.

– Było świetnie – stwierdził Olen, obejmując ją i przytulając się do niej całym ciałem.

– Tak – skłamała Giselle. Może seks z Olenem wcale nie był zły? Może tak właśnie wyglądał seks? Jakoś jednak nie chciało jej się w to wierzyć. Nie mogła się mylić we wszystkich swoich marzeniach i fantazjach.

Wkrótce zaczęła przysypiać, ale targany pytaniami i wątpliwościami umysł nie pozwalał na spokojny sen.

Giselle zastanawiała się mimowolnie, dokąd zaprowadzi ją ten nowy rozdział w jej życiu. Spojrzała na śpiącego obok młodego mężczyznę – jego głowę spowijała masa ciemnych anielskich loczków, wydatne pulchne usta drżały, a na pogrążonej we śnie twarzy

błąkał się niewyraźny uśmiech. Jej pierwszy mężczyzna. W głębi duszy wiedziała, że będą kolejni. Że będzie ich wielu. Chciała zakosztować innych mężczyzn, wypróbować ich, ujeżdżać, kochać, pochłaniać. Ale teraz, ulegając zmęczeniu i sprzecznym emocjom, które buzowały w niej przez cały dzień i jeszcze dotąd szemrały głęboko pod powierzchnią skóry i umysłu, Giselle postanowiła, że w relacji z Olenem postara się dać z siebie wszystko. Będzie jego dziewczyną. Nauczy się go kochać. Będzie dla niego dobra.

O świcie, obudzeni zbyt wcześnie obecnością drugiej osoby w łóżku, znów się pieprzyli. Giselle ujęła członek Olena w dłonie i uznała, że to coś wspaniałego. Po kolei zaczęli badać dokładniej swoje ciała. I tym razem było lepiej. Giselle liczyła, że może z czasem będzie idealnie.

I tak to się toczyło. Chłopak i dziewczyna. Kochankowie. Aż do dzisiejszego wieczoru w Dingwalls, gdzie zobaczyła, że Olen całuje się z Simone.

Kiedy czarna taksówka zajęchała pod kamienicę Olena w Notting Hill, a on zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu banknotów, Giselle wróciła myślami do teraźniejszości. Przestało padać.

Weszli do jego pokoju.

Stało w nim łóżko, na którym po raz pierwszy się z nim przespała.

– Samo jakoś tak wyszło – burknął jak zdarta płyta Olen. Rozmawiali już o tym przy kolacji. – Ja...

– Skończ już z tym! – wybuchnęła Giselle. Jakoś tak wyszło, ale z tego, co widziała, nie wyszło tak raczej po raz pierwszy.

– Ale...

Nie chciała nic więcej wiedzieć na temat Olena i Simone, niezależnie od tego, czy to był jednorazowy pocałunek, czy raczej, co bardziej prawdopodobne, poważniejsza zdrada. To już nie miało znaczenia. Ciągle jeszcze była zła, ale jej wściekłość powoli zaczęła wygasać.

– Skończ już z tym – powtórzyła. Podeszła do niego i wymierzyła mu mocny policzek. Olen stał z rozdziawioną buzią, wstrząśnięty. Giselle uklękła i rozpięła mu dzinsy. Wyciągnęła jego członek i wsadziła go sobie do ust. Dopiero po kilku tygodniach od pierwszego stosunku zdobyła się na odwagę i w końcu mu obciągnęła, ale sądząc po tym, jak zareagował i jaką miał minę, wiedziała, że bardzo mu się podobało.

– Co ty robisz? – spytał, choć zrobił się już twardy.

Wysunęła penisa z ust, żeby móc odpowiedzieć.

– A jak myślisz?

– Ale...

– Ale, ale, ale, Olen, to twój pożegnalny seks. Robimy to ostatni raz – powiedziała i znów wzięła go do ust.

Nawet jej nie kusiło, żeby go ugryźć.

Rano zaś, oddzielona od niego murem milczenia, który wyrósł między nimi, gdy zajęła łóżko Olena, a jemu kazała spać na kanapie, Giselle wróciła do

Highams Park. Przebrała się, zabrała strój do ćwiczeń i pojechała na rowerze na zajęcia, do których w ciągu tej jednej nocy zupełnie straciła serce.

Był taki okres, kiedy Giselle uwielbiała każdą sekundę zajęć. Odkąd tylko nauczyła się chodzić, uwielbiała rygor i dyscyplinę baletu. Była to dla niej forma samokontroli, coś, na czym mogła się wyładować, nad czym mogła pracować, co mogła doskonalić.

Była samotnym dzieckiem, bo po przeprowadzce z Orleanu do Paryża nie miała zbyt wielu koleżanek, więc cieszyła się, że przez codzienny trening taneczny ma szansę zabić nudę. Potem zaś upajała się pochwałami rodziny i nauczycieli, na które zasłużyła sobie swoim zaangażowaniem. Początkowo szybko robiła postępy, lubiła też to, w jaki sposób jej ciało reagowało na ćwiczenia. Dzięki odpowiedniej koncentracji i skupieniu z łatwością opanowała pierwsze pięć pozycji, ale dopiero kiedy zaczęła tańczyć *en pointe*, poczuła prawdziwe uniesienie. Wiedziała, że ćwiczy najwięcej ze wszystkich koleżanek w grupie. Jej ciało było najsilniejsze. Poza tym miała determinację. Podczas gdy inne dziewczynki płakały już po kilku minutach spędzonych na palcach, Giselle tańczyła dalej, dzięki czemu robiła się coraz silniejsza. Nie zważała na drętwiejące stopy, na ból, na krew, która czasami

przesiąkała przez rajstopy i baletki.

W domu polewała piekące bąble jak najgorętszą wodą, przecierała je środkiem dezynfekującym, a następnie stosowała sposób, którego nauczyła ją jej pochodząca z Kijowa nauczycielka baletu. Po oczyszczeniu rany rozbijała jajko i ostrożnie odrywała cieniutką błonkę z wewnętrznej strony skorupki. Nakładała ją na pęcherz jak drugą skórę i zabezpieczała ciasno obwiązaną wstążką z baletek, śliską stroną do środka.

Następnego dnia i każdego kolejnego Giselle znów tańczyła.

Ale z wiekiem zaczęło do niej docierać, że żadna praca nie zastąpi naturalnego talentu i choć to pierwsze nie było jej obce, drugiego nie miała. Jej mama i babcia nie były aktorkami, modelkami ani tancerkami; były zwykłymi gospodyniami, nawykłymi do pracy fizycznej, obdarzonymi silnymi nogami i masywnymi ciałami, pozbawionymi jednak gracji wiotkich i delikatnych jak lalki koleżanek Giselle. Kiedy rozpoczął się gwałtowny i burzliwy okres dorastania, inne dziewczęta rozkwitały powoli jak pączki u progu kwitnienia, natomiast Giselle wystrzeliła w górę jak chwast, od razu przerastając koleżanki o głowę. Jej piersi wyglądały tak, jakby w ciągu jednej nocy czterokrotnie zwiększyły objętość. Dzięki regularnym treningom siłowym Giselle nie była gruba, ale była wysoka i umięśniona, a w wieku czternastu lat miała już

tak duży biust, że między piersiami widoczny był wyraźny rowek. Podczas występów w trykotach musiała obwiązywać klatkę piersiową taśmą, żeby jeszcze bardziej nie odstawać od pozostałych dziewcząt, bo już wystarczająco się wyróżniała.

W dalszym jednak ciągu, choć rodzice napomykali delikatnie, że być może powinna obrać inny kierunek nauki, Giselle upierała się, że nie zrezygnuje z baletu. Myślała, że jeśli będzie ćwiczyć wystarczająco ciężko, uda jej się zrobić postępy. W głębi serca wiedziała, że jej się poszczęściło, że dostała się do londyńskiej akademii. Podczas egzaminu wstępnego miała dobry dzień. Dobrze zatańczyła. Jej dawna nauczycielka baletu z Rosji, która pochwałała etykę pracy Giselle, wystawiła jej dobre referencje. A ojciec, mimo zastrzeżeń, opłacił z góry chesne. Tak właśnie się tu znalazła.

Często zostawała w szkole dłużej niż inni uczniowie, dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem. Umówiła się z kilkoma koleżankami w barze w Notting Hill, który w każdy czwartek serwował studentom tanie drinki w plastikowych kubkach, i miała do zabicia jeszcze godzinę. Dziewczyny rozjechały się po swoich domach, żeby się przebrać, uczesać i umalować. Giselle postanowiła zostać przy drążku i wykonać dodatkowy zestaw ćwiczeń rozciągających. Była silna, ale na skutek tego jej mięśnie były krótkie i przykurczone, trudno jej było zachować niezbędną gibkość.

Poza tym miała ochotę pobyć sama, chciała trochę

pomyśleć. Puste i ciche studio baletowe tchnęło cudowną atmosferą samotności. Wielka przestrzeń, a w ogromnych, ciągnących się wzdłuż ścian lustrach odbijała się tylko wysoka postać Giselle. Słysząc było tylko jej delikatne wdechy i wydechy oraz przytłumiony warkot samochodu, który od czasu do czasu przejeżdżał ulicą. Giselle czuła się odseparowana od reszty świata, sama w pełnym tego słowa znaczeniu.

Od rozstania z Olenem minęły trzy tygodnie. Nie tęskniła za nim. Choć, co oczywiste, brakowało jej dotyku męskich dłoni. Nawet jeśli seks z Olenem zawsze był nieco pospieszny i niezręczny, nawet jeśli nie rozpalał jej tak, jak tego pragnęła, ani nie zapewniał orgazmu, to lubiła czuć w sobie członek Olena, lubiła mocny nacisk jego ciała.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że go dziś zobaczy. Utrzymany w gładkich chromach, wyposażony w fioletowe skórzane stołki i misterne szklane żyrandole klub w Notting Hill, gdzie ceny koktajli były zwykle mocno zawyżone, stanowił jedno z ulubionych miejsc spotkań Olena.

Beth, jedna z koleżanek z grupy, której Giselle opowiedziała o zerwaniu, proponowała, żeby wpadła do niej na Portobello Road, do współwynajmowanego mieszkania, żeby przebrać się przed imprezą.

– Możesz przymierzyć jedną z moich sukienek – zaoferowała Beth, przeglądając się w lustrze i przerzucając długie blond włosy przez ramię. – Mam

ich całe mnóstwo. Mogę też zrobić ci makijaż – dodała, podchodząc do Giselle. Przyjrzała się z uwagą jej nieumalowanej twarzy, jakby dokonywała matematycznych obliczeń, próbując rozszyfrować, jaki kolor cieni do powiek i różu najlepiej by jej pasował. – Niech wie, co stracił.

Giselle pokręciła głową.

– Nie, nie, idź sama, spotkamy się na miejscu. W przyszłym tygodniu są egzaminy i muszę jeszcze trochę poćwiczyć...

Beth nie dyskutowała. Równie dobrze jak Giselle wiedziała, że w ruchach koleżanki czegoś brakuje. Giselle była zbyt metodyczna, a jej figury nie dość czyste i ostre. Bez względu na to, ile godzin spędzała przy drążku, nie była w stanie odtworzyć lekkości, która Beth przychodziła tak naturalnie, że postronny obserwator mógłby pomyśleć, że dziewczyna nie wkładała w to praktycznie żadnego wysiłku.

Giselle skrzywiła się, rozciągając przed sobą długą nogę. Pochyliła się i sięgnęła za palce. Miała wrażenie, że jej ścięgna podkolanowe są zawsze jednakowo sztywne, niezależnie od tego, jak bardzo stara się je rozluźnić.

Wyprostowała się i spojrzała na zegarek; od wyjścia Beth minęły już dwie godziny. Giselle spędziła w studiu większą część dnia. Burczało jej w brzuchu, bolały ją mięśnie, a teraz została jej niecała godzina, żeby się przebrać i dotrzeć do Notting Hill, gdzie miała się ze

wszystkimi spotkać. Giselle nigdy się nie spóźniała.

Wzięła torbę i poszła do niedużej koedukacyjnej łazienki na końcu korytarza, żeby trochę się odświeżyć. Potem przebrała się w miękkie czarne legginsy i ciemnoczerwony kaszmirowy sweter z dekoltem w szpic, który podkreślał jej piersi, a gdy się pochylała, odsłaniał rowek między nimi. Rozczesała włosy i spryskała się delikatnie perfumami, ale podarowała sobie szminkę i obcasy. Nie chciała, żeby Olen pomyślał, że zależy jej na tym, aby wzbudzić w nim pożądanie. Nie chciała, żeby mu się wydawało, że choć przez chwilę o nim pomyślała.

– Giselle! – zawołała Beth na jej widok, jakby nie widziały się od wielu tygodni, a nie od kilku godzin. – Musisz nadrobić zaległości – stwierdziła, biorąc ją za rękę i ciągnąc przez zatłoczony bar do kąta, który okupowali studenci szkoły baletowej. Dziewczyny budziły duże zainteresowanie. Tworzyły ładną parę: blondynka i brunetka, obie o szczupłych, wysportowanych ciałach wypracowanych podczas tańca, obie mniej więcej tego samego wzrostu, bo Beth włożyła szpilki do srebrnej, wyszywanej cekinami minisukienki, która ledwie zakrywała jej tyłek i przypominała bardziej tunikę niż kieckę.

– Olen też jest – szepnęła Beth. – Z tyłu. Wolałam cię ostrzec.

Giselle odrzuciła do tyłu włosy i uniosła brodę.

– Nic mnie to nie obchodzi – odpowiedziała.

Kątem oka dostrzegła, że Olen odwraca się w ich stronę, ale udawała, że tego nie zauważyła i umyślnie unikała kontaktu wzrokowego.

Beth wręczyła jej lodowatą, różową miksturę serwowaną w matowym kieliszku do martini udekorowanym nabitą na mieszadełko kandyzowaną wisienką.

– Dzięki – powiedziała Giselle i aż się skrzywiła, bo po odchyleniu głowy i upiciu solidnego łyka poczuła na zębach lodowate zimno.

Nie zamierzała się upijać. Następnego dnia miała egzamin i Bóg jej świadkiem, musiała być w formie, jeśli chciała dostać przyzwoity stopień i zaliczyć rok. Ale było jeszcze wcześniej, poza tym jeden drink nie zaszkodzi. Może jeśli się zrelaksuje, uda jej się trochę rozluźnić, nadać swojemu ciału większą elastyczność.

Olen znów na nią patrzył. Stał obok Simone, której usta były czerwone od szminki i lekko rozchylone, jakby czekała na kolejny pocałunek. Giselle pomyślała, że pewnie oboje piją wodę mineralną i zamierzają przed północą być w domu. W domu, czyli w łóżku Olena. Nagła wściekłość sprawiła, że krew w niej zawrzała i wypłynęła rumieńcami na policzki. Giselle dopiła jednym haustem resztkę obrzydliwie słodkiego drinka i wzięła sobie kolejny z zastawionego kieliszkami stolika – do godziny dwudziestej pierwszej barman realizował każde zamówienie podwójnie, a większość studentów wolała przed jutrzejszymi egzaminami pozostać

trzeźwa.

– Wszystko w porządku, kochana? – spytała Beth. – To twój piąty drink, a barman nie żałuje alkoholu... Chyba zresztą wpadłaś mu w oko.

Głośna muzyka uniemożliwiała normalną rozmowę i Beth musiała odgarnąć włosy Giselle i mówić jej prosto do ucha, żeby w ogóle mogła ją usłyszeć. Giselle nigdy się nie zastanawiała nad swoją orientacją seksualną, z góry założyła, że jest hetero – kobiety po prostu jej nie ruszały – ale wypełniona po brzegi alkoholem i syropem truskawkowym, czując w sobie dzikie rytmy Motown rozlegające się w barze, zauważyła nagle, że bliskość ciała jej przyjaciółki i niemal muskające skórę usta sprawiają, że spomiędzy nóg wypływa znajome ciepło. Giselle była podpita i napalona.

Podążyła za wzrokiem Beth. Barman rzeczywiście się na nią gapił – lub raczej na nie obie. Zauważył jej spojrzenie i puścił do niej bezczelnie oko. Gdyby Giselle była trzeźwa, uznałaby tego rodzaju prostackie zachowanie za niedojrzałe i pozbawione stylu, ale w obecnym nastroju pożądliwe spojrzenie barmana podnieciło ją i uderzyło do głowy poczuciem władzy nad mężczyznami.

– Przytrzymaj – nakazała Beth, wkładając jej do ręki pusty kieliszek. Zaraz potem odwróciła się na pięcie i podeszła do baru. Nawet bez obcasów szła raczej chwiejnie, choć miała przy tym wrażenie, że sunie tanecznym krokiem.

– Heeej – rzuciła przeciągle.

– Gotowa na następną kolejkę? – odpowiedział chłopak. Zrobił krok w tył i podrzucił trzymaną w dłoni butelkę wódki. Okręciła się dwa razy w powietrzu i wylądowała posłusznie w drugiej ręce.

Giselle zachichotała. Patrzyła jak urzeczona, ale nie na pokaz barmańskich akrobacji, tylko na mięśnie napinające czarną obcisłą koszulkę.

Barman odłożył butelkę na blat i nachylił się tak blisko, że ich usta mogłyby się zetknąć, gdyby Giselle tylko zechciała.

– Chyba mam już dość – stwierdziła. – Jutro mam egzamin. – Czuła, że słowa wyskakują jej z ust tak, jakby puszczała bańki.

– Ale chyba nie jesteś licealistką, co? – zażartował. – Bo wiesz, że prawo zabrania sprzedaży alkoholu nieletnim?

– Nie, nie! Jestem studentką. Lub kimś w tym rodzaju. Chodzę do szkoły baletowej.

– Baletnica... To by tłumaczyło twój świetny tyłek.

– Dziękuję – odpowiedziała Giselle bez fałszywej skromności. Była dumna ze swoich pośladków.

– Znam kilka fajnych ruchów. Co prawda nie z baletu, tylko z piłki nożnej, ale my też musimy nieźle się ruszać.

– Może mi pokażesz? – mruknęła Giselle.

Barman nie tracił czasu, tylko szybko otworzył drzwiczki dzielące go od klientów i wziął ją w ramiona.

– Ej, nie to miałam na myśli! – oburzyła się, choć jej głos brzmiał raczej tak, jakby się droczyła, a nie była zła.

– Mam tylko chwilę, bo jestem w pracy – odparł z naciskiem. – Nie zamierzam tracić czasu.

Odchylił jej głowę i pocałował ją. A Giselle odpowiedziała na jego pocałunek.

Ogień, jaki w sobie poczuła, nie był zwykłym podnieceniem. Była to przyjemna mieszanina upragnionej zemsty – Giselle miała nadzieję, że Olen patrzy i że widok jej pocałunku z barmanem sprawi mu przykrość – i wyzwalającego poczucia wolności, które dawała jej świadomość, że po tylu latach mizernych rezultatów mogła w końcu sobie odpuścić i wreszcie się zabawić.

Jego dłonie miętosily jej pośladki w stanowczy, zaborczy sposób, zupełnie różny od delikatnego dotyku Olena. Giselle natychmiast zareagowała na tę nową, rozkoszną siłę: rozluźniła ciało, rozchyliła usta i wpuściła do środka badawczy język, wsuwając dłonie pod koszulkę chłopaka i gładząc jego nagie plecy.

– Daj mi swój numer, kotku – szepnął barman, odsuwając się od niej. Koledzy przy barze pokrzykiwali już na niego, żeby przestał flirtować i zaczął robić drinki.

– Jasne – mruknęła Giselle. Kręciło jej się w głowie i brakowało tchu.

Ale zanim nawet zdążyła mu powiedzieć, jak się

nazywa, Beth zaczęła już ściągać ją z parkietu i wypychać za drzwi do czekającej taksówki.

– Chodź, Gizzy! Już prawie północ.

Giselle nie cierpiała, gdy ktoś tak do niej mówił, pozwalając na to tylko Beth.

– Jedźmy nocnym autobusem... – wymruczała. – Nie stać mnie na taksówkę.

– Zabieram cię do siebie. Ja płacę. Tylko w ten sposób będę miała pewność, że dotrzesz jutro do szkoły.

Giselle ustąpiła i po kilku minutach opierała już głowę o ramię przyjaciółki i pochrapywała cicho, podczas gdy za oknem samochodu migwały światła miasta.

Rano wyłączyła siła kilku espresso, namolne zrządzenie Beth i garść tabletek przeciwbólowych pozwoliły Giselle podnieść się z łóżka, włożyć baletki i prosty czarny strój do tańca i pójść do studia.

Giselle tak często powtarzała układy, że podczas tańca nie musiała nawet myśleć, na całe szczęście zresztą, bo miała wrażenie, że jej mózg dostał się między zaciskające się imadło. Miała jednak świadomość, że jej ruchy są mechaniczne. Że jej figurom brakuje czystości. Że w jej podskokach nie ma radości, a tym bardziej sprężystości.

Ale na wieczer nie było jej stać, chciała tylko dotrwać do końca i nie zwymiotować na oczach surowych egzaminatorów, którzy oceniali ją w takim skupieniu, że podczas występu czuła na sobie ich dezaprobatę niczym

ołowianą płachtę przygniatającą jej ramiona.

Kiedy było wreszcie po wszystkim, zabrała rzeczy i pojechała prosto do domu, ignorując propozycję kolejnego wyjścia do pubu. Na samą myśl o alkoholu robiło jej się niedobrze.

Po powrocie padła na łóżko i od razu zasnęła. Nic jej się nie śniło, ale przez cały czas czuła obezwładniający strach.

Kazali jej czekać równe piętnaście minut, zanim w końcu poprosili ją do środka. Giselle siedziała bez ruchu przed gabinetem dziekana, czując, że jest jednocześnie wyczerpana i zrezygnowana. Wiedziała, że nie została wezwana po to, żeby otrzymać gratulacje ani pogawędzić o tym, jak jej się mieszka w Londynie, czy też omówić różnice w wysokości czesnego między Anglią i Francją. Niewielkie pomieszczenie było jasno oświetlone, a neonowe rurki przecinające sufit rzucały jej bezlitosne spojrzenia. Giselle była przygotowana na ostrą reprimendę i – być może – konieczność powtórzenia semestru. Co oznaczałoby całkowite zachwianie jej sytuacji finansowej i wiązałyby się prawdopodobnie z koniecznością wizyty w domu i błagania o pieniądze.

Drzwi gabinetu otworzyły się i pojawiła się w nich wysuszona twarz pani Olgi.

– Giselle, moja droga...

Giselle podniosła się z wąskiego krzesła, obciągnęła ciemnoszarą ołówkową spódnicę, upewniła się, że czerwony skórzany pasek zaciska się porządnie wokół talii i podeszła, starając się trzymać prosto i wyglądać profesjonalnie.

Przypomniała sobie swoją pierwszą i jak dotąd jedyną wizytę w gabinecie dziekana. Miała ona miejsce podczas jej wprowadzającego tygodnia, Giselle znajdowała się w grupie nowych studentów. Choć dziekan mówił przyjaznym głosem, to nawet wtedy pobrzmiwała w nim surowość, która przejmowała grozą.

– Panno Denoux, dziękuję, że zechciała pani przyjść – powitał ją głęboki bas dyrektora Pinborough. Siedział za masywnym dębowym biurkiem, pani Olga natomiast usadowiła się z boku na zabytkowym drewnianym krześle. Założyła elegancko nogę na nogę, a piękną linię jej szczupłych łydek podkreślały przezroczyste czarne rajstopy. A może nosiła pończochy? Pewnie tak, stwierdziła Giselle, zajmując miejsce na niskiej kanapie ustawionej naprzeciwko biurka dziekana.

Skłoniła się.

Pinborough odchrząknął i spojrzał na nią. Na twarzy pani Olgi zastygł wyrozumiały uśmiech, ale wydawał się zbyt sztuczny i wymuszony.

– Zakładam, że domyśla się pani, dlaczego ją wezwaliśmy, panno Denoux?

– Tak mi się wydaje.

– Czy jest tu pani szczęśliwa? – spytała pani Olga,

czym zupełnie zaskoczyła Giselle.

– Tak... Tak sędzę... – Co innego miała powiedzieć?

Dziekan oparł się wygodnie w swoim wysokim czarnym skórzanym fotelu dyrektorskim. Wymienił spojrzenie ze swoją koleżanką. Pani Olga, której litewskie imię mało kto był w stanie wymówić poprawnie, miała pod swoją pieczę pierwszoroczników, a wieść niosła, że pracowała w szkole dłużej niż ktokolwiek inny.

– Ale nie bardzo pani wychodzi, prawda?

Giselle miała przez chwilę pustkę w głowie. Zaraz potem jej mózg znów zaczął działać, produkując płataninę słów i myśli.

– No bo...

– Wiemy, że ciężko pani pracuje i że chodzi pani na zajęcia z wzorową frekwencją, ale prawda jest taka, że nie udaje się pani sprostać oczekiwaniom, które stawiamy naszym studentom...

Zabolało ją to.

Ale taka była prawda.

Już od jakiegoś czasu Giselle walczyła z narastającą świadomością, że nie jest wystarczająco dobra, ale gdy usłyszała to z cudzych ust, poczuła się tak, jakby ktoś ugodził ją nożem prosto w serce. Miała na tyle dużo wolnego czasu, że mogła przyjrzeć się kolegom i koleżankom z grupy. Wiedziała, że większość z nich prezentuje dużo wyższy poziom niż ona. Potrafili zlać swoje ruchy z muzyką, ich ciała wchodziły w taniec tak,

jakby przychodziło im to zupełnie naturalnie – dla Giselle wszystko to było nieosiągalne. To nie była wyłącznie kwestia pracy czy talentu: z jakiegoś powodu oni mieli w sobie ogień, którego ona nie była w stanie w sobie rozniecić, bez względu na to, że nie pragnęła niczego bardziej niż tańczyć z gracją i techniczną precyzją. Od miesięcy się okłamywała. Miała niejaką nadzieję, że jakoś to będzie i że dotrwa do drugiego roku, a potem wszystko w magiczny sposób samo się ułoży – Giselle rozkwitnie, zamieni się w motyla, którym zawsze pragnęła być.

– Wiem – wydukała. Ogarnęła ją panika. – Będę więcej ćwiczyć. Przyłożę się. Wiem, że jestem w stanie zrobić postępy – mówiła dalej.

Przerwał jej spokojny głos pani Olgi.

– Moja droga Giselle, to nie jest kwestia pracy. Jesteś wspaniałą dziewczyną. Ale doświadczenie mi podpowiada, że mimo wszystkich swoich wysiłków więcej już nie osiągniesz. Jesteś inteligentna, pojętna, masz eleganckie ruchy, ale po prostu nie wydaje nam się, że możemy wydobyć z ciebie coś więcej. Wiem, że to przykre, ale może lepiej się nadajesz do mniej rygorystycznego środowiska, do innej szkoły.

Giselle starała się pohamować łzy i narastający smutek. Od dziecka, jeszcze kiedy mieszkała w Orleanie, zawsze chciała być baletnicą. Tańczyła radośnie w domu, ogrodzie i na ulicach, wyobrażając sobie, że znajduje się na ogromnej scenie wśród swoich

rówieśnic ubranych w białe tutu i łabędzi przecinających powietrze. To było coś więcej niż marzenie. Wydawało się takie realne. Giselle pamiętała wielogodzinne pertraktacje ze swoim surowym ojcem, podczas których usiłowała go przekonać, że w szkole w Londynie będzie mogła rozwinąć skrzydła. Matka siedziała obok i wzdychała tylko cicho, nie chcąc angażować się w rozmowę.

I nawet wtedy, gdy Giselle zamieniła się w kobietę, a horyzont przesłonił jej niezrozumiały miraż seksu i miłości, taniec zawsze z jakiegoś względu był dla niej priorytetem. Był jej przeznaczeniem.

Jak miała teraz wrócić do Paryża? Po takiej porażce? Wyszłaby na idiotkę. W jaki sposób miałyby to wyjaśnić?

Ale w głębi serca wiedziała, że dziekan i pani Olga mają rację. Musiała zaakceptować rzeczywistość.

Postanowiono, że będzie mogła dokończyć semestr i że wiadomość o jej wydaleniu ze szkoły zostanie przekazana pozostałym studentom dopiero pod koniec przerwy semestralnej – wszystko to po to, żeby oszczędzić Giselle wstydu. Z wdzięcznością przystała na to rozwiązanie.

Następnego dnia nie poszła na zajęcia i zamiast tego cały dzień włóczyła się po Londynie, patrząc na miejsca i ludzi nowym wzrokiem. W ramach pożegnania zapisywała w pamięci różne obrazy.

Pustą również za dnia służę Camden Lock, gdzie

postanowiła rozstać się z Olenem.

Zapewniające intymność wysokie zielone drzewo przy posągu księcia Alberta, gdzie pozwoliła Olenowi się pocałować i gdzie zdecydowała, że pójdzie z nim do łóżka.

Wysoki budynek w Kensington, w którym straciła dziewictwo i po raz pierwszy wzięła w usta męski członek, w którym została wypełniona, w którym stanęła na progu rozkoszy, ale dalej się już nie posunęła.

Ogarnął ją smutek, ale wiedziała też, że będą inni mężczyźni i że Paryż zapewni jej równie dużo możliwości, by żyć pełnią życia, by znaleźć się bliżej nęcących brzegów rozkoszy, by może nawet wreszcie dać się jej porwać.

Giselle nie mogła się tego doczekać.

W przyszłym tygodniu spakuje walizki.

2. Nago w Paryżu

Giselle potrzebowała wielu lat, żeby zakończyć długą podróż z Orleanu do Nowego Orleanu.

Urodziła się mniej więcej na tydzień przed spodziewanym terminem, podczas pobytu rodziców w wiejskiej posiadłości w Orleanie, w miejscu, gdzie Loara zmienia swój bieg.

Jako dziecko wielokrotnie wysłuchiwała opowieści krewnych i znajomych o Nowym Orleanie i wyobrażała go sobie jako nowszą, czystsza wersję sennego, regionalnego miasta, w którym przyszła na świat. Dopiero jako nastolatka przekonała się, że Nowy Orlean jest zupełnie inny, że to miasto mroku, tajemnic i legend, jak opisywały to książki i pokazywały filmy. Na tak młodej dziewczynie zrobiło to wyjątkowo duże wrażenie.

Miasto przysłych obietnic, przyzywające ją zza oceanu na różne zawile sposoby za każdym razem, gdy pozwoliła sobie bujać w obłokach, co w okresie dojrzewania nie jest niczym rzadkim. Drugi Orlean,

odległy i tajemniczy.

Gdy miała zaledwie pięć lat, rodzice sprzedali dom na wsi i kupili mieszkanie na nowym luksusowym osiedlu nad morzem w Cap d'Agde w Langwedocji. Giselle spędzała wakacje na basenie lub plaży i ulotne wspomnienia Orleanu na jakiś czas przygasły. Istniały dalej zawieszane w pamięci – nazwa wypisana czarnym atramentem na akcie urodzenia. Dopiero kiedy Giselle wkroczyła w wiek dorastania, miasto, w którym się urodziła, nabrało zupełnie nowego wymiaru w jej jak zwykle rozpalonej wyobraźni. Na lekcjach historii Giselle dowiedziała się bowiem, że Joanna d'Arc także pochodziła z Orleanu.

Nocą, kiedy dom spowijała cisza przerywana tylko co jakiś czas skrzypieniem desek podłogowych lub bulgotaniem nierównego strumienia wody w centralnym ogrzewaniu przelewającego się czkawką między kaloryferami, Giselle leżała w łóżku i z płonącymi policzkami wyobrażała sobie na okrągło tortury, którym po pojmaniu przez wroga została poddana Joanna, legendarna Dziewica Orleańska. Długi okres potwornego cierpienia, zanim trafiła ostatecznie na stos. Nawracające, niezwykle obrazowe wizje tortur i przemocy jednocześnie fascynowały i przerażały młodziutką Giselle, która mimo poczucia winy nie potrafiła przestać wyobrażać sobie w najdrobniejszych szczegółach poniżenia, które spotkało Joannę, marząc zarazem chorobliwie o tym, że w jakiś przedziwny

sposób to ona zajmuje jej miejsce. Jej ciało ogarniała dziwna gorączka, a pomiędzy nóg wypływała niepowstrzymana fala wilgoci. Giselle oblewała się potem i czuła, że ogarnia ją szaleństwo. Odkrycie tego dziwnego źródła przyjemności i podniecenia – potwornego podniecenia – głęboko ją zawstydzalo, pilnowała więc, żeby nie zdradzić się z nim przed koleżankami ze szkoły ani rodzeństwem, a tym bardziej przed dorosłymi, bo domyślała się, że to, co czuje, jest złe, by nie powiedzieć wynaturzone.

Wielokrotnie jednak wyobrażała sobie, że leży bez koszuli nocnej, bezlitośnie rozciągnięta na zimnej płycie, a wokół niej gromadzą się dziwni kapłani i niedoinformowani żołnierze, którzy hańbią ją na każdy możliwy sposób i brutalnie się z nią zabawiając, reagują rechotem na jej krzyki.

Któregoś dnia zaczęła się nieśmiało dotykać, chcąc po raz pierwszy sobie ulżyć, a kiedy poczucie winy i dezorientacja w końcu minęły, Giselle uznała, że to wszystko jest nawet przyjemne.

Czuła się tak, jakby otworzył się przed nią zupełnie nowy świat.

Ponieważ jednak wolała go zachować dla siebie, bardzo uważała, żeby w żaden sposób się nie zdradzić z tym ważnym dla siebie odkryciem. Potem jednak wkroczyła w wiek dorastania, co jednocześnie rozjaśniło i jeszcze bardziej pomieszało jej w głowie. Niezrozumiałe uczucia usunęły się w cień, bo Giselle z

trudem lawirowała między nauką a szkołą tańca, później zaś przeniosła się do Londynu, gdzie poznała Olena. A potem z nim zerwała.

Dopiero po kilku miesiącach pracy dla Williama, kiedy poprosił ją mimochodem o to, żeby pozowała mu w przebraniu Joanny d’Arc, Dziewicy Orleańskiej, ponieważ dostał nowe zamówienie od jednego ze swoich tajemniczych klientów, wszystkie te niepokojące wspomnienia powróciły z siłą huraganu. W tamtym czasie Giselle była już kochanką Williama, a może nawet jego mużą.

Giselle wróciła do Paryża i przez pierwszy tydzień pomieszkiwała kątem u koleżanki, dopiero później zebrała się na odwagę i skontaktowała się z rodzicami, informując ich o swoim powrocie.

Mama przytuliła ją i nie zadawała żadnych pytań, jak zawsze wspierająca. Dopiero wieczorem, po powrocie ojca z pracy, atmosfera w domu zrobiła się napięta.

– Wróciłaś na dobre? – spytał, a w jego głosie z miejsca dało się wyczuć dezaprobatę.

Giselle siedziała na swoim zwykłym miejscu przy stole w jadalni, skubiąc bez przekonania kruche ciastko z solonym karmelem, dawniej jej ulubiony deser. Oprócz rodziców w domu była jeszcze tylko młodsza siostra. Dwaj starsi bracia wyprowadzili się zgodnie z zapowiedzią z domu w czasie jej pobytu w Londynie –

jeden został w Brukseli tłumaczem dla organizacji pozarządowej, a drugi przeprowadził się ze swoją dziewczyną, Włoszką, do Rzymu, gdzie pracował jako zastępca szefa kuchni w restauracji odznaczonej gwiazdką Michelina.

– Chyba tak – przyznała Giselle, spuszczać wzrok, aby uniknąć surowego spojrzenia ojca. Jego grube okulary w czarnych oprawkach zsunęły się na koniec nosa, a szkła powiększały źrenice tak, że Giselle czuła się jak królik sparaliżowany wzorkiem sowy.

– Co się stało? Coś było nie tak? Wyrzucili cię ze szkoły?

– Właściwie nie. Po prostu nie jestem wystarczająco dobra. – Giselle postanowiła chwycić byka za rogi i wyznać nieprzyjemną prawdę. – Jako tancerka...

– Rozumiem – powiedział tylko ojciec.

Giselle spodziewała się, że tata zbeszta ją za to, że zmarnowała tyle pieniędzy, bo londyńska przygoda nie mogła być tania, ale tego nie zrobił. Jednak jego przedłużające się milczenie było dla niej o wiele bardziej przykre. Jakby potwierdzał nim, że od początku zdawał sobie sprawę z tego, że córce brakuje talentu. W głębi duszy Giselle wiedziała, że tak właśnie było. Ojciec nigdy nie chwalił jej tańca.

– To jeszcze nie koniec świata – wtrąciła mama. – Nadal jesteś wspaniałą tancerką. Może coś mniej klasycznego będzie ci bardziej odpowiadać?

Matka zawsze zachęcała Giselle, żeby realizowała się

artystycznie.

Mama wstała i poszła do kuchni po imbryczek z kawą. Od ostatniej wizyty córki postarzała się, ale w dalszym ciągu była piękną kobietą. Włosy miała już całkiem siwe. Opadały luźno na ramiona, gęste i lśniące. Tasiemki przy fartuchu związane mocno wokół talii pokazywały, że jak dotąd udało jej się uniknąć typowej dla kobiet w średnim wieku tuszy. Wciąż była też prosta jak struna. Stała wyprostowana i dumna nawet podczas wykonywania prostych domowych obowiązków i poruszała się po kuchni pewnym, celowym krokiem. Widać było wyraźnie, po kim Giselle dostała w spadku figurę i postawę; niestety, bo choć odziedziczona budowa ciała robiła na swój sposób wrażenie i pewnie idealnie wpisałaby się w sztywną powagę orkiestry dętej, to nie najlepiej sprawdzała się w balecie, gdzie liczyła się gracia i płynność ruchów.

Po powrocie matki ojciec spytał:

– I co teraz planujesz?

– Nie jestem pewna, czy chcę wracać do starej szkoły. Może powinnam zapomnieć o tańcu? Chyba jestem po prostu za wysoka na balet.

– Niewykluczone. Co zatem zamierzasz?

– Myślałam, że mogłabym zacząć jakieś inne studia, przekonać się, w czym jestem dobra. Może mogłabym pójść na Sorbonę? – Przed wyjazdem do Londynu ojciec właśnie do tego ją namawiał, ale ona stanowczo odmawiała. Czuła się upokorzona faktem, że teraz sama

do tego wraca, dowodząc tym samym, że od początku miał rację.

– I chcesz, żebyśmy za to zapłacili?

Wściekła na sposób, w jaki to powiedział, lekkomyślnie postanowiła się zbuntować.

– Nie ma takiej potrzeby. Znajdę jakąś dorywczą pracę. Jeśli nie macie nic przeciwko, będę tu mieszkać, dopóki nie będzie mnie stać na coś własnego. Chciałabym najpierw trochę odłożyć.

Jej matka zaczęła się sprzeciwiać i mówić, że nie ma przecież takiej potrzeby, ale ojciec pokiwał tylko głową.

– To twoje życie, młoda damo.

Tego pierwszego wieczoru już nic więcej nie zostało powiedziane. Choć Giselle próbowała udawać, że jest inaczej, jej duma została trochę urażona. Miała nadzieję, że ojciec chociaż spróbuje ją przekonać, żeby nie rezygnowała z baletu, lub że postara się ją pocieszyć, mówiąc, że pewnie nauczyciele nie docenili jej zdolności. Ale on był na to zbyt uczciwy i prawdomówny.

Tamtej nocy Giselle usiłowała zasnąć w pokoju, który był świadkiem jej transformacji z dziewczynki w młodą kobietę i od tego czasu zupełnie już się dla niej nie nadawał. W głowie kotłowały jej się najróżniejsze myśli i targana sprzecznymi emocjami na próżno usiłowała znaleźć jakiś stały punkt odniesienia. Każda spędzona w Londynie sekunda wyrzyła się na stałe w jej pamięci – zarówno dobre, jak i złe chwile. Te kilka

nielicznych cudownych momentów, kiedy udało jej się podczas tańca zanurzyć w ciszę i poruszać z wdziękiem. Delikatne muśnięcie ust Olena. Początkowo dziwne, później zaś pożądane uczucie, gdy w nią wchodził. Rytm jego nieśmiałyach pchnięć. Nieustanne balansowanie między osuwaniem się w rozkosz a męczącą świadomością, że zawsze znajduje się zaledwie o kilka sekund od celu, od orgazmu, którego jednak nigdy nie udało jej się doświadczyć. Upadki. Wzloty. Wstyd, gdy potwierdziło się, że inni tancerze byli od niej lepsi i że mimo najlepszych chęci i ciężkiej pracy nie była w stanie im dorównać i wyglądać w tańcu tak lekko, jak większość z nich.

Co teraz?

Sen nie chciał nadejść.

Następnego dnia rano przyszły dwa listy od Olena, wysłane z Londynu dzień wcześniej. Giselle przyrzekła sobie, że ich nie otworzy, więc kiedy zaczęły ją za bardzo kusić, podarła je na drobne kawałki, które następnie wyrzuciła do kubła na Boulevard Saint-Germain. Wiedziała, że musi zamknąć ten rozdział. Nie kochała Olena i to był koniec; nie było sensu utrzymywać z nim kontaktu, nawet jeśli w jej obecnym, dość podłym nastroju miłe słowa Olena mogłyby stanowić jakiegoś rodzaju pocieszenie.

Czysta karta, tego jej było trzeba. Czysta karta i nieugięta wewnętrzna dyscyplina, aby od teraz postępować zgodnie z własnymi wytycznymi i nie dać

się zwięść powierzchownym planom innych ani też przepełniającym ją sprzecznym uczuciom związanym z własnym ciałem i seksualnością. Za dnia odczuwała ciągle mrowienie kończyn, któremu towarzyszyła świadomość własnej niekompletności, zaś od środka zżerała ją niecierpliwość, aby w końcu jakoś temu zaradzić, aby znaleźć sobie mężczyznę. Giselle zdawała sobie jednak sprawę, że musiałby on być w stanie nie tylko zaspokoić potrzeby jej ciała, lecz także ugasić płomień pragnień, które utrzymywały ją przy życiu.

Giselle znalazła w końcu pracę na pół etatu w Aquarelle, dużej kwaciarni na Rue de Buci w Dzielnicy Łacińskiej, kilka kroków od tętniącego życiem targu. Pięć zmian po południu, między siedemnastą a dwudziestą, kiedy zamykali sklep, i niedziele rano. Dawna koleżanka ze szkoły знаła właścicieli i szepnęła im słówko o Giselle.

Jednak pieniądze, które tam zarabiała, nie pozwalały jej żadną miarą na wynajęcie pokoju ani małego mieszkania nawet w najdalszych zakątkach stolicy, musiała więc dalej mieszkać z rodzicami przy Neuilly. Jednak ze względu na godziny pracy udawało jej się zwykle unikać napiętej atmosfery podczas wspólnych posiłków.

Zapisała się też na kurs w British Council przy Rue de Constantine, żeby podszkolić angielski. W Londynie trzymała się głównie z obcokrajowcami i nie udało jej się zaprzyjaźnić z odpowiednią liczbą Anglików. Była

oczywiście Beth, ale jednym z powodów, dla których się kumplowały, był fakt, że obie ceniły ciszę, kiedy zaś rozmawiały, używały kolokwialnego języka, jak to przyjaciółki, więc ich rozmowy nigdy nie pozwoliły jej popracować nad gramatyką i akcentem w takim stopniu, w jakim – jak wiedziała – było to konieczne. Dzięki kursowi angielskiego uzyskała legitymację studencką i choć nie została wpisana na oficjalną listę studentów, udało jej się uzyskać wstęp do kampusu uniwersyteckiego Censier-Daubenton, gdzie zaczęła chodzić na wykłady z literatury amerykańskiej odbywające się w wielkich salach o imponującej akustyce, w których mogła wtopić się w tłum oficjalnych studentów. Robiła notatki i odkrywała zupełnie nowy świat słów, który aż dotąd zupełnie umknął jej uwadze, bo była skoncentrowana wyłącznie na muzyce, tańcu i sztuce widowiskowej – ze szkodą dla języka.

W przeciwieństwie do innych osób uczęszczających na zajęcia, Giselle nie zamierzała przystępować do egzaminów ani chodzić na indywidualne konsultacje. Była tam tylko na doczepkę, spragniona wiedzy, z zapalem otwierając okno na nowy świat, zaś skomplikowany wszechświat literatury amerykańskiej miał w sobie dużo więcej życia niż stateczny progres kultury francuskiej, skażonej złymi wspomnieniami z czasów szkolnych i przepełnionej skostniałymi sztukami Moliera i Racine'a oraz mechanicznymi rymami zbyt

wielu poetów, którzy w odczuciu Giselle sprawiali raczej wrażenie, jakby cierpieli na zatwardzenie, a nie pisali pod wpływem natchnienia.

Jedyny minus był taki, że zbyt duża część jej skromnych dochodów szła teraz na książki i choć udawało jej się zwykle kupować tańsze egzemplarze z drugiej ręki u Gilberta na Boulevard Saint-Michel, to stały wydatek jeszcze bardziej opóźniał jej nadzieje na niezależność. Większość starych znajomych, z którymi odnowiła kontakt po powrocie z Londynu, i garstka nowych, których poznała na uniwersyteckich korytarzach i stołówkach, też była bez grosza przy duszy i utrzymywała się z coraz skromniejszych stypendiów i kieszonkowego od rodziców. Mało kto wiedział, gdzie można sensownie dorobić. Nawet niewdzięczna praca w sklepie czy knajpie była niepraktyczna, bo regularne godziny pracy na pewno by kolidowały z planem zajęć, na które Giselle chciała uczęszczać.

Ale Giselle była zadowolona. Wypracowała sobie pewien rytm i dni upływały jej w spokoju, choć zawsze miała poczucie, że balansuje chwiejnie na trampolinie, przygotowana do skoku w nieznane wody.

Pierwszy raz zobaczyła go we wtorek o dziesiątej, w szary wietrzny poranek. Freya, Norweżka o bujnym biuście, która pracowała w kwiaciarni na pierwszą

zmianę, zadzwoniła do Giselle, prosząc, żeby przyszła pomóc, bo jedna z zatrudnionych studentek poinformowała, że jest chora, tego zaś dnia czekali na dużą dostawę i Freya miała być zajęta w dużej chłodni na zapleczu. Giselle zgodziła się opuścić jeden ze swoich wykładów i stanąć za kasą. Potrzebowała pieniędzy, a ostatecznie nie znajdowała się na oficjalnej liście studentów, więc nie musiała się przejmować frekwencją i egzaminami.

Kiedy przy drzwiach odezwał się dzwonek, sygnalizujący przyście klienta, Giselle poczuła przyspieszone bicie serca, które kazało jej podnieść głowę. To nie było przecucie – nawet jeśli wierzyłaby w takie rzeczy. Nie miała wizji przyszłości, nie przebiegł jej po plecach dreszcz, nie obsypała się gęsią skórką. Nie był to też jednak powiew zimnego powietrza. Na dworze panowała taka wichura, że Giselle wstawiła do środka szyld, żeby nie wywiało go na środek ruchliwej ulicy, ale drzwi znajdowały się pod takim kątem, że osłaniała je w większości markiza.

Nie, to coś innego kazało jej zwrócić uwagę na mężczyznę, który wszedł do sklepu. Później, kiedy wracała do tego myślni i analizowała to niczym cenny klejnot w poszukiwaniu kolejnych pięknych szczegółów, uznała, że wyczuła jego obecność, jeszcze zanim go zobaczyła czy usłyszała dzwonek.

Mężczyźni nie byli niczym niezwykłym w Aquarelle. Wręcz przeciwnie. Stanowili znaczną część klienteli.

Niektórzy przychodzili regularnie – albo zjawiali się osobiście, albo mieli stały kalendarz zamówień na dostarczanie bukietów matkom, żonom i kochankom z okazji urodzin czy innych ważnych uroczystości, które wymagały kwiatów. Inni wpadali wyraźnie zaczerwienieni i spoceni z nerwów, bo w ostatniej chwili przypominali sobie o walentynkach albo kolacji lub też popełnili innego rodzaju nietakt i rozpaczliwie usiłowali znaleźć sposób na załagodzenie kobiecego gniewu. Kwiaty żadnego z nich tak naprawdę nie obchodziły. Niezależnie od tego Giselle i tak z równą starannością podchodziła do każdego zamówienia, choć wiedziała, że w większości przypadków mogłaby wcisnąć facetowi do ręki przewiązaną wstążką kapustę, a i tak nie zauważyłby różnicy.

Ten mężczyzna był jednak inny niż wszyscy.

Giselle zauważyła, że jej wzrok samoistnie do niego lgnie, gdy przechadzał się spokojnie po sklepie, starannie sprawdzając każdy kwiat pod kątem zdrowia, barwy czy innych kryteriów, którymi najwyraźniej się kierował, dokonując selekcji. Czasem dotykał płatków z taką delikatnością, z jaką krawcowa mogłaby gładzić z podziwem kawałek pięknego jedwabiu. Przesuwał się niemal tanecznym krokiem od pojemnika do pojemnika, najwyraźniej równie mocno pochłonięty tą czynnością, co Giselle jego osobą. Dopóki nie zapełnił swojego koszyka, ani razu nie podniósł głowy, więc Giselle miała możliwość dobrze mu się przyjrzeć.

Największe wrażenie zrobiło na niej jego masywne ciało, które tworzyło przedziwny kontrast z drobnymi pączkami i łodyżkami, które wyciągał z pojemników.

Nie był gruby, ale wysoki i barczysty. Miał okazałe bicepsy i przedramiona, które napinały podwinęte rękawy jego koszuli. Miał opaloną skórę, koloru gałki muszkatołowej, i kruczoczarne włosy, gęste i odrobinę za długie. Nosił fryzurę mężczyzny, który zbyt wiele tygodni zwlekał z pójściem do fryzjera, natomiast brodę i wąsy miał przystrzyżone krótko i schludnie, z geometryczną wręcz precyzją.

Giselle bardzo chciała wiedzieć, czy na klatce piersiowej ma równie gęste owłosienie.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytała, choć mężczyzna nie sprawiał wrażenia, jakby potrzebował pomocy. Głos, który z siebie wydobyła, był wyraźnie zachrypnięty, bo początkowo uwiązał jej w gardle. Wywołało to rumieniec na jej twarzy.

Mężczyzna uniósł zaskoczony głowę i wyprostował ramiona, ale się nie odwrócił.

– Nie, nie, dziękuję – rzucił przez ramię i kontynuował układanie bukietu, dobierając pojedynczo kwiaty.

Wreszcie skończył i podszedł do kasy. Ułożył ogromny bukiet na ladzie z taką samą troską i czułością, z jaką matka kładzie do łóżka niemowlę.

Giselle zastanawiała się, jak by się zachowywał w stosunku do kobiety. Myśl samoistnie pojawiła się w jej

głowie, a kiedy już się w niej znalazła, trudno było się jej pozbyć. Giselle zauważyła, że nos mężczyzny jest lekko wygięty, i wyobraziła sobie, jak muska jej łechtaczkę. Choć tak właściwie nie miała nigdy okazji spróbować seksu oralnego. Olen nigdy nie dotknął jej tam na dole ustami, choć ona to robiła. Giselle nasłuchiwała się od Beth o cudach, jakie może wyczyniać z waginą język, i brzmiało to w jej uszach naprawdę wspaniale – znała przecież doskonale rozkosz, jaką potrafiła sobie dostarczyć, naciskając w odpowiedni sposób określone części własnego wzgórka.

Wpatrując się w jego usta, pełne, o głębokim odcieniu czerwieni, wyobrażała sobie, jakby to było poczuć je na swoich wargach. Leciutko uniesione kąciuki układały się niemal w uśmiech, który łagodził powagę krzaczastych brwi i wysokich kości policzkowych. Z twarzy przypominał superbohatera z komiksów: miał ostrą, kanciastą szczękę i kwadratową brodę. Oczy miały ciepły odcień brązu, jak rozpuszczona mleczna czekolada, a rzęsy były gęste i długie – bardziej pasowałyby kobiecie, gdyby Bóg, ewolucja czy jakakolwiek inna siła odpowiedzialna za stworzenie człowieka byli sprawiedliwi.

– Ułożyć kwiaty w bukiet? – spytała.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni dzinsów, wyciągnął zwinek zmiętych banknotów i zaczął je odliczać, przy okazji wygładzając każdy z nich. Najwyraźniej nie nosił przy sobie portfela, a porządek i precyzja widoczne w

innych dziedzinach nie obejmowały finansów.

– Proszę tylko zawinąć w papier – odparł, wskazując na luźne szare arkusze, którymi był wyłożony blat, położone tam po to, żeby zabezpieczyć go przed listkami i wilgocią spływającą z łodyżek kwiatów podczas układania ich w bukiet.

– Na pewno? Mogę owinąć je w celofan z pojemniczkiem na wodę, żeby nie zwiędły.

– Nie, nie – podziękował, marszcząc przy tym brwi, aby zamaskować zniecierpliwienie. – Nie idę daleko.

Giselle usłuchała i zawinęła wprawnie bukiet w kilka arkuszy, aby osłonić jego dłonie przed ewentualnymi kolcami i zabezpieczyć płatki przed wiatrem.

– Jakaś wyjątkowa okazja? – zagaіła, nabijając zakupione kwiaty na kasę, która otworzyła się z brzękiem. Ciekawość sprawiała, że Giselle zrobiła się dociekliwa, choć widziała, że klient ma już ochotę wyjść.

– Nie, to dla mnie. Tak się składa, że lubię kwiaty. To wszystko.

Zrobiło jej się wstyd, że uznała coś takiego za dziwne. W końcu nie ma nic złego w tym, że mężczyzna lubi kwiaty.

Wydała mu resztę, którą wcisnął do kieszeni dzinsów. Zauważyła, że były granatowe i obcisłe. Nachyliła się i zerknęła ukradkiem na jego krocze. Poczowała między nogami ciepło, gdy wyobraziła sobie, jak długi i gruby musi być jego członek. Los naprawdę musiałby sobie z

niego zakpić, gdyby w tej materii nie został wyposażony równie hojnie jak w przypadku pozostałej części ciała.

Mężczyzna podziękował skinieniem głowy, wziął z lady zapakowane kwiaty, odwrócił się i wyszedł. Giselle odprowadziła wzrokiem jego tyłek do samych drzwi.

– O, widzę, że poznałaś Williama Tremblaya – usłyszała za swoimi plecami.

Aż podskoczyła. Nie zauważyła, kiedy Freya wyszła z chłodni, i nie była pewna, jak dużo zobaczyła starsza blondynka.

– Rozumiem, że to stały klient? – spytała Giselle.

Freya pocierała energicznie blade dłonie o fartuch, żeby się trochę rozgrzać. Giselle wiedziała z własnego doświadczenia, że w chłodni można porządnie zmarznąć. Zimno dopadało człowieka znienacka. Początkowo chłód wydawał się orzeźwiający, zwłaszcza jeśli trzeba było przenosić do chłodni ciężkie plastikowe pojemniki pełne wody i kwiatów z samochodu dostawczego zaparkowanego w bocznej uliczce. Jeśli jednak spędziło się zbyt dużo czasu w chłodni, układając kubły tak, by najstarsze kwiaty, które musiały zostać zużyte w pierwszej kolejności, znalazły się z przodu, to zimno stopniowo przenikało człowieka do szpiku kości niczym uporczywy lodowaty dotyk złowrogiego ducha i można było się go pozbyć wyłącznie długą, gorącą kąpielą.

Praca w kwiaciarni była dużo bardziej fizyczna i wysiłkowa, niż można by się spodziewać po zawodzie,

który Giselle kojarzyła raczej z kobiecością i delikatnością. Ale między innymi z tego powodu ją lubiła. Przy braku tańca przynajmniej wciąż zapewniała sobie wysiłek fizyczny.

– Przychodzi w każdy wtorek – odpowiedziała Freya.
– Żeby wybrać najładniejsze okazy z nowej dostawy. – Mówiąc to, chuchała na palce i podskakiwała. Jej duży biust falował pod wpływem ruchu, a Giselle po raz drugi tego dnia patrzyła jak urzeczona na ciało innego człowieka.

Ponieważ praca w kwaciarni wymagała częstego pochylania się, a Freya często pracowała na dwie zmiany, Giselle, chcąc nie chcąc, nie raz miała okazję widywać jej okazały dekolt i wielokrotnie się zastanawiała, czy sutki Norweżki są duże czy małe, jasne czy ciemne, niewrażliwe czy łatwo ulegające pobudzeniu, jak to było w przypadku Giselle.

– Dla żony? Dziewczyny?

Freya prychnęła.

– Nie, z tego, co mi wiadomo, jest sam. Ale ma pewnie wiele kochanek. Gość widział nago połowę Paryża, tak przynajmniej mówią.

– Serio?

Niä w ogóle nie wydawał się zainteresowany. Sprawiał dość opryskliwe wrażenie. Nie wyglądał na kobieciarza. Prawdę mówiąc, trochę ją zaskoczyło, a nawet dotknęło, że nie patrzył na nią z podziwem i nie próbował z nią flirtować przy ladzie. Giselle nie była

próżna, ale uczciwa względem samej siebie owszem, a prawda była taka, że większość klientów płci przeciwnej okazywała zainteresowanie jej osobą.

– Jest artystą. Maluje, rysuje i tak dalej. Z tego, co słyszałam, głównie akty, do tego niektóre dosyć ostre.

– Pozowałaś mu? – spytała Giselle.

– No co ty! – Freya urwała i oblizała wargi. – Chciałabym. Ale nie mam odwagi. Facet jest boski, ale patrzy jakimś takim twardym wzrokiem. Chybabym umarła, gdybym miała wyskoczyć przy nim z majtek. Ale ty powinnaś spróbować. Z taką figurą na pewno mu się spodobaś. Poza tym wydaje mi się, że płaci swoim modelkom.

– Płaci?

– Pewnie niezbyt dużo, ale już kiedyś zostawił tu ulotki, że szuka modelek do współpracy. Może nawet mam jakąś w szufladzie na zapleczu. I na pewno mamy jego numer w kalendarzu. Może dalej potrzebuje modelek. Powinnaś do niego zadzwonić.

Serce Giselle waliło jak oszałałe. Wyobraziła sobie, że stoi naga, a on obrzuca ją swoim surowym spojrzeniem, i już sama ta myśl sprawiła, że zakręciło jej się w głowie. Poza tym przydałoby się jej dodatkowe źródło dochodów, a pozowanie nie wydawało się trudne – trzeba tylko siedzieć bez ubrań.

– Może i zadzwonię – odpowiedziała Giselle, unosząc brodę, jakby chciała utwierdzić się we własnej decyzji.

– Ale powinnaś wiedzieć, że on jest od ciebie dużo

starszy. Uważaj na siebie, dobrze?

Giselle nie zwróciła uwagi na jego wiek. Domyśliła się, że jest starszy. Pewnie ponad dziesięć lat. Wyglądał, jakby był grubo po trzydziestce. Ale wiedziała też, że w przypadku niektórych mężczyzn wygląd bywa zwodniczy. Facet mógł być jeszcze starszy.

Z drugiej jednak strony była przekonana, że z Olenem nie wyszło między innymi dlatego, że był za młody. Mógł być od niej starszy o rok czy dwa, ale przecież wiadomo, że dziewczyny dojrzewają dużo szybciej od chłopaków. Poza tym chodzi tylko o pozowanie, prawda?

Freya znalazła numer Williama, a dzień później Giselle wykręciła go drżącymi palcami i jeszcze bardziej drżącym głosem zapytała malarza, czy szuka aktualnie modelek. Nie wspomniała, że już się spotkali, bo bała się, że nie zostanie to dobrze odebrane.

Tak, chętnie się z nią spotka. Umówili się na najbliższy czwartek.

Tej nocy Giselle leżała w swoim łóżku i odcinając się od cichego chrapania rodziców dobiegającego z sąsiedniego pokoju, wyobrażała sobie palce Williama przesuwające się po jej skórze od ust do cipki, z taką delikatnością i wprawą, z jakimi dotykał tego dnia płatków kwiatów.

Zerknęła na adres nabazgrany na pomiętej kartce,

którą trzymała w ręce. Tak, to tutaj. Drzwi do jego pracowni były pomalowane na ciemnozielony kolor, w odcieniu wieńca bożonarodzeniowego, i znajdowały się na końcu kilku betonowych stopni. Z jednej strony ciągnęła się zardzewiała żelazna poręcz, która prosiła się o naprawę. Choć Giselle była wysoka, kołatka znajdowała się znacznie powyżej jej głowy, bo dziewczyna stała na chodniku. Drzwi górowały nad nią tak jak wcześniej malarz.

William Tremblay. Czy powinna się do niego zwracać po imieniu? A może dalej powinna mówić do niego per pan? Wygładziła spódnicę – kremową z kwiatowym wzorem, sięgającą prawie do kolan – i uniosła kołatkę. Stuknęła głucho, wydając metaliczny brzęk. Giselle zmarszczyła brwi. Czegoś takiego nikt na pewno nie usłyszy. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że to była przecież brama wejściowa i że kołatka była tu tylko dla ozdoby. Po prawej stronie znajdowały się przyciski domofonu. Giselle nacisnęła ten oznaczony inicjałami „WT”. Pracownia znajdowała się na trzecim i ostatnim zarazem piętrze. Dało się słyszeć trzask, jakby ktoś podniósł słuchawkę, ale z głośnika nie popłynęły żadne słowa. Giselle postanowiła poczekać. Skrzyżowała przed sobą ręce i roztarła sobie energicznie ramiona, bo ulicą przetoczył się chłodny podmuch. Żałowała, że nie włożyła czegoś cieplejszego zamiast jedwabnej bluzki ze stójką.

Drzwi otworzyły się na oścież.

– Giselle – odezwał się zamiast powitania. Miał na sobie obcisłe granatowe spodnie ze sztruksu i czarną koszulę z kołnierzykiem, która czasy świetności miała już za sobą. Był boso. Włosy miał rozczochrane, jakby przez cały ranek przeczesywał je sobie palcami. Był dokładnie tak wysoki i umięśniony, jak zapamiętała.

Skinęła głową.

– Wejź – powiedział i odwrócił się do niej plecami, dając tym samym do zrozumienia, żeby szła za nim. Weszła do bramy i podążyła za nim ponurym korytarzem do windy.

– Zwykle chodzę po schodach – mruknął, pokazując wznoszące się obok stopnie. – Ale nie chcę cię mieć czerwonej na portrecie. Nawet jeśli to tylko szkic, a nie zdjęcie.

Giselle chciała zaprotestować i powiedzieć, że jest wystarczająco wysportowana, żeby pokonać bez sapania kilka pięter, ale w tym samym momencie winda oznajmiła brzęknięciem swój przyjazd. William rozsunął kratę i otworzył drzwi do metalowej klatki. Była to klaustrofobiczna przestrzeń zaprojektowana z myślą o jednej osobie, i to dużo mniejszej niż William. Giselle weszła do środka i wstrzymała oddech, licząc, że mężczyzna nie zauważy, że jego obecność przyprawia ją o zawrót głowy. Że lekki jak tchnienie wiatru dotyk jego skóry, gdy opuścił rękę wzdłuż ciała i wcisnął się obok niej, sprawił, że ugięły się pod nią kolana. Wciągnęła głębiej powietrze, analizując specyficzny

zapach, który się wokół niego unosił. Dym cygara – jej ojciec palił, więc znała ten zapach – i ostra nuta cytryny. Nie, nie cytryny, tylko cytrynowej werbeny, poprawiła się w myślach. Znała to zioło, bo mama hodowała je w niewielkich doniczkach na kuchennym parapecie. Spojrzała na jego dłonie, na grube silne palce pobrudzone na opuszkach węglem, tak że wyglądały jak zużyte zapalniczki, tylko że w dużym powiększeniu. Cieszyła się, że William nie potrafi czytać jej w myślach. Że nie wie, jakiego rodzaju fantazje wywołują jego palce. Że nie ma pojęcia, jak bardzo by pragnęła, żeby rozpiął jej bluzkę i objął dłońmi jej piersi. A jednocześnie bardzo chciała, żeby wiedział, jak się czuje, bo sama na pewno nie będzie miała odwagi mu powiedzieć, nigdy, a w takim układzie w jaki sposób wyjdą poza układ artysta–modelka?

– Napijesz się herbaty miętowej? – spytał, gdy weszli do środka. – Obawiam się, że nic innego nie mam.

– Tak, chętnie – odparła, choć nigdy nie piła mięty. Zwykle piła kawę.

Rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby zostawić torebkę, i w końcu położyła ją po prostu na podłodze pod drzwiami. W pracowni Williama nie było zbyt wielu mebli. Tylko duże łóżko na końcu pomieszczenia, jedno krzesło na środku, pod oknem pościelowym, i drugie naprzeciwko, przy sztalugach. Mała kuchnia, w której stał William, była oddzielona od głównej części pomieszczenia drewnianą

ławą, na której stał wazon z kupionymi wcześniej kwiatami. Pączki rozwinęły się, ale nie zdążyły jeszcze przekwitnąć. Giselle podeszła i powąchała kwiaty – ujęła w dłoń żółtą różę, żeby móc wciągnąć głęboko w płuca jej zapach. Jej płatki połaskotały ją w czubek nosa.

– Rozpoznałem twój głos przez telefon – oznajmił. Oberwał garstkę listków z krzaczka mięty, który rósł w małej doniczce przy kuchennym zlewie, wrzucił je do dużych białych kubków i zalał wrzątkiem. Dodał do swojego kilka łyżeczek cukru, ale Giselle powstrzymała go ruchem dłoni, pokazując, żeby jej nie słodził.

– Niespecjalnie lubię słodyczne – wyjaśniła.

William uniósł brew.

– Pracujesz w Aquarelle – podjął temat. – Ale nie zauważyłem cię tam wcześniej.

– Zwykle pracuję na drugą zmianę. Ale jedna z dziewczyn zadzwoniła, że jest chora.

– I widziałaś moje ulotki? Zostawiłem tam kilka – zastanawiał się na głos. – Ale to było dawno temu. Miałem zlecenie z motywem botanicznym. Myślałem, że modelki, które lubią kwiaty, będą jak znalazł, ale nie do końca się to sprawdziło. – Wzruszył ramionami. – Ale jesteś tu teraz; może zbyt szybko zrezygnowałem.

Popijał miętę i przyglądał się jej. Swoim wzrokiem wyrażał jednocześnie aprobatę i ocenę. Giselle czuła się tak, jakby rozkładał ją spojrzeniem na czynniki pierwsze, kawałek po kawałku, z matematyczną precyzją oceniając wartość każdej części jej ciała, które następnie

składał z powrotem w jedną całość. Była modelem, zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym, jak lalka, która została wykonana specjalnie na jego zamówienie.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc zamiast mówić, napiła się gorącego naparu, który dla niej przygotował. Przyjemnie rozgrzewał, a mięta nadawała mu swoistej słodyczy. Giselle czekała, aż William przejmie inicjatywę, i miała nadzieję, że zrobi to szybko, zanim puszcza jej nerwy.

– Gotowa? – spytał. – Lepiej zaczynajmy, póki mamy dobre światło. – Wyciągnął jej z dłoni kubek, choć nie skończyła jeszcze pić. – Stań tam – poinstruował. – Tam, gdzie krzesło. – Podszedł do wskazanego miejsca i usunął mebel. – Rozbierz się.

Giselle zdjęła spódnicę i pociągnęła za gumkę śnieżnobiałych majtek, które po długim namyśle postanowiła włożyć na dzisiejszą okazję.

Jej ubrania opadły na ciemną drewnianą podłogę pracowni malarza.

Giselle była naga.

Czuła na sobie wzrok starszego od siebie mężczyzny, ale nie podniosła wzroku.

W ciągu ostatnich dni wielokrotnie wyobrażała sobie tę chwilę, ale jej uczucia i tak ją zaskoczyły. Nie czuła się ani onieśmielona, ani zażenowana faktem, że została tak bezlitośnie obnażona w strumieniu ostrego światła padającego na nią z góry, bo duży kwadratowy świetlik

wpuszczał do środka południowe słońce. Z jednej strony obawiała się trochę, że może mu się nie spodobać, że nie zachwyci go jej umięśnione, szczupłe ciało i delikatnie zaokrąglone biodra kontrastujące z jej pełnymi piersiami, które nie bardzo pasowały do baletnicy czy nawet byłej uczennicy szkoły baletowej. Z drugiej strony wyzywająca część jej natury milcząco się domagała, aby ją zauważył, wydobywała na powierzchnię nutę seksualnego szaleństwa na samą myśl o tym, że odczuwa potrzebę obnażenia się w ten sposób przed jakimś mężczyzną. Była to walka między przyzwoitością a podnieceniem.

Gdy Giselle pozbyła się ubrań, odruchowo przygarbiła ramiona i przesłoniła dłonią ciemny wzgórek łonowy pokryty poskręcanyimi włoskami, choć zdawała sobie sprawę, że w obecnych okolicznościach ten gest jest zupełnie bez sensu.

– Wyprostuj się, proszę.

Mówił tak szorstko, że było jasne, iż słowo „proszę” dorzucił wyłącznie z grzeczności. To był rozkaz, nie propozycja. Giselle podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. William przyglądał się jej z pozorną obojętnością. Ile nagich kobiet widział już w życiu? Sto? Tysiąc? Może była dla niego tylko kolejnym kawałkiem mięsa, czymś bezosobowym. Nie miała pojęcia, jak działa umysł artysty – umysł malarza.

Odsunęła ręce. Przełknęła z trudem ślinę. On jednak dalej nie wyglądał na zadowolonego.

– Masz fatalną postawę. Strasznie się garbisz – upomniał.

Giselle oblała się rumieńcem. Miał rację. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo kuliała ramiona. Była to mimowolna konsekwencja zdenerwowania i braku pewności siebie, odruchowa próba skromności. Wyobraziła sobie, że znów jest w szkole baletowej. Przypomniała sobie ciągłe napomnienia i nakazy nauczycieli. Odciągnęła ramiona do tyłu i wciągnęła brzuch, przez co wypchnęła piersi do przodu; silne nogi tancerki rozsunęły się jeszcze trochę dla zachowania równowagi. Wyglądała tak, jakby chciała popisać się swoim ciałem. Tylko że nigdy dotąd nie musiała robić tego nago. Ani na potrzeby jednoosobowej publiczności. W dodatku płci męskiej.

William podszedł do niej, ani na moment nie odwracając od niej wzroku. Giselle zadrżała. Zaczął ją obchodzić zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, a potem znów, tyle że w drugą stronę – obserwował, oceniał, mierzył. A może nawet wahał? Był od niej mniej więcej o głowę wyższy. Przed wizytą Giselle umyła włosy, używając do tego swojego ulubionego szamponu o ledwo wyczuwalnym zapachu magnolii, potem zaś długo je szczotkowała, by nadać im właściwy połysk. Od powrotu z Londynu zapuszczała włosy. William powiedział, że chce ją zobaczyć taką, jaka jest, poprosił, żeby nie robiła nic specjalnego, żeby przypadkiem się nie malowała, ale Giselle wiedziała, że

trzeba czegoś więcej. Czy podświadomie planowała go uwieść, czy też liczyła na to, że jakoś go zmusi, żeby to on ją uwiódł?

– Ładne perfumy – zauważył.

Tak. Drobnie zwycięstwo.

Jego głos za jej plecami. Jego oczy na pewno przyglądały się przedziałkowi między jej pośladkami, linii nóg, bladej skórze o lekko oliwkowym odcieniu. W głębi brzucha poczuła znajome drzenie – ścisnęło jej serce, zadrgało niebezpiecznie na orbicie łechtaczki i wywołało mrowienie w najdalszych zakamarkach ciała.

– Ubierz się – zaordynował znów William, a ona poczuła się nagle rozczarowana. – Tam jest wieszak. – Wskazał ręką przeciwległą ścianę, gdzie znajdował się stojak obwieszony najróżniejszymi strojami. – Na początek chciałbym zrobić kilka szkiców węglem.

Giselle poszła we wskazanym kierunku, w pełni świadoma, że William wpatruje się w jej tyłek, który, chcąc nie chcąc, kołysał się lekko przy każdym kroku. Starła się nie wyolbrzymiać dla jego przyjemności zalotnych ruchów bioder. I tak jego uwaga koncentrowała się wyłącznie na niej.

Stała przed wysokim wieszakiem.

– Co mam włożyć? – zapytała.

William odwrócił się do niej plecami i podszedł do ławy, na której leżały w nieładzie farby, pędzle, ołówki i nierówne sterty papieru.

– Cokolwiek – odpowiedział. – To nie ma znaczenia.

– Serio?

– Tak. Przez pierwszą godzinę chciałbym skupić się wyłącznie na twojej twarzy. Żeby cię poznać. Więc nie jest ważne, co będziesz miała na sobie.

Giselle uświadomiła sobie, że równie dobrze mogła zostać w swojej spódnicy i jedwabnej bluzce. Tyle że najpierw chciał obejrzeć jej ciało. Poczuła, że nic z tego nie rozumie.

Ściągnęła z jednego z wieszaków bluzkę z dekoltem w szpic, bezkształtną kreację z szenili w odcieniu głębokiej czerwieni. Włożyła ją na siebie. Delikatny, ale wyraźnie chropowaty materiał drażnił jej twarde sutki. Podeszła do krzesła, na którym zostawiła ubranie, i włożyła je, zostawiając białe bawełniane figi, których też musiała się wcześniej pozbyć.

William w dalszym ciągu nie zwracał na nią uwagi.

– Gdzie mam stanąć? Albo usiąść? – spytała.

– Na środku – poinstruował. – Tam, gdzie cię oglądałem.

Giselle stanęła znów w strumieniu światła. Czuła się jak na scenie – jakby padało na nią ostre światło reflektora, które uwypuklało jej sylwetkę w oczekiwaniu na zbliżający się występ.

Zamyśliła się na chwilę, więc zaskoczyło ją, gdy William znalazł się nagle obok niej – niemal bezszelestnie przemieścił się po drewnianej posadzce pracowni. Podał jej stołek.

– Masz. Usiądź.

Usadowiła się na wąskim siedzeniu.

– Kiedy pozujesz, nie wolno ci się ruszać. Musisz się tego nauczyć – powiedział William. – Spróbuj znaleźć taką pozycję, w której będziesz czuła się swobodnie. Podobno najlepiej całkiem się wyłączyć. U niektórych to działa. Możesz bujać w obłokach.

Giselle pokiwała głową i przesunęła pośladki tak, aby było jej względnie wygodnie. Spojrzała na Williama, myśląc, że rozstawi jakieś sztalugi, ale on zaczął kreślić szybkie linie na kartce, którą rozłożył sobie na kolanach.

– Nie ruszaj się – napomniął.

– Przepraszam...

William nie przerwał rysowania. Jego dłonie poruszały się zamaszystymi ruchami na papierze: pewne, szybkie, precyzyjne.

– Może włączyć ci jakąś muzykę? – zaproponował.

Giselle zastanawiała się chwilę.

– Nie. Tak jest dobrze. – Obawiała się, że przy muzyce będzie miała jeszcze większą ochotę się kołysać, że tchnie ona w jej ciało i zmysły rytm i ruch.

William był tak pochłonięty pracą, że godzina upłynęła niemal w całkowitym milczeniu. Giselle była bardzo ciekawa rezultatów, bo widziała, że na nierównym stosie łąduje kartka za kartką i że William bez wytchnienia zaczyna co rusz nowy rysunek.

W końcu z głębokim westchnieniem zakończył pracę.

– Już – obwieścił. – Możesz znów ruszać tymi swoimi

długimi kończynami – zezwolił. – Na pewno poczujesz ulgę. Pierwszy raz jest zawsze trudny.

Giselle zsunęła się z wysokiego stołka i dotknęła bosymi, odrobinę zdrętwiałymi stopami twardej drewnianej posadzki. Rozciągnęła nogi. Bardzo chciała zobaczyć efekt pracy Williama, dowiedzieć się, jak wygląda w jego oczach, ale uznała, że zachowałaby się nietaktownie. Wiedziała, że artyści mają swoje przyzwyczajenia i że pospieszając go, nic nie wskóra. Czy jej twarz zostanie podzielona na figury geometryczne jak odaliska Picassa? Czy William dodał jej kilka kilogramów na policzkach i podbródku jak u rubensowskiej matrony? Czy namalował ją z uśmiechem Mony Lisy, czy raczej ze zmarszczonym czołem albo ze smutkiem na twarzy?

Zaproponował jej kawę i owoce, sam natomiast ugryzł nieuważnie błyszczące czerwone jabłko, pytając, czy po przerwie Giselle zgodzi się na jeszcze jedną godzinę pozowania.

Zgodziła się.

– Rozbierz się.

Zdjęła ubranie, pozbywając się dwóch sztuk odzieży, które miała na sobie, i ruszyła znów w kierunku stołka, zastanawiając się z lękiem, jak uda jej się na nim usiąść tak, aby nie wypaść przy tym jeszcze bardziej bezwstydnie.

– Nie, nie tam – powstrzymał ją William.

Machnął ręką w przeciwnym kierunku i rozsunał

ciężką kotarę, która oddzielała pracownię od – jak przypuszczała Giselle – części mieszkalnej. Znajdowało się tam ogromne łóże z baldachimem wykonane z polerowanego metalu. Z dala od gasnącego już strumienia światła z okna pościowego biała pościel przybrała szarawy odcień.

– Tam.

Giselle przycupnęła na brzegu łóżka, William natomiast wziął spod ściany długą, zakończoną hakiem tyczkę i uniósł ją w kierunku sufitu, zahaczając o zatrask przy drugim świetliku. Otworzył go, wpuszczając do środka ciemnawe światło, ciepłe i miękkie, zupełnie inne od ostrego, surowego i być może mało pochlebnego oświetlenia, na które została wystawiona wcześniej na stołku. Było to światło sypialniane. Nadawszy ton całej scenerii, William podszedł do łóżka i spojrzał na Giselle, przyglądając się jej nagiemu ciału z namysłem, ale i wyraźnym zainteresowaniem.

– Mogę? – odezwał się.

Giselle poczuła na nagim ramieniu jego dużą, zaskakująco ciepłą rękę, a na lewym pośladku drugą dłoń, którą delikatnie pokazywał, żeby się położyła, zamiast siedzieć sztywno na brzegu. Giselle była spanikowana, ale nakazała samej sobie się rozluźnić i poddać stanowczemu naciskowi dłoni Williama. Położyła się.

– Nie, nie tak.

Spojrzała na niego. Nad jego spowitą lokami głową widniała aureola utworzona przez wpadające przez dach przygaszone światło. Twarz Williama była niewyraźna i zamazana. Artysta nachylił się nad nią, zasłaniając na chwilę swoim masywnym ciałem dzienne światło.

Giselle rozluźniła się. Pozwoliła, by jego delikatne wprawne dłonie ułożyły ją we właściwej pozycji. Leżała na łóżku z dziwnie wykręconymi rękami, uda miała leciutko rozsunięte, a na trupio bladą skórę padało przygasające światło. Jej piersi skrywał cień, oczy wpatrywały się w metalowy stelaż łóżka. Została ułożona jak marionetka, tyle że z krwi i kości.

William cmoknął z zadowoleniem i cofnął się o krok, żeby ocenić swoje dzieło.

– Hm... Tak...

Giselle wstrzymała oddech. Bóg raczy wiedzieć, jaki widok prezentował się teraz artyście. Widział ją całą, obnażoną, nagą w pełnym tego słowa znaczeniu.

– Czy w tej pozycji będzie ci wystarczająco wygodnie? – zapytał.

Giselle zaschło w gardle. Skinęła tylko głową.

– To dobrze.

William cofnął się o kilka kroków i tym razem rozstawił sztalugi. Ze względu na sposób, w jaki ułożył jej głowę, mogła zerkać na niego tylko kątem oka. Jej długie czarne włosy opadały na lewe ramię, a potem spływały w dół pleców. Jej niepokój potęgował fakt, że poczuła między nogami lekką wilgoć. Zagryzła wargi,

modląc się w duchu, żeby w przytłumionym oświetleniu malarz nie zauważył oznak jej mimowolnego podniecenia. A może był nawet w stanie czytać jej w myślach? Przełknęła zauważalnie ślinę.

William kreślił na płótnie szybkie, nerwowe linie. Zarys obrazu, który miał powstać. Giselle starała się ze wszystkich sił się wyłączyć, ale w jej głowie kotłowało się zbyt wiele różnych myśli, a serce biło zbyt szybko. Sekundy wlekły się jak minuty, a minuty ciągnęły się jak godziny. Giselle liczyła owce, łabędzie i ciągnącą się bez końca procesję identycznych tancerek o pozbawionych wyrazu twarzach, ubranych w jednakowe tutu i różowe baletki.

Jej wilgotna cipka przypominała zaporę, która czeka tylko na sygnał, by pęknąć, wytrysnąć, zmoczyć całą pościel i okryć Giselle wstydem. Policzki Giselle płonęły. A tymczasem zaledwie kilka kroków dalej stał pochłonięty pracą William. Zerkał na nią tylko po to, by utrwalić sobie w głowie jej obraz lub sprawdzić, czy się nie poruszyła. Jego pędzel wędrował po płótnie, a artysta zatracił się we własnym świecie, którego centrum stanowiła chwilowo Giselle.

W nagłym przeblasku olśnienia dotarło do niej, że tak właściwie to ona kontroluje sytuację. Nie malarz. To jej ciało stanowiło ośrodek zainteresowania, centralny punkt, wokół którego wszystko się obracało. Była słońcem, była sceną i w obecnej chwili William nic by bez niej nie znaczył. Znajdował się całkowicie we

władzy jej uroku. Nabrawszy takiego przekonania, poczuła, że wyrównuje jej się oddech i że odzyskuje panowanie nad sobą. Ogarnął ją spokój, a niezręczna wilgoć między nogami nie była już powodem do wstydu, ale raczej dumy. I ciekawości.

Kiedy sesja wreszcie dobiegła końca – co nie nastąpiło szybko, bo zdrętwiał jej cały bok – William podał jej jedwabny szlafrok, który mogła na siebie narzucić. Na dworze zrobiło się ciemno i Williamowi przestało odpowiadać światło, poza tym Giselle zdążyła już zmarznąć. Malarz nakrył płótno płachtą, znów nie pozwalając jej zobaczyć tego, co do tej pory stworzył.

– To nie tak działa, moja droga. Musisz nauczyć się cierpliwości. W stosownym czasie, gdy obraz będzie gotowy, pozwolę ci go zobaczyć.

Widząc jej nadąsaną minę, spróbował jakoś załagodzić sytuację.

– Jak na pierwszy raz poszło ci nieźle, Giselle. Naprawdę nieźle. Pozwól, że w ramach podziękowania zaproszę cię na kolację, co ty na to? Oczywiście poza normalnym wynagrodzeniem. – Zapropował Procope, starą tradycyjną restaurację na Rue de Seine, na którą nigdy nie było jej stać. Zgodziła się.

Odwrócił się, gdy zdjęła szlafrok, żeby przebrać się w swoje ubrania. Miała ochotę mu powiedzieć: „Dlaczego się teraz odwracasz? Widziałeś już wszystko. Chcę, żebyś dalej na mnie patrzył...”

Było po wszystkim. Obnażyła się całkowicie i została odrzucona.

Dla niej to było za mało. Ogarnęło ją uczucie, którego nie była nawet w stanie nazwać. Rozpaliła ją mieszanina wściekłości i pożądania, sprawiając, że Giselle nie była w stanie wrócić do normalnego życia.

Jedzenie straciło smak. Układanie bukietów w Aquarelle, zadanie, które zwykle bardzo lubiła, teraz ją nużyło. Łodyżki albo ją kłuły, albo podrażniały jej skórę. Regularne ćwiczenia rozciągające, które w dalszym ciągu wykonywała co wieczór, żeby jej ciało zachowało elastyczność, nagle straciły sens. Giselle nie była tancerką, nigdy nią nie będzie, po co więc dalej tańczyła? Nie była w stanie skupić się na wykładach ani czytać. Słowa rozmazywały się na stronie, jakby pajęczki układały z nich przypadkowe wzory.

Lało, kiedy Giselle postanowiła wrócić do pracowni Williama. Czego właściwie tam szukała? Nie miała pojęcia. Jej emocje były zupełnie niezrozumiałe, a mimo to czuła, że musi się nimi kierować. Nie uspokoi się, póki znów nie zobaczy się z malarzem, tego była pewna.

Woda płynęła strumieniami po brukowanych ulicach, mocząc jej cieniutkie buty. Ubrania lepiły się do ciała. Płaszcz wisiał na wieszaku przy drzwiach wejściowych, a porządne buty i parasolka leżały schludnie na półeczce poniżej. Nie chcąc niepokoić rodziców, Giselle wyszła przez okno, więc siłą rzeczy nie była w stanie włożyć

żadnej z tych rzeczy. Nie była zatem przygotowana na wędrówkę paryskimi ulicami w czasie oberwania chmury.

Szła szybkim krokiem ciemnymi ulicami, niemal biegnąc, aby się rozgrzać i uciec od spojrzeń nieznajomych, którzy odwracali się za wysoką dziewczyną ubraną w czasie burzy w cieniutką szyfonową koszulkę i dżinsy.

Skrzywiła się, słysząc przytłumiony dźwięk domofonu. Nacisnęła przycisk raz za razem trzykrotnie, skuliła się pod drzwiami i schowana przed ulewą czekała z nadzieją, że William zaraz się pojawi. Mijały kolejne minuty, a ona zaczęła się zastanawiać, jak mu wyjaśni, że zjawiała się w środku nocy pod jego drzwiami przemoczona jak nieboskie stworzenie. Zastanawiała się też, co robi, jeśli Williama wyszedł lub – co gorsza – był jeszcze zajęty z inną modelką lub kochanką. Już chciała się odwrócić i pobiec do domu z równym pośpiechem, z jakim tu przybyła, kiedy drzwi otworzyły się na oścież.

– Giselle? – odezwał się.

Stała w milczeniu, podczas gdy on oswajał się z jej obecnością, rozdziawiając w zdumieniu buzię.

– Jesteś przemarznięta – wymamrotał. Położył jedną ze swoich dużych dłoni na jej prawym ramieniu i wprowadził ją do środka. Nawet przez mokrą sztywną tkaninę bluzki czuła, że jego ręka jest gorąca. Pozwoliła zaprowadzić się do ciasnej windy, szczęśliwa, że znów

jest obok niego. Z jakiegoś powodu obecność tego krzepkiego, szorstkiego człowieka sprawiała, że czuła się bezpieczna i spokojna.

William zatrzasnął drzwi windy i nacisnął przycisk na piętro, na którym znajdowała się pracownia, a potem odwrócił się do Giselle, położył drugą rękę na jej lewym ramieniu i zaczął energicznie pocierać rękami, żeby ją rozgrzać.

– Co ty tu robisz, Giselle? Masz szczęście, że mnie zastałaś. O tej porze zwykle jestem już w domu. Zostałem tylko po to, żeby trochę posprzątać. – Mówił łagodnym głosem, jakby znał odpowiedź na swoje pytanie. Giselle wiedziała, że ma wymalowane pożądanie na twarzy, poza tym z jakiego innego powodu przychodziłaby tu po ciemku, w nocy, w czasie ulewy, która w dalszym ciągu bębniła o dachy budynków, wśród trzęsących szybami podmuchów wiatru? Jakim cudem w ogóle się nie zorientowała, że on tu nie mieszka, że tylko tu pracuje? Ale najwyraźniej szczęście się dziś do niej uśmiechnęło.

Wsunęła dłonie pod jego koszulkę, żeby ogrzać je o jego skórę. Jego tors był szeroki i masywny jak pień drzewa. Giselle pragnęła poczuć miażdżącą siłę jego ciała. William wzdrygnął się w odpowiedzi na lodowaty dotyk jej dłoni. Puścił jej ramiona i zamiast tego ujął jej rękę.

– Chcę... Chcę... Chcę, żebyś... – Giselle usiłowała ubrać w słowa swoje chaotyczne myśli i uczucia, które

kotłowały się w jej głowie, ale wyglądało to tak, jakby usiłowała nadać stałą formę wodzie – nie była w stanie mówić składnie.

– Żebyś co? – szepnął William.

– Żebyś zrobił to – odpowiedziała cicho, gdy jego ręce powędrowały do jej nadgarstków i złapały ją mocno.

– To? – upewnił się. Dotknął jej piersi i musnął kciukami jej sutki, które z powodu ocierającego się o nie sztywnego zimnego materiału bluzki zrobiły się tak twarde, że aż bolały.

Giselle wyprężyła plecy i wypchnęła do przodu biust. Z jej ust wydobył się cichy jęk.

– Tak – powiedziała.

Winda zatrzęsała się i zatrzymała. William otworzył drzwi tak energicznie, że Giselle miała obawę, że wiekowe ustrojstwo rozleci się z hukiem.

Malarz zaciągnął ją do swojej pracowni jak szmacianą lalkę. Chlupotało jej w butach, a z nóg spływała woda deszczowa, zostawiając na drewnianej posadzce mokry ślad. Giselle zaczęła się trząść z zimna.

William zaprowadził ją pod świetlik, w to samo miejsce, w którym zaledwie kilka dni temu pozowała mu nago z próżną nadzieją na coś więcej, i zaczął ją rozbierać. Jego palce szybko poradziły sobie z guziczkami niebieskiej bluzki, mimo że była cała przemoczona od deszczu. Zsunął szyfon z jednej ręki, potem z drugiej, i położył starannie ubranie na

znajdującym się obok drewnianym stołku.

Giselle miała pod spodem granatowy koronkowy stanik z czerwoną lamówką. Jej okazałe piersi były tak jędrne, że nie potrzebowały dodatkowego wsparcia; nosiła bieliznę z przyzwyczajenia i ze względów przyzwoitości, żeby pod ubraniem nie było widać prześwitujących sutków, które z zimna zrobiły się teraz wściekle różowe i napierały mocno na koronkę, wyraźnie widoczne. William pochylił się i wziął jeden z nich w swoje usta, rozgrzewając go swoimi wargami. Giselle zanurzyła dłonie w jego potarganą szopę, zachwycając się rozmiarami jego głowy i mocną szczęką. Dobrze zapamiętała jego okazałą posturę.

– Przyniosę ci ręcznik – powiedział. – Zanim zamarzniesz. – Zostawił ją samą: nagą od pasa w górę, mokrą i podnieconą.

Giselle pozostała w bezruchu. Czuła się dziwnie, jakby znów dla niego pozowała.

William owinął ją ręcznikiem i zaczął wycierać tak energicznie, że aż piekła ją skóra. Jednym szybkim ruchem rozpiął bezceremonialnie biustonosz, uwalniając jej piersi, które zaczął wycierać w ten sam ostry sposób. Działał szybko i dokładnie – wytarł ją nawet za uszami i pod biustem. Jego zabiegi sprawiały, że Giselle czuła się jak małe dziecko albo pies. Nawet się jeszcze nie pocałowali, ale wiedziała, że William ma wzwód. Widziała napierające na spodnie wybrzuszenie.

Artysta skończył wycierać górną połowę jej ciała, a

potem rozpiął jej guzik w pasie. Dżins był nasiąknięty wodą i kleił się do jej nóg jak druga skóra, której nie dało się ruszyć delikatnym szarpaniem. William zdarł sztywną tkaninę do połowy jej ud z taką siłą, że Giselle omal nie straciła równowagi. Złapała go za ramiona i przylgnęła do niego, żeby się nie przewrócić.

Wciągnęła w płuca jego zapach: dziwną mieszaninę farb, których używał do malowania, dymu papierosowego i mydła – William nie był wielbicielem wody po goleniu – woń, którą instynktownie utożsamiała z męskością. Artysta uklęknął, zsunął jej przezroczyście majtki i zanurzył głowę między jej nogi. Przylgnął ustami do jej wzgórek i zaczął ssać tak, jakby chłęptał z najczystszej źródła.

– Och – jęknęła Giselle, dając wyraz rozkoszy, zaskoczeniu i olśnieniu. A więc tak to było poczuć usta mężczyzny w tym miejscu.

Próbowała zmienić pozycję, rozstawić szerzej nogi, żeby mógł bardziej się w nią zagłębić, ale blokowały ją dżinsy – równie dobrze mogłaby mieć związane kostki.

Pociągnęła Williama za włosy, chcąc go zachęcić, żeby wstał i żeby mogli przenieść się na łóżko, mniej więcej tak, jak zrobiła to z Olenem podczas ich pierwszej wspólnej nocy. Ale William nie pozwolił jej na to. Im bardziej się z nim siłowała, tym natarczywiej wydobywał z niej językiem rozkosz.

Złapał ją za kostki, żeby przytrzymać ją, i przesuwając językiem po jej sromie, zlizując z jej warg wilgoć,

mieszaninę jej soków i wody deszczowej, która przesiąkała przez ubrania. Giselle spojrzała w dół, chcąc zobaczyć jego twarz – chcąc wiedzieć, jaką miał minę, gdy jej kosztował. Olen lubił na nią patrzeć, gdy mu obciągała, a ponieważ zdawała sobie z tego sprawę, robiła z tego coś w rodzaju przedstawienia: zawsze się wtedy uśmiechała i poruszała sugestywnie powiekami.

Ale tym razem było inaczej. W pieścotach Williama nie było nic teatralnego. Sposób, w jaki jej dotykał, był pierwotny, dziki. Lizał jej cipkę, jakby pił wyborne wino. Miał w sobie wigor, który pozwalał porzucić grę pozorów i wszystkie lęki i przemawiał prosto do jej duszy.

Rytm jego języka kazał jej szybko zapomnieć o niewygodnej pozycji, zimnych nogach, mokrych stopach i całkowitej bezbronności, kiedy tak stała przed mężczyzną, którego ledwie знаła, i pozwalała mu pieścić swoją najbardziej intymną strefę.

Giselle zaczęła czuć coś, czego nigdy nie była w stanie poczuć przy Olenie, doznanie tak silne, że przesłoniło wszystko inne, pochłonięło wszystkie jej myśli i niepewność, a nawet uciszyło wewnętrzny głos, który powtarzał jej, że źle zrobiła, że tu przyszła. Wszystko to przestało się liczyć, liczył się tylko język Williama pieszczący jej łechtaczkę, jego dłonie przytrzymujące ją mocno, ciepło jego głowy, do której przylgnęła zgięta wpół, ledwo trzymając się na nogach, bo krew w jej żyłach przetaczała się z taką siłą.

Doszła z głośnym okrzykiem i przycisnęła z całych sił jego twarz do siebie, miażdżąc jego nos, brodę i usta. Nie przyszło jej nawet do głowy, że William może się udusić między jej nogami.

– Och!

Nie była w stanie mówić. Cała się trzęsła, z rumieńcem na twarzy. Jej umysł unosił się na chmurze błogości, świadomy tego, co go otacza, ale jednocześnie tak pochłonięty wspomnieniem ekstazy, że podłoga pod jej stopami, otaczające ją ściany i wszystko poza mężczyzną, który nadal przed nią klęczał, równie dobrze mogło być snem.

3. Ogrody ziemskich rozkoszy

W ciągu miesiąca Giselle wprowadziła się do Williama.

Nie mieszkał w pracowni, ale miał mieszkanie na Rue Monsieur le Prince, niedaleko teatru Odeon. Trzeba było wchodzić po schodach na czwarte piętro, bo w imponującym budynku z przełomu wieków nie było windy. Pokoje były przestronne i widne, a ściany stanowiły istny melanz artystyczny – były tam nie tylko prace Williama, lecz także dzieła innych artystów, niektórych Giselle nawet znała. Wzdłuż sufitów ciągnęły się solidne belki z ciemnego drewna, ułożone równolegle względem siebie, a z wąskiego, zastawionego skrzynkami na kwiaty balkonu przy sypialni widać było Notre Dame, Ile de la Cité, a przy dobrej pogodzie nawet połyskującą w dali rzekę.

Giselle okłamała rodziców i powiedziała, że będzie mieszkać z koleżanką, z którą ma część zajęć na uniwersytecie. Trudno jej było wyobrazić sobie, że zaakceptują fakt, iż mieszka bez ślubu z mężczyzną

starszym od niej o niemal piętnaście lat, który jest do tego malarzem i wygląda jak brutal. Albo woleli jej uwierzyć, albo ich to nie obchodziło. Na przeniesienie swoich ubrań i innych rzeczy do mieszkania Williama Giselle wybrała jednak popołudnie, kiedy matka pracowała charytatywnie gdzieś na przedmieściach, bo wolała uniknąć kompromitujących pytań lub propozycji pomocy w przeprowadzce.

Nie wspomniała też o istnieniu swojego nowego kochanka żadnej z nielicznych koleżanek czy znajomych z uczelni lub z czasów sprzed Londynu. William był jej tajemnicą i nikomu nie było nic do tego.

Dobrze się z nim mieszało, choć co prawda Giselle nie miała zbyt dużego doświadczenia w tym względzie. William był małomówny, miał rozbudzony apetyt i był czułym kochankiem, oddanym całym sercem sztuce. Za każdym razem, gdy Giselle pytała go o jego wcześniejsze życie, zmieniał temat, więc szybko się nauczyła, żeby nie naciskać. Jedyne, co ją martwiło, to kobiety, które znał wcześniej, które kochał. Ciekawiły ją. Czy dotykał ich w ten sam sposób co ją, czy je malował, czy szeptał im w łóżku pod osłoną ciemności te same słowa? Chciała się czuć wyjątkowa.

William nie był Francuzem, tylko Kanadyjczykiem i podobno zamieszkał w Paryżu jako nastolatek. Nigdy nie wspominał o swoich rodzicach, bliższej rodzinie czy środowisku, z którego się wywodził. Miał umowę z galerią sztuki na Rue Mazarine i planował w najbliższej

przyszłości zorganizować tam nową wystawę swoich prac, po bardzo udanym debiucie sprzed dwóch lat. Poza tym przyjmował też prywatne zlecenia od kilku kolekcjonerów i choć czasem o tym wspominał, to w sposób ostentacyjny nie zagłębiał się w szczegóły. Giselle, gdy zostawała sama w pracowni lub w mieszkaniu, oglądała uważnie obrazy i rysunki, których nie udało mu się sprzedać lub które wolał sobie zostawić, i z zadowoleniem stwierdziła, że zanim pojawiła się w jego życiu, William wielokrotnie korzystał z usług najróżniejszych modelek, ale zaledwie kilku z nich poświęcił więcej niż dwa obrazy, jakby zarzucał szeroko sieć i nie wybrał sobie jeszcze na stałe żadnej muzy.

Giselle postanowiła z determinacją, że to ona obejmie tę trudną do zdefiniowania rolę. Że nie tylko będzie jego kochanką, ale też źródłem natchnienia.

Oswoiła się już sama ze sobą i wielogodzinne pozowanie przychodziło jej zupełnie naturalnie, podobnie jak chodzenie nago w obecności Williama, nie tylko w pracowni o wysokich sufitach, ale też w jego mieszkaniu, które stało się jej domem. Czuła, że tak właśnie powinno być i że poza tym jest to nieustanne zaproszenie do seksu – że w ten sposób mu pokazuje, iż zawsze jest dla niego dostępna, delikatnie go prowokuje swoimi atutami i demonstruje, że chce, by na nią patrzył i kochał się z nią.

William lubił gotować, a po kilku porażkach

kulinarnych, kiedy Giselle usiłowała odtworzyć z pamięci dania, które przyrządzała jej matka, co kończyło się zwykle totalnym zachwianiem równowagi smaków, ustalili wspólnie, że jeśli wieczorem nigdzie nie będą wychodzić, gotować będzie William. Nalegał przy tym, żeby nie kręciła się wtedy po kuchni, tylko wykorzystywała lepiej czas na naukę, bo bardzo mu zależało, żeby ich związek nie wpłynął negatywnie na jej studia. Giselle w końcu została oficjalną studentką, za jego namową zresztą, bo kiedy zdradziła mu swój dyletancki status, uparł się, że musi to zmienić.

– Zobaczysz, że ten dyplom jeszcze kiedyś ci się przyda. Nie zawsze będę przy tobie.

William był szczególnie wyczulony na różnicę wieku między nimi i o wiele za często narzekał, że jest dla niej za stary i że ich związek na dłuższą metę nie ma szans.

– Niedługo się mną znudzisz – prorokował. – Znajdziesz sobie kogoś w swoim wieku.

Początkowo Giselle reagowała na to rozdrażnionym wzruszeniem ramion, ale z czasem nauczyła się ignorować jego opory i kierowana młodzieńczym entuzjazmem, weszła w nowy związek z cudownym zaślepieniem, które każe wierzyć, że pierwsza miłość trwa wiecznie.

William przygotowywał właśnie w kuchni risotto z homarem, a ona czytała esej na temat symboliki zielonego światła Gatsby'ego. Doszedł ją zapach gotującego się jedzenia i idealnie dobranych przypraw,

co zupełnie ją zdekoncentrowało. Przyszło jej na myśl, że dla Williama jedzenie i seks są ze sobą nieodłącznie związane. Zastanawiała się też, w jakiej pozycji będzie się z nią dziś pieprzył i na jakie nowe wyżyny ją wyniesie w swoich hedonistycznych poszukiwaniach perfekcji, udoskonalając swoje ruchy, dosiadając jej i z niezwykłą precyzją aranżując falę jej doznań. Pobudzenie na odległość jej kubków smakowych stanowiło jedynie preludium wielkiej opery, którą postanowił odegrać później. Giselle uśmiechnęła się do siebie w pustym gabinecie, rozkoszując się tą myślą. Odłożyła na bok podniszczony egzemplarz powieści Scotta Fitzgeralda i dała się ponieść marzeniom.

Rozbudzona apetycznym zapachem jedzenia przyjemność już ją przyzywała.

Sztukę Williama wyróżniał silny hiperrealizm. Jego rysunki cechowały się tak anatomiczną precyzją, a obrazy do tego stopnia przypominały fotografie, że pierwsze powierzchowne z nimi zetknięcie potrafiło niekiedy zmylić nawet największych znawców i wzbudzić wątpliwości co do techniki wykonania dzieła. W przeciwieństwie jednak do innych artystów wykonujących prace w takim samym stylu, na przykład Jacka Vettriana czy Robina Harrisa, często fantasmagoryczne, a niekiedy wręcz jawnie surrealistyczne arrasy groteski, na których tle unosiły

się postacię zaludniające jego prace, szybko pozwoliły mu się wyróżnić – panoramy w stylu Hieronima Boscha czy wyrafinowane, dopracowane wariacje na temat fantastycznych światów znanych z okładek szmatławców czy tanich książek. Kontrast był zdumiewający, czasem wręcz niepokojący. Pierwszy portret Giselle, który namalował, przedstawiał ją nagą na tle wielowymiarowego krajobrazu stojącej w płomieniach sceny – białoskóry jeniec szalejącej pożogi, bezbronny, bezradny, wydany na pastwę huczących płomieni nacierających na niego ze wszystkich stron. Jeśli jednak chodzi o samą Giselle, to perfekcyjnie oddał blask jej włosów, odcienie i przebarwienia skóry – od maleńkiego znamienia poniżej lewego sutka po inne drobne skazy, łącznie z cieniutkimi zadrapaniami na ręce, które powstały tego samego dnia rano, gdy przycinała róże w kwiaciarni. Wyglądała jak na zdjęciu, była oddana z uderzającą wiernością, ale jednocześnie odrobinę oderwana od rzeczywistości, na granicy niemożliwego. Poza tym Giselle nie miała pojęcia, że nosi w sobie emocje, które wyrażała na obrazie jej twarzy.

To właśnie ów realizm i staranność oddawania szczegółów, z jakimi rysował ciała i twarze, wzbudziły zainteresowanie szczególnego rodzaju kolekcjonerów.

Kilka lat wcześniej, w okresie, kiedy nie zarabiał zbyt wiele, a jego prace nie sprzedawały się wystarczająco często, William nawiązał kontakt z niewielką grupą

zamożnych ludzi. Zlecali oni utalentowanym artystom, którym nie udało się jeszcze wybić, wykonanie obrazów czy rysunków o jawnie pornograficznym charakterze. Przypominali kolekcjonerów, którzy kilkadziesiąt lat wcześniej zamawiali erotyczne opowieści od pisarzy pokroju Anaïs Nin czy Henry’ego Millera. I choć William nie cierpiał już na brak gotówki, to wciąż przyjmował od czasu do czasu tego rodzaju zlecenia, bo traktował je jako pewnego rodzaju wyzwanie. Oczywiście nie podpisywał się na żadnym z takich obrazów, które zresztą rzadko kiedy oglądały światło dzienne, bo były zwykle ukrywane w skarbcach, przeznaczone na własny użytek nabywców.

– Giselle, skarbie, mogę cię o coś prosić?

Leżeli obok siebie w łóżku, wciąż jeszcze dochodząc do siebie. Ich wyczerpane ciała pokrywała cienka warstewka potu. William miał zmierzwiłone włosy i wyglądał jeszcze bardziej dziko niż zwykle. Giselle nadal czuła w środku wibrowanie na skutek wcześniejszej radosnej gwałtowności jego ruchów, którym sekundowała głośno w sposób zaskakujący nawet dla niej samej. Kochała tego mężczyznę tak mocno i tak bardzo uwielbiała czystą fizyczność ich stosunków, że klęła przy tym jak szewc.

– O co chodzi?

– Dostałem zlecenie i chciałbym wiedzieć, czy zgodziłabyś się mi pozować?

– Nie musisz nawet pytać, William. Przecież wiesz, że

jestem zawsze do twoich usług. Jak mogłabym ci odmówić?

– Tylko że tym razem chodzi o coś innego. To prywatne zlecenie o trochę innym charakterze. Zupełnie inne niż to, co dotychczas razem robiliśmy.

Giselle odgarnęła z czoła włosy i otworzyła szerzej oczy, zaintrygowana wahaniem kochanka. Zawsze prezentował sobą niepohamowaną siłę natury, bez pytania zagarniał wszystko. Zaskoczyły ją jego skrupuły.

– Oczywiście. Cokolwiek zechcesz.

William wyjaśnił sytuację i opowiedział, kim jest Emile Saffy.

– Masz może jakieś szkice do obrazów, które malowałeś dla niego wcześniej?

– Chyba tak. Gdzieś powinienem mieć.

– Chciałabym je zobaczyć – poprosiła Giselle.

Saffy gustował w obrazach przedstawiających znane sceny historyczne, ale lubił, aby ożywiać w nich motywy erotyczne, tak aby graniczyło to niemal z pornografią.

– *Porwanie Sabineek, Salambo podczas upadku Kartaginy*, upokorzenie Marii Antoniny przed egzekucją na gilotynie, bardzo jednoznaczna wersja *Tratwy Meduzy*... Tego rodzaju rzeczy... – wyjaśnił William.

– Dużo płaci?

– Dużo.

– A co zamówił tym razem? – chciała wiedzieć Giselle.

– Joannę d’Arc. Wieloelementowy fresk przedstawiający kolejne etapy jej pojmania i śmierci. Przesłuchanie i tortury, uwięzienie, śmierć na stosie.

Giselle poczuła, że przestało jej bić serce.

Zalały ją wspomnienia z przeszłości, ostrzelały jej umysł czymś na kształt impulsów elektrycznych, wydobywając jej fantazje w całej ich wyrazistości.

– I ja mam być Joanną?

– No miałybyś się w nią wcielić... Ale oprócz nas i Saffy’ego nikt nigdy nie zobaczy tego, co namaluję.

Giselle miała wrażenie, że jej skóra zaczyna wydzielać zatrważające ilości potu, że uwalnia coś zarówno wspaniałego, jak i niebezpiecznego.

William wstał z łóżka, a Giselle podziwiała jego niesamowite męskie, potężne ciało. Uwielbiała jego masywne, jędrne pośladki.

Podszedł do drzwi sypialni, ale nagle zatrzymał się i odwrócił.

– Właśnie sobie przypomniałem, że w pracowni powinienem mieć jeszcze pierwsze szkice do Salambo. Jeśli chciałabyś je zobaczyć. Da ci to dosyć dobre pojęcie o tym, w jakiego rodzaju obrazach gustuje klient. Nie są to rzeczy, które chciałbym trzymać u siebie w domu. – Uśmiechnął się.

Stał do niej przodem, jego gruby członek był jeszcze w częściowym wzwodzie i co nieuniknione, koncentrował na sobie jej uwagę. Giselle nie była w stanie oderwać od niego wzroku. Cholera, ależ kochała

tego faceta. Każdą jego część, a niektóre nawet bardziej niż inne.

– Zrobię to – oznajmiła. – Będę pozować. Będę Joanną.

Rozchyliła usta, wygrzebała się z łóżka, podeszła do Williama i uklękła.

Joanna w podartej koszuli nocnej z grubego płótna, jej ciało omotane gładkimi metalowymi łańcuchami, od szyi w dół, niczym w opłotach węża, mocno ściskające pierś, utrudniające oddychanie; na wilgotnym czole smuga krwi, ręce wyciągnięte w górę, przymocowane do haków.

– Później narysuję tło – poinformował William. – Wilgotne ściany lochu i tylko cieniutką smugę światła przeszywającą panującą dokoła ciemność.

Giselle spojrzała na rysunek, który William właśnie skończył na szybko kreślić. Brakowało tylko twarzy. Jej twarzy.

Widząc rysunek, aż zadrżała.

– Później ustawię odpowiednie światło i narysuję twoją twarz – zaproponował William. – Mógłbym to oczywiście zrobić z pamięci – dodał. – Znam każdy jej rys i każdą wypukłość. – Uśmiechnął się.

– I to tyle? – spytała Giselle.

– Tak – odparł. – Długa sesja raczej nie będzie potrzebna. To tylko wyuzdany obraz, który robimy na

zlecenie dość perwersyjnego zleceniodawcy, a nie coś, co chciałbym umieścić na wystawie. Ale dzięki temu mamy z czego żyć.

– Williamie?

– Tak?

– A może zrobimy to, jak należy? Bardzo bym chciała.

– Co masz na myśli?

– Chętnie poszukam lub uszyję odpowiedni strój, chętnie... – zawahała się – ...dam się skuć. – Spojrzała mu w oczy. – Przecież w ten sposób na pewno wszystko wyjdzie bardziej realistycznie, bardziej autentycznie?

– Zrobiłabyś to?

– Tak. – Starła się mówić opanowanym głosem.

W głębi szuflady znaleźli starą białą koszulę Williama, której od dawna nie nosił, i pocięli ją nożem, a z szafy wygrzebali kilka łańcuchów używanych kiedyś do mocowania bagażu lub ciężkich pakunków na bagażniku dachowym samochodu i pozbawili je plastikowej osłonki. Giselle rozebrała się. William spryskał ją wodą, która miała imitować pot, choć Giselle i tak czuła, że w środku cała płonie. Następnie rozmazał jej na twarzy i nadgarstkach trochę farby, żeby wyglądała jak krew. Po wyschnięciu miała zupełnie inny odcień, ale to było bez znaczenia, bo na obrazie skoryguje kolor. Potem rozstawił drabinę, żeby dosięgnąć do belek pod sufitem i przeciągnął linę przez wąską szparę między drewnem i sklepieniem. Lina

zawisła luźno na wysokości uniesionych rąk Giselle i mógł obwiązać ją wokół jej nadgarstków.

– Tak dobrze? Nie za mocno?

– Dobrze.

Ustawiając się w pozycji, w jakiej Joanna widniała na pierwszym szkicu Williama zainspirowanym ilustracją z lat trzydziestych, którą znalazł przy artykule na temat ostatnich dni Dziewicy Orleańskiej, Giselle czuła, że rozgorzała w niej walka między pożądaniem a rozsądkiem.

Przy każdym poruszeniu, choć starała się nie robić tego zbyt często, mimo że trudno było pozostawać bez ruchu na czubkach palców z rękami podwieszonymi pod sufitem, Giselle czuła, że podarte, nierówne brzegi białej koszuli ocierają się o jeden z jej sutków. Zaklinała go w duchu, żeby nie stwardniał i nie zaczął odstawać bezczelnie, zastanawiając się przy tym, czy William odtworzy ten nieznośny szczegół na obrazie.

Jak zawsze podczas malowania William zanurzał się we własnym świetle – jego dłonie znajdowały się w ciągłym ruchu, nieustannie przesuwały się wzdłuż płótna; czoło było zmarszczone. Unieruchomiona Giselle czuła, że po nogach cieknie jej jak oszałała jej własna wilgoć, nad którą zupełnie nie miała kontroli. Nigdy dotąd nie czuła się jednocześnie podekscytowana i wystraszona zalewającą ją falą emocji.

Dwie godziny później William rozwiązał ją. Bolało ją całe ciało, ale był to przyjemny ból. Za każdym razem,

gdy William proponował wcześniej przerwę, Giselle z uporem odmawiała.

– Jesteś cała czerwona – zauważył.

Słowa uwięzły jej w gardle. Musiała się napić.

William podsunął jej szklanekę wody do ust, a ona zaczęła łapczywie chleptać.

Malarz poluzował prowizoryczne pęta, a potem odcepil ją od liny.

– Może łańcuch był za ciężki?

Giselle westchnęła.

– Wyglądałaś wspaniale – przyznał William.

– Muszę wziąć prysznic – oświadczyła.

– Jasne.

W normalnych okolicznościach wróciliby do domu. Mieszkanie znajdowało się w odległości dziesięciominutowego spaceru od pracowni, który pokonaliby w milczeniu – William wciąż w euforii, w którą często wpadał po szczególnie udanym dniu pracy, Giselle w innym wymiarze, pełnym niebezpiecznych myśli. Ale Giselle wiedziała, że jeśli wyjdą z pracowni, jej nastrój pryśnie. Uparła się więc, że skorzysta z ciasnego prysznica zainstalowanego w kącie poddasza. Wchodziło się do niego po krętych schodkach, które zbudował znajomy architekt, bo William chciał, żeby regularnie bywające u niego modelki mogły się odświeżyć po sesji. Giselle wzięła prysznic, ale w dalszym ciągu czuła w sobie męczący ogień, niczym rozpędzony podziemny strumień wypływający z jeszcze

gorętszej rzeki lawy.

Zeszła po schodach do dużego otwartego pomieszczenia pracowni. William siedział z książką, czekając, aż Giselle będzie gotowa do wyjścia. Zwykle spytałaby go automatycznie, co czyta. Z miejsca, w którym stała, widziała tylko anonimową białą okładkę, podobną do tysięcy innych francuskich wydań. William czytał zwykle dużo biografii – życiorysów artystów i pisarzy – rzadko zaś powieści, w przeciwieństwie do Giselle.

– Chcę iść do łóżka – oznajmiła.

– Nie za wcześnie trochę na spanie? Myślałem, że wybierzemy się może najpierw do Chez Fernand i wrzucimy coś na ruszt. – To była jedna z ich ulubionych restauracji, niewielki zakątek na Rue Guisarde, specjalizujący się w lokalnej kuchni. – Jesteś śpiąca? Zmęczona?

– Nie. Chcę, żebyś się ze mną kochał... – Giselle odczuwała silną potrzebę. Chciała, żeby w nią wszedł. Żeby ją wykorzystał. Żeby ją rozdarł. Żeby wprawił ją w zachwyty. Czuła się też odrobinę onieśmielona, bo zwykle to William przejmował dowodzenie w takich sytuacjach, robił pierwszy krok. Ale w to późne popołudnie, kiedy blade słońce ledwie przebijało się przez okiennice zasłaniające okna w pracowni, Giselle wiedziała, że musi wykazać się odwagą, wyjść z inicjatywą.

William spojrział na nią ciekawie. Przecież musiał

zauważyć, że była niesamowicie pobudzona? Że rozpalił ją ten dziwny ogień?

Zaczął już otwierać usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Giselle podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Sam mógł teraz poczuć ciepło emanujące z jej nagiego ciała. Nie dało się go nie zauważyć.

– Zerznij mnie – zażądała.

Przytrzymując jedną ręką jej szczupłe ciało, drugą zdarł z siebie koszulę, szarpiąc pospiesznie za guziki i niezdarnie wysuwając ręce z wąskich rękawów.

Jej ostre paznokcie wpijały się w jego ramiona. Jej oddech spowolnił, gdy William objął ją mocno i popchnął delikatnie na kanapę, której używał niekiedy jako rekwizytu.

Miał już rozpiąć swoje luźne spodnie i wyswobodzić się, gdy Giselle zaskoczyła go swoją propozycją.

– Przynieś łańcuch – poprosiła.

W jej spojrzeniu malowała się potworna desperacja. William nie zamierzał się sprzeciwiać. Wstał powoli z kanapy i przeszedł do głównej części pracowni, gdzie schylił się i podniósł ostrożnie z podłogi łańcuch, który został tam porzucony po sesji.

Wrócił do kanapy, na której leżała Giselle, wyciągając do niego ręce w geście, który można by wziąć za modlitewny.

Owinął koniec łańcucha wokół jej nadgarstków, zauważając przy okazji, że Giselle nie zmyła z nich farby i że wciąż nosiła ślad rozdartej na niby skóry i

więzów.

– Mocniej – zażądała.

Związał mocniej jej ręce, mocując koniec łańcucha między ogniwami.

– Jesteś pewna? – Tego typu gry erotyczne nie były dla Williama niczym nowym, ale nigdy nie robił tego na tak wczesnym etapie związku ani z tak młodą osobą.

– Jestem – upewniła go Giselle. – A teraz weź swój pasek. – Zauważyła lekkie wahanie w jego sztywnym ciele, gdy dotarł do niego sens jej słów. – Proszę – dodała.

Wysunął pasek ze szlufek. Ściągnął spodnie. Przytrzymał brązowy popękany kawałek skóry w wyciągniętej ręce, chcąc owinąć go wokół jej kostek.

– Nie – przerwała mu. – Wokół szyi.

William przełknął zauważalnie ślinę. Ta dziewczyna go zaskakiwała.

Ale widać było po nim coraz większą ekscytację. Szybko narastała. Oraz niepokój, dokąd to wszystko może zaprowadzić.

Kiedy wypolerowana sprzączka zapięła się na ostatniej dostępnej dziurce, pasek wyglądał na jej szyi jak ciemna obroża.

Giselle zamrugwała kilka razy szybko.

William spojrział na nią w zupełnie nowy sposób. Był zarówno poruszony, jak i nieprawdopodobnie podniecony jej bezbronnością.

Jej związane ręce wyciągnęły się do niego, koniuszki

palców musnęły masywny tors.

William uświadomił sobie, że będzie tak, jakby pieprzył się z Joanną d'Arc.

Giselle leżała dalej z zamkniętymi oczami, oszołomiona zalewającymi ją emocjami. Czuła wszystkie więzy i po raz pierwszy miała świadomość totalnego braku kontroli. Ona też wyobrażała sobie, że jest Joanną d'Arc, jak w swoich perwersyjnych marzeniach z młodości, zachwycona świadomością, że zostanie wzięta siłą.

Dłoń Williama znalazła się na jej pośladku i Giselle aż podskoczyła.

– Zerznij mnie – zażądała.

William złapał ją szybko w pasie i odwrócił tak, że znalazła się na czworakach, wystawiając tyłek i całą resztę. Znów zachwycił się ciemnym odcieniem jej zewnętrznych warg sromowych, które wyglądały jak plama wokół różowego otworu cipki. Przyłgął wzrokiem do jeszcze ciemniejszego kwiatu drugiej dziurki.

Nigdy nie wchodził w nią od tej strony.

Zastanawiał się, czy żołnierze, inkwizytorzy i fanatyczni księża brali Joannę od tyłu podczas tortur. Zapewne tak. Legenda głosi, że umarła jako dziewica.

– Będzie bolało, Joanno – szepnął, czy może wycharczał, bo jego żądza zaczęła wymykać się mu spod kontroli.

– Dobrze – odpowiedziała. A potem powtórzyła: –

Dobrze. Dobrze.

Następnego dnia oboje byli wyczerpani i obolali. Giselle nadal zdobił łańcuch i skórzany pasek, choć już w innej konfiguracji – nie były to już więzy, tylko integralna część jej ciała, klejnoty namiętności, insygnia grzechu, na które zasłużyła swoim wyuzdaniem. Członek Williama pulsował bólem, ale nie chciał opaść. Transformacja, którą przeszła Giselle, nieustannie go prowokowała, wywołując półtrwałą erekcję. Oboje mieli wrażenie, że przedarli się przez niewidzialną barierę i wylądowali w pełni ukształtowani i nadzy w zupełnie nowej rzeczywistości. William czuł się zupełnie innym człowiekiem. Chciał jeszcze bardziej przesunąć granice, odkrywać, jak daleko Giselle jest skłonna się posunąć na niekończącej się drodze do rozkoszy.

Przede wszystkim jednak chciał znów rysować i malować. Ją. Jego cudowną kapłankę seksu, jego przepiękną czarodziejkę.

Giselle śniła na jawie, zawieszona między snem a jakimś zupełnie innym wymiarem.

William spojrzał na nią, zwiniętą nago na poplamionej sofie, sytą, niemal mruczącą z zadowolenia.

– Wyskoczę po kawę i rogaliki do kawiarenki na rogu Rue de l'École des Beaux-Arts – poinformował William.

– Zaraz wracam. Chcę zacząć nowy obraz. Jak najszybciej. Gotowa? Bo szalenie mnie inspirujesz.

– Pewnie. – Otworzyła oczy. Ciemnobrązowe źrenice wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle.

Gdy kwadrans później wrócił z zakupów, zobaczył, że Giselle przesunęła stary stół na kozłach, na którym zwykle trzymał pędzle i inne przybory, i ustawiła go na samym środku pracowni, dokładnie pod oknem połaciowym, tak aby znajdował się w stożkowym strumieniu światła. Nakryła blat prześcieradłem i położyła się, rozkładając szeroko nogi, obnażając się nieprzyzwoicie, otwarta, niczym baranek ofiarny na ołtarzu oczekujący na mistrza ceremonii.

William od razu rozpoznał tę scenę. Ona również znajdowała się w czasopiśmie pełnym grafik przedstawiających życie Joanny d’Arc. Ale na ilustracjach dziewczica była ubrana, a nie obnażona do naga i upokorzona. Giselle najwyraźniej improwizowała.

– Zwiąż mnie – poprosiła błagalnie.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać, odczekał i spełnił jej prośbę.

Kiedy kilka minut później nakrył ją własnym ciałem i wsunął pulsujący członek w jej otwór, zasypując pocałunkami jej szyję, Giselle szepnęła:

– Jeśli zadasz mi ból, wyjawię ci wszystkie swoje tajemnice.

Poczuła, jak wbija się w nią, brutalny, twardy jak skała, bezlitosny. Opowiedziała mu o swoich młodzieńczych fantazjach na temat Joanny d’Arc i o

tym, jak zawstydzające podniecenie połączyło się z tą nową, niepewną, lecz pożądaną formą zachwyty. Z potwornie mieszanymi uczuciami związanymi z tym, że pragnęła doświadczyć poniżenia.

William przytrzymał ją za nadgarstki i niemal przyduszał ciężarem swojego ciała.

Opowiedziała mu o wszystkich swoich grzesznych fantazjach i w końcu poczuła się wolna.

William rznął ją bez opamiętania, klepiąc po tyłku i ciągnąc za włosy tak, że na moment straciła oddech.

Wiedział już o niej wszystko.

Wierzyła pod nim, stawiała opór, upajała obwodem wdzierającego się w nią fiuta, rozrastającego się w niej tak, że miała wrażenie, że więcej już nie pomieści, że jej pochwa bardziej się nie rozciągnie.

Giselle krzyczała. Z bólu. Ze szczęścia.

William charczał, wzdychał.

Płynęli na fali.

Kiedy kilka dni później opuścili w końcu przesiąkniętą seksem pracownię, William zdążył ukończyć tryptyk i całą serię szkiców, z których każdy był bardziej obsceniczny od poprzedniego, zachwycającą pornografię, na której olśniewająca twarz Giselle promieniała jak słońce. Po tym pierwszym wieczorze Giselle nie włożyła już ubrań, przywykła do całkowitej nagości, zarówno fizycznej, jak i mentalnej, więc kiedy wyszła w końcu ubrana na Boulevard Saint-Germain, poczuła się nieswojo.

– Chyba wreszcie mogę się pożegnać z Joanną – wyznała, gdy zmywali z siebie gorącym strumieniem oczyszczającej wody kilkudniowe ekscesy.

– Ja też – przyznał William. – Może powinniśmy spróbować czegoś nowego, wygrzebać inne głęboko ukryte wspomnienia? Żegnaj Joanno, witaj Giselle.

Giselle przeciągnęła się leniwie, wyszła z kabiny prysznicowej i sięgnęła po ręcznik.

– Masz ochotę na małą wycieczkę?

Pod kołami samochodu chrzęścił żwir. Wjeżdżali na długi podjazd prowadzący do wznoszącego się przed nimi olbrzymiego wielopiętrowego domu – jak po łodyżce prowadzącej do główki kwiatu. Dźwięk był gęsty i intensywny i z jakiegoś dziwnego powodu kojarzył się Giselle z wbijaniem zębów w kremówkę. Ale może była po prostu zmęczona długą podróżą, a przyjazd w jasny jak świeżo wybita moneta dzień był ostatnim dziwnym elementem całej tej przygody i jej wyobraźnia zaczęła nieco fiksować.

Wylecieli wieczorem, ale nieprzewidziane opóźnienia i zapodziata walizka oznaczały, że zamiast przybyć na miejsce w piątek w nocy, spędzili jeszcze kilka godzin na lotnisku, gdzie oparci o siebie czekali na bagaż, który przybył późniejszym lotem. Zajechali więc na miejsce raczej w porze śniadania niż spania.

To była pierwsza podróż Giselle za Atlantyki i

wszystko, od odgłosów silnika, który pozwolił im wzbić się w przestworza na wielkich metalowych skrzydłach, po pracę taśmociągu bagażowego, wydawało się jej zarówno dziwne, jak i fascynujące. Wiedziała, że patrząc na nich, ludzie pewnie się zastanawiają, czy William jest jej ojcem, czy partnerem, założyła więc na podróż skromne lniane spodnium, które potwornie się pognioło, i usiłowała robić wrażenie osoby światowej, jakby Nowy Jork był jedynie kolejną pieczętką w wypełnionym paszporcie. W rzeczywistości jednak przez większość czasu rozglądała się wokół wielkimi oczami albo przysypiała na ramieniu Williama.

Wyglądało na to, że nikt nie wie, kto jest właścicielem rozłożystego domu o wyglądzie labiryntu, w którym mieli spędzić kilka najbliższych dni. Giselle nie chciała opuszczać zajęć ani nadużywać uprzejmości Frei, prosząc o więcej niż kilka dni wolnego w kwaciarni, więc uzgodnili, że wyjadą na przedłużony weekend. William zasugerował, że być może zostanie dłużej, jeśli będą tego wymagać sprawy zawodowe, ponieważ wielu prywatnych kolekcjonerów, którzy zamawiali u niego co bardziej ekskluzywne dzieła, będzie tu obecnych i stanowiło to dobrą okazję do nawiązania nowych kontaktów.

I do pochwalenia się nową modelką, pomyślała Giselle.

Kamienie, którymi wysypany był rozległy parking, zastawiony już drogimi samochodami, były ostre i kłuły

Giselle w stopy, kiedy ostrożnie stawiała między nimi kroki. Jej buty były płaskie i miały cienką podeszwę. Wolała takie – być może to balet wyrobił w niej taki nawyk. Lubiła czuć stopami ziemię. Dzięki temu miała wrażenie, że ma większą równowagę, że jest bardziej osadzona w sobie.

Spojrzała na dom. Miał trzy piętra, białe ściany i jasny dach w kolorze mięty, wokół zaś rozciągał się, zdawałoby się w nieskończoność, ogromny trawnik, jakby budynek unosił się na powierzchni bezkresnego zielonego oceanu, statek na środku idealnie płaskiej zatoki o barwie limonki. A dzięki wysokiej bramie, która zamknęła się za nimi, połykając ich zaraz po tym, jak przez nią przejechali, oraz linii drzew, która oddzielała nieruchomość od ewentualnych wścibskich sąsiadów, równie dobrze mogli znajdować się na wyspie.

Na środku zatoczki parkingowej stała duża marmurowa fontanna. Giselle zatrzymała się, żeby przyjrzeć się oddanym z niezwykłym realizmem ciałom zdobiącym posąg: przedstawiał parę, splecioną ze sobą tak namiętnie, że zdawała się jedną osobą, niczym mityczne stworzenie z jedną głową i dodatkową parą rąk i nóg. Obie postacie zdawały się trzymać nawzajem z taką siłą, że ich uścisk można by uznać za walkę, gdyby nie sposób, w jaki lgnęły jednocześnie do siebie.

– Piękne, prawda? – William podszedł do niej tak cicho, że Giselle nawet go nie zauważyła. Myślała, że

jest zajęty wyciąganiem walizek z bagażnika. Ponieważ nie wiedziała ani w co się ubrać, ani co właściwie będą robić przez kilka najbliższych dni, a także kim są ich gospodarze, postanowiła spakować się lekko i zabrała ze sobą tylko lniane spodnium, które miała w tej chwili na sobie, zmysłową kremową bluzeczkę z krótkim rękawem i dekoltem w szpic, kilka zmian bielizny i małą kosmetyczkę na zamek, do której zapakowała szczoteczkę do zębów i kilka kosmetyków, których od czasu do czasu używała. Nie pomyślała o zabraniu stroju kąpielowego i teraz trochę tego żałowała. W takim miejscu na pewno był basen. W tej chwili z przyjemnością wspięłaby się na niski marmurowy murek okalający objętą parę, zdjęła buty i zanurzyła nogi w chłodnej wodzie u podstawy fontanny, żeby trochę się ocucić i zmyć ze stóp długą podróż.

– Próbowałaś kiedyś rzeźbić? – spytała. – Lub w ogóle to rozważałaś? – Dostrzegła podobieństwo między stylem Williama – jego ulubionym hiperrealizmem – i wznoszącą się przed nią rzeźbą. Poza tym jej zdaniem William nadawał się do pracy rękami. Do tego, żeby za pomocą swoich dużych silnych dłoni tchnąć w coś życie – w taki sam sposób, w jaki czasem ją gładził, jakby odzierał ją z niewidzialnej zewnętrznej warstwy i odsłaniał tę jej część, którą zwykle starannie ukrywała.

William pokręcił głową, powodując, że gęsta masa jego ciemnych loków załopotała dziko na lekkim

wietrze, i pogładził się po brodzie, co robił, kiedy czuł się zniecierpliwiony lub sfrustrowany.

– Nie – powiedział. – Nie. Lubię malować. Ożywiać człowieka kolorem... To co innego. W tym przypadku... – nachylił się i dotknął marmurowego posągu. – ...cała ekspresja kryje się w muskulaturze, w kształcie ciała. Ja natomiast koncentruję się na skórze, na świetle. Rozumiesz?

Giselle zmarszczyła brwi i chciała już powiedzieć, że tak, że rozumie, ale że uważa, iż dla artysty eksperymentowanie z różnymi środkami wyrazu nie może być złe, jednak w tym samym momencie otworzyły się podwójne drzwi i w ich kierunku ruszył jakiś mężczyzna.

– William! – zawołał, rozkładając szeroko ramiona w wylewnym geście, gotowy objąć dawno niewidzianego przyjaciela, choć znajdował się jeszcze wiele metrów dalej.

– Witaj, Sebastianie – odezwał się William serdecznym, swobodnym tonem i uśmiechnął się szeroko. Giselle już dawno nie widziała go tak odprężonego.

Sebastian nie był aż tak wysoki jak William, ale był też mniej więcej o połowę chudszy, przez co sprawiał wrażenie wyższego. Miał króciutko przystrzyżone siwe włosy, spomiędzy których prześwitywała odrobinę białoróżowawa skóra, która w połączeniu z długim ciałem sprawiała, że przypominał trochę szczura

albinosa. Miał na sobie długą do ziemi pelerynę z czerwonego aksamitu, którą nosił jak suknię, ale kiedy się rozchyliła podczas jego zamaszystej gestykulacji, odsłoniła trzyczęściowy garnitur w prążki, do kompletu z zegarkiem kieszonkowym i wykonaną z piórek kremową muszką. Na nogach miał czarno-białe buty z lakierowanej skóry, które błyszczały w porannym słońcu jak odbijające się od tafli wody promienie.

Giselle pomyślała, że ten człowiek musi być artystą, co by wyjaśniało, skąd się znali z Williamem, choć Sebastian był pewnie od niego dwa razy starszy.

– A to pewnie twoja najnowsza muza – odezwał się starszy mężczyzna, gdy wreszcie do nich doszedł. Zanim zamknął Williama w potężnym uścisku, skłonił się nisko i pocałował Giselle w rękę. Cała się zjeżyła na słowo „najnowsza” i tylko z grzeczności nie wyrwała staremu ręki. Palce Sebastiana były pokryte pierścionkami. Jeden z nich prezentował się wyjątkowo okazale: miał oprawione w złoto onyksowe oczko. Czarne jak noc, jakby czarownica wykroiła kawałek ciemności i zamieniła go w klejnot.

– Giselle, Sebastian, Sebastian, Giselle – przedstawił ich sobie William. – Sebastian też jest malarzem. Jak się zapewne domyśliłaś – wyjaśnił, wskazując głową ekstrawagancki strój kolegi i unosząc znacząco brwi.

– Masz piękny dom – powiedziała Giselle.

Sebastian wybuchnął perlistym śmiechem.

– Nie, nie – zaprzeczył. – Jestem tu tylko gościem. Ale

dziękuję. Pochlebia mi fakt, że wyglądam na kogoś, kto ma tyle szmalu, co właściciel tego miejsca. Kimkolwiek jest.

– To znaczy, że nikt nie wie, kto jest naszym gospodarzem? – spytała zaciekawiona Giselle.

– Podobno to jakaś podstarzała dama z wyższych sfer – odparł Sebastian. – Ale pewnych rzeczy czasem lepiej nie wiedzieć, nie sądzisz? Tajemnica jest romantyczna.

Koniecznienie chciał pomóc Williamowi z bagażami i w drodze do domu poniósł walizkę Giselle.

Weszli do środka i znaleźli się na długim korytarzu, od którego odchodziło tak wiele drzwi, że Giselle miała wrażenie, że znalazła się między dwoma rzędami drzwi. Odwracała głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, bo w niektórych pokojach dało się dojrzeć lokatorów.

Zatrzymali się u wylotu schodów. Mężczyźni przełożyli niesione walizki do drugiej ręki, a Giselle rozejrzała się wokoło. Patrzyła na grupkę kobiet grających parami w ping-ponga. Miały na sobie sukienki obszyte maleńkimi cekinami, przez co połyskiwały jak ławica ryb, gdy skakały wokół dużego stołu, żeby odebrać piłeczkę, zanim spadnie na podłogę. W pokoju naprzeciwko zamiast podłogi rosła trawa, na której kilku młodych mężczyzn rozgrywało partyjkę krokieta. Młodzieńcy mieli na sobie spodnie w paski i czerwone szelki i byli bez koszul. Kiedy się śmiali, widać było wyraźnie ich umięśnione torsy.

Giselle pociągnęła nosem. Myślała, że „trawa” to jakiegoś rodzaju dywan, ale poczuła wyraźnie ostry zapach świeżo skoszonego trawnika.

– Ta trawa chyba nie może być prawdziwa? – spytała Sebastiana, wyciągając rękę w kierunku zielonej połaci, na której chłopcy rozgrywali piłkę.

– Ależ może, skarbie – odparł. – Wszystko, co tu widzisz, jest prawdziwe. Niektóre rzeczy są tak nierzeczywiste, że wydają się bardziej rzeczywiste od samej rzeczywistości. Hiperrealistyczne, jak obrazy twojego przyjaciela, i moje. Fantazja jest dużo bardziej realistyczna niż rzeczywistość, nie sądzisz? A fantazja wprowadzona w życie ma trzy razy większą wartość niż życie.

Giselle nie była pewna, czy zrozumiała. Mówił, jakby cytował na wpół zapomnianą piosenkę. Zrozumiała część z tego, co mówił, ale nie bardzo pojmowała całość. Pomyślała o swoich fantazjach na temat Joanny d’Arc i o tym, że kolory, dźwięki i emocje przywoływane w tych marzeniach były żywsze, głośniejsze i bardziej przenikliwe niż monotony wystrój niewielkiego pokoiku, w którym się znajdowała, gdy je przywoływała, ale przecież taka była natura wyobraźni, prawda?

Z obu stron korytarza dobiegł ją śmiech – płynna mieszanina głosów młodych kobiet i mężczyzn, wysokie i niskie tony zachodzące na siebie niczym spływający ze skał potok.

Poszli na górę. Schody były okrągłe i kręte, a kiedy w połowie drogi Giselle spojrzała w dół, zobaczyła kolejną grupkę wypoczywającą na wyłożonych poduszkami łóżkach ukrytych za podstawą schodów. Nie spali, ale wydawali się oszołomieni – znajdowali się w stanie błędnego odurzenia.

Zdała sobie sprawę, że przyjechali na koniec jakiejś imprezy i że mieszkańcy domu odpoczywają teraz zapewne po ekscesach minionej nocy, a nie szykują się do śniadania.

Skręcili w kolejny korytarz na pierwszym piętrze. Był szeroki, przestronny i widny. Ściany i sufit były pokryte przedziwnymi, niezwykle obrazowymi malowidłami. Giselle stanęła po prostu na chwilę i zaczęła je oglądać. Dzieło przedstawiało różne tematy, ale każdy fragment, na który spojrzała, miał w sobie zarówno coś zmysłowego, jak i niepokojącego. Byli tam uprawiający seks kochankowie, a obok rozdzierające się na strzępy zwierzęta, roje pszczół zasnuwające biały, niczym nieskażony krajobraz jak ciemne chmury, czerwone i fioletowe owoce ociekające sokiem w kolorze krwi, topniejące zegary w stylu Dalego i króliki z Krainy Czarów, ubrani w garnitury mężczyźni z głowami ryb lub dziobami ptaków lub inni, o ludzkich twarzach, ale zwierzęcym zachowaniu. Kobiety miały obnażone piersi i rozchylone uda, a ich miny wyrażały w równym stopniu przerażenie co pożądanie, widać też było prześliczne dziewczęta szczerzące w uśmiechu kły lub

niewiasty o pustych twarzach sugerujących dojrzałość ponad wiek.

– Zaczekaj, aż zobaczysz malowaną kobietę – powiedział Sebastian. – To tutaj to dopiero wstęp. – Pokazał skinieniem, żeby szli dalej.

Giselle była zbyt dobrze wychowana, żeby powiedzieć to na głos, ale liczyła w duchu, że w ich pokoju nie będzie tego rodzaju dekoracji, bo miała pewność, że przy czymś takim nie zaśnie. Czy ktokolwiek w tym domu spał, zastanawiała się, gdy mijali kolejną grupę gości, tym razem przebranych w wiktoriańskie stroje do jazdy konnej i prowadzących przed sobą kogoś przebranego za konia. Jedna z mijających ich kobiet, ciemnowłosa, wysoka i piersiasta, o haczykowatym nosie i czarnym kapeluszu dwa razy wyższym od jakiegokolwiek, jaki Giselle widziała do tej pory, ozdobionym jeszcze dłuższym piórem z wymalowaną talią kart, puściła do niej oko. Kiedy Giselle odwróciła się, żeby odprowadzić ją wzrokiem, zobaczyła, że kobieta była ubrana tylko do połowy – jej gorset i długa spódnica z przodu wydawały się pełne, ale z tyłu w ogóle ich nie było, miała tylko coś w rodzaju upręży, która przytrzymywała ubiór, owiniętą wokół ramion, pośladków, ud i łydek. Kobieta, wyczuwając być może wzrok Giselle, odwróciła się i znów mrugnęła. Jej powieka poruszała się powoli w iście gadzi sposób, co wyglądało na celowe zachowanie kobiety wyzbytej wszelkiej moralności lub po prostu

nienaturalnie powolny ruch osoby zbyt długo pozbawionej snu.

W końcu doszli do ich pokoju. Przydzielono im dwa, mimo że tłumaczyli, że i tak będą spać razem i że nie potrzebują dodatkowej przestrzeni. Giselle z ogromną ulgą zobaczyła, że pokoje były pomalowane na biało i że nie było w nich żadnych przerażających mebli, zaś po zamknięciu drzwi było w nich cicho. Pomieszczenia łączyły się ze sobą za pomocą drzwi i przylegała do nich duża wspólna łazienka.

Wzrok Giselle powędrował na łóżko. Było pościelone na biało, nieskazitelne, a jednocześnie tak duże, że zmieściłoby się na nim sześć osób, co stanowiło dość dziwne zestawienie. Giselle była śmiertelnie zmęczona, ale jednocześnie bezbrzeżnie ciekawa. Miała wrażenie, że obudziła się w jakimś śnie, a mimo to nie chciała naprawdę zasnąć, żeby przypadkiem nie stracić najlepszej części.

– Chodźmy na śniadanie – powiedział William, jakby czytał jej w myślach. – Zjemy, poznamy kilka osób, a potem wrócimy i odpoczniemy.

Giselle pokiwała głową na zgodę i zaczęła się rozbierać. Powiesiła garsonkę i spodnie na wysokim oparciu krzesła wsuniętego pod biurko, które zajmowało całą długość ściany przylegającej do łazienki. William podszedł do niej od tyłu, gdy rozsunęła drzwi do kabiny prysznicowej, i położył ręce na jej biodrach. Oparł brodę o zagłębienie jej szyi i

zsunął na uda białe koronkowe figi, które miała na sobie. Poczwała wbijający się w pośladki twardy członek i zaczęła instynktownie się odwracać, żeby pocałować Williama, rozpiąć mu spodnie i jeszcze przed prysznicem kochać się z nim na łóżku.

– Nie – powiedział. – Zostań tu. Chcę cię tak jak teraz.

Uniósł jej ręce nad głową i położył dłonie na szklanej tafli oddzielającej strefę prysznicową.

Rozległ się cichy trzask rozpinanej sprzączki, a potem delikatny szelest brązowej skóry ocierającej się o górną część spodni, po którym na podłogę spadło coś z głośnym odgłosem. Giselle natychmiast sobie wyobraziła, jak musi wyglądać teraz William: nogi i szerokie pośladki gołe, spodnie opuszczone na podłogę, skarpetki, buty i koszula wciąż na swoim miejscu, łydki rozstawione, żeby zachować równowagę, między rozstawionymi nogami być może widać luźną, miękką skórę jąder. Była to jej zdaniem pozycja z natury perwersyjna. Myśl, że on ma prawie wszystkie ubrania na sobie, podczas gdy ona jest naga i stoi odwrócona do niego tyłem z rozstawionymi nogami i rękami, nie wiedząc, kiedy William zdecyduje się w nią wejść, sprawiała, że czuła się bezradna. A przez to, że nawet nie ściągnął spodni – że zamierzał ją przelecieć w butach i skarpetkach – czuła się tak, jakby zdecydował się na nią w ostatniej chwili, jakby była obiektem pożądania, które wygasło, zanim na dobre zdążyło się rozpaść, żądry, dla której nie warto nawet było się rozbierać.

Giselle czuła się rozdarta tymi myślami, podobnie jak wcześniej fantazjami na temat Joanny. Czuła, że powinna się brzydzić własnymi pragnieniami, a mimo to im bardziej się koncentrowała na przyczynach tego obrzydzenia, tym bardziej ją one podniecały. W głębi serca wiedziała, że William wcale nie zdecydował się na nią w ostatniej chwili ani nie traktował jej jak maszynki do seksu, a mimo to sama taka myśl niesamowicie ją pobudzała. Tego rodzaju myśli rozpały jej wyobraźnię i sprawiały, że robiła się mokra. Jakby przekraczanie norm podniecało ją bardziej niż sam akt. Nie wsuwający się w nią członek, jak miało to miejsce teraz – zaparła się mocno rękami o szklaną taflę, podczas gdy on poruszał się w niej i jęczał – ale fakt, dla którego robił to w taki, a nie inny sposób. Oboje osunęli się na przegrodę prysznicową, a Giselle stwierdziła, że czasami w seksie wcale nie chodzi o sam seks.

Stosunek trwał zaledwie kilka minut i Giselle nawet nie doszła. Ale orgazm Williama i jego pospieszny charakter sprawiły jej przyjemność. Porażająca siła, z jaką ją pożądał, wyrażona faktem, że posuwał ją na wpół ubrany, przyciśniętą do drzwi łazienki jeszcze przed śniadaniem sprawiała, że Giselle czuła się pożądana i kochana. Zdawała sobie sprawę ze swoich sprzecznych uczuć, ale mimo to odczuwała satysfakcję. Jej zdaniem nie było sensu rozkładać na czynniki pierwsze wszystkich „dlaczego” i „z jakiego powodu” rozkoszy. Wystarczyło, że odczuwała przyjemność.

William usunął ją na bok i obejmując ją lekko, odkręcił kurek, po czym po kolei zmyli z siebie brud ostatnich dni.

Giselle owinęła się dużym, żółtym jak cytryna ręcznikiem kąpielowym, który znalazła złożony na drewnianej półce pod zlewem, i przyglądała się, jak William się myje. Lubił stać pod wodą dłużej niż ona, a gorący prysznic kończył często silnym strumieniem zimnej wody. Mówił, że w ten sposób się budzi i nabiera energii.

– Wziąłem dla ciebie trochę ubrań – oznajmił, wycierając się energicznie ręcznikiem.

Giselle usłyszała w jego głosie wahanie oznaczające, że chciał poprosić ją o coś, czego nie był pewny, lub powiedzieć coś, co mogło się jej nie spodobać.

– Tak? – odpowiedziała. – Spakowałabym się właściwie, gdybym wiedziała, na co się przygotować.

– Wątpię, żebyś miała ubrania na taką okazję – stwierdził.

– A na jaką okazję tak właściwie się ubieram? – Pomyślała o strojach, które widziała do tej pory na innych gościach.

– Trudno to wyjaśnić – odpowiedział. – Lepiej przekonać się na własne oczy i za bardzo się nad tym nie zastanawiać. W szafie wisi sukienka. – Wskazał wysoką szafę w rogu pokoju. Sięgała niemal sufitu i była wąska, prosta, wykonana z bardzo ciemnego, wypolerowanego na gładko drewna. Tego rodzaju szafa w dzieciństwie na

pewno wywoływałyby koszmary. Otwierając ją z wahaniem, Giselle stwierdziła, że wygląda jak trumna. W środku na drążku wisiało tylko jedno ubranie. Giselle dotknęła tkaniny, po czym ściągnęła sukienkę z wieszaka i uniosła ją do światła. Była luźna, biała, niemal bezkształtna i całkowicie przezroczysta, z długimi dzwonowatymi rękawami, które sięgały aż za nadgarstki, w stylu Lady Marion, z głębokim dekoltem w szpic.

– Jest jeszcze pasek – poinformował William. Przyglądał się jej w napięciu, czekając na jej reakcję.

Giselle sięgnęła znów do szafy i ściągnęła z drążka długi, cienki sznurkowy pasek. Wiązało się go za pomocą supła przeciąganego przez złotą pętelkę.

Nawet nie pytała, czy William kupił też dopasowaną kolorystycznie halkę. Wiedziała, że odpowiedź będzie brzmiała „nie”. Serce zaczęło jej bić mocniej na myśl o tym, że miałyby wystąpić przed przyjaciółmi i znajomymi Williama w czymś tak cieniutkim i przejrzystym. Rozłożyła suknię na łóżku, po czym włożyła ją przez głowę i odwróciła się do szerokiego, długiego lustra w pozłacanej ramie, które wisiało na ścianie naprzeciwko łóżka i stanowiło jedyny ozdobny mebel w całym pokoju.

– Buty? – zapytała.

– Wydaje mi się, że nie będziemy jeść na dworze. Pantofle w zupełności wystarczą, jeśli ich potrzebujesz.

William patrzył na nią błyszczącymi oczami, chłonąc

widok jej jędrnego ciała prześwitującego przez cienką tkaninę, która układała się miękko na krągłościach jej pośladków.

– Wyglądasz jak rzeźba – stwierdził. – Wykonana z marmuru. Ale nie taka zimna. – Kąciki jego ust uniosły się w półuśmiechu.

Giselle przeczesła palcami włosy – były jeszcze lekko mokre po prysznicu, choć starała się ich nie moczyć – i postanowiła zostawić je w takiej postaci: opadające na ramiona, lekko podkręcone na skutek wilgoci z łazienki. Zastanawiała się, czy nie nałożyć różu na policzki lub nie pomalować błyszczkiem ust. Chociaż było rano, czuła się tak, jakby szli na przyjęcie.

William przebrał się w świeże granatowe spodnie i czystą białą koszulę, którą uzupełnił o ciężkie srebrne spinki do mankietów. Spodnie, które miał na sobie w podróży, leżały w nieładzie pod drzwiami prysznicu.

– Gotowy? – spytała Giselle.

Skinął głową, wziął ją za rękę i wyszli razem na korytarz. Pokrywające ściany malunki zdawały się napierać na Giselle, drwiąc z niej, śmiejąc się i łypiąc pożądliwie. Gdyby wierzyła w sny lub raczej w koszmary, podejrzewałaby zapewne, że oczy w otaczających ich namalowanych twarzach oglądają się za nią.

Giselle nigdy nie uczestniczyła w takim posiłku jak to śniadanie.

Stół został zastawiony na górze, nie na dole, jak się

spodziewała. Weszli krętymi schodami piętro wyżej i znaleźli się w olbrzymim pomieszczeniu zajmującym całe piętro. Stół na kozłach do kompletu z krzesłami i wyszukanyymi srebrnymi sztucami ciągnął się przez całą długość sali – wielkości połowy boiska do piłki nożnej. Rozmowy przy stole toczyły się dziwnie cicho, zważywszy na liczbę siedzących przy nim osób, co najmniej stu, jak uznała Giselle. Panie w cekinach, które grały wcześniej w ping-ponga, siedziały dokładnie na środku, naprzeciwko krokietistów z czerwonymi szelkami, z których żaden nie włożył do posiłku koszuli.

Sebastian siedział na samym końcu, a na ich widok podniósł się i pomachał, żeby zwrócić na siebie ich uwagę.

– William, mój drogi! – zawołał. Jego głos z łatwością przebił się przez tłum i wszyscy odwrócili się, żeby spojrzeć na nowo przybyłych. – Zająłem wam dwa miejsca obok siebie. Chodźcie – przywołał.

Był ubrany w tę samą długą czerwoną szatę, co wcześniej, a kiedy podeszli bliżej, Giselle zauważyła, że niemal wsadza rękawy w dzbanuszek ze śmietanką ustawiony przy jego nakryciu razem z dużą babeczką i solidną porcją dżemu. Na głowie miał czarny cylinder ze srebrną wstążką zawiązaną z przodu w dużą kokardę, zwisającą kilka centymetrów nad jego lewym okiem.

– Prześliczny kostium, moja droga. Masz piękne piersi. Z przyjemnością bym je kiedyś namalował.

Otwartość jego komplementów, dobrze słyszalnych w

całej sali, zbiła Giselle z tropu.

– Dziękuję – odpowiedziała, siadając na jednym z krzeseł, które wysunął spod stołu. Siedziała naprzeciwko Williama, między Sebastianem a korpulentnym mężczyzną, który miał niemal idealnie okrągłą i całkowicie łysą głowę. Gdyby nie długie czarne wąsy, które zostały starannie podkreślone na wosk tak, że opierały się sile grawitacji i odstawały po obu stronach ust jak gęste kocie wąsy, wyglądałby jak duża cielista piłka do baseballu. Miał na sobie jasnioletową kamizelkę i czarne krótkie spodenki w prążki, podwinięte na wysokości kolan.

Zjawili się dwaj kelnerzy, jeden przy Giselle, a drugi przy Williamie, ale zrobili to tak bezszelestnie, jakby zmaterializowali się z powietrza, a nie przeszli przez całą salę. Obaj byli młodzi i zupełnie nadzy poza odprasowanymi białymi fularami zawiązanymi na szyjach jak krawaty oraz kawałkami białego płótna na przedramieniu trzymanym sztywno przed sobą, z wojskową precyzją.

Wzrok Giselle powędrował samoistnie do ciała nagiego kelnera, który stanął obok Williama i pytał go, czy woli kawę czy herbatę. Trzymał w ręce srebrną tacę, na której ustawiony był lśniący imbryczek z parującym płynem. Mężczyzna był opalony – jego skóra miała głęboki złotobrazowy odcień nowiutkiej monety – a każdy mięsień był wyraźnie zarysowany, jak na posągach Michała Anioła. Jego penis był długi i prosty i

odstawał delikatnie od ciała, jakby na granicy lekkiego wzwołu. „Uniform” uzupełniała cienka srebrna wstążeczka zawiązana u podstawy jego członka.

Jego jądra były ciężkie i ewidentnie ciepłe, ponieważ wisały nisko i – jak pomyślała Giselle – zachęcająco. Była tak oczarowana tym widokiem, że nawet nie zauważyła, że kelner obok niej pyta, co by chciała do picia, póki nie powtórzył pytania dwukrotnie, a Sebastian nie wtrącił swoim donośnym piskliwym teatralnym głosem:

– Zamiesz ci cukier swoim fiutem, jeśli go ładnie poprosisz, moja droga, prawda, kochaneczku? – Mówiąc to, klepnął kelnera w goły tyłek, przez co zatrzęsły się wszystkie naczynia na tacy, ale kelner nawet się nie skrzywił, zachowując kamienną twarz.

Na policzki Giselle wypłynął głęboki rumieniec, gdy zdała sobie sprawę, że została przyłapana na tym, że siedząc naprzeciwko ukochanego mężczyzny, pożera wzrokiem innego. Ale William wydawał się tym tylko rozbawiony.

– Patrzenie to nie grzech, moja droga – ciągnął Sebastian, klepiąc ją po nadgarstku tą samą ręką, którą wymierzył klapsa kelnerowi.

– Coś więcej też nie – dodał niskim głosem William, tak cicho, że szcęk sztućców i ciurkanie herbaty nalewanej do porcelanowych filiżanek niemal całkowicie zagłuszyły jego słowa, które dotarły jednak do Giselle gorącą falą.

Sebastian zgodził się z nim skinieniem głowy, nie dziwiąc się nawet temu, co przez to rozumiał William, po czym dodał:

– Na to będzie czas później, jak już wypoczniecie. Niektórzy z tu zebranych robią to od wielu dni – wyjaśnił, patrząc na siedzących przy stole ludzi.

Giselle też się odwróciła.

Początkowo zwróciła tylko uwagę na kostiumy gości. Na blichtr i wytworność, pióra i jedwabie, satynę, skórę i koronki, a wszystko pięknie skrojone i niezależnie od tego jak bardzo ekscentryczne, noszone z pewnością siebie godną najbardziej reprezentacyjnego europejskiego dworu. Dopiero teraz zauważyła twarze. Wszyscy śmiali się, uśmiechali lub siedzieli spokojni, ale zadowoleni, wyciszeni. Na twarzach mieli wypieki, a w oczach błysk, który Giselle widziała do tej pory tylko u tancerek, które poszły na całość i wypadły znakomicie podczas najbardziej ryzykownego i najlepszego występu w swojej karierze. Było to szczere spojrzenie autentycznie wolnych osób, które postawiły swoje serce na szali i wygrały los na loterii.

Biesiadnicy otwarcie czulili się do swoich sąsiadów, niemal do granicy nieprzyzwoitości. Dziewczyny z cekinami macały się nawzajem po piersiach i porównywały ich jędrność z różnymi owocami ułożonymi ozdobnie na paterze na środku stołu. Krokieści karmili się nawzajem dżemem i śmietanką i scałowywali te prowizoryczne słodczyce ze swoich ust.

Siedzący dalej goście, którym zrobiło się niewygodnie w ciasnych gorsetach, zaczęli je rozwiązywać i odsłaniać biusty i torsy, naznaczone czerwonymi żłobieniami, głębokimi jak doliny na gładkich wybrzuszeniach ich ciał.

Młoda kobieta w błękitnej sukni z ogromną spódnicą z falbanami, która wirowała wokół niej jak zegar słoneczny, klęczała i trzymała w ustach fiuta jednego z kelnerów, który trzymał w ręce butelkę szampana i nalewał musujący trunek z takiej wysokości, że bąbelki tworzyły istny wodospad wpadający do podstawionych kieliszków gości. Zamiast jednak pić szampana z kieliszków, goście oblewali się nawzajem chłodnym płynem i spijali alkoholowe strumienie spływające z cudzych sutków.

Uwagę Giselle znów coś odwróciło, tym razem burczenie we własnym brzuchu. Miała wrażenie, że minęła cała wieczność, odkąd ostatni raz jadła porządny posiłek, a kiedy ona przyglądała się wygłupom przy stole, jeden z nagich kelnerów nałożył jej na talerz śniadanie: kacze jajo ugotowane, tak jak lubiła, na miękko, umieszczone w gładkim zagłębieniu złotego kieliszka, oraz koszyczek z opieczoną brioszką, pokrojoną na jednokęsowe kawałki. Oprócz tego podano jej tropikalny owoc, z którego wycięto maleńkie kwiatuszki, zimną galaretkę serwowaną w postaci kuleczek przypominających kulki lodów i dużą babeczkę z polewą z serka kremowego. Kiedy ją ugryzła, na język

wypłynął krem cytrynowy.

Jadła i piła, a kiedy wreszcie skończyła, poczuła ożywienie, jakby przynajmniej częściowo nakarmiła swoje zmęczenie na równi z zaspokojeniem głodu i pragnienia.

Wrócili z Williamem do swojego pokoju i zasnęli tak głębokim snem, jakby zapadli w śpiączkę. Giselle obudziła się gwałtownie dopiero wtedy, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Wstała z łóżka i otworzyła, uświadamiając sobie po czasie, że jest całkiem goła, choć nie miało to co prawda większego znaczenia.

Na korytarzu nikogo nie było. Giselle popatrzyła najpierw w jedną, potem w drugą stronę, zastanawiając się, czy pukanie tylko jej się przyśniło, ale nagle opuściła wzrok i zauważyła na podłodze u swoich stóp owinięty w bibułę pakunek, a na nim dużą kremową kopertę zapieczetowaną czerwonym woskiem. Podniosła ją, obróciła w dłoniach i rozdarła, ponieważ była zaadresowana zamaszystym pismem zarówno do niej, jak i do Williama. Wosk był jeszcze ciepły. Otworzyła załączoną kartkę, a na podłogę posypał się obłoczek srebrnego pyłu. W środku widniały słowa: „Ostatnie piętro”, wypisane wąskimi, granatowymi literami.

Giselle zamknęła drzwi i wróciła do łóżka, w którym dalej wylegiwał się William. Pocałowała go w czoło, podała mu bilecik i zaczęła rozwijać bibułę.

W środku znajdowała się czarna satynowa szata. Giselle uniosła ją w wyciągniętych rękach. Była

znacznie dłuższa niż ona i zdecydowanie na nią za duża. Podała ją Williamowi. Poza tym w paczce znajdowała się jeszcze tylko szklana butelka, mniej więcej wielkości butelki śmietany, którą jej matka zamawiała z pobliskiej mleczarni. Była chłodna w dotyku i zawierała biały płyn, który mienił się i połyskiwał przez szkło, gdy Giselle uniosła naczynie do światła.

– Jeśli to wypijesz, zamienisz się w żabę?

– Ależ mi schlebiasz – odpowiedział William. – Raczej z żaby w księcia.

Odkręcił butelkę i rozsmarował sobie odrobinę jej zawartości na nadgarstku.

– Farba do ciała – poinformował. – Wydaje mi się, że to twoje przebranie.

– No cóż – skwitowała Giselle. – Wydaje mi się, że będzie zasłaniać równie dużo co szyfon, który miałam na sobie rano, ale tutaj to chyba i tak nie ma znaczenia.

– Ma piękny połysk – zauważył William, przyglądając się smudze na swoim nadgarstku. – Będziesz wyglądać jak bogini księżyca.

Zerknął na zegarek leżący na nocnym stoliku.

– Północ – oznajmił. – Przespaliśmy cały dzień i pół nocy.

Znów się wykapali, tym razem w pośpiechu, a Giselle wytarła się starannie do sucha i zgodnie z poleceniem Williama posmarowała się balsamem nawilżającym, żeby farba równomiernie się rozsmarowała i dobrze się trzymała.

William wylał jej na ramiona dwie strużki farby i sprawnie rozsmarował ją na całym jej ciele, nie zatrzymując się tym razem na dłużej, jak to miał w zwyczaju, na jej piersiach i pośladkach, kiedy przebiegał po nich pokrytymi farbą dłońmi. Giselle stała nieruchomo z wyciągniętymi na boki rękami, a William dmuchał na nią suszarką do włosów, żeby farba szybciej wyschła.

Kiedy skończył, Giselle obejrzała się w lustrze. Była pokryta cieniutką warstwą połyskującej białej farby – pół bogini, pół zjawa. William nie nałożył jej barwnika na twarz i szyję, ani na biegnącą między piersiami linię gołej skóry, która na brzuchu tworzyła spiralny wzór. Zwykle różowe sutki wydawały się czerwiejsze na tle białych piersi. Trójkąt włosów łonowych zakrywał czarną gęstwiną krocze.

William stanął za jej plecami. Umył ręce i włożył czarną szatę. Giselle odwróciła się, wbijając wzrok w jego nagi brzuch. Szata nie miała paska ani nawet szlufek, w które można by go wsunąć, ale nawet gdyby miała i tak nie wystarczyłoby materiału, żeby zakryć całe ciało Williama. Ubiór spływał z jego szerokich barków i kończył się kilka milimetrów nad stopami, jakby został uszyty na miarę przez krawca, który dopasował strój do jego wysokości i szerokości, ale celowo zostawił odsłoniętego penisa, teraz niemal w pełnym wzwodzie.

William pocałował ją w policzek, a następnie

przyłgnął ustami do jej ucha i wsunął dłoń między jej uda, żeby sprawdzić, czy jest wilgotna.

– Jesteś mokrusieńka – szepnął. Jego delikatne pieścizny przybrały na sile. Odnalazł jej łechtaczkę i zaczął zataczać wokół niej powolne kręgi.

– Oooch – jęknęła Giselle. Czuła, że od jego pieścizot krew zaczyna krążyć szybciej w jej żyłach. Jego palce uformowały prowizoryczny członek i wsunęły się w nią raz, drugi, trzeci, a potem powróciły do gładzenia warg sromowych i drażnienia łechtaczki.

William cofnął nagle rękę, na co Giselle zareagowała jękiem protestu.

– Chcę, żeby inni patrzyli – oznajmił. Włożył palce do ust i oblizał je z jej soków, a następnie pocałował ją, przekazując słodko-słony smak jej podniecenia.

Wziął ją za rękę i poszli szerokim korytarzem na schody, minęli wejście do jadalni i poszli jeszcze wyżej. Im wyżej szli, tym bardziej strome wydawały się z jakiegoś względu schody, i chociaż Giselle wiedziała, że budynek ma tylko trzy piętra, to kiedy doszli na miejsce, miała wrażenie, że zaraz wkroczy do zupełnie innego świata.

Pchnęła drzwi ręką, ale nie ustąpiły. William sięgnął zza niej i przekręcił klamkę.

Najpierw dotarły do niej dźwięki. Odgłosy tak wielu ludzi uprawiających seks, że tworzyli chór, melodię westchnień i jęków przerywaną od czasu do czasu radosnym krzykiem przebijającym się przez perkusję

rytmicznych pchnięć, stukania różnych części ciała o meble i klaskania ciała o ciało, mlaskania wilgotnej skóry o skórę.

Nocne powietrze było chłodne i kiedy Giselle poczuła na swoich piersiach lekki wietrzyk, zorientowała się, że jej sutki stwardniały jeszcze bardziej. Pragnęła, żeby William pochylił się i zaczął je ssać, żeby załagodził płonąca w niej żądzę. Jej cipka była śliska od wilgoci, między jej nogami buzował ogień pożądania.

Nad ich głowami nie było dachu. Znajdowali się na dworze, na tarasie. Po obu jego stronach ciągnęły się płonące pochodnie. Co jakiś czas powiew wiatru posyłał w niebo wyjątkowo duży płomień, oświetlając wijące się ciała, niektóre na łóżkach, kocach i poduszkach, inne zwyczajnie na betonowej posadzce.

Na samym środku stała kobieta przymocowana do cokołu ciasnymi czarnymi pętami – liną, skórzanymi pasami, jedwabiem lub łańcuchami, trudno było powiedzieć. Miała przymknięte powieki, ale nie spała. Jej ciało drgało i trzęsło się, jakby poddawane egzorcyzmom. Ale to nie było to. Giselle zdała sobie sprawę, że to był orgazm. Jej usta zastygły w uśmiechu, twarz promieniała szczęściem. Po jej skórze spływały strużki potu lub łez – a może krwi?

Ale nie to było najdziwniejsze. Tym, co sprawiło, że Giselle zamrugała oczami, niepewna, czy przypadkiem znów nie obudziła się w środku snu, były pokrywające

ciało kobiety obraży. Istne bachanalia wytrawione na skórze – podskakujące, roztańczone, rozświetlające spowijającą ją ciemność. Niczym ożywione pornograficzne tatuaże albo lustrzane odbicie uprawiających wokół seks ciał.

– Chodź – powiedział William. – Przyłączmy się do nich.

Wziął ją znów za rękę i wyszli razem na taras.

4. Ciało i światło

Jeszcze kilka tygodni po powrocie z Balu Giselle czuła się oszołomiona. Jednocześnie wstrząśnięta i zachwycona, przetrawiała sceny i doznania. Ciągłe jeszcze miała czasem wrażenie, że wyjazd do wystawnej rezydencji za Long Island był snem. Gdyby nie różne przyziemne szczegóły, takie jak trudność z usunięciem ze skóry widmowej farby czy prosta biała wizytówka, którą Sebastian wsunął jej do kieszeni lnianej marynarki w dniu, w którym wyjeżdżała, w dalszym ciągu mogłoby jej się wydawać, że wszystko to jej się przyśniło. Niesamowity charakter odurzającego przyjęcia i plejada dziwnych gości, których na nim poznała, sprawiały, że w porównaniu z tym reszta życia wypadła blado i nieinteresująco. Czuła się przez to teraz tak, jakby zawisała nad przepaścią między dwoma różnymi światami. Między światem codziennych obowiązków, wykładów, na które chciała chodzić, i pracy w kwiaciarni przy Rue de Buci, z której nie chciała rezygnować choćby dlatego, żeby zachować

choć minimalną niezależność finansową, mimo że William zaofiarował się bezinteresownie, że będzie ją utrzymywać. Jej umysł nie miał czasu się uspokoić. Giselle stała się wędrowcem we własnym życiu. Nawet kiedy jej ciało tkwiło w bezruchu, odpływała myślami.

Właśnie skończyli się kochać – czule i spokojnie. William wziął prysznic – miał mokre włosy i zmierzwił loki. Wychodząc z łazienki, wycierał się grubym brązowym ręcznikiem. Giselle miała umyć się po nim, bo – co dla niej nietypowe – nie chciała tym razem dzielić z nim kabiny. Wolała, żeby wewnętrzny żar jej orgazmu dogasał powoli. Czuła się rozleniwiona w miękkich ramionach ustępującej rozkoszy, chciała powracać do rzeczywistości we własnym tempie, bo w ciele – rozkosznie wyczerpanym – wciąż czuła przyjemny szum. Nagle przyszła jej do głowy niemiła myśl.

– Williamie?

– Tak? – Jego głowa wysunęła się z luźnych fałd ręcznika, ciemne oczy i orli nos wyjrzały spomiędzy miękkiej tkaniny, a kilkudniowa zwykle szczecina utworzyła tym razem istic lwią grzywę, bo William golił się teraz co kilka tygodni, a nie jak dotąd co kilka dni.

– Kiedy na mnie patrzysz, w łóżku, w codziennym życiu, kiedy jesteśmy razem, to czy wyglądam tak samo jak wtedy, kiedy dla ciebie pozuję, czy widzisz kogoś innego?

– Co to za dziwne pytanie?

– Tak się tylko zastanawiałam.

Widząc, że mówi poważnie, William znieruchomiał i namyślił się.

Rzucił mokry ręcznik na podłogę i przyjrzał się jej z uwagą. Milczał.

– Chodzi mi o to, czy... kiedy na nie patrzysz, kiedy mnie rysujesz albo malujesz, to czy jestem wtedy tą samą codzienną Giselle, czy może jakiegoś rodzaju abstraktem, a nie mną samą?

– Nie jestem pewny, czy cię dobrze rozumiem.

Giselle westchnęła, bo uświadomiła sobie, że sama czuje się tak skołowana, że przekręca znaczenie własnych słów i nie może się dobrze wysławić.

Nie będąc w stanie wyrazić własnych myśli, odwróciła się i wtuliła twarz w poduszkę.

– O co chodzi? – spytał William.

Na myśl o widzianych na Balu twarzach i ciałach Giselle siłą rzeczy przypominała sobie to, jak promieniały, jak tańczyła na nich poświata księżycy, jak przepiękne były ich kształty, jak głęboko w ich oczach zdawał się gorzeć wieczny płomień.

Czy w ten sposób widział ją William, kiedy dla niego pozowała? Czy była w jego oczach odmieniona? Czy to w ogóle możliwe? W jakiś pokrętny sposób zwątpiła nagle przez to w jego uczucia.

Kiedy oglądała później nerwowo obrazy Williama, na których ją namalował, widziała tylko siebie, bezbarwną

namiastkę życia, niezależnie od techniki drobiazgowego hiperrealizmu, którą William się posługiwał. Mimo jego talentu i miłości, którą podobno ją darzył, Giselle nie lśniła tak jak inne kobiety. Czy była w ogóle do tego zdolna?

William zdążył już się przyzwyczać do jej humorów i wiedział, że lepiej ich nie podsycać, nic więc nie powiedział, tylko poszedł do kuchni pod pretekstem zaparzenia kawy. Kiedy wrócił do sypialni, Giselle zdążyła zasnąć. Na to liczył. Zapalił papierosa.

Następnego dnia rano Giselle zapytała, czy miałyby coś przeciwko, gdyby pozowała dla innych. Od czasu, kiedy zaczęła dla niego pracować, otrzymała kilka propozycji od jego znajomych, z którymi spotykali się towarzysko na kolacjach lub wernisażach. A w Stanach poznała Sebastiana. Dotychczas odrzucała wszystkie oferty.

– Nie. Tak właściwie myślę, że to mogłoby ci dobrze zrobić. Nie mogę cię przecież ograniczać, prawda? – zauważył William. – Zdobędziesz w ten sposób cenne doświadczenie.

– Nie byłbyś zazdrosny?

– Oczywiście, że nie.

W pierwszej kolejności skontaktowała się z Sebastianem. Po wspólnym weekendzie w Stanach zdążyli się już spotkać kilka razy we trójkę na drinka i papierosa. Giselle wielokrotnie przysłuchiwała się dyskusjom Williama i Sebastiana na temat ich gustów

artystycznych i stylu pracy. Sebastian był dużo starszym malarzem o uznanej pozycji i pracował dla tej samej galerii co William. Z tego, co mówił William, jego prace były bardziej tradycyjne – wielkie obrazy pełne zamaszystych ruchów, martwej natury, klasycznych aktów i delikatnych portretów. Giselle nigdy nie widziała żadnej z jego prac, słyszała tylko ich opis, ale domyśliła się, że Sebastian należał do tego samego wąskiego grona artystów, czasem wykonujących odważniejsze i bardziej prowokacyjne obrazy na zamówienie Emile’a Saffy’ego i innych kolekcjonerów, którym ze względu na pornograficzny charakter prac zależało na zachowaniu anonimowości. Podczas wspólnych spotkań ani Sebastian, ani William nie poruszali otwarcie tematu przyjęcia, które odbyło się w okolicach Long Island – Balu, jak nazywali je podsłuchani przez Giselle goście – a bez zachęty Giselle wstydziła się zapytać o coś więcej. W codziennym życiu Sebastian był ekstrawagancki i ekscentryczny, tak samo jak podczas tamtego weekendu, ale w nieco mniejszym stopniu. Publicznie był jak motyl we mgle, ukrywający swoje jaskrawe kolory. Giselle miała nadzieję, że we własnym domu nie będzie się aż tak pilnował i że będzie mogła dowiedzieć się czegoś więcej, zapytać o to, co William zbywał, nie udzielając w zasadzie żadnej odpowiedzi. Ponieważ William lubił surrealizm, Giselle sądziła, że nie traktował wydarzenia takiego jak Bal jako czegoś nadzwyczajnego. Ostatecznie w taki sposób

funkcjonował jego umysł. Może dla Williama to Bal był rzeczywistością, a wszystko inne wypadało w porównaniu z nim szaro i blado?

– Wspaniale – powiedział Sebastian. – Możesz w przyszłą środę? Mam już umówioną sesję, a tak się akurat składa, że potrzebuję drugiej modelki. Masz coś przeciwko pozowaniu z inną kobietą?

– Skądże. – Giselle uznała, że będzie to coś nowego, że będzie miała okazję poznać inny styl ekspresji: ustawiania się w inny sposób, niż do tego przywykła.

Wynagrodzenie, na które się umówili, było niezwykle hojne, choć to nie było dla Giselle najważniejsze. Chciała po prostu się przekonać, jak to będzie pozować dla innych, jak będzie przez nich postrzegana. Miała wrażenie, że jest to bardzo ważne. Chciała się dowiedzieć, czy pasowała do jego świata.

Dopiero kiedy zaczęła na poważnie pozować dla innych, uświadomiła sobie, jak charakterystyczny był zapach farb w pracowni Williama. Odkryła, że w przeciwieństwie do innych artystów, u których bywała, William wolał sam mieszać farby – diabelskie mieszaniny pigmentów, saszetki pełne tajemniczych proszków, wodę, olej, alkohol, rozpuszczalniki, żółtko jaja, mikstury wiążące i szczyptę tajemniczych składników znanych wyłącznie jemu, sekretny koktajl, nad którym ślęczał godzinami jak alchemik nad swoimi

kolbami i probówkami; od czasu do czasu z trzymanego między zębami papierosa do mikstury wpadał przypadkowy okrusz popiołu. Czy to dlatego powierzchnia jego płócien była tak wyjątkowa, jakby między poszczególnymi pociągnięciami pędzla i nałożonymi na siebie warstwami faktura zasychającej farby nosiła w sobie pulsujące światło? W każdym razie niewielu innych malarzy mogło mu dorównać nadnaturalną iluzją życia, którą jego farby nadawały obrazom. Pytany przez nieznanym o swoje charakterystyczne pigmenty, często figlarnie odpowiadał, że dodaje do farby pewien wyjątkowy składnik: dokładnie odmierzoną ilość spermy zebranej w ściśle określonym momencie najsilniejszego orgazmu. Po czym wybuchał śmiechem.

Ale w ten sposób przygotowana farba wydzielala też silny zapach, ostrą woń, która zdążyła wnikać na stałe w drewniane deski i podłogi pracowni w Dzielnicy Łacińskiej, jak zapach zwiędłych kwiatów i odległe echo silnego alkoholu, gnijących liści i popiołu, który zawisł w powietrzu. Dopiero po kilku sesjach Giselle przywykła do tego zapachu, a w którymś momencie w ogóle przestała zwracać na niego uwagę.

Kiedy weszła do przestronnego atelier Sebastiana, tuż nad rzeką przy Nogent sur Marne, pierwsze, na co zwróciła uwagę, to właśnie zapach. Ogromne prostokątne pomieszczenie z zachlapaną farbą podłogą prezentującą misterną, powstałą mimo woli mozaikę

kabalistycznych map, skąpane było w odurzającym, słodkim zapachu kwiatów. Przesuwne drzwi patio wychodziły na ogród obsadzony krzewami różanymi, które – nieprzycinane – tworzyły nieskładną, ale piękną masę. Kontrast między tym miejscem a pracownią Williama, w której unosiła się charakterystyczna woń i panowała celowo zaprowadzona ciemność, był uderzający.

W przeciwieństwie do jej kochanka, chudy jak szczapa Sebastian nigdy nie zawracał sobie głowy szkicowaniem na brudno ani wykonywaniem studiów. Pracował bezpośrednio na płótnie, a farby, których używał, znajdowały się w starannie ułożonych przysadzistych tubach umieszczonych na stole w zasięgu ręki, zaś pędzle leżały w równym rzędzie, od największego do najmniejszego.

Druga modelka jeszcze nie przyjechała.

Po przeciwnej stronie pokoju stał stół zastawiony talerzami pełnymi apetycznych wypieków i wysokim dzbankiem z sokiem pomarańczowym. Sebastian i jego chłopak i asystent w jednym, Ellis, posepny, ale dużo młodszy i szalenie przystojny barczysty Bretończyk, ubrany w koszulkę w paski i luźne białe spodnie, powiedzieli jej, żeby się częstowała podczas oczekiwania na spóźnioną modelkę.

– Jest niedziela i metro chodzi trochę rzadziej – zauważył Sebastian.

Podjadając maleńki *pain au chocolat*, Giselle spytała

Sebastiana, czy pracował już wcześniej ze spóźniającą się dziewczyną.

– Nie. To pierwszy raz. Umówiłem ją przez pośrednika. Mój klient zażyczył sobie coś związanego z baletem, a ona ma podobno wykształcenie w tym kierunku.

– Ja też – poinformowała Giselle.

– Wiem.

– Skąd?

– Poruszasz się w bardzo specyficzny sposób. Nie da się tego nie zauważyć...

Giselle zaczerwieniła się lekko. Czy to było aż tak oczywiste? Nie pierwszy raz zaczęła się zastanawiać, czy ludzie, mężczyźni, nieznajomi, którzy patrzyli na nią na ulicy czy w jakimkolwiek innym miejscu, wiedzieli, że William niedawno się z nią pieprzył. Czy widać to było w jej ruchach, kolorze jej skóry, policzkach? Zaniepokoiła ją ta myśl.

Rozległ się dzwonek i Ellis wyszedł z pracowni, żeby otworzyć główne drzwi.

Wróciła z nim młoda kobieta – wysoka blondynka o zarumienionych policzkach, która tłumaczyła się gęsto. Biegła z najbliższej stacji. Chcąc się jakoś uspokoić, odgarnęła włosy z twarzy, a Giselle natychmiast ją rozpoznała. To była Beth. Roześmiały się na swój widok.

– Co ty tu robisz?

– Mogłabym ci zadać to samo pytanie!

– Jestem Francuzką. Mieszkam tu.

– A mnie można by pewnie uznać za turystkę. Dorabiam jako modelka!

– To wy się znacie? – parsknął Sebastian, rozbawiony zbiegiem okoliczności.

– Uczyłyśmy się w tej samej szkole baletowej w Londynie.

– Trochę ponad rok temu.

– Jak miło...

Sebastian dał im pół godziny, żeby mogły się nagadać, przebrać i umalować.

– Mój klient zamówił trochę wynaturzoną scenę baletową – wyjaśnił. – Stroje znajdują się na wieszaku, o tam. Jestem pewny, że są w odpowiednich rozmiarach. – Dzień wcześniej dopytał się o ich wymiary, które okazały się zdumiewająco do siebie zbliżone. – To jeden z tych dość perwersyjnych prywatnych kolekcjonerów. Życzy sobie, żeby jedna z was była topless, a druga... bez majtek. Zakładam, że nie macie nic przeciwko temu? Możecie wybrać, która jest która...

Żadna z modelek nie była tym zaskoczona.

– Ty masz ładniejsze piersi – powiedziała Giselle. – Jak dla mnie tak będzie okej. – Od Balu nic ją nie mogło zdziwić ani zaszokować.

Beth oblała kolejny egzamin w szkole baletowej i wkrótce potem wyjechała do Paryża, gdzie pracowała głównie jako kelnerka, aż jej mocno podstarzały chłopak zasugerował, że jako modelka mogłaby

podreperować swoje finanse, i zaprowadził ją do stosownego pośredniaka. Beth niedługo potem rzuciła chłopaka, podobnie jak pracę kelnerki, ale jej niezwykle nordyckie rysy zapewniały jej utrzymanie. Opowiedziała Giselle ze śmiechem, że przez krótki czas pracowała jako nagi posąg w Folies Bergère i żyła przez to w ciągłym strachu, że ktoś z rodziny lub przyjaciół podczas wizyty w Paryżu odwiedzi słynący z erotycznych występów teatr i rozpozna ją w chórze.

Na wieszaku znajdowały się dwa stroje: biały i bladoróżowy.

– Weź biały – zaproponowała Beth. – Będzie lepiej pasował do twojej karnacji.

Albo tak się przynajmniej wszystkim wydawało, stwierdziła Giselle. Ostatnio często ubierano ją na biało. A przecież ciężko ją uznać za Maryję Dziewicę czy spłonioną pannę młodą.

Ellis rozłożył w kącie pracowni kawałek grubego dywanu i zaaranżował oświetlenie. Dziewczyny podeszły do niego odrobinę onieśmiałe, choć obie wiedziały, że mężczyźni są gejami i że w związku z tym nie są nimi w najmniejszym nawet stopniu zainteresowani w kontekście erotycznym. Sebastian poinstruował je, jak mają się ustawić, sam natomiast skakał wokół nich, mierzwiąc im włosy, ustawiając światło i wygładzając fałdki na trykotach Beth, które wyglądały dziwnie bez obowiązkowych rajstop, które zwykle wkładała do nich baletnica.

– Giselle, wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyś zdjęła z jednej nogi baletkę. Wyglądałoby to bardziej sugestywnie.

Giselle rozwiązała wstążkę przy baletce, ze względów przyzwoitości starając się trzymać nogi razem, kiedy nachyliła się na czarnym dywanie. Wspaniałe piersi Beth, jędrne i różowe, sterczały dokładnie na wysokości jej wzroku. Asystent ułożył odwiązaną baletkę podszewką do góry kilka centymetrów od jej stopy, niczym porzucone przedłużenie jej kształtnej nogi, na granicy dywanu, niczym efekt niewidocznej bitwy czy innego zdarzenia.

Sebastian podziękował mu za pomoc i Ellis zniknął w głębi domu, zamykając za sobą cicho drzwi pracowni i zostawiając ich samych.

– Tylko my – oznajmił malarz.

Giselle i Beth siedziały obok siebie, ramię w ramię. Na ich gołą skórę padała z góry skupiona wiązka światła, bo Ellis umocował tam rząd teatralnych reflektorów.

– Beth, przesun rękę, o tak, i połóż ją na udzie Giselle... – Sebastian wydawał teraz polecenia, choć mimo rosnącej frustracji robił to tym samym łagodnym głosem, którym proponował herbatę.

Jeszcze raz poprawił ich pozycje, nadal niezadowolony z kompozycji. Przyglądał się im intensywnie i cmokał pod nosem.

Ciągle nie był gotowy do malowania.

Podszedł, okrążył je, przystanął i cofnął się, po czym wrócił i odgarnął długie czarne włosy Giselle do tyłu, tak że opadały teraz częściowo na karku Beth. Przyjrzał się osiągniętemu efektowi i pokręcił głową.

– To nie z wami jest problem, moje drogie panie – oznajmił rozczarowanym głosem. – Ale wymyśliłem sobie, jak to ma wyglądać, i za nic nie mogę tego osiągnąć. Nie wychodzi mi.

Giselle i Beth wiedziały, że nie muszą nic odpowiadać. Obie pracowały już wcześniej z malarzami czy fotografami i dobrze wiedziały, że bywali bardzo kapryśni i niezdecydowani.

Sebastian odsunął się, przekrzywił jeden z reflektorów i znów ocenił z odległości scenę. Poprosił Giselle, żeby wstała, wyciągnęła rękę i nachyliła się nad rozciągniętą, długonogą Beth. Następnie przekręcił znów minimalnie żarówkę, żeby skorygować kształt plamy światła, w środku której się znajdowały.

– Obie jesteście piękne – odezwał się w końcu. – Ale instynkt podpowiada mi, że trzeba nam czegoś więcej. Znam tego kolekcjonera. Jest bardzo wybredny, nie da się go zbyć byle czym. – Namyslał się chwilę. – Potrzebny nam jakiegoś rodzaju kontrast. Coś ekscentrycznego. Wstań, Beth...

Młode kobiety stanęły obok siebie, niemal na baczność, każda w innym stadium neglizżu, blondynka i brunetka. Lekko różowe sutki Beth tworzyły odizolowaną strefę ciepła na tle gładkiego

porcelanowego krajobrazu jej skóry; ciemne, bujne kędziory łona Giselle wyglądały jak czarny las na tle cieplejszych odcieni jej gołej skóry.

Sebastian wahał się przez chwilę, po czym poprosił Beth, żeby ściągnęła zrolowane w pasie trykoty i żeby zdjęła też cienkie figi w cielistym kolorze. Oceniał widok, który ukazał się jego oczom. Jej włosy łonowe były rzadkie, niezwykle blade, wyglądały tak, jakby były jeszcze bardziej wypłowiałe od słońca niż włosy na głowie, zebrane teraz w ciasny, typowy dla baletnicy kok. Artysta przeniósł wzrok na Giselle, której intymne części porastał kruczoczarny busz, bujny, ale schludnie przystrzyżony – nawyk, którego nabrała jeszcze w szkole baletowej.

Chudy jak tyczka malarz oceniał kontrast między dziewczynami i zastanawiał się nad możliwymi rozwiązaniami.

– Może na odwrót? – zapytała Giselle, sugerując, że zamiast dolnej części ciała powinna odsłonić piersi.

Beth się nie odzywała.

– Już wiem! – ryknął Sebastian.

Młode kobiety czekały na efekt jego namysłu.

Pod stołem, na którym trzymał niezliczone tubki z farbami, pędzle i najróżniejsze materiały, znajdowała się przepastna drewniana skrzynia. Wysunął ją.

– Proszę... – Sebastian zaprezentował Giselle garść opalizujących cekinów i małych koralików. – Czy mogłabyś ozdobić sobie tym włosy łonowe? Czy

wolałabyś tego nie robić? To nie żadna perwersja, tylko taki pomysł. Dodatkowe muśnięcie światła, jakkolwiek absurdalnie by to nie zabrzmiało – dodał. – Czasem to dzięki tego rodzaju drobiazgom dzieło sztuki nabiera charakteru...

Jego prośba nie oburzyła Giselle. Dziewczyna stała po prostu skołowana, nie wiedząc, jak rozwiązać tę kwestię od strony praktycznej.

Z pomocą przyszła jej Beth.

– Chodź ze mną – powiedziała i zaprowadziła Giselle do przebieralni urządzonej za kotarami na końcu studia. Wzięła od niej cekiny i miniaturowe ozdoby i przyjrzała się z uwagą błyskotkom z wyraźnie figlarnym uśmiechem.

Giselle usiadła na krześle, wciąż jeszcze starając się oswoić z pomysłem Sebastiana.

– Mogę? – spytała Beth, wskazując przyrodzenie Giselle. – Wsunęła dwa palce w jej gęste kędziory. – Doskonale – powiedziała.

– Ale co?

– Na początku myślałam, że jedyny sposób, żeby je przymocować, to przyszyć je pojedynczo albo co gorsza przykleić... – Giselle zadrzała, czując, jak jeden z paznokci Beth muska jej wargi sromowe. Jej cipka zarejestrowała ciepło badawczych palców Beth. – Ale twoje włosy są dość długie, więc wydaje mi się, że dam radę przymocować ozdoby w bardziej naturalny sposób. Zgadzasz się?

Giselle przytaknęła.

– To trochę potrwa! – zawołała Beth do Sebastiana, który czekał za zasłonką. – Daj nam jakieś pół godziny...

– W porządku – odpowiedział. – Ale postaraj się, żeby wyszło ładnie...

– Oczywiście – obiecała Beth.

Przysiadła na piętach i oparła się zaskakująco miękkimi piersiami o kolana Giselle.

– To będzie wymagało cierpliwości – ostrzegła. – Rozchyl trochę nogi, żebym mogła zacząć... – W jej oczach pojawił się błysk zaciekawienia, a Giselle poczuła, że robi jej się gorąco. Nigdy dotąd nie znalazła się w podobnej sytuacji – w pozycji, w której inna kobieta przyglądałaby się jej intymnej strefie z odległości kilku centymetrów. Beth ujęła delikatnie pojedynczy pukiel, ostrożnie go rozprostowała i nawlekła na niego cekin, po czym skrzyła końcówkę, żeby ozdoba się nie zsunęła. Jej ruchy były spokojne i precyzyjne. Nigdy intymność Giselle nie była obiektem tak uważnych i długotrwałych oględzin, może z wyjątkiem sytuacji, gdy William robił jej minetę – zwyczaj, który wciąż budził jej wahanie, mimo zuchwałych poczynań utalentowanego języka Williama i bardziej zachowawczych ataków jego warg i zębów na jej wargi sromowe i łechtaczkę.

Giselle odpłynęła myślami.

– Ale fajnie – stwierdziła Beth. – A sytuacja, musisz

przyznać, jest zabawna...

Giselle spojrzała w dół i przyglądała się, jak cekiny stopniowo zaczynają pokrywać równomiernie łan jej włosów łonowych, połyskując przy każdym mikroskopijnym poruszeniu jej ciała. Jej nogi były szeroko rozstawione, uda zapraszały Beth w głąb utworzonej przez nie przystani. To był fascynujący widok. Beth pracowała z niezwykłą precyzją, rozrzucając co jakiś czas zabłąkane koraliki na firmamencie pełnym cekinów, które zdominowały w dużej mierze jej intymny krajobraz. Istna artystka w swoim żywiole.

Niebezpieczna bliskość twarzy Beth w stosunku do waginy Giselle sprawiła, że jej myśli zboczyły w dziwnym kierunku.

– Chyba wystarczy – stwierdziła Beth i podniosła się, podziwiając swoje dzieło. Ciemne włosy łonowe Giselle zamieniły się w cudacznie rozgwieżdżone niebo. – Lepiej już nie będzie. – Dziewczyna wprost promieniała z dumy.

– Och tak, bardzo dobrze. Wygląda fantastycznie! – wykrzyknął Sebastian, kiedy modelki wyszły zza kotary. – Wyszło dużo lepiej, niż myślałem. – Zaczął znów ustawiać reflektory, bo Giselle i Beth przyjęły nowe pozycje: stanęły przodem do sztalugi, podtrzymując się nawzajem i obejmując się w pasie jak dwie wyczerpane po występie baletnice, które usiłują złapać oddech. Usta miały na wpół rozchylone, a ich gesty były niepewne i

słabe. W oczach postronnego obserwatora wyglądałyby jak wynaturzona i z lekka obsceniczna, tudzież prowokacyjna wariacja na temat obrazów Degasa. Zalewający ich ciała strumień światła wydobywał rozjarzone sutki Beth i nienaturalny płomień intymnych części Giselle, pozostawiając w półcieniu ich twarze. Sebastian malował szybkimi, wściekłymi pociągnięciami pędzla, próbując w pośpiechu uchwycić wizję, którą udało mu się w końcu stworzyć, i utrwalić ją farbą i węglem dla przyszłych pokoleń, zanim się rozplynie.

Pracował szybko, niczym w twórczym transie, skoro udało mu się wreszcie uzyskać na żywo idealne ustawienie modelek, które w pełni odpowiadało jego wyobraźni. Kiedy skończył pierwszy szkic i nie potrzebował już modelek do dalszej pracy, w ogrodzie, który wychodził na rzekę i gęsty las na przeciwległym brzegu, wciąż jeszcze było jasno. Giselle przebrała się w swoje zwykłe ubrania i zauważyła w oddali kąpiącą się w rzece parę. Woda miała szarzielony odcień. Podziękowała Beth, która zaoferowała, że wysupła jej z włosów łonowych cekiny i koraliki. Chciała jak najszybciej wrócić do domu, do Williama, bo cała płonęła z ciekawości, jak zareaguje na jej nietypowe ozdoby.

Ku jej wielkiemu rozczarowaniu, kiedy godzinę

później wróciła do Paryża, Williama nie było w domu. Zostawił jej liścik z informacją, że musiał wyjechać maksymalnie na trzy dni, bo dostał niespodziewanie zlecenie od organizatorów Balu, którzy potrzebowali trochę szkiców na potrzeby przyszłych imprez. Przepraszał, ale nie mógł odrzucić takiej propozycji. Giselle w pierwszej chwili się zdziwiła, ale zaraz potem wpadła we wściekłość. Czy organizacja kupiła mu bilet lotniczy do Nowego Jorku, czy może jej siedziba znajdowała się gdzie indziej? Giselle przypomniała sobie wianuszek kobiet, który wiecznie otaczał Williama w rezydencji w Hamptons, a także dziki błysk w jego rozbieganych oczach, który zdradzał ewidentne zainteresowanie i należał w równej mierze do mężczyzny, jak i do zdystansowanego artysty, którego udawał w obecności pięknych kobiet.

Osamotniona w pustym mieszkaniu w Dzielnicy Łacińskiej Giselle zorientowała się, że tak się spieszyła do Williama, że zapomniała wymienić się z Beth numerami telefonów.

Skubnęła kilka plasterków szynki z lodówki, zrobiła sobie kanapkę z bagietki i wybrała na chybił trafił jakąś książkę, ale nie była w stanie się skoncentrować i nie rozumiała nic z tego, co czyta. Z całkowitą pustką w głowie przypomniała sobie, że po sesji malarskiej nie wzięła prysznic, więc wstała, zostawiając książkę otwartą na tej samej stronie, nad którą pochłonięta myślami spędziła zdecydowanie zbyt dużo czasu, i

poszła do łazienki. Rozebrała się i obejrzała się w dużym lustrze, oceniając długie, proste linie swojego ciała, suche, wydatne usta, do których przykleiły się okruszki bułki, płytką dolinę rozdzielającą jej piersi, niesamowity blask hebanowych włosów, zawsze komplementowanych przez mężczyzn, szorstką fakturę sutków, które przypominały odwrócone kraterzy, wklęsły pępek i jego lustrzane odbicie – wypukły wzgórek sromowy, rozświetlony teraz szaleńczo miriadami cekinów i koralików, które Beth tak pomysłowo wplotła. Jej zwinne palce poruszały się po łonie Giselle jak sondy, ozdabiając jej intymność niczym osobliwą choinkę. Giselle spojrzała na swoje odbicie. Łazienka znajdowała się w zamkniętym pomieszczeniu, bez źródła naturalnego światła, a pozbawione starannie wycelowanych reflektorów tanie błyskotki nie odbijały już światła. Wyglądały tandetnie, wręcz śmiesznie. Może to jednak dobrze, że William wyjechał. Taki widok na pewno by go nie podniecił, raczej by go rozbawił, a konfrontacja z rzeczywistością mogła się okazać dla Giselle upokarzająca.

Giselle postanowiła, że później wysupła cekiny i koraliki. Najpierw musiała jak najszybciej wziąć prysznic, zmyć z siebie szalone popołudnie i niepokojące emocje wzbudzone obecnością Beth i początkowym szokiem na widok własnej cipki rozświetlonej sztuczną jasnością.

Dopiero kiedy po jej ciele zaczęły spływać strumienie

gorącej wody, a jej twarz zniknęła pod utworzoną przez prysznic kaskadą, Giselle uświadomiła sobie swój błąd, ale było już za późno.

Na próżno usiłowała naprawić wyrządzone szkody i zaraz po wyjściu z kabiny w pośpiechu się wytarła. Opadająca teraz mokrą warstwą płatanina włosów i świecidełek utworzyła nieprzenikniony gąszcz, nie dało się rozwiązać ani poluzować żadnego supełka, zaś wszystkie wysiłki w tym kierunku pogarszały tylko sprawę. Giselle usiadła zrozpaczona na brzegu wanny i rozsunęła jak najszerzej nogi przed lustrem, ale zobaczyła, że kędziory i w tej chwili mało już efektywne cekiny utworzyły ciasno splątaną masę i pod wpływem wilgoci niemal się ze sobą skleiły. Powinna była wyplątać świecidełka, zanim weszła pod prysznic. Jak mogła być taka głupia? William padłby ze śmiechu, gdyby wrócił teraz do domu i zobaczył ją w takim stanie.

Stwierdziła, że ma tylko jedno wyjście.

Wiedziała, że precyzyjne wycięcie nożyczkami do paznokci każdego cekina i koralika razem z loczkami, na których się znajdowały, skończyłoby się tym, że jej włosy wyglądałyby jak oszpecone pole po źle przeprowadzonych żniwach. Włosy odrosłyby z czasem równie bujnie, ale zanim by to nastąpiło, prezentowałyby się żałośnie.

Giselle musiała je całkiem zgolić.

Nie było innego rozwiązania.

Przypuszczała, że będzie wyglądać jak oskubany kurczak – a może nie? Za czasów szkoły baletowej zauważyła ukradkiem w przebieralni, że krocze dwóch dziewcząt z zagranicy było dla wygody gładko wygolone. Ten widok wydał jej się zarówno dziwny, jak i niepokojący i na długo utkwiał jej w pamięci.

Podczas ich drugiej wspólnej nocy William z głębokim westchnieniem rozkoszy zanurzył twarz w jej gąszczu i wsunął język między jej wargi sromowe, odgarniając na bok jej kędziory i rozkoszując się nią jak konieser wina, który bierze pierwszy łyk nowego trunku.

– Uwielbiam ten twój ciemny busz. Mógłbym tu zamieszkać – powiedział wtedy. Kolejne wspomnienie, które wyręło się w jej pamięci. Słowa, które przebiły jej serce jak strzała.

Czy William się wścieknie, widząc, że jest gładka i pozbawiona listowia?

A co ważniejsze – czy da upust swojej złości?

Czy potraktuje ją ostro?

Jak kreatywnie okaże się jego niezadowolenie?

Giselle sięgnęła do apteczki, w której trzymali jednorazowe maszynki do golenia.

Odetchnęła głęboko.

W jaki sposób ma mu oznajmić swoją transformację? Powinna celowo mu się pokazać zaraz po jego powrocie czy może pozwolić mu samemu odkryć w łóżku jej nowy stopień nagości?

Zadrzała jej ręka.

Policzki zrobiły się gorące.

Stała spokojnie, spojrzała na deltę między swoimi udami i rozpoczęła żmudne zdanie. Nie miała już poczucia, że wypełnia obowiązek, robiła raczej coś, co przeszywało dreszczem podniecenia zarówno jej umysł, jak i ciało.

Pierwszy maleńki kosmyk hebanowych loków splątanych z cekinami opadł powoli na posadzkę w łazience niczym ciężkie kłębki kurzu znaczące szare kafelki zestawem przypadkowych znaków interpunkcyjnych.

I już. Mimo obaw wcale nie przypominała oskubanego drobiu. Giselle poczuła, że widok gołej szparki powoduje przyspieszone bicie jej serca. Przesunęła palec po sromie, zdumiona gładką skórą. Czowała się tak, jakby zrzuciła z siebie ubranie. Bez okrycia z włosów łonowych jej wzgórek był nagi i zachęcający, wiecznie na widoku. Giselle miała ochotę odruchowo zakryć się dłonią, ale się powstrzymała. Już chodząc po mieszkaniu, zauważyła, że inaczej czuje swoje ciało. Otworzyła wcześniej okno, żeby wywietrzyć ciężki, gryzący zapach farb Williama, a język wiatru, delikatny jak oddech, zatańczył na jej nagiej skórze niczym leciutkie muśnięcie ciekawskiego palca.

Położyła się na łóżku i zamknęła oczy, rozkładając

na czynniki pierwsze nowe uczucia, które ją zalały. Przez chwilę żałowała, że Beth nie będzie mogła znów przyozdobić jej gąszczu, a przynajmniej nie do czasu, kiedy go odtworzy. Zastanawiała się, jak koleżanka oceni jej nowy styl. Będzie zszokowana? Wątpliwe. Niewiele rzeczy szokowało Beth. Podniecona? Być może. Na myśl o tym, że przyjaciółka miałaby oglądać jej gładką skórę, sprawdzać palcem, jak dokładnie się wydepilowała, muskać jej wargi sromowe i wzgórek, Giselle przeszywał dreszcz. Być może Beth znalazłaby pojedynczy włos, który umknął jej uwadze, i pacnęłaby ją lekko dłonią w krocze w ramach kary za niedokładność. A może wyciągnęłaby maszynkę i przeciągnęła jej chłodnym ostrzem po skórze Giselle. A może nawet pochyliłaby się i wyrwała niesforny włos zębami.

Na tę myśl serce Giselle zaczęło bić gwałtownie. Przewróciła się na brzuch i zaczęła kołysać biodrami, przyciskając goły wzgórek do sztywnej kapy na łożku. Kiedy mieszkała z rodzicami, lubiła tę pozycję, bo gdyby ktoś przyłapał ją wtedy na masturbacji, mogłaby bez trudu znieruchomieć i udawać, że śpi. Teraz natomiast była jeszcze wciąż zła na Williama za to, że wyjechał bez uprzedzenia, i czerpała pewną satysfakcję z tego, że ociera się wilgotną, gładką cipką o jego kremową narzutę z wypukłym haftem, który – jeśli robiła to pod odpowiednim kątem – stawiał przyjemny opór łechtaczce. Cieszyła się, że znaczy teren w jego

łóżku.

Doszła bez trudu. W samotności nigdy nie miała z tym problemów.

Kiedy William wrócił w końcu do domu, był zaczerwieniony i rozemocjonowany. Wspominał, że został wezwany przez organizatorów Balu do pracy przy planowaniu przyszłych imprez. Ciekawość Giselle walczyła z innymi emocjami – z poczuciem osamotnienia i złością, że zostawił ją samą, a także z ostrym zębem zazdrości, który szarpał jej serce. Ciekawość zwyciężyła.

– Powiedz mi coś więcej o Balu – poprosiła. – Jak wyglądały inne, na których byłeś? Zanim poszłam z tobą?

Siedzieli po turecku na tej samej narzucie, na której dwa dni wcześniej Giselle się masturbowała, i jedli prowizoryczną kolację złożoną z chleba, sera i owoców.

– Przepraszam, kochanie – powiedział. – Ale wiesz, że nie wolno mi o tym mówić. Każdy zaangażowany w pracę przy Balu podpisuje oświadczenie. Nie wolno nam nawet rozmawiać o tym między sobą. – Zamilkł.

Giselle rozpoznała chwilową pauzę. Milczenie między kochankami potrafiło mówić równie dużo co słowa, a rytm oddechu Williama i jego usztywnione ciało, zastygłe z winogronem w połowie drogi do ust, powiedziało Giselle, że jeśli tylko zaczeka, William

zacznie mówić dalej.

– Ale pewnie jeśli nie będę wdawał się w szczegóły...
– Urwał, wsunął winogrono między zęby i wyciągając rękę, zaczął wodzić palcami po obojczykach Giselle. – Udało im się wyczarować naprawdę niesamowite światło. Jeden z kostiumografów zdołał oddać tkaniną coś, co czasami staram się oddać farbami. Sam nie wiem jak... Sukienki tancerek są często zrobione z materiału, który wygląda jak skrawki nocnego nieba. Jak na obrazach van Gogha. Wygląda to tak, jakby światło tańczyło razem z nimi. Wyglądałabyś przepięknie w takim stroju. Mógłbym namalować na tobie suknię.

– To była próba? Widziałeś, jak tańczą? – zapytała Giselle.

– Widziałem, jak występują, jak improwizują coś na poczekaniu. Być może w ogóle jeszcze nie ustalili ostatecznego układu na Bal, a prawdziwe próby odbywają się w tajemnicy. Jakby organizowały to służby specjalne... – Roześmiał się. – Ale pewnie w ten sposób rozbudzają ciekawość i zachęcają do udziału. Bo wiesz, że te imprezy są organizowane od stuleci. Kostiumy zobaczyłem wyłącznie dlatego, że być może będę malował do nich scenografię. Chcieli, żebym zobaczył tkaninę, żebym widział, jak dzięki niej tancerki zamieniają się w gwiazdy... – Miał znów w oczach to zamyślane spojrzenie, jakby myślami był jeszcze przy Balu, choć ciało wróciło już do Paryża.

Giselle odłożyła na talerz chleb i ser. Straciła apetyt.

Oczywiście wyobraźni zobaczyła tancerki tak wyraźnie, jakby występowały przed nimi. Trupa młodych kobiet z ekstatycznym wyrazem twarzy, który widziała na twarzach gości podczas przyjęcia w okolicy Long Island. Wszystkie były piękne, co do tego nie miała wątpliwości. Ich ciała były jędrne i gibkie, skóra jasna, oczy błyszczące pasją będącą czymś normalnym u artystów, którzy robią to, co kochają, i wiedzą, że robią to dobrze. A do tego element pożądania. Giselle podejrzewała, że wszyscy zaangażowani w Bal lubili erotykę, mieli naturalną zmysłowość i odwagę, która pozwalała im tańczyć tak, jak inni nie mieli odwagi.

Powróciły myśli, które męczyły ją przed wyjazdem Williama; eksplodowały w jej głowie jak wściekły rój pszczół wypłoszony z ula. Giselle nie była w stanie myśleć logicznie. Czuła się jak opętana. Wizja tancerek przesuwiała się przed jej oczami jak film w kinie, tyle że w przyspieszeniu. Zamiast widzieć, jak wychodzą po kolei, całe lśniąco w swoich srebrnych szatach, zobaczyła, że się rozbierają. Kobiety zaczęły robić piruety i kręcić się jak wirujący derwisze z takim zapamiętaniem, że ich spódnice podfrwały do góry, odsłaniając łydki i biodra, a potem nagie brzuchy, piersi i szyje. Suknie wzlatywały w powietrze i odpływały, zostawiając kobiety nagie, nadal pochłonięte tańcem, William zaś patrzył na nie jak urzeczony, niczym podglądacz w świecie marzeń sennych.

– Wszystko w porządku, kochanie? Zbladłaś. Chcesz

wody?

Giselle spojrzała na swoje dłonie; cała się trzęsa.

Zaschło jej w gardle i nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Pokiwała głową.

William wstał z łóżka i poszedł szybko do kuchni. Nalał jej wody z kranu i podał szklanę.

Giselle piła i próbowała uspokoić nerwy, ale bezskutecznie. Nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tancerkach. Że na pewno doskonale tańczyły i były przepiękne. Była na siebie zła za to, że ich nienawidzi. Zawsze uważała, że zazdrość to przypadłość ludzi słabych, a tu proszę, aż zzieleniała z zazdrości.

William siedział obok niej i gładził ją po plecach, jakby była dzieckiem. Nagle dotarło do niej, że od powrotu do domu ledwie cmoknął ją w usta. Siedzieli za to obok siebie na łóżku i jedli chleb z serem jak stare dobre małżeństwo. Czy nie powinien raczej tęsknić za nią tak, żeby zaraz po wejściu do domu chcieć się z nią pieprzyć? A może w ciągu kilku ostatnich dni zdążył się nasycić kobietami? Które na pewno były bez wyjątku dużo bardziej seksowne niż ona. Nie miała pojęcia, jakich sztuczek erotycznych nauczyły się podczas pracy dla Balu, ale potrafiła je sobie wyobrazić po tym, co zobaczyła w Stanach.

– Jakie były? – zapytała. – Te kobiety. – W jej głosie pobrzmiwało niezadowolenie, które najchętniej by wymazała, ale było już za późno: słowa zdążyły wyjść z

jej ust.

William popatrzył na nią uważnie.

– Były zapewne dokładnie takie, jakich można się spodziewać po tancerkach zatrudnionych przy Balu.

– Były piękne? – podsunęła. – Pewnie wzięli najlepsze z najlepszych.

– No tak – odparł. – To o to chodzi? Wiesz przecież, z czym się wiąże moja praca. Poza tym ja nie patrzę na nie w ten sposób... Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale kiedy patrzę na modelkę, nie jest ona dla mnie ciałem w sensie seksualnym. Jest nośnikiem światła, emocji, sztuki.

– A jak w takim razie patrzysz na mnie? Bo albo tak, albo tak. Jestem sztuką czy nie? Nie jestem wystarczająco piękna, żeby mnie malować, czy może jestem zbyt piękna, żeby się ze mną pieprzyć?

William zignorował jej pytanie, co zdaniem Giselle tylko potwierdzało, że w jego rozumowaniu tkwił błąd. William sięgnął do szafki nocnej po papierosy.

– Musisz palić? – spytała naburmuszona Giselle, kiedy zaciągnął się papierosem i wypuścił dym z ust.

Ręka Williama znieruchomiła. Strzepywał właśnie popiół na leżący między nimi pusty talerz. Giselle nigdy wcześniej nie narzekała na to, że pali.

– Mogę wyjść, jeśli wolisz – odparł i spojrzął za okno. – Wieczór jest ciepły. Z przyjemnością się przejdę, bo i tak mam już dosyć siedzenia.

Podniósł się z łóżka i sięgnął po marynarkę –

tweedową w musztardowym kolorze ze skórzanymi łatami na łokciach. Giselle jej nie cierpiała.

– Ale przecież dopiero co przyjechałeś – poskarżyła się.

– Przed chwilą chciałaś, żebym wyszedł.

– Nie chciałam, żebyś wychodził, mówiłam tylko, żebyś nie palił tuż po tym, jak skończyłam kaszleć.

– Dajże mi święty spokój! – krzyknął William. – To mój dom, do cholery. I będę palił, gdzie mi się żywnie podoba.

Wziął talerz i szklankę i wstawił je do zlewu w kuchni. Potem podszedł znów do łóżka, wziął paczkę papierosów, włożył marynarkę i wrzucił sobie zapalniczkę do kieszeni.

– Wrócę późno.

W jego głosie pobrzmiwała stanowczość, która kładła kres wszelkiej dyskusji.

Giselle wpatrywała się w niego z rozdziawioną buzią.

William wyszedł z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi z taką siłą, że aż zatrzęsły się wszystkie okna.

Giselle wstała i zaczęła otwierać szafki, póki nie znalazła butelki z alkoholem. Etykieta informowała, że był to remy martin, a Giselle wiedziała, że to drogi trunk, bo William rzadko go pijał i robił to zawsze z wyraźnym namaszczeniem. Obok butelki stał kieliszek, którego używał podczas rzadkich sesji alkoholowych: przysadzista, gruba i ciężka szklaneczka z kryształ. Giselle wyciągnęła oba naczynia z barku, usiadła na

podłodze, opierając się plecami o kuchenną szafkę, i nalała sobie solidną porcję. Dźwięk trunku lejącego się do szklanki uspokajał ją, podobnie jak myśl, że William być może się na nią wścieknie, gdy wyczuje w jej oddechu alkohol. Wiedział, że rzadko piła i mogła równie dobrze nalać sobie kieliszek czerwonego wina, które było już otwarte, i że upiła się koniakiem tylko w ramach małostkowej zemsty.

Trunek rozgrzewał i smakował miodem. Nalała sobie drugą kolejkę.

Odchyliła głowę i oparła ją o drzwiczki szafki. Przesunęła trochę stopy i siedziała przygarbiona, w kształcie półksiężyca, odprężona. Ale kiedy wściekłość zaczęła jej mijać, przed oczami pojawiał się kolejny irytujący obraz Williama. Jego dłoń na obcym udzie. Język pieszczący sutek, różowy i twardy. Dłonie wplątane w jasne włosy.

Zazdrość Giselle była jak tysiące igieł. Bez względu na to, jak bardzo starała się myśleć o czymś innym, zawsze natrafiała na jakąś szpilę.

Nie mogąc zaznać spokoju niezależnie od ilości bursztynowego trunku, który w siebie wlewała, Giselle wstała i zaczęła szukać w mieszkaniu Williama jego obrazów. Zawsze się zastanawiała, dlaczego ma ich tak mało w domu i w pracowni. Uznała jednak, że gdzieś musi być ich więcej, nie mógł przecież sprzedać albo wystawić wszystkich. Może je przed nią ukrył.

Na czworakach zajrzała pod łóżko, a potem

podniosła materac, wyciągnęła pościel z szafy i zaczęła szukać między ręcznikami. Przesuwała garnki i patelnie w poszukiwaniu – no właśnie, czego? Dowodu na to, że William nie kochał jej tak bardzo, jak twierdził?

Przetrzęsnęła cały dom, ale nic nie znalazła. W końcu zajrzała do szuflady po jego stronie łóżka, gdzie trzymał papierosy. W środku, pod kilkoma zużytymi zapalniczkami, luźnymi filtrami i papierami oraz dwoma guzikami, które odpadły mu od koszul i które schował tu, żeby się nie zgubiły, znalazła szkicownik. Wyciągnęła go, siadła na łóżku i zaczęła przeglądać.

Prawie każdy rysunek przedstawiał ją samą. William narysował ją na tysiąc różnych sposobów. Na pierwszym szkicu była naga, przyciskała do piersi różę z kolcami, a jej usta wykrzywiały się z bólu. Na kolejnym znajdowała się w centrum orgii, miała pełną natchnienia twarz, jak Madonna podczas modlitwy, zaś jakiś anonimowy mężczyzna, przedstawiony jako ciało bez twarzy, wchodził w nią od tyłu. Była też cała seria szkiców przedstawiających ją w roli Joanny, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami, w zapraszającej pozie, mimo pętających ją łańcuchów. Kilka rysunków przedstawiało ją na amerykańskim Balu, nagą pod przezroczystą, zwiewną suknią. Najnowszy rysunek nie był jeszcze skończony i musiał zostać narysowany w drodze powrotnej w samolocie, kiedy ona spała. Przedstawiał ją w grupie tancerek, ale tylko ona została narysowana szczegółowo. William narysował ją nagą na

tle nocnego nieba – wyciągała w górę ręce, jakby chciała sięgnąć gwiazd i mogła ująć je w dłonie. Usta miała pełne, lekko uśmiechnięte, a oczy zamknięte, jakby myślała o pocałunku.

Uniosła głowę, słysząc klucz obracający się w zamku. Na ten dźwięk wróciła do rzeczywistości, jakby obudziła się ze snu. Spojrzała na szklaneczkę przewróconą na podłodze obok otwartej butelki koniaku. Mieszkanie wyglądało jak po włamaniu. Pościel leżała wybebeszona tam, gdzie ją zostawiła, drzwiczki do szafek kuchennych były otworzone na oścież, a blaty były zarzucone najróżniejszymi rzeczami, które ściągnęła z przeszukiwanych półek. Było już zdecydowanie za późno, żeby schować szkicownik z powrotem do szuflady i udawać, że nie grzebała w jego rzeczach.

William powiesił marynarkę na wieszaku i usiadł obok Giselle na łóżku. Rozejrzył się wokół siebie. Giselle czekała na jego reakcję. Ścisnęła zeszyt z rysunkami jak złodziej z łupem w ręku, sparaliżowana ze strachu.

– Widzę, że nie marnowałaś czasu – odezwał się w końcu. Złapał ją palcami pod brodę i odwrócił do siebie jej głowę, po czym pocałował ją delikatnie i wyciągnął jej z rąk szkicownik. Smakował papierosami, ale nie alkoholem. Gdziekolwiek spędził kilka ostatnich godzin, na pewno nie było to w barze.

– Prze... Przepraszam – powiedziała.

– Nie masz za co – stwierdził. – Powinienem być poświęcać ci więcej uwagi. Czego szukałaś w tych rysunkach? Siebie? Czy innych?

– Nie wiem. – Giselle urwała i zamyśliła się. – Chciałam zrozumieć, jak mnie widzisz. I jak widzisz innych – przyznała. – Te kobiety na przyjęciu. Były takie piękne. – Odsunęła się od niego, zawstydzona własnym brakiem pewności siebie. – Nie jestem taka jak one. I nie chodzi mi tylko o urodę, ale o otwartość, radość na ich twarzach. Ja tego nie mam. W pewnym sensie jestem zamknięta w sobie. Właśnie dlatego nie byłam w stanie lepiej tańczyć, choćbym nie wiem, jak się starała. Miałam zapał do nauki, ale brakowało mi wewnętrznego luzu. Zawsze stąpałam twardo po ziemi, nigdy nie bujałam w obłokach. Inne dziewczyny... szybowały w powietrzu. – Skrzywiła się. Jeśli nawet ona sama nie rozumiała w pełni własnych myśli i uczuć, to jak mogła je wyjaśnić Williamowi?

– Ależ mylisz się, kochanie. Spójrz na siebie. – William zaczął przerzucać strony w szkicowniku i pokazywać twarz, którą rysował zawsze przy jej ciele. Ale Giselle nie uważała, że namalowany przez Williama wyraz twarzy należał do niej. Coś takiego widziała tylko u innych. Nie odpowiedziała. – Czy miałabyś inne odczucie, gdyby to były zdjęcia, a nie rysunki?

– Nie wiem... może.

Prawdę mówiąc, wiedziała w głębi serca, że tocząca ją trucizna – bo jej zazdrość była jak trucizna: płynęła w

jej żyłach biała, dzika i obrzydliwa – sięgała dużo głębiej niż powierzchownej kwestii wyglądu. Ale ponieważ bała się stracić Williama, była gotowa zgodzić się na wszystko, byle tylko załagodzić sytuację.

– Mam znajomego fotografa. Jest bardzo dobry. Zgodziłabyś się dla niego pozować? Może razem ze mną? Wtedy zobaczyłabyś, jak ciebie widzę. Ze zdjęciem nie można dyskutować.

Oczy Williama płonęły, błagały, żeby się zgodziła.

– Dobrze – powiedziała. – Zrobię to.

Przyciągnął ją do siebie i opadli razem na łóżko. Chwila bliskości odmieniła falę zalewających Giselle uczuć. To, co było do tej pory mieszaniną złości i bólu, które wiły się w niej niczym stugłowy wąż, zatruwając złą energią jej ciało i serce, przekształciło się w wybuchowy koktajl podniecenia. Pragnęła poczuć go w sobie bardziej niż kiedykolwiek dotychczas. Jej pragnienie wykraczało jednak poza zwykłą żądzę. Potrzebowała go.

Dopiero kiedy William zaczął rozpinać jej dzinsy i zsuwać je na dół, przypomniała sobie o goleniu. Wstrzymała oddech i czekała na jego reakcję, gdy odsłoni jej gładkie przyrodzenie.

William znieruchomiał na chwilę, która w odczuciu Giselle trwała całą wieczność, i nic nie mówił. Potem pochylił się i polizał ją, powoli, przesuwając najpierw język między jej wargami, a później pieszcząc nim gładką skórę.

– Podoba ci się? – spytała szeptem Giselle. Nie widziała go, więc dziwnie się czuła, wypowiadając te słowa na głos, jakby mówiła do siebie.

William podciągnął się wyżej, żeby na nią spojrzeć. Objął ją, przytulił mocno i dopiero wtedy odpowiedział:

– Kocham cię. Całą. – Znów ją pocałował. – Uwielbiałem twój gąszcz. Ale teraz też uwielbiam twoją cipkę. – Sięgnął do niej ręką i musnął palcami jej krocze. – Jest taka gładka... Nie mogę się już doczekać, kiedy cię taką namaluję. Zupełnie inaczej będzie odbijać światło.

– Naprawdę? Bałam się, że ci się nie spodoba.

– Nie ma takiej możliwości, żeby jakakolwiek część ciebie mi się nie podobała, Giselle, a już zwłaszcza ta.

Zsunął się znów w dół jej ciała i pieścił jej intymność ustami, badając ją milimetr po milimetrze, jakby kochali się po raz pierwszy.

Fotograf Mandel miał w Deauville willę, którą wykorzystywał czasem na potrzeby komercyjnych sesji fotograficznych, a czasem jako wiejską rezydencję, do której uciekał przed zamętem codziennego życia w Paryżu.

Mandel zaczynał zdania, ale ich nie kończył, a zamiast tego zadawał pytania, na które sam odpowiadał, zanim Giselle miała w ogóle szansę się odezwać. Bar, za którym stał, ciągnął się przez całą długość salonu, pod

odpowiednim kątem do rozległego przeszklenia, które wychodziło na starannie przystrzyżony jasnozielony trawnik i basen.

– Słodzisz? Chyba nie.

Giselle siedziała bez słowa i przyglądała się mu, gdy wyciągał z barku butelki i podrzucał je jak cyrkowiec pałeczki do żonglowania, a następnie łapał, odkręcał i nalewał. Jego arogancja już ją drażniła, ale męczyzna wydał jej się jednocześnie niezwykle atrakcyjny w swojej odprasowanej białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, luźno zawiązanym granatowym krawacie i wyszczuplających granatowych spodniach, idealnie wypranych i wyprasowanych. Miał też na sobie fikuśne jasnobrązowe buty z czubem i białą obwódką oraz ciężkie srebrne spinki do mankietów przy rękawach koszuli, które podzwaniały o shaker, kiedy potrząsał nim nad głową.

Giselle przycupnęła na końcu białej skórzanej kanapy, zbyt czystej i lśniącej, żeby odważyła się wygodnie o nią oprzeć. William zniknął w łazience i nie było go już od piętnastu minut.

– Pewnie ogląda prace na moją wystawę – wyjaśnił Mandel, jakby czytał jej w myślach. – Przed chwilą rozwiesiłem na górze zdjęcia.

Podał jej kawę w kieliszku do martini z dodatkiem dużej porcji rumu i odrobiną śmietanki artystycznie ozdabiającej bok kieliszka. Na górze unosiły się dwa ziarenka kawy. Całość wieńczył listek mięty ułożony na

brzegach naczynia jak pióro na ozdobnym kapeluszu.

Giselle usłyszała kroki na schodach za jej plecami.

– O! Świetnie! Poznałeś moją wytworną asystentkę – zauważył Mandel. – No i widzę, Flick, że nie marnowałeś czasu i przygotowałaś się do sesji.

Zerknął na Giselle, która obserwowała schodzącą przed Williamem kobietę. Była zupełnie naga poza parą niebotycznie wysokich, jaskrawych, niebiesko-zielonych szpilek i pióropusza z pawich piór na głowie, który okalał jej twarz i rozciągał się na pół metra w każdą stronę jak u tancerek rewiowych z Las Vegas. Oczy Giselle automatycznie powędrowały na krocze Flick, które było równie gładkie jak jej własne. Stwierdziła, że to nie mógł być przypadek i że William musiał powiedzieć Mandelowi, że Giselle się wydepilowała.

– Giselle, to jest Flick, Flick, to jest Giselle. – Flick podeszła do kanapy i wyciągnęła rękę. Miała męską posturę, choć była niewątpliwie kobietą, przynajmniej z anatomii, jeśli nie z tożsamości. Giselle podniosła się odruchowo, żeby się przywitać. Była przynajmniej trzydzieści centymetrów wyższa od Flick, drobnej budowy ciała zarówno pod względem wzrostu, jak i masy. Dziewczyna była chuda jak patyk, niemal całkowicie pozbawiona jakichkolwiek krągłości, ale idąc, kołysała biodrami z przesadną kobiecością. Flick była idealnym połączeniem męskości i kobiecości, jak skrzat, który w zależności od zachcianki mógł zamieszkać w wybranej płci i dowolnie między nimi

przeskakiwać. Flick miała krótkie włosy, wysokie kości policzkowe i pełne usta; Giselle doskonale rozumiała, dlaczego Mandel lubił ją fotografować.

Giselle nie spodziewała się jednak towarzystwa i była zaskoczona obecnością innej kobiety.

– Dziewczynie trzeba jeszcze jednego drinka! – zawołała Flick z silnym południowym akcentem. – Jest sztywna jak deska! – Jej głos wydawał się zbyt głośny jak na tak drobne ciało. Wzięła Giselle za rękę i pociągnęła ją do baru. – Na co masz ochotę? – spytała. – Rum? Tequila? Coś owocowego? Coś kwaśnego? Mandel, gdzie masz tę swoją mieszankę jagodową?

– Sprawdź w lodówce – odpowiedział fotograf.

Flick odwróciła się do niego plecami i otworzyła lodówkę, a Mandel zaczął otwarcie gapić się na jej tyłek, który był – jak musiała przyznać Giselle – przyjemnie jędrny i sprężysty. Flick zaczęła grzebać za barem. Otwierała różne butelki i wachała ich zawartość, po czym odkładała je i sprawdzała kolejne. W końcu wcisnęła w wolną rękę Giselle drugiego drinka, tym razem przygotowanego w wysokiej, wąskiej szklance wypełnionej gęstą, jaskrawoczerwoną i lodowato zimną miksturą.

Potem zaś zuchwale rozpięła górny guzik bluzki Giselle, która zorientowała się, że Flick jest już mocno podpita i nietrudno było zgadnąć dlaczego. Owocowy drink, który jej przygotowała, był mocny jak cholera.

– Idę po aparat – poinformował Mandel i zaczął

wbiegać po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz.

William stał niezręcznie przed kanapą i patrzył na dziewczyny.

– Przepraszam – szepnął bezgłośnie do Giselle. Jego usta ułożyły się w zażenowany półuśmiech.

Giselle odsunęła się od Flick i podeszła do niego, zauważając, że chwieje się już niepewnie na nogach.

William przytulił ją i pocałował w policzek.

– Wszystko okej? – szepnął. – Nie wiedziałem, że ona tu będzie.

– Nie szkodzi – uspokoiła go Giselle. Upiła kolejny duży łyk drinka i skrzywiła się. Lodowate zimno przeniknęło ją do szpiku kości i miała wrażenie, że jej mózg pokrywa się szronem.

Flick podeszła do nich wolnym krokiem. W obu rękach trzymała koktajle i podała jeden Williamowi.

– Nadrabiaj, kochasiu! – powiedziała, a potem schyliła się, rozpięła buty i rzuciła je ze stóp. Kiedy się pochyliła, jej drobne piersi z dumnie sterczącymi sutkami wysunęły się naprzód.

Giselle opróżniła kieliszek. Miała ochotę pogłodzić sutki Flick, musnąć je koniuszkami palców, sprawić, żeby zrobiły się twarde. Było coś niesamowicie podniecającego w tupecie drobnej dziewczyny, w pewności siebie, jaką emanowała.

Mandel wrócił z aparatem.

– Chciałem robić zdjęcia w pracowni – powiedział. – Poczęstować was najpierw drinkiem, tak jak prosiłeś...

Ale jeśli nie masz nic przeciwko, Williamie, to zaczę tutaj. Dziewczyny są cudowne, a z okien mam wspaniałe światło.

Giselle poczuła się zirytowana faktem, że zwrócił się do Williama tak, jakby była tylko jedną z jego maskotek i jakby miała robić to, co jej każe, jak pierwsza lepsza modelka, choć ściśle mówiąc, nie przysłała tu do pracy.

Nie taki był cel ich wizyty. Ale alkohol zaczął działać, a Mandel włączył jakąś płytę – Giselle nie rozpoznała wykonawcy, ale intensywny rytm sprawiał, że miała ochotę zapomnieć o swoich zmartwieniach i dać się porwać chwili.

– Zatańczmy – szepnęła jej Flick do ucha, przysuwając usta tak blisko jej skóry, że równie dobrze mogłaby ją pocałować.

Modelka złapała Giselle za ręce i ułożyła jej dłonie na swoim ciele jak do walca. Giselle prowadziła. Dziewczyny zrobiły rundkę wokół pokoju, zaśmiewając się z rażącej różnicy wzrostu. Mandel uwijał się wokół nich, przykucając i pstrykając zdjęcia pod najróżniejszymi kątami, przysuwając się i odskakując jak denerwujący komar. Giselle stwierdziła, że gdyby nie był przystojny, nie dałoby się go znieść. Ale z drugiej strony, gdyby był mniej atrakcyjny, być może miałby miłszą osobowość.

Kręcąc się i wirując, dziewczyny zrobiły jeszcze na oczach obserwujących je mężczyzn dwa okrążenia wokół wielkiego salonu, aż w końcu Flick pociągnęła je

na kanapę, na którą padły bezładnie obok Williama.

– Jezu – odezwała się Flick, oddychając ciężko. – Masz dużo lepszą kondycję niż ja. – Giselle skromnie zaprzeczyła, ale w głębi ducha czuła się mile połączona. Naprawdę starała się dbać o swoje ciało.

Odwróciła się do Williama, ale zanim zdążyła się odezwać, Flick usiadła jej okrzakiem na kolanach i zaczęła rozpinać pozostałe guziki jej bluzki.

– Masz na sobie zdecydowanie za dużo ubrań – stwierdziła, wydymając teatralnie usta. – Czuję, że się wyróżniam.

W zasadzie było ciepło, a Giselle przyjechała z nastawieniem na rozbieraną sesję zdjęciową. Zsunęła więc spódnicę i majtki, ostrożnie unosząc biodra i przepychając materiał pod nogami Flick obejmującymi jej kolana.

– Nie – przerwał jej Mandel. – Bluzkę zostaw. A ty William... rusz się, człowieku! Albo się odsuń. Nie możesz tak po prostu tu siedzieć, zupełnie nie pasujesz.

William zaczął się podnosić, ale Flick złapała go za pasek i pociągnęła znów na dół.

– Nie masz nic przeciwko, prawda? – odezwała się do Giselle, po czym wychyliła się i przyłgnęła ustami do warg Williama, wymuszając pocałunek. Jednocześnie przyciskała się kroczeniem do krocza Giselle jak do męskiego członka. Mendel przysunął się do nich, szukając miejsca, z którego mógłby zrobić dobre zdjęcie.

– Możecie się przenieść bliżej okien? Tutaj nie uda mi się zrobić porządných zdjęć – mruknął. – Zaprowadzisz ich, Flick? – Wskazał na miejsce, gdzie na podłogę padały promienie słoneczne, znacząc drewnianą posadzkę cętkowanym wzorem. – Ja w tym czasie naleję wam jeszcze po drinku.

Flick zerwała się z kanapy i ściągnęła z oparcia owczą skórę, którą rzuciła na podłogę. Odpięła pióropusz, odłożyła go na stolik kawowy i potrząsnęła energicznie krótkimi włosami jak pies, który wyskoczył z wody.

– Chodźcie! – zawołała. – Weźmy się wreszcie do roboty.

5. Świetlista aureola

Zaczęło świtać.

Giselle uchyliła powieki i poczuła się zdezorientowana, rozdarta między dogasającym snem a zapowiedzią nowego dnia. Unosiła się niepewnie na wodzie. Na wodzie?

Powoli dobiegł ją miarowy plusk wody uderzającej co jakiś czas z chłupotem o pobliski brzeg basenu. Wraz ze światłem wpadającym pod jej powieki zalała ją fala błękitu. Leżała na brzuchu na wściekle różowym materacu, który dryfował na wodzie. Letnia bryza pieściła jej nagie pośladki. Giselle natychmiast się zorientowała, że gdyby wykonała jakiś gwałtowny ruch, wylądowałaby bezceremonialnie w basenie. Wstrzymała oddech, starając się zachować niepewną równowagę i odzyskać nad sobą panowanie.

Jakim cudem wylądowała w basenie? Ktoś musiał położyć ją na chwiejnym pokładzie i odepchnąć od brzegu. Zrobił to, kiedy spała?

Zalały ją wspomnienia minionej nocy. Spodziewała

się raczej, że obudzi się wśród nagich ciał, które przypomną jej wyraźnie o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Ale była sama. Leżała w nieprzyzwoitym negliżu na dmuchanym materacu i unosiła się w ciszy na wodzie.

Uniosła ostrożnie głowę i rozejrzała się. Mało co widziała zza wysokich brzegów basenu, jedynie kępę ciemnych krzaków jakieś sto metrów dalej, a po przekręceniu głowy także pergolę wykonaną ze szkła i metalu, gdzie – jak sobie właśnie przypomniła – jakiś czas temu uprawiała seks z fotografem, odurzona lubieżnym charakterem chwili, znajdując się do pewnego stopnia pod presją pozostałych.

Obok Flick robiła to z Williamem.

Giselle przypomniła sobie, gdzie jest. W wiejskiej posiadłości fotografa, jak mu było? A tak, Mandel... W Deauville.

Gdzie, do cholery, był William?

Czy z niewyjaśnionych przyczyn zostawił ją tu samą? Chyba nie? Znów uderzyło ją wspomnienie jego zwalistego ciała splecionego z chudą postacią Flick, którą niemal miażdżył. Twarz niskiej dziewczyny, która zagrzewała go do działania, promieniała rozkoszą. Giselle poczuła się tak, jakby ktoś znów rozszarpał jej wnętrzności, już raz pozszywane. Ale sama też nie oponowała, tylko przyglądała się kątem oka z niezdrową fascynacją rozgrywającemu się obok spektaklowi, w którym jej mężczyzna pieprzył się z

inną, podczas gdy tuż obok nich Mandel kładł się na nią, a ona – ku swojemu niezmiernemu zdumieniu – czuła się dziwnie bezstronna, szalenie ciekawa i na pewno nie obojętna.

Na ułamek sekundy ogarnęła ją panika na myśl o tym, jak wróci do Paryża. Zgodziła się wziąć podwójną zmianę późnym popołudniem w kwiaciarni na Rue de Buci, a na wybrzeże przyjechała niemal bez grosza przy duszy; w każdym razie nie miała przy sobie tyle, żeby zapłacić za pociąg. Jak William mógł jej to zrobić? Freya z kwiaciarni się wścieknie.

Giselle zanurzyła delikatnie ręce w wodzie, chcąc spróbować dopłynąć jakoś do brzegu, a przy tym nie wyrzucić chwiejnego materaca. Przy brzegu natomiast równie ciężko było jej z niego zejść tak, żeby nie wpaść do wody. Podciągnęła się do góry i przeczołgała się na stały grunt.

Wstała i rozejrzała się. Nigdzie nie widziała swoich ubrań. Nad horyzontem wschodziło zimne słońce. Zadrzała. Jej ciało pokryło się gęsią skórką. Na białym krześle ogrodowym wisiał ręcznik, więc spróbowała się nim owinąć, ale sięgał tylko jej brzucha. Zacisnęła go wokół piersi. Do domu prowadziła żwirowana ścieżka, którą ruszyła na palcach. Drzwi od tyłu były otwarte na oścież i prowadziły do pracowni. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętała: labirynt sprzętów, rekwizytów, aparatów, obiektów, światłomierzy i najróżniejszego ustrojstwa, a także pomięte płachty grubego materiału –

a może papieru? – które Mandel rozwinął jako tło.

Dziwne, bo zaczął sesję raczej swobodnie, mając do dyspozycji tylko aparat i gasnące światło wpadające przez rozległe przeszklone połączenie w salonie, kiedy zaś ich trójka rozluźniła się pod wpływem dużej ilości alkoholu, Mandel zrobił się bardziej fachowy, do tego stopnia, że pod koniec miała wrażenie, że bierze udział w profesjonalnej sesji pornograficznej, a nie, że urządzili sobie trójkącik, który przypadkowo został uwieczniony w obiektywie.

Z góry dobiegła ją cicha muzyka, a potem niewyraźne głosy i znów muzyka. Radio.

Giselle zaczęła wchodzić po drewnianych schodach, stopień po stopniu, bojąc się tego, co może zastać w pokojach na piętrze. Czy drobna Flick będzie leżała w ramionach Williama, a jego masywna postać będzie osłaniać jej szczupłe ciało, czy może będą leżeć na łyżeczkę albo ich ciała będą nadal splątane w ten sam sposób, w jaki ona i William witali zwykle poranek? Poczowała suchość w gardle. A co z Mandelem? Będzie w tym samym pokoju co oni? Czy może nawet razem z nimi w łóżku?

Przed jej oczami pojawiła się twarz Olena unikającego jej wzroku; wspomnienie zdrady z przeszłości.

Niektóre rany nigdy się nie goją.

Giselle przystanąła z wahaniem przed pierwszą sypialnią. Na łóżku pod przykryciem, splecione w

pościeli widniały jakieś kształty. Zebrała się w sobie i miała już wejść do ciemnego pokoju, kiedy poczuła na karku ciepły, wilgotny pocałunek, któremu towarzyszył odgłos cichych kroków.

Odwróciła się szybko.

To był William.

Miał rozczochrane włosy. Dzikie i nieujarzmione. Tak jak ona był owinięty ręcznikiem, tyle że on związał go sobie w pasie, pozostawiając klatkę piersiową gołą i odsłaniając bujne owłosienie i rozspane mięśnie.

– Dzień dobry – przywitał się.

Zatkało ją.

– Zaskoczyłeś mnie. Skąd się tu wziąłeś?

– Z łazienki. – Skinął ręką na jakieś drzwi na końcu korytarza. Z nosa i brody kapła mu woda. – Poszedłem się odświeżyć – wyjaśnił.

Giselle poczuła niewymowną ulgę, bo uświadomiła sobie, że tulącą się w łóżku parą byli Mandel i Flick.

Wskazała brodą śpiące postaci na łóżku w mętym świetle sypialni.

– To tylko ta laska i fotograf – potwierdził William. – Wydaje mi się, że skończyli zabawę dość późno, może nawet nad ranem?

Giselle bardzo chciała go o coś spytać, ale ją ubiegł.

– Zasnąłem przy basenie. Czuwałem nad tobą całą noc.

– Jak się tam znalazłam?

– Nie pamiętasz?

– Nie bardzo – przyznała Giselle. – Pamiętam, że kochaliśmy się wszyscy razem na dywanie, a potem w studiu, a jeszcze później przy pergoli. I że dużo piliśmy.

– Nie kochaliśmy się, tylko się pieprzyliśmy... Ale muszę przyznać, że nigdy nie widziałem, żebyś tyle piła...

– Naprawdę?

– Tak. A potem zaczęłaś marudzić, że chcesz popływać.

Częściowo zaczęły do niej wracać wspomnienia, na wpeł ukształtowane obrazy, pojedyncze myśli, niczym leniwa poranna fala obmywająca jej świadomość.

– Naprawdę?

– Pomogłem ci położyć się na materacu, a potem zasnęłaś. Uznałem, że jesteś tam bezpieczna, ale na wszelki wypadek usiadłem przy basenie i cię obserwowałem. Szkoda, że nie mogłem cię namalować. Biała skóra, czarny woal mokrych włosów opadających na plecy, wspaniały tyłek, niebieskozielona woda... – William westchnął. Jego słowa były jak balsam na jej duszę.

Chciała już coś powiedzieć, ale William nakrył jej usta dłonią.

– Ciii... Usłyszają nas. Pozwólmy im pospać. Nie ma potrzeby ich budzić.

Wziął ją za rękę i pociągnął delikatnie korytarzem do drugiego pokoju.

Po wejściu do środka stanął przed nią i popatrzył

rozmarzonym wzrokiem na jej ciało, a potem bez ostrzeżenia odwinął ręcznik zakrywający jej piersi i pozwolił mu opaść na dywan.

Giselle spojrzała mu w oczy i odruchowo ściągnęła mu ręcznik z bioder, jakby otrzymała telepatyczny rozkaz.

Fiut Williama był twardy i sztywny.

– Kiedyś zrozumiesz – odezwał się William – że kiedy pieprzę się z inną kobietą, tak jak wczoraj, jeszcze bardziej cię przez to pragnę. Podobnie się dzieje, gdy widzę cię z innym. Przypominam sobie wtedy, dlaczego jesteś taka cudowna. I że na razie w dalszym ciągu jesteś moja.

Wziął ją na ręce z łagodnością i siłą olbrzyma i położył na łóżku.

Giselle była na niego gotowa jak nigdy dotąd.

Dwa tygodnie później duża brązowa koperta zaadresowana do Williama i Giselle wpadła przez wąski otwór szarej metalowej skrzynki pocztowej przymocowanej na zewnątrz bramy wejściowej.

Giselle schyliła się i podniosła ją, a potem zaczęła wchodzić po schodach, ale nie swoim zwykłym szybkim tempem.

– Zapomniałam już, że od wchodzenia na górę aż tak bolą nogi – odezwała się do idącej za nią Beth. Wróciły właśnie z długiego spaceru wzdłuż Canal Saint-Martin,

w pobliżu którego Beth od czasu do czasu chodziła na lekcje baletu. Giselle nie chciała z nią iść na zajęcia, ale umówiła się z nią pod szkołą, żeby pogadać. Ponieważ jednak żadna nie miała pieniędzy, postanowiły napić się czegoś u Giselle. William znów wyjechał w związku z jakimś zleceniem dla Balu.

– Może przestałaś ćwiczyć, ale nadal wyglądasz świetnie. Z tej perspektywy twój tyłek wygląda doskonale.

Giselle zatrzymała się i odwróciła się do niej. Beth uśmiechała się szelmowsko.

– Dzięki – odpowiedziała. – Te schody pomagają.

Otworzyła drzwi do mieszkania, weszła do środka i nastawiła wodę.

– Kawy?

– Chętnie – odparła Beth. Zdjęła z siebie rozciągniętą bluzę, którą narzuciła po drodze na strój baletowy, i cisnęła ją na kanapę, jakby była u siebie. – Muszę przyznać – dodała, rozglądając się po mieszkaniu – że inaczej to sobie wyobrażałam. Co tu tak pachnie? – spytała, pociągając nosem. Jej nozdrza zadrgały jak nos królika. Sięgnęła do tyłu i ściągnęła z włosów gumkę, która przytrzymała je podczas zajęć. Rozpuszczone włosy opadły wokół jej twarzy, sięgając aż do łopatek.

– Farby Williama – odpowiedziała Giselle. Podeszła do okna, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

– Pachnie naftą – zauważyła Beth.

– Można się przyzwyczaić.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami. Przysiadła na oparciu kanapy i wyciągnęła przed sobą nogi, nawykowo zadzierając palce. Giselle przyglądała się jej z kuchni. Od czasu wspólnego pozowania u Sebastiana Giselle uświadomiła sobie, że kobiety pociągają ją w zupełnie nowy sposób, z którego dotąd nie zdawała sobie sprawy. Teraz za każdym razem, kiedy przebywała w towarzystwie Beth, siłą rzeczy zwracała uwagę na jej długie, zgrabne nogi, jędrny tyłek i piersi oraz na pełne, czerwone wargi. Również inne drobiazgi pobudzały wyobraźnię Giselle i sprawiały, że jej cipka zaczynała się zaciskać. Piżmowy zapach szamponu Beth. Spowijająca ją aura arogancji. Celowość, z jaką wykonywała każdy ruch, jakby na jakimś poziomie zdawała sobie sprawę, że wszyscy na nią patrzą.

Woda w czajniku zagotowała się.

– Czarną? – spytała Giselle.

– Ze śmietanką, jeśli masz – poprosiła Beth.

Giselle pogrzebała w lodówce i znalazła kartonik ukryty za okrągłym serem zawiniętym w papier i słoikiem z oliwkami. Zadowolona nalała do obu kubków szczodłą porcję śmietanki.

Beth odebrała od Giselle kubek i oblizała wewnętrzną część wargi, zlizując odrobinę śmietanki, która tam została. Giselle patrzyła na nią i mimo woli zastanawiała się, jakby to było poczuć ten język na swoim kroczu. Znów zaczęła sobie wyobrażać reakcję koleżanki na wieść o tym, że po sesji u Sebastiana

zgoлиła sobie włosy łonowe.

– Otworzysz? – zapytała Beth.

– Ale co? – spytała zdezorientowana Giselle.

– Kopertę. Tę, którą podniosłaś z podłogi. Była zaadresowana do was obojga.

Giselle zerknęła na kuchenną ławę, na której leżał gruby brązowy list.

– A, tę. Nie, zaczekam na Williama.

Beth zmarszczyła czoło. Jej brwi przypominały chude blade gąsienice pełzające po twarzy. Wstała i poszła do kuchni. Wróciła z kopertą, którą rzuciła Giselle na kolana, a potem usiadła po turecku jak Budda.

– Wiesz, że nie pochwałam twojego związku z Williamem. A przynajmniej nie na dłuższą metę.

Giselle zrobiła obojętną minę, co oznaczało, że się wyłączyła. Nie spodziewała się, że rodzice ucieszą się z jej związku, ale miała nadzieję, że może liczyć na wsparcie najlepszej przyjaciółki, a przynajmniej na jej neutralność.

– Olena też nie lubiałaś – stwierdziła.

– Bo ty zawsze wybierasz niewłaściwego faceta! Olen był przynajmniej w twoim wieku.

– Wiek to tylko liczba.

– Przestań gadać bzdury. William jest prawie dwa razy starszy od ciebie. Ale to nie wszystko... Jest w nim coś dziwnego. – Beth rozglądała się po mieszkaniu, jakby szukała ukrytych dowodów na potwierdzenie swoich słów. Ponieważ jednak nic nie znalazła, spojrzała znów

na Giselle. – Nie podoba mi się, że zawsze tak się przed nim płaszczysz. To nie twój ojciec. Ani żaden bożek.

– Ale ja wcale nie twierdę, że nim jest.

– W takim razie otwórz kopertę.

Zrezygnowana Giselle ustąpiła i podważyła ostrożnie paznokciem miejsce sklejenia.

Beth wyrwała jej kopertę i rozerwała papier.

– Proszę – powiedziała z zadowoleniem, podając jej z powrotem przesyłkę. – Przynajmniej nie będziesz mogła zakleić jej z powrotem, tak jakbyś w ogóle jej nie dotykała.

W środku znajdował się plik dużych czarno-białych zdjęć osłoniętych złożoną na pół kartką białego papieru i przewiązanych czarną jedwabną wstążką. Nie było żadnego liściku.

– O cholera – zaklęła Beth na widok pierwszego zdjęcia. Wytrzeszczyła ze zdumienia oczy. Beth rzadko przeklinała. – Gdzie ty byłaś?

– Na sesji zdjęciowej – odpowiedziała Giselle, wsuwając zdjęcia z powrotem do koperty. To były fotografie, które robił im Mandel, kiedy razem z Flick i Williamem pieprzyli się po pijaku. Oglądanie ich niewątpliwie przywołałoby z powrotem wszystkie emocje i zazdrość. Giselle nie chciała ryzykować, że wybuchnie przy Beth płaczem, zwłaszcza że wiedziała, że przyjaciółka nie oceni pozytywnie faktu, że jej chłopak uprawiał seks z inną kobietą.

– To nie była zwykła sesja – nie dawała za wygraną

Beth. – A uwierz, że w imię sztuki robiłam naprawdę dziwne rzeczy. – Wyciągnęła rękę, zacisnęła dłoń na pliku fotografii i wyciągnęła je z ręki Giselle. – Zapłacili ci za to? – spytała, przeglądając zdjęcia.

– Nie – przyznała Giselle. Czuła, że na policzki wypływa jej gorący rumieniec.

Beth uniosła jedno zdjęcie.

– Zawsze uważałam, że z tobą nigdy nic nie wiadomo, kochana, ale muszę przyznać, że nie zdawałam sobie sprawy, że do tego stopnia. – Zdjęcie przedstawiało Giselle i Flick pochłonięte głębokim pocałunkiem z języczkiem. Giselle obejmowała Flick za szyję i zaciskała dłonie na jej włosach. Wcześniejsze fotografie pokazywały splecione ze sobą ciała, stwardniałe sutki, wilgotne cipki, fiuta wsuwającego się do odbytu, wyprężone plecy Flick, palec Williama pieszczący srom Giselle. Ta fotografia nie miała aż tak pornograficznego charakteru, a jednak było w niej coś naturalistycznego. Nagie ramiona i palce Giselle były napięte, jakby przyciągała do siebie Flick wbrew jej woli. Ujęcie nie było pozowane, jakby Mandel przyłapał znieścacka kochanki w namiętym uścisku. W ich pozycji było coś szczerego, czego brakowało na innych zdjęciach pokazujących anonimowe części ciała, które dało się rozpoznać wyłącznie po twarzach.

Beth wzięła do ręki kolejne zdjęcie, na którym widać było zbliżenie męskiej dłoni: palce zaciskały się na drobnym, jędrnym kobiecym pośladku.

– To William? – domyśliła się Beth. – I ta dziewczyna? – Wpatrywała się z uwagą w twarz Giselle, ciekawa jej reakcji. Przez otwarte okno wpadały odgłosy z ulicy: warkot przejeżdżających samochodów i rozmowy przechodniów. Giselle stwierdziła, że to dziwne zestawienie: podczas gdy one oglądały rozbierane fotografie, obok toczyło się zwykłe życie. Zastanawiała się, czy ulicą nie przechodzą właśnie dzieci i poczuła nagły – i jak wiedziała – irracjonalny wstyd oraz potrzebę, żeby wstać i zaciągnąć zasłony.

– Tak – odpowiedziała w końcu. – Nazywa się Flick.

Beth zamierzała najwyraźniej wydobyć z niej wszystkie szczegóły. Niedotyczące tego, co tam zaszło, ale tego, jak czuła się z tym Giselle.

– No i? – ponagliła. – Jak było?

– Szczerze mówiąc – odpowiedziała Giselle – byłam tak pijana, że prawie nic nie pamiętam. Wszyscy byliśmy pijani. Pamiętam, że w pewnej chwili Flick zaczęła się do mnie dobierać, a właściwie do nas obojga, a zaraz potem obudziłam się na materacu dryfującym w basenie. Ale jeśli chodzi ci o to, jak się czuję w związku z tym, że William robił to z inną kobietą...

– Tak – przerwała jej zniecierpliwiona Beth – o to mi właśnie chodzi.

– Właściwie to nie jestem pewna. Na samą myśl o tym robię się zazdrosna. Wpadam w szał. Czasem wręcz mi odbija. – Przypomniała sobie o bałaganie, którego narobiła, kiedy przeszukiwała rzeczy Williama, chcąc

znaleźć obrazy, które musiał gdzieś przecież trzymać. – A jednak tamtego wieczoru było mi to obojętne. Byłam ciekawa. Niemal tak, jakbym obserwowала wszystko z końca jakiegoś tunelu. – Wzruszyła ramionami. – Przynajmniej z tego, co pamiętam. Dużo wypiliśmy.

– Będziesz się jeszcze widzieć z tą dziewczyną?

– Z Flick?

– No – potwierdziła Beth i znów zademonstrowała zdjęcie przytulonych Giselle i Flick. – Widać, że ci się podoba. Nie wyglądasz wcale tak, jakbyś tylko pozowała.

Giselle zastanawiała się, czy Beth jest zazdrosna. Wiedziała, że przyjaciółka ją pociąga i że w ostatnim czasie zaczęło to przybierać na sile, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że Beth mogłaby odwzajemnić jej odczucia. Nigdy nie myślała poważnie o tym, żeby związać się z kobietą, choćby na krótki romans, ale nawet gdyby przyszło co do czego, to i tak uznałaby, że Beth jest poza jej zasięgiem. Wydawała się niedostępna, nieziemsko piękna. Jakoś nie mieściło jej się w głowie, że mogłaby się spodobać Beth. Czułaby się tak, jakby uprawiała seks z gwiazdą filmową.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała Giselle. – A przynajmniej nie planuję.

Beth nachyliła się i Giselle myślała początkowo, że chce sięgnąć do stolika, na który odstawiły kawę, ale zamiast tego złapała Giselle za ramiona i przyciągnęła ją do siebie. Ich usta się zetknęły. Wargi Beth były

niezwykle miękkie, a jej pocałunek czuły i powolny. Oraz wilgotny. To było coś dużo więcej niż zwykły buziak, choć jeszcze nie pocałunek z języczkiem. Pocałunek miał kwaśny posmak, od kawy i śmietanki, ale na pewno nie był nieprzyjemny. Beth odsunęła się, zanim Giselle zdążyła się zorientować, czy jej zachowanie miało wydźwięk seksualny czy czysto platoniczny. Później zastanawiała się, czy to wszystko nie było przypadkiem wytworem jej wyobraźni.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa – powiedziała cicho Beth.

Niedługo potem musiała wychodzić. Miała nagraną robotę jako kelnerka dla ekskluzywnej firmy z branży turystycznej. Miała serwować kanapki bogatym biznesmenom i pojedynczym kobietom, które zawsze macały ją po tyłku, kiedy nie mogła się w żaden sposób obronić, bo bała się, że upuści srebrną tacę zastawioną tartinkami z homarem.

– Ale nie przeszkadza mi to – twierdziła Beth. – Dają wysokie napiwki.

Po jej wyjściu Giselle pozbierała filiżanki i zaniósła je do kuchni. Rozmowa tak je pochłonęła, że ledwie tknęły kawę, która była już zimna. Na wierzchu utworzył się tłusty kożuszek ze śmietanki.

Czy Giselle była szczęśliwa?

Było to pytanie, nad którym dotychczas niespecjalnie się zastanawiała. Zakładała po prostu, że odpowiedź brzmi „tak”.

Była szczęśliwa, tak. Ale była też samotna.

Kiedy William wyjeżdżał realizować zlecenia dla Balu, rzadko kontaktował się z Giselle, przez co czuła się porzucona. Żadnego listu czy telefonu, czasem tylko jakaś pocztówka ze słowami „Chciałbym, żebyś była tu ze mną” lub czymś równie mało znaczącym, wysłana z jakiegoś egzotycznego czy wręcz zupełnie nieznanego miejsca, którego Giselle musiała niekiedy szukać na mapie, żeby mieć jakiegokolwiek pojęcie, gdzie jest William. Zdarzało się, że kartka dochodziła dopiero po jego powrocie. Czasem przywoził jej jakiś prezent: śnieżną kulę, jakieś świecidełko, a raz złoty łańcuszek na kostkę, który niechętnie wkładała i najczęściej trzymała w szufladzie przy łóżku.

W dzień dało się jeszcze jakoś wytrzymać; zawsze było coś do roboty: wykłady, praca w kwiaciarni, kolejne sesje dla Emile’a Saffy’ego, z których większość była już porządna i akademicka, książki, filmy, marzenia na jawie. Tylko raz skontaktował się z nią fotograf Mandel i zaoferował jej pracę, ale odmówiła mu grzecznie pod jakimś pretekstem, bo była zbyt wielkim tchórzem, żeby zrobić to otwarcie i poinformować go, że nie ma już ochoty dla niego pozować.

Ale noce były trudne. Giselle odzwyczaiła się od samotnego sypiania, bez tchnącego spokojem ciężkiego

ciała Williama i znajomego ciepła jego śpiącej osoby. Czowała się pusta i niekompletna; nie czerpała nawet satysfakcji z dotykania samej siebie i pobudzania swoich zmysłów, kiedy samotność stawała się nie do zniesienia.

Bardzo szybko uzależniła się od tego mężczyzny.

Złościło ją to, a jej serce buntowało się z powodu utraty niezależności.

Któregoś wieczoru, kiedy William pakował się w pośpiechu po telefonie otrzymanym od ludzi z Balu, bo w każdej chwili mogła przyjechać taksówka, która miała go zabrać do Roissy, zauważył milczącą rozpacz malującą się na jej twarzy.

– Wiesz... że w czasie mojej nieobecności... – Zawahał się. – Nie mam nic przeciwko temu, żebyś spotykała się z innymi, z mężczyznami, kobietami, bez znaczenia. Zdaję sobie sprawę, że masz swoje potrzeby...

Słyszając to, do oczy napłynęły jej łzy, ale ziarno zostało zasiane.

Innym razem, zauważając jej smutek, William próbował nieudolnie się tłumaczyć.

– Należy się nam możliwość doświadczania przyjemności. Tylko tyle mamy. Próbuj wszystkiego, ciesz się cielesnością. To wcale nie oznacza, że cię nie kocham albo że ty nie kochasz mnie. Nic z tych rzeczy. Nasze doświadczenia stają się częścią nas, odradzają nas.

Na jej twarzy odmalowało się powątpiewanie.

– Jesteś jeszcze młoda, Giselle, pewnego dnia

zrozumiesz, że miałem rację...

Paryż nocą stanowił bezdenną studnię możliwości, z których każda wydawała się bardziej atrakcyjna niż perspektywa bezsennego leżenia w łóżku, kiedy nie jest się w stanie skoncentrować na kartach książki ani na cieniach rzucanych przez księżyc na sufit.

Chodziła w stronę rzeki obok zamykających się barów i restauracji, obok migocących światełek wystaw sklepowych i galerii sztuki, mijając pokryte malunkami ściany École des Beaux Arts, wyłaniała się w ciemności przy Pont des Arts z białą rzeźbioną sylwetką Luwru po drugiej stronie Sekwany. Wędrowała wzdłuż nabrzeżnych bulwarów, przesuając od niechcenia dłoń po popękanych drewnie zamkniętych na kłódkę stoisk bukinistów zawieszonych na niskich murkach nabrzeża. Nie podążała w żadnym konkretnym kierunku.

Była tylko ona i noc.

Przeszła przez most na Prawy Brzeg, a potem zawróciła na poziomie Samaritaine. Rzeka była granicą dzielącą Paryż na dwie oddzielne krainy. Jako dziecko znała głównie północną część, gdzie mieszkali jej rodzice i gdzie się wychowała, gdzie chodziła do żłobka, do podstawówki, a potem do pobliskiego *Lycée*. Zaznajomiła się wtedy z krzewami i roślinnością Jardin des Plantes, ze znajdującym się tam maleńkim zoo i ogrodami botanicznymi, ze stromymi wzgórzami Menilmontant i podejrzany nocą terenami wokół stacji kolejowych, a także dalej, z nieprzebranymi

labiryntami Marche des Puces, gdzie nie wolno jej było chodzić samej. Z jakiegoś powodu nigdy nie zapuściła się wtedy dużo dalej na południe niż do Châtelet, poza wizytami na Ile de la Cité z jego nieregularnym targiem kwiatowym i ptasim, ocienionym przez gotycką bryłę Notre Dame. Lewy Brzeg emanował niesamowitym urokiem, był miejscem uniwersytetów i mody, a w przekonaniu Giselle również ulicznej polityki. To głównie tam w maju 1968 roku miały miejsce legendarne protesty, na które spóźniła się o całe pokolenie. Wszyscy mówili, że rejon stracił w dużej mierze dawną klasę i został zalany sklepami z odzieżą, wypierając dominujące dawniej księgarnie, zaś w tańszych zaułkach rozprzestrzeniły się jak przekłeta epidemia lokale z kuskusem, greckim kebabem i fast foodem.

Giselle żałowała, że nie mieszkała tam przed dekadą lub nawet wcześniej, ale w dalszym ciągu w okolicy było wiele do odkrycia. Wąskie uliczki z nieregularnym oświetleniem, przestrzenne bulwary ożywiane kinowymi neonami, dyskretne ceglane kamienice wznoszące się wysoko nad głównymi ulicami, osłaniające wewnętrzne dziedzińce, prywatne rezydencje z czarodziejskimi ogrodami, rzut kamieniem od cywilizacji, zanurzone w przeszłości, skrywające w swoich wnętrzach pełnych pasji arystokratów i burżuazję, o których sekretnym życiu mogła jedynie fantazjować.

I oczywiście wszystkie otwarte do późna knajpki, w

których mogła się schować przed zimnem i godzinami popijać w kącie kawę bez obaw, że ktoś ją będzie niepokoił, lub wpaść w ciągu dnia na kieliszek wina bez lęku, że spotka się z dezaprobatą.

Tak zaczął wyglądać jej Paryż.

Kolejny przekroczony most i doszła do częściowo ukrytych wąskich schodków między wysokimi murami, prowadzących na skraj wyspy. Wkroczyła z wahaniem w ciemność, bo nie było to miejsce, w które należało zapuszczać się nocą, zwłaszcza w pojedynkę. Wyszła w strefę przytłumionego światła odbijającego się od rzeki i w poświatać półksiężyca zanurzonego w kurtynie chmur. Wąska ścieżka niemal stapiająca się o tej później godzinie z pluskającymi wodami strumieni rzeki, miniaturowy ogród na środku krótkiego cypla. Giselle poszła ścieżką z pustką w głowie. Szept, ruch po lewej. Dwa kształty pod drzewem, mężczyzna na kolanach, z niewidoczną w ciemności twarzą, obciążający innemu. Ruszyła dalej, choć w głębi duszy wołałaby zostać i popatrzeć. Dotarła na koniec wyspy, który stapał się z panoramą rzeki rozciągającą się w noc w kierunku wieży Eiffla spowitej całunem ciemności i zachodnimi rubieżami miasta. Stała na samym brzegu, rozkoszując się ciszą i znajdującą się niżej otchłanią, chłonąc noc, łącząc się ze światem, wyobrażając sobie siebie na dziobie okrętu. Chłodny wiatr rozczesywał jej włosy.

Nieokreślone dźwięki gdzieś za jej plecami. Serce

podeszło jej do gardła. Odwróciła się szybko. Zmrużyła oczy, przyzwyczajając się do mroku. Przytłumiony krzyk kobiety. Na rzadkiej trawie, cienie w cieniu bezlistnego drzewa, pieprząca się para. Ubrana, widać tylko nagie pośladki mężczyzny napierające na bezkształtną postać, od której nagle zaczęły się odróżniać, odgłosy rozkoszy. Giselle zaczerwieniła się. Znów ją kusiło, żeby podejść bliżej i popatrzeć, ale niewiele by było widać, a poza tym kochankowie pewnie zaprotestowaliby przeciwko jej obecności. Cofnęła się i pobiegła na schody wiodące na most, a potem szybko wróciła do mieszkania. Wcale nie spała lepiej po bezcelowej wędrowce i przypadkowych spotkaniach.

Przyrzekła sobie, że nie wróci na skraj Ile de la Cité, jeśli William w ciągu najbliższej doby da jej znak życia, ale nie dał. Następnej nocy przy słabej mżawce zacinającej o drugiej nad ranem znalazła się znów na wyspie. Siedziała z nogami opuszczonymi nad wodą, chwilowo bez butów, i przyglądała się barkom przepływającym co jakiś czas wzdłuż cypla, pochłanianym po chwili przez ciemność rzeki. Na razie była jedyną osobą po tej stronie mostu. Ale instynkt ostrzegał ją, że taka sytuacja nie musi potrwać długo.

Zamknęła oczy i zaciągnęła mocniej kołnierzyk wokół szyi, żeby osłonić się przed przenikliwym zimnem.

Wyobrażała sobie, że William znajduje się właśnie w jakimś egzotycznym miejscu, gdzie życie pulsuje

kolorami i intensywnymi doznaniem, otoczony pięknem. Ona tymczasem została na miejscu, czekając z utęsknieniem na coś nieoczekiwanego, sama, drżąca, setki kilometrów od niego, ofiara wszystkich swoich niepewności i leków. Czy on w ogóle o niej myślał?

Wyciągnęła nogi z wody, wytarła je zmechaconą wełnianą podróbką szalika od Burberry i włożyła znów buty, ale dalej siedziała na brzegu na wpół zanurzonego w wodzie nabrzeża. Z obrzeży długiego, wąskiego parku, który tworzył główną nawę na końcu wyspy, dotarły do niej przytłumione dźwięki – podnoszący się wiatr? Ostrożne kroki? Może to nocne stworzenia wyszły pograsować? Giselle zamknęła oczy.

Zaburzona ciągłość powietrza, jakby ktoś przewrócił kartkę, niewyraźne źródło ciepła za jej plecami, pomruk, westchnienie. Giselle przypominała żywy posąg, miękka linia jej pleców niczym solidny mur odgradzający ją od nieznanego. Na żwirze zachręściły kroki, po czym ucichły – od nieznanomych.

Pozostała w bezruchu.

Dłoń na jej ramieniu. Pytający dotyk.

Nie zareagowała, siedziała nieruchomo, przytwierdzona do miejsca, bezwładny chłód kamiennego nabrzeża przenikał przez elastyczną tkaninę jej dżinsów.

Zachęcona pasywną odpowiedzią dłoń zsunęła się niżej.

Palce musnęły jej kark. Przesunęły się po włosach,

uszczypliły ucho, badając jej reakcję. Zaciśnęła zęby, serce jej waliło.

Za zamkniętymi powiekami poczuła, jak zmienia się struktura rozciągającej się przed nią ciemności, wcześniej wypełnionej cichymi, płynnymi przestworzami rzeki, teraz przesłoniętej czymś bardziej stałym, przesłaniającym miedziane niebo. Odległy powiew taniej wody kolońskiej i mocnej kawy.

Pierwsza ręka wciąż pozostała w jej włosach; przesuwiała się między prostymi puklami, niemal ją czesząc, pieszcząc lśniące połacie, ale pojawiła się też druga, tym razem w rękawiczce, która chwyciła jej dłoń i stanowczo odciągnęła ją z kolan w kierunku ciała, którego Giselle nadal nie chciała oglądać. Dosadna twardość skózanego paska. Jej palce doznały szoku przy zetknięciu z arktycznym zimnem metalowej sprzączki.

Wciąż dobrowolnie zaślepiona, poruszyła na pamięć palcami i rozpięła pasek, po czym odnalazła rozporek. Rozpięła go. Wyciągnęła ciężkiego penisa: jego ziemiste ciepło tworzyło rażący kontrast ze sprzączką, którą przed chwilą rozpiniała.

Mężczyzna westchnął.

Kiedy wzięła go między palce, drugi z nieznanym, który do tej pory stał za nią, w końcu porzucił jej włosy i stanął naprzeciwko niej. Ujął jej wolną rękę i pociągnął ją w górę, aż poczuła i jego penisa, wyswobodzonego wcześniej ze spodni i bielizny.

Zauważyła, że był jeszcze gorętszy niż członek drugiego mężczyzny.

Obaj mężczyźni zachowywali milczenie.

Podobnie jak Giselle.

Jakby odtwarzali w ciemności jakiś rytuał, którego wynik został zapisany na płachcie nocy i słowa były zbędne.

Oba członki zapulsowały w jej dłoniach; jedwabista skóra penisów była jak kojący talizman, który powierzono w jej ręce i który miała wielbić. Tuliła je w zagłębieniach dłoni, pociągając, ściskając, dostosowując precyzję ruchów do tego, co w jej odczuciu było przechodzącym przez nie impulsem elektrycznym, utrzymując na równym poziomie przepływ krwi i stałą temperaturę, aby utrzymać je w szalonym wzwodzie.

Jeden z mężczyzn milczał, słysząc było tylko jego wydechy wydobywające się gwałtownymi zrywami, wstrzymywane, pożądliwe.

Drugi klął pod nosem, mamrotał niewyraźnie nieprzyzwoitości, które albo miały ją zachęcić do działania, albo ukoić jego wewnętrzny gniew.

Giselle – z uniesionymi rękami, balansując z dwoma penisami w dłoniach, zawiadując ich rozkoszą, wczuwając się w rytm – czuła, że panuje nad sytuacją i że ma zaskakująco jasny jej ogląd. Wiedziała, że przychodząc sama na wyspę w najciemniejszych godzinach nocy, czegoś szuka, choć nie była pewna, czy

ta skomplikowana przygoda była początkiem czy końcem jakichś utajonych żądz, czy może tylko pokrętną reakcją na nieobecność Williama i jego stosunek do niej w ostatnim czasie.

Mężczyzna po jej lewej, ten milczący, zadrżał; całe jego ciało zatrzęśło się nagle w niemal epileptycznej gorączce, a w głębi jego gardła zamarł niski pomruk. Giselle poczuła w dłoni wrzącą spermę. Drugi mężczyzna był nadal twardy jak skała, jego skóra podchodziła do góry i obsuwała się pod wpływem aplikowanych przez nią miarowych ruchów, jakby celowo wstrzymywał orgazm, jakby chciał, aby ta chwila trwała wiecznie. W nagłym porywie Giselle miała ochotę uklęknąć i wziąć go do ust, ale miała wrażenie, że jego kamienna sztywność zmusza ją do kontynuowania energicznego brandzlowania. W końcu mężczyzna doszedł, a wzdłuż jej dłoni i uniesionej ręki popłynęła cienka strużka ejakulatu.

– *Putain* – szepnął nieznajomy.

Obaj mężczyźni byli wyczerpani, trzymane wciąż w jej dłoniach członki zwiotczały. Właściciel jednego z nich wysunął go z jej zaciśniętej ręki, a drugi zrobił po chwili to samo.

Giselle zastanawiała się, wciąż celowo zaciskając oczy, w co wytrzeć ręce. Chciała już, żeby obaj mężczyźni sobie poszli i żeby nigdy nie musiała oglądać ich twarzy. Wiedziała bowiem, że jeśli ich zobaczy, zamienią się w ludzi i przestaną być wyłącznie

pozbawionymi ciała fiutami, a ona nieuchronnie ulegnie własnym pragnieniom i potężnemu wołaniu rozkoszy i będzie chciała wziąć ich w usta lub między nogi – ich lub kogokolwiek, kto się pojawi w tym miejscu, bez wątpienia przyciągnięty, zaalarmowany zapachem jej poządania, aurą braku kontroli, którą zaczęła emanować. Było to coś, na co z całą pewnością nie była jeszcze gotowa.

Jakby czytając jej w myślach, nieznajomi wycofali się i rozplłynęli cicho w ciemności, a do niej znów dotarło przeszywające zimno. Po upływie dziesięciu minut, kiedy miała już pewność, że nie ma ich na wyspie, w końcu otworzyła oczy i podniosła się chwiejnie na sztywnych nogach, czując lekkie zawroty głowy. Wróciła do domu i w jednej chwili zasnęła.

Kiedy się obudziła, osaczył ją ostry zapach mężczyzn, który pozostał na wyschniętych dłoniach. Wstrząsana torsjami, pobiegła umyć ręce. Ale w nocy, nie mając nadal żadnych wiadomości na temat powrotu Williama, znów włóczyła się paryskimi ulicami, drózkami i alejkami, na których często nie było nawet samochodów. Szybkim krokiem przeszła wokół Luwru, błędząc wąskimi uliczkami wokół stacji Montparnasse, rzucając w myślach monetą na każdym rogu i zawsze trafiając jakoś na Boulevard Raspail, jak turystka. Przeszła slalomem między kolumnami wspierającymi teatr Odeon, przeskakując między plamami światła; jej oczym niczym peryskopy obserwowały badawczo pochyłą

pustkę placu, krążyła jak duch wokół Ogrodu Luksemburskiego, mijając imponującą bryłę budynku Senatu i nie mając najmniejszej ochoty kiedykolwiek wchodzić do opustoszałych ogrodów; zamieniła się w cień przemykający pod kamiennymi murami kościoła św. Sulpicjusza, po czym zawracała i szła wzdłuż rzeki do Marais, gdzie śmiech niósł się między piwnicami i oknami na pierwszym piętrze, przypominając jej, że nie była jedyną mieszkanką tego upiornego miasta, które odkrywała podczas swoich wędrówek. Nie zatrzymała się jednak ani razu, jakby w ten sposób mogła wzbudzić niezdrowe zainteresowanie. A może zdrowe: zapewniające wątpliwej skuteczności pocieszenie w ramionach obcych ludzi?

Nocami wędrowała, a w ciągu dnia spała. Ignorowała wiadomości zostawiane przez nielicznych znajomych i zapomniała oddzwonić do Beth, przez co dopiero później dowiedziała się, że przyjaciółka ze szkoły baletowej wróciła w tym czasie do Londynu.

To przypomniało jej tylko o tym, jak bardzo lubiła tańczyć. Zdała sobie sprawę, że minęły prawie dwa lata, odkąd ostatni raz tańczyła, czy to dla przyjemności, czy to w ramach ćwiczeń.

Brakowało jej tego.

Giselle wynurzyła się w końcu z głębin rozpacz, która kazała jej szukać ukojenia w ramionach nocy.

Wspomnienie muzyki i ruchu przywiodło ją znów na ulice miasta, choć tym razem nie w poszukiwaniu zatracenia w seksie. Chciała tańczyć, czuć w duszy ogień, który widziała w ciałach innych. Dlaczego też nie miałyby tego doświadczyć? Chciała się zatracić, dać się porwać muzyce. Dlatego wstała późnym popołudniem, jak miała to teraz w zwyczaju, odsunęła na bok koszule Williama i zaczęła grzebać w szafie, aż znalazła coś, co uznała za odpowiednie: lekką letnią sukienkę z cienkiej białej bawełny z krótkimi kimonowymi rękawkami i dekoltem w łódkę, sięgającą tuż powyżej kolan. Wiązanie w pasie podkreślało jej krągłości, a choć sukienka była skromna w kroju, to niemal przezroczysta tkanina i dziewczęcy styl nadawały jej seksownego wyglądu. Właśnie dlatego Giselle nie chciała dotychczas jej nosić. Kupiła ją podczas zakupów z Beth, która namówiła ją do tego, ale ostatecznie sukienka wylądowała w czeluściach szafy, nowa, z nieodciętymi metkami.

Giselle wciągnęła ją przez głowę, nie przejmując się wkładaniem stanika i majtek. Czuła w sobie niesamowitą wolność i nie chciała, żeby coś ją ograniczało i wpijało się w jej ciało. Uzupełniła tylko ubiór o parę prostych złotych sandałków na niskich koturnach, warstwę jasnoczerwonej szminki i odrobinę perfum. Przed wyjściem przejrzała się w lustrze i w ostatniej chwili zdecydowała się rozpuścić włosy upięte w gładki kok, układając je luźno wokół ramion. W ciągu kilku

ostatnich miesięcy miewała na sobie bardziej wyzywające stroje, a jednak teraz zobaczyła w lustrze coś, czego wcześniej tam nie było. Jej oczy błyszczały, a wewnątrz kiełkowała jakaś determinacja, która objawiła się w wyprostowanych ramionach i zaciśniętych zębach. Na narodziny czekała nowa Giselle.

Kropiło i gdyby Giselle nie była ubrana na biało, pewnie by się tym nie przejęła. Skromność i świadomość, że jasna, przezroczysta sukienka będzie po przemoczeniu kleić się do ciała, sprawiły, że popędziła bez tchu z powrotem na górę i zabrała składaną parasolkę, która znajdowała się tuż za drzwiami. Wahała się chwilę, zastanawiając się, czy nie poszukać płaszcza, ale w końcu postanowiła go nie wkładać. Obawiała się, że jeśli będzie musiała wrócić w głąb mieszkania, straci zimną krew i w ogóle nigdzie nie wyjdzie.

Po drodze deszcz przybrał na sile, a podmuchy wiatru wiejącego ze wszystkich stron wciskały krople bokiem i od dołu, mocząc ją mimo ochrony parasola. Przycisnęła się do jakiegoś budynku i rozejrzała, usiłując ustalić swoje położenie i zlokalizować w myślach najbliższy klub czy bar, jakieś ciemne, anonimowe miejsce, w którym mogłaby tańczyć w półmroku, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Rozpoczęła swoją podróż bez konkretnego celu, kierując się po prostu własnym wycuciem oraz światłem i dźwiękami, które – jak miała nadzieję – zaprowadzą ją na imprezę, ale pogoda zmieniała się w takim tempie, że jeśli gdzieś się teraz

nie zatrzyma, całkiem zmoknie.

Znajdowała się zaledwie jedną przecznicę od Rue Saint André des Arts, gdzie mogła bez trudu znaleźć ludzi, kawiarnie i restauracje, więc poszła szybko naprzód. W oddali zagrzmiało. Stopy ślizgały jej się w butach, a buty ślizgały się na nierównym chodniku. Nad jej głową błysnęło, dokładnie w tej samej chwili, w której skręciła na zwykle ruchliwą ulicę, ale tym razem okazała się pusta, bo wszyscy mieszkańcy Lewego Brzegu gdzieś się już najwyraźniej schronili. Otworzyła pierwsze drzwi, na które się natknęła – wygięte łukowato, pomalowane na zielono, zaopatrzone w mosiężną kołatkę. Przez okno było widać światło i stołki barowe.

To była kawiarnia, teraz niemal pusta, pewnie dlatego, że ludzie zamiast wchodzić do pierwszego napotkanego lokalu, woleli zazwyczaj przejść się spokojnie ulicą przynajmniej kawalek, póki nie zadecydują, gdzie zjeść. Podeszła do baru i zamówiła gorącą czekoladę.

– Tam jest grzejnik. Idź się wysuszyć – powiedziała właścicielka zza ocynkowanej lady, pokazując kaloryfer, po tym, jak zgarnęła już podane przez Giselle monety. – Przyniosę ci czekoladę.

Giselle stanęła zgodnie ze wskazówką pod ścianą i zaczęła się suszyć w ciepłe. Przyjemnie było dotknąć bosymi stopami linoleum, bo w niektórych miejscach śliskie buty zaczęły już ocierać jej skórę. Wystrój kawiarni był wysłużony, jakby właścicielka od

dwudziestu lat nie miała pieniędzy na remont. Lada wyglądała jak szachownica, w biało-czarną kratę, a stołki barowe o metalowych nogach były wysokie i obleczone czarnym i czerwonym winylem. Pomalowane na biało ściany były miejscami odrapane. LAMPY wisały nisko na wysłużonych kablach, które nie przeszłyby pewnie inspekcji przeciwpożarowej. W karcie znajdowały się koktajle mleczne i naleśniki, a do tego typowy wybór omletów. Menu było bardziej amerykańskie niż francuskie i przypomniało Giselle kawiarnię w Notting Hill, w której piła z Olenem ostatnie espresso.

Na końcu baru stało dwóch przystojnych młodych mężczyzn, którzy opierali się o kontuar i popijali z wysokich szklanek zwieńczone bitą śmietaną koktajle. Przyglądali się Giselle. Jeden miał ciemne włosy, a drugi rude, ale gdyby nie to, mogliby być braćmi: równego wzrostu i postury, o takich samych pełnych wargach i jasnoniebieskich oczach. Brunet był szczupły i smukły, a rudy szeroki w barach i umięśniony. Giselle domyślała się, że mieli niewiele ponad dwadzieścia lat, ale równie dobrze mogli mieć tylko osiemnaście.

W pobliżu okna wokół małego stolika siedziały trzy kobiety w średnim wieku. Giselle uznała, że postawiły krzesła tak, żeby mieć widok na jędrne pośladki chłopaków. Piły coś w kolorze miodu, pewnie sznaps albo calvados. Dwie z nich grały w karty. Wszystkie były elegancko ubrane, miały krótkie włosy i

umalowane usta. Ta siedząca najbliżej Giselle miała na nogach czarne skórzane klapki. Założyła pod stołem nogę na nogę i wysunęła piętę z buta tak, że zawisł na samych palcach. Kobiety wyglądały jak stewardesy linii Pan Am po cywilnemu.

Po skórze Giselle przetoczył się zimny powiew, bo drzwi otworzyły się i do środka wszedł jeszcze jeden gość. Tym razem był to mężczyzna w garniturze w prążki. Na głowie miał jasnobrązowy filcowy kapelusz, ale był bez parasola, więc przemókł do suchej nitki. Kapelusz niewiele pomógł w obliczu szalejącej na dworze nawałnicy.

Giselle postanowiła zrobić mu miejsce przy kaloryferze, ponieważ sama już wyschła i skończyła pić czekoladę. Schyliła się, żeby wziąć buty i dokładnie w tej samej chwili zaczęła grać muzyka. Podniosła głowę – kobieta w czarnych klapkach wrzuciła kilka monet do czerwono-srebrnej szafy grającej. Leciła piosenka *Hit the Road Jack*, ale nie w oryginalnej wersji Raya Charlesa, tylko śpiewana przez żeński chór o mocnych głosach. Giselle nie wiedziała, jak się nazywa ten zespół. Bez namysłu zaczęła kręcić biodrami, a zaraz potem poruszać stopami.

– Dawaj, dziewczyno, potrafisz się ruszać – powiedziała kobieta, która wybrała piosenkę. Zaczęła pstrykać do rytmu palcami i postukiwać obcasami o podłogę.

W odpowiedzi na komplement Giselle zaczęła jeszcze

bardziej się bujać, unosząc przy tym sukienkę i odsłaniając uda. Dwie kobiety siedzące dalej przy stoliku odłożyły karty na stół i zaczęły dopingować ją okrzykami. Mężczyźni milczeli, ale Giselle wiedziała, że na nią patrzą. Czuła ich spojrzenia na swoich długich nogach, pewnie się zastanawiali, czy ma pod sukienką bieliznę, skoro nic się nie odznacza na zewnątrz. Sutki jej stwardniały, co musiało być widać pod cienką tkaniną.

Piosenka była krótka, ale na tyle długa, żeby Giselle zdążyła się w niej zatracić. Zaszła w niej jakaś zmiana, jakby zniknął przygniatający ją ciężar i mogła wreszcie przestać przejmować się tym, co myślą o niej inni. Jej rodzice, nauczycie i nawet William, którego w ostatnim czasie i tak rzadko widywała, a już na pewno zgromadzeni tu obcy ludzie. Tańczyła, na równi z ciałem wkładając w to całe serce i duszę, a kiedy skończyła, zebrana w barze garstka klientów zaczęła ją głośno okłaskiwać. Nawet biznesmen w garniturze.

– Dziękuję – powiedziała z dumą Giselle, po czym ukloniła się, pozbierała swoje rzeczy i wyszła znów na ulicę. Burza na dworze zdążyła przejść, ale wewnątrz Giselle rozszalała się kolejna. Giselle rozochociła się. Chciała więcej muzyki, więcej tańca. Złożyła parasolkę i pobiegła boso Rue Saint André des Arts w poszukiwaniu większej imprezy.

Znów była na nogach całą noc, ale tym razem kiedy przeszła przez Boulevard Saint-Germain w bladym świetle poranka, wymijając zmiataczy ulic i śmieciarki, postanowiła nie marnować nadchodzącego dnia na odsypianie. Postanowiła się dowiedzieć, gdzie i w jaki sposób mogłaby wrócić do tańca. W głowie wciąż jej szumiało, ciało miała jak naelektryzowane i czuła się zawieszona między euforią a pragnieniem.

Pierwsze, co zauważyła po wejściu do mieszkania, to walizka Williama postawiona na korytarzu wiodącym do pokoju.

Serce jej zamarło.

Pobiegła do sypialni, spodziewając się zobaczyć go rozłożonego na łóżku niczym ospała rozgwiazda, wypoczywającego po długiej podróży do domu.

Ale pokój był pusty. Pościel i kapa były porządnie zasłane, tak jak je zostawiła poprzedniego wieczoru. Nawet ubrania, które miała na sobie w podróży, nie leżały na krześle ani nie zostały porzucone przy koszu na brudną bieliznę.

Pozostała część mieszkania też była pusta; świadkiem jego przelotnej obecności była tylko samotna walizka.

Giselle uznała, że mógł pójść tylko w jedno miejsce: do pracowni. Może podczas powrotu do Paryża nagle wpadł na jakiś pomysł lub doznał natchnienia. Nie wyobrażała sobie, gdzie indziej mógłby się udać zaraz po powrocie.

Kiedy szła znów przez mieszkanie, mignęła jej w

lustrze jej twarz. Miała zmęczone oczy, podtrzymywane ciemnymi półksiężycami. Wyglądała jak upiór. Było jej przykro, że po kilku tygodniach rozłąki William zobaczy ją w takim stanie, ale nie dało się w żaden sposób zaradzić poczynionym szkodom; wiedziała, że nigdy nie odzyska tych kilku nieprzespanych nocy.

Kiedy szła przez Dzielnicę Łacińską, miasto budziło się do życia.

Zestresowana weszła po schodach, ściskając w dłoni zapasowy klucz do pracowni Williama. Zatrzymała się przed drzwiami. Z środka nie dochodziły żadne dźwięki.

Wsunęła klucz do zamka i pchnęła drzwi czubkiem buta.

Główne okno połaciowe było szeroko otwarte, a poszerzający się stożek ostrego światła sprawiał, że ogromne poddasze skąpane było w niesamowitej, nienaturalnej poświacie. W kącie pyrkał imbryczek do kawy, a na sofie, jakby była u siebie, leżała Flick – jej twarz urwisa zastygła w pozbawionym wyrazu uśmiechu, jasne, krótkie włosy były nastroszone jak korona cierniowa. Leżała odwrócona plecami do Giselle, a Williama nie było w zasięgu wzroku.

Giselle miała właśnie zwrócić na siebie uwagę młodej modelki i zapytać ją, co robi w pracowni, kiedy z przebieralni wyłonił się William. Nie miał na sobie koszuli, a jego okazały tors był wciąż mokry. Obfite owłosienie przylgnęło do skóry, włosy były rozczochrane. Czyżby wyszedł właśnie spod prysznic?

Uprawiał z Flick seks? W głowie Giselle kłębiły się pytania. William początkowo jej nie zauważył. Flick miała na sobie obcisłe aksamitne szorty i czarny T-shirt. Chyba nie zdążyli się już pieprzyć?

Giselle stała przy drzwiach jak wmurowana.

William trzymał w ustach na wpół wypalonego papierosa, a w dłoni ręcznik.

Zatrzymał się nagle.

– Giselle! – zawołał radośnie.

Flick odwróciła głowę. Zarumieniła się.

Giselle zaschło nagle w ustach, miała wrażenie, jakby skleiły jej się wargi.

William rozpostarł ramiona.

– Chodź do mnie.

Nagle zobaczył niepewność w jej oczach.

– Nie było cię w domu, a w głowie aż mi kipiało od pomysłów. Po prostu musiałem tu przyjść. Po tylu dniach szkicowania marzyłem tylko o tym, żeby malować. Brakowało mi zapachu farb, kolorów i płótna pod palcami. Tak się cieszę, że wróciłem.

– Mogłeś poczekać – zauważyła Giselle, wskazując Flick.

– Potrzebna mi była modelka, a ciebie nie było...

– Ale już jestem. Odeślij ją.

– Ale...

Wyczuwając narastające między Giselle a Williamem napięcie, Flick podniosła się z kanapy i sama zaproponowała, że wyjdzie.

– W porządku – powiedziała. – Jeśli nie jestem ci już potrzebna...

– Nie – syknął William. – Nie ma takiej potrzeby. Chciałbym popracować z wami obiema.

Giselle nie była zadowolona z takiego rozwiązania, ale nie miała odwagi robić scen. Nie mogła wymazać z pamięci wspomnienia ostatniego wspólnego spotkania podczas sesji dla Mandela oraz jego wywołanych alkoholem i pożądaniem nieuchronnych konsekwencji: widoku drobnego ciała Flick przyciśniętego masywną postacią Williama, jej głośnych, sztucznych jęków rozkoszy, kiedy poruszał się w niej zaledwie kilka metrów od Giselle i fotografa, któremu w poczuciu głębokiej bezradności nie umiała odmówić: ani jego objęciom, ani fiutowi.

Giselle zdecydowała, że nie pozwoli sobie już nigdy na podobną słabość.

Flick usiadła na kanapie.

Giselle nadal stała.

– To co dziś robimy? – spytała modelka.

– Będę improwował – oznajmił William. – Ale najpierw muszę się przygotować i wymieszać farby. Potrzebna mi świeża paleta.

Rzucił Giselle poirytowane spojrzenie, zdając sobie doskonale sprawę z jej zazdrości. Popatrzyła mu z wściekłością w oczy, niezdolna nad sobą zapanować.

Była równie zła na niego, co na siebie samą. Nigdy dotąd nie uważała się za osobę zaborczą. Owszem,

miała swoje potrzeby, które czasem przejmowały władzę nad jej umysłem, ale zwykle potrafiła podejść do nich racjonalnie i wytłumaczyć sobie, że to fizyczny przejaw żądy, a nie uczuć. Ale nieobecność Williama wyostrzyła jej zmysły i emocje. A więc to była miłość, tak? Skoro pragnęła go w całości i nie chciała się nim dzielić? Przeczytała gdzieś, że miłość to ból, a nie wyłącznie radość. I z przykrością przekonywała się o tym na własnej skórze. Och, Williamie, jak możesz mi to robić?

Z trzymanego chwiejnie w ustach papierosa zwisał popiół. William spojrzał na nią z poirytowaniem. Nie z poczuciem winy. Wszedł za rozwieszony dywan i wystrzępione kotary oddzielające główną część pracowni od strefy, w której przygotowywał się do pracy. Kobiety spojrzały na siebie. Flick spróbowała się uśmiechnąć. Emanowała z niej zarówno niewinność, jak i przebiegłość i figlarność. Może to efekt drobnej postury i wymyślnej fryzury. Kieszonkowa kusicielka. Ale w tym momencie Giselle nie czuła najmniejszej nawet pokusy, miała raczej ochotę wykopać dziewczynę z pracowni.

Między Flick a Giselle zapanowało ciężkie milczenie.

– Pójdę mu pomóc – poinformowała Giselle i poszła do Williama za zaimprovizowaną przesłonę. Zarejestrował jej obecność mruknięciem, zajęty opróżnianiem saszetek z pigmentami i nalewaniem do zestawu ceramicznych miseczek wody i oleju. Giselle

otworzyła usta.

– Nie teraz – szepnął.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała tak czy inaczej, nieudolnie próbując załagodzić sytuację.

– W takim razie skąd ta wściekłość w twoim spojrzeniu?

– Byłam zaskoczona jej obecnością.

– Flick?

– Tak.

– No i co z tego?

William zaczął mieszać umieszczone w moździerzu składniki, starannie rozcierając tłuczkiem miksturę. Zanurzył w niej palec i ocenił jej konsystencję.

– Słuchaj, możemy porozmawiać o tym później? – zasugerował.

Giselle patrzyła jak zahipnotyzowana na kleistą ciecz ściekającą z jego palców, a przed oczyma wyobraźni przewinął się wartki strumień obscenicznych obrazów, w których główną rolę odgrywała Flick i jej otwory przed pojawieniem się Giselle – preludium mającego powstać obrazu. Zaczęła oddychać z trudnością.

William wyciągnął palce z miseczki i wytarł je o sztruksowe spodnie, zostawiając na jasnobrązowej powierzchni cienką jaskrawoniebieską smugę.

– Za gęsta – stwierdził. – Możesz podać mi wodę?

Wciąż starając się otrząsnąć z wściekłości zasnuwającej jej umysł, Giselle spojrzała na stół zastawiony pędzlami, butelkami, tubkami i saszetkami, a

jej wzrok padł na pierwszą z kilkunastu butelek w różnych odcieniach zieleni, wypełnionych po brzeg płynem. Bez zastanowienia podała ją Williamowi. Był wciąż zajęty mieszaniem składników w trzech miseczkach – stał pochylony, a jego ręce poruszały się szybko między jednym naczyniem a drugim. Nie podnosząc na nią oczu, wziął od niej butelkę i zaczął wlewać wodę do pierwszej czarki, w której nie zadowalała go konsystencja zawartości.

Pociągnął nosem. Przestał łąć wodę. Podsunął butelkę pod nos i zaklął. Odwrócił się do Giselle.

– Cholera, dałaś mi rozpuszczalnik. To nie to. Jeszcze się nie nauczyłaś, że wodę trzymamy w jaśniejszych butelkach? Zawsze tak było... Niech to szlag...

W tej samej chwili wzburzony nagłymi ruchami Williama popiół, zebrany na końcu częściowo wypalonego papierosa, oderwał się, posypał się na dół, jakby w zwolnionym tempie, niczym drobinka kurzu, którą w końcu dopadła siła przyciągania, i opadł na nierówną powierzchnię niebieskawej gęstej mikstury produkowanej przez Williama.

Czas zwolnił.

Kiedy popiół posypał się na niedokończoną papkę farby pokrytą mokrą warstwą rozpuszczalnika, w powietrzu błysnęło jaskrawe światło, a w górę wystrzelił jezor żywego ognia.

Rozległ się głośny wrzask. Giselle nawet się nie zorientowała, że to ona krzyczy.

Płomień, cienki, lecz niszczycielski, przeskoczył na nagą pierś Williama i zaczął się szybko rozprzestrzeniać, przygasając odrobinę, ale w dalszym ciągu posuwając się naprzód.

– Kurwa mać! – William zaczął klepać się po ciele, usiłując zdławić nieduży płomień, który przypuścił właśnie atak na jego obfite owłosienie. – Giselle... woda... szybko... polej mnie wodą. Zaraz...

Giselle stała bliżej stołu, więc bez namysłu chwyciła kolejną butelkę i w panice chlusnęła jej zawartością na Williama, starając się to zrobić jak najszybciej i jak najsprawniej. Dopiero kiedy płyn znalazł się na jego piersi, zorientowała się ku swojemu przerażeniu, że zaślepiona paniką znów złapała niewłaściwą butelkę. Serce w niej zamarło.

Kolejna dawka rozpuszczalnika podsycała płomienie, które sięgały już jego twarzy. Zaalarmowana krzykami Flick wbiegła za kotarę i wrzasnęła.

Śmiercionośny płyn ściekający z piersi Williama na nowo rozniecił przygasający już ogień w miseczce i zaczął rozprzestrzeniać się po całym stole. Również brzeg jednej z zasłon padł już ofiarą płomieni.

Giselle czuła się tak, jakby brnęła przez ruchome piaski; czuła, że jej ręce straciły łączność z mózgiem, kiedy zastanawiała się w otępieniu, co by mogła zrobić, choć zdawała sobie sprawę, że sytuacja z każdą sekundą staje się coraz bardziej dramatyczna. Stojąca w płomieniach głowa Williama przypominała świetlistą

aureolę, a rozczochrana czupryna wybuchające słońce. William wrzeszczał rozdzierająco, stojąc w miejscu, unieruchomiony ścianą ognia. Oddzielna fala ognia ogarnęła stół i zaczęła pełzać po zasłonach.

Wzrok Giselle padł na inne butelki. Jasnozielone. Wyższe. Zupełnie inne od dwóch bardziej pękatych, ciemniejszych z rozpuszczalnikiem, które omyłkowo chwyciła. Wzięła jedną z nich i wylała jej zawartość na głowę Williama, który osunął się już na ziemię. Klęcząc, wymachiwał rękami, jakby opędzał się od roju pszczoł. Giselle wzięła kolejną butelkę i oblała go wodą. A potem kolejną i kolejną.

Flick uspokoiła się i poszła w jej ślady, łapiąc pozostałe butelki i opróżniając je na przykurczoną i szlochającą postać Williama, a także inne zajęte ogniem miejsca.

Na stole znajdowało się dziesięć butelek z wodą i tylko dwie z rozpuszczalnikiem. A mimo to Giselle wzięła początkowo rozpuszczalnik. Jak to się stało? W jej nozdrza wdarł się zapach przypalonego ciała i gryzący smród palonej materii organicznej. Ogień został ugaszony. William leżał na brzuchu, jego lwia grzywa zamieniła się w paskudną połąć czerwonej, poparzonej skóry i dziwaczne kępki krótkich loczków. Skóra na karku nadal falowała bąblami.

Z łzą w kącie oka, oszołomiona bólem, Giselle poczuła, że czas znów zaczyna płynąć normalnie.

Flick stała obok, sparaliżowana, przygwożdżona do

podłogi; na jej twarzy malowało się absolutne przerażenie.

– Zadzwoń po pogotowie? – wykrztusiła słabym głosem niczym strumień zanikających dźwięków.

– Tak, bądź tak miła. – Cichy głos Giselle zupełnie nie pasował do sytuacji. Grzeczność przychodziła jej odruchowo, mimo ogarniającej jej rozpacz i paniki.

6. Całun ciemności

Podejdz bliżej – poprosił William.

Za jego plecami ciągnął się bez końca świeżo skoszony trawnik. Nad doliną górowały ośnieżone szczyty. Giselle pojechała pociągiem do sanatorium i na stacji Geneva odnalazła zamówioną wcześniej taksówkę. Dalsza podróż trwała niecałą godzinę: samochód jechał pustymi drogami, wspinał się na falujące wzgórza i wchodził w ostre zakręty, a na koniec zniknął w paszczy tunelu pod Mont Blanc.

Dzień był ładny i Williama nie było w pokoju. Jeden z pracowników zaprowadził ją do wspólnej sali, a potem dalej, przez rozsuwane drzwi, do ogrodu.

– Przesiaduje tam godzinami, jeśli tylko pogoda na to pozwala.

Bezchmurne niebo miało głęboki odcień błękitu, powietrze było czyste i rześkie. William siedział w cieniu wysokiego, rozłożystego dębu, zwrócony w kierunku gór, kontemplując ich majestat, pogrążony w myślach. Miał na sobie okulary przeciwsłoneczne.

Włosy mu odrosły, gęste, kręcone i kudłate. Zamiast artystycznie zaniebanej szczecinki, którą znała Giselle, nosił teraz brodę poprzetykaną siwymi włosami. Zarost postarzał go, ale maskował ewentualne blizny, które pozostały po wypadku. Koszulę miał zapiętą pod samą szyję, więc trudno było stwierdzić, czy zostały mu jakieś ślady na piersi. Wyglądał niemal tak, jakby nic złego go nie spotkało.

Miękka trawa wytłumiła jej kroki.

Przywitał ją ciepło, rozwiewając w jednej chwili najróżniejsze obawy, które nie dawały jej spokoju w trakcie jazdy pociągiem. W jego głosie nie słychać było urazy ani złości.

Podeszła. Odetchnęła głęboko.

Stała przy jego ramieniu.

– Ładnie pachniesz – zauważył.

Zanim pociąg wtoczył się na stację, Giselle obmyła twarz, a po namyśle posmarowała się za uszami perfumami. Chanel No. 5. William kupił jej ten kosztowny prezent na poprzednie urodziny. Początkowo twierdziła, że to zapach dla starszej kobiety, ale w końcu się do niego przyzwyczaiła.

– Jesteś już kobietą – stwierdził wtedy.

Okazało się, że wciąż miał niezwykle czuły węch i potrafił wychwycić charakterystyczny zapach spomiędzy nawarstwionych bodźców, które Giselle sama rozróżniała w pobliżu: charakterystycznej woni świeżo skoszonej trawy, krystalicznie czystej świeżości

górskiego powietrza, śladu lęku wciąż ulatniającego się jej porami. Przypomniła sobie, że czytała gdzieś kiedyś, iż utrata wzroku rekompensowana jest często wzmocnieniem innych zmysłów.

– To perfumy, które mi kupiłeś.

– Wiem.

Nie odwrócił się w jej stronę.

– Przepraszam. Strasznie cię przepraszam – powiedziała Giselle.

Wyciągnął do niej rękę.

– To już przeszłość.

Ze względu na niego stłumiła łzy, starając się zachować pogodę ducha, ale nie była w stanie.

Wiedziała, że to ona była po części odpowiedzialna za to, że William stracił w wypadku wzrok.

Przez jej zazdrość, bezmyślność i niezdarność.

W ciągu ostatnich tygodni wielokrotnie wracała myślami do tamtego straszego dnia i zastanawiała się, co mogła zrobić inaczej. Czy William poszedłby tak szybko za kotarę, gdyby Giselle nie zionęła takim chłodem i złością z powodu obecności Flick? Czy celowo podała mu niewłaściwe butelki, podświadomie reagując złością, czy była to tylko straszliwa pomyłka? Przygniatało ją poczucie winy.

– Wiem, jak się czujesz – powiedział William. – Ale nie możesz pozwolić, żeby zniszczyło ci to życie ani...

– Jak możesz tak mówić? Przeze mnie nie możesz malować. To ja zniszczyłam ci życie.

– Co się stało, to się nie odstanie. Musimy o tym zapomnieć. Teraz już i tak nic tego nie zmieni. Nauczę się inaczej wyrażać przez sztukę. Wiem, że się nauczę – powtórzył z naciskiem.

Doliną przetoczył się lekki wiatr opadający z alpejskich szczytów. William zadrżał. Miał na sobie koszulę w kratę i swoje standardowe brązowe sztruksy.

– Robi się coraz chłodniej – zauważył. – Wejdziemy do środka?

Giselle wzięła go za rękę i pomogła mu wstać, a potem zaprowadziła go przez trawnik do ciepłego wnętrza kliniki i jego pokoju, do którego dotarli za pomocą wąskiej, skrzypiącej windy.

William miał pokój tylko dla siebie, który mimo bieli był dziwnie ponury, brakowało w nim kolorów, choć nad łóżkiem i na przeciwległej ścianie wisiały obowiązkowe fotografie pejzaży i kwiatów, typowa ikonografia szpitala. Wszystko to przypominało jedynie Giselle, że William nie zawracał sobie czymś takim głowy, bo nudna zawartość ramek nie dawała mu już żadnej przyjemności.

Chciała go spytać, jak długo zamierza tu zostać i z jakimi kosztami będzie się wiązać jego rekonwalescencja, ale ją uprzedził.

– Ludzie z Balu byli uprzejmi zapłacić za mój pobyt. Okazali mi wiele dobroci – powiedział. – Uzgodniliśmy też, że po wyjściu ze szpitala, pojadę do nich na stałe i popracuję z nimi jakiś czas. Stwierdzili, że moja ślepotą

nie powinna stanowić żadnej przeszkody. Że znajdują sposób na wykorzystanie mojego talentu. Och, Giselle, gdybyś tylko wiedziała... Kiedy minął już pierwszy szok związany ze świadomością, że na zawsze pozostanę pogrążony w ciemności, nie masz pojęcia, jakie pomysły i możliwości zaczęły mi się kołatać w głowie. Mam wręcz wrażenie, że nigdy nie byłem aż tak kreatywny, że nigdy nie dysponowałem tyloma możliwościami. Nie mogę się doczekać, żeby znów zacząć. To naprawdę niesamowite uczucie...

Pielęgniarka przyniosła im talerze z jajecznicą, wędliną i owocami. Jedli w pokoju Williama, podczas gdy za oknem, za poszarpaną linią gór, zaczął wschodzić księżyc, jak na filmie poklatkowym. Za każdym razem, kiedy Giselle zauważała czyste piękno krajobrazu, coś ją ścisnęło za serce, bo przypominała sobie, że nie będzie już mogła dzielić tego z Williamem. Jedzenie straciło nagle smak, zatrute gorzkim poczuciem winy. Giselle, chcąc nie chcąc, widziała, jak niepewne stały się ruchy Williama, jak nieporadnie jego łyżka nabierała jedzenie, raczej z nadzieją niż z przekonaniem, że jest w stanie trafić do ust z wystarczająco dużą porcją. Choć Giselle była bardzo głodna po podróży, celowo zwolniła, żeby umożliwić Williamowi dotrzymanie jej tempa. Nie jadł dużo. Wydawał się chudszy.

– Zostaniesz na noc? – zapytał.

Jego pytanie ją zaskoczyło.

– Nikt nie będzie miał nic przeciwko? – Pomyślała o ewentualnym regulaminie sanatorium.

– Oczywiście, że nie.

Cienki strumień księżycowego światła ledwie oświetlał pokój, znikając za każdym razem, kiedy księżyc przesłoniła chmura. William poprosił Giselle, żeby stanęła przed nim w migocącej ciemności.

Czuła się dziwnie. Nawet kiedy była dzieckiem, stresowała ją obecność niewidomych. Teraz na dodatek był to mężczyzna, którego znała – i to bardzo blisko – więc odczucie było jeszcze silniejsze. Jak gdyby to nie był ten sam człowiek, który ją znał, który ją przytulał, który w nią wchodził, ale jego duch, widmowa postać, której myśli nie była już w stanie odczytać, oddalona od niej niewidocznymi zasłonami, na zawsze osadzonymi w miejscu, oddzielającymi światło od ciemności.

– To będzie nasza ostatnia wspólna noc, Giselle. Zwracam ci wolność...

Nie zdziwiło ją to oświadczenie, ale poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w serce. Wiedziała jednak, że nie ma sensu protestować ani błagać.

– Rozumiem.

– Gdybyśmy mieli wrócić do Paryża po tym, jak już wyzdrowieję, musiałabyś żyć na co dzień z wyrzutami sumienia, a ja nie chcę niszczyć ci życia i być dla ciebie ciężarem. Jesteś taka młoda, masz przed sobą całe życie. Tylko bym cię hamował. Lepiej całkowicie zerwać kontakt – wyjaśnił William.

Mogła go poprosić, żeby przynajmniej dał im szansę, i mieć nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży, ale w głębi serca wiedziała, że William ma rację. Nawet miesiąc miodowy kiedyś się kończy.

Jego pokój znajdował się na ostatnim piętrze i rozciągał się z niego widok na dolinę, z dala od Via Roma, głównej ulicy miasteczka pełnej barów, pizzerii i luksusowych sklepów z pamiątkami nastawionych na bywalców stoków narciarskich. Z okien było widać tartak.

William odnalazł jej dłoń, a potem zaprowadził ją do wykuszu. Otworzył drzwi i wyszli na balkon. Czy to nie ona powinna być jego przewodniczką?

Noc była chłodna, wiał lekki wiatr. Panowała głęboka cisza, zupełnie inna od głuchych odgłosów miasta.

Giselle miała na sobie prostą staroświecką letnią sukienkę z kwiatowym wzorem rozrzuconym na białym tle. Sięgająca kolan spódnica była rozkloszowana. Giselle wiedziała, że gdyby w niej zatańczyła, sukienka unosiłaby się samoistnie w górę, odsłaniając nogi i białe bawełniane figi. Na górę narzuciła szorstki rozpinany sweter w kolorze słonecznika, który zakrywał gołe ręce i wąskie ramiączka sukienki.

Rozpięła kardigan.

William stał przodem do niej. Patrzył.

Widział ją przez filtr wspomnień; jego wzrok malarza przywykł do wyszukiwania najróżniejszych przejawów piękna.

Opuściła na drewniane szczelbelki solidnej balkonowej podłogi swój ciężki sweter i zrobiło jej się zimno. Spowiła ją noc i dyskomfort, od których jej ciało obsypało się gęsią skórką.

Zawahała się.

William czekał, a jego twarz wyrażała całkowite skupienie.

– Wiem, że jest zimno, Giselle. Ale chcę, żebyś się rozebrała. Do naga.

Jakim cudem niewidomy człowiek miałby bez dotykania wiedzieć, czy to zrobiła? Z jakiegoś jednak powodu wiedziała, że zorientowałyby się, gdyby nie zdjęła z siebie wszystkiego.

Uniosła dłonie na wysokość ramiączek sukienki i ściągnęła ją przez głowę, pozostając w samej bieliźnie. Potem szybko rozpięła stanik i zsunęła majtki.

Zadrzała.

William stał nieruchomo.

Miała oczywiście świadomość, że jej nie widzi, ale zastanawiała się, czy w zimnym powietrzu dotarł do niego charakterystyczny zapach jej ciała, typowa dla niej woń i ciepło jej skóry.

Przestąpiła z nogi na nogę, żeby trochę się rozgrzać. Zorientowała się, że nie zdjęła butów z płaską podeszwą.

– Chodź tutaj – powiedział William.

Podeszła bliżej.

Jego dłonie pogładziły jej czoło, a potem jego palce

wsunęły się powoli w jej włosy. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca, porażona bezpośredniością kontaktu, szorstkim dotykiem jego opuszek i głęboką tęsknotą, która się w niej obudziła. Przypomniała sobie, jak dotykał ją w łóżku, przypominała sobie delikatność, z jaką otwierały ją jego duże dłonie artysty, z jaką w nią wchodził, z jaką ją uwielbiał, a także to, jak nieodmiennie reagowało jej ciało, za każdym razem ochoczo go witając.

Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że jest z nim w ciemności, dwoje wędrowców płynących razem przez noc. Zapomniała o zimnie.

Druga ręka zsunęła się z jej ramienia, rysując linię między jej piersiami, po czym przeniosła się na bok i ujęła wybrzuszenie. Jej brodawkę zaczął pocierać najpierw palec, a potem paznokieć, zamieniając ją w twarde guziczek. Druga ręka tańczyła teraz po jej brzuchu, samotny palec badał niewielkie zagłębienie pępka, a potem zsunął się niżej do jej cipki. Była zapuszczona, pokryta szczecinką, bo od czasu wypadku Giselle nie zwracała sobie głowy goleniem, zmęczona wysypką, która – co nieuniknione – pojawiła się na skutek przebijania się grubych włosków przez delikatną skórę, ale teraz zrobiło jej się wstyd własnej niechlujności i szorstkiego krajobrazu, po którym wędrowały palce Williama. Jeden z nich zanurzył się w nią, sprawdzając, czy jest mokra. Wycofał się, a William skosztował jej wargami. Westchnął z zachłanną

aprobata. Obie jego dłonie tańczyły po jej ciele. Tu, tam, wszędzie. Oceńczyły ciężar i jędrność jej pośladków, przesuwały się między nimi, sporządzając mapę jej ciała niczym opętany seksem geodeta. Muskały dolną część jej pleców, a następnie niesamowicie wrażliwą wewnętrzną stronę ud, okręcały jej kostki, a potem znów pięły się w górę i okręcały jej ciało delikatnym naciskiem na barki i talię. Dotykały, eksplorowały, zachwycały się.

Giselle domyśliła się, co robi William.

Gromadził dane, zbierał wszystkie najdrobniejsze szczegóły na temat jej ciała, przetwarzał dotykiem jej istotę, katalogował doznania i wspomnienia, żeby po ich rozstaniu pozostały z nim na zawsze.

Wyposażony w taki materiał, przechowywany w twierdzy jego umysłu, za tydzień, za rok czy nawet za dziesięć lat będzie w stanie wyrzeźbić ją w powietrzu, przywrócić jej postać do życia, przywołać z niczego jej aurę, odtworzyć ją.

Wzruszyła się na tę myśl.

Czas szybko płynął.

Jej ciało płonęło, a ona wyobrażała sobie, że William ją przeświecła, analizuje, unieśmiertelnia.

Jej westchnienie trwało całą wieczność.

W końcu jego dłonie ją porzuciły, wycofały się, a ona poczuła się zaniedbana. Pusta. Niespełniona.

Wrócili do pokoju i zamknęli drzwi balkonowe.

Kierując się dotykiem swoich dłoni, William okrążył

łóżko i położył się na nim w ubraniu.

Giselle poszła w jego ślady i przytuliła się do niego.

– Zawsze będę w stanie cię zobaczyć – powiedział.

Nie kochali się i szybko zasnęli. Odpływając w nieświadomość, Giselle miała nadzieję, że może rano, kiedy się obudzą, William będzie się z nią pieprzyć w ostatnim przebłytku szaleństwa, w ostatnim wzlocie namiętności, ale kiedy otworzyła oczy i pokój zalało światło dnia, wylewając się zza górskich szczytów i rozpalając swoim ognistym spojrzeniem jej nagie ciało, zorientowała się, że jest sama. Wstała, ociężała pod naporem smutku, i wyjrzała przez okno. William siedział w ogrodzie w tym samym miejscu co poprzedniego dnia, w cieniu dębu, jakby patrzył, jak poszarpane alpejskie szczyty wgryzają się w niebo.

Giselle wiedziała, że tak naprawdę nie widzi gór, ale miała nadzieję, że w tej właśnie chwili widzi ją, gdzieś na ekranie swojego umysłu.

– Pamiętaj o mnie.

Nie pożegnała się i wsiadła do pociągu, który odjeżdżał w południe.

Jej zmiana w kwiaciarni dobiegła końca. Freya pracowała tego dnia w tych samych godzinach.

– Idę dziś potańczyć – powiedziała koleżanka. – Może się ze mną wybierzesz? Wydaje mi się, że powinnaś się trochę rozerwać.

– No dobrze – odparła Giselle. – Pójdę. – No bo czemu nie? Od tygodni nie robiła nic poza rozpaczaniem. Poszukiwania nowego mieszkania i wyprowadzka od Williama zajęły ją na jakiś czas. Meble nie należały do niej, a poza ubraniami zgromadziła niewiele rzeczy. Nigdy nie chciała wykorzystywać faktu, że William zarabiał więcej, więc celowo żyła skromnie i w miarę możliwości dokładała się do domowego budżetu, przez co na własne wydatki zostawało jej niewiele, czego efektem było to, że buty, torebki i przybory toaletowe ledwie zdołały zapełnić jedną torbę. Książki ułożone w dużym kartonie były najcięższym pakunkiem, niemniej jednak wszystko udało się zmieścić z tyłu taksówki – z pomocą kierowcy, który widząc, jak Giselle nosi po schodach rzeczy, sam zaproponował pomoc.

Mieszkanie, do którego się przeprowadziła, było przygnębiającą, mikroskopijną rudera. Giselle wzięła je, bo idealnie odzwierciedlało jej nastrój. Znajdowało się niedaleko Bastylia i należało do budynku, który podzielono na wiele małych pokoi. Każdy wyposażony był w pojedyncze łóżko, szafę, która z konieczności znajdowała się tak blisko niego, że drzwi otwierały się tylko częściowo, mały, okrągły zlew z nierdzewnej stali i sięgającą kolan lodówkę, na której leżała kuchenka elektryczna z jedną płytą, a całość pełniła rolę kuchni. Łazienka znajdowała się po drugiej stronie korytarza i Giselle dzieliła ją z dwoma innymi

lokatorami. Na mieszkańców budynku składali się albo studenci, głównie obcokrajowcy, albo najróżniejsi kloszardzi, którzy albo podźwignęli się właśnie z jeszcze gorszej sytuacji, albo obniżyli standard z lepszej. Co jakiś czas na ponurym, niebiesko-zielonym korytarzu, który przypominał przez to coś pomiędzy szpitalem a przebieralnią na basenie, wpadała na jednego ze swoich sąsiadów, ale nie wymieniali nic poza skinieniem głowy lub burkliwym „dzień dobry”. Miało się wrażenie, że wszyscy wstydzą się swojego miejsca zamieszkania.

Za zgodą Frei Giselle przechowywała część rzeczy w kwaciarni, częściowo dlatego, że choć nie posiadała wiele, to i tak trudno jej było się ze wszystkim zmieścić na niewielkiej przestrzeni, a częściowo dlatego, że nie lubiła wracać do ciasnego mieszkania z niewielkim oknem, wilgotnymi ścianami i przygniatającym poczuciem beznadziei. Zaczęła więc pracować – wzięła wszystkie zmiany, które mogła zaproponować jej Freya – i spędzała więcej czasu w pracy. W niewielkim pokoju na tyłach kwaciarni służącym zarówno za pomieszczenie socjalne, jak i biuro Freya zainstalowała wieszak, na którym Giselle zostawiła kilka sukienek, a pod spodem przechowywała dwie pary butów.

Wniosły szyld do środka i zamknęły kwaciarnię dziesięć minut wcześniej.

– Przez cały dzień nie było ruchu – mruknęła Freya, przekręcając klucz w zamku. – Nikt się nie zorientuje. –

Gdyby to Giselle była kierowniczką, nie przyszłoby jej nawet do głowy, żeby zamknąć wcześniej bez pozwolenia, ale Freya kierowała się w pracy innymi zasadami. Na całe szczęście dla Giselle, bo to oznaczało, że Szwedka podchodziła do wielu spraw z większym luzem, co ułatwiało życie Giselle. Przymykała na przykład oko na to, że w ciągu ostatnich tygodni Giselle wielokrotnie spóźniała się do pracy i przychodziła z zaczerwienionymi oczami, bo po wypadku Williama nie była w stanie przestać płakać.

– Mogę pożyczyć jedną z twoich sukienek, Gizzy? – zapytała Freya. – Mogłybyśmy wtedy się tu przebrać i zjeść coś po drodze.

Osobiście Giselle nie wyobrażała sobie, w jaki sposób Freya chce się zmieścić w jakiegokolwiek jej ubraniu, ale zgodziła się z grzeczności, a Freya zdołała jakoś wbić się w jedną z jej kwiecistych sukienek z szerokim, rozkloszowanym dołem, choć zapięcie zamka z tyłu granoczyło z cudem, a Giselle obawiała się, że strój może w każdej chwili się rozerwać. Duży biust Frei napierał na tkaninę i tworzył na niej zmarszczki, przez co było widać, że kiecka jest za mała.

Giselle miała na sobie spodnie, które były tak obcisłe, że bardziej przypominały legginsy, a do tego obcisłą koszulkę na ramiączkach ze sztucznym kołnierzykiem wykończonym sztywną koronką. Zaczesała włosy gładko do tyłu na tyle, na ile się dało bez prostownicy, i pomalowała usta na jasnoczerwono. Wyglądała zupełnie

inaczej niż zwykle i gdyby nie okazały biust, mogłyby uchodzić za mężczyznę. Z jej wzrostem i w towarzystwie Frei, która przypominała większą wersję Marilyn Monroe, mogłyby zostać wzięte za parę, a nie dwie dziewczyny.

Zatrzymały się na naleśnika i kieliszek wina w małej kawiarence kilka przecznic od kwaciarni. Właściciel je znał, więc nalał im znacznie więcej, niż wskazywałyby na to rachunek. Był nim przysadzisty Włoch z wyjątkowo obficie owłosionymi rękami, który kiepsko mówił po francusku, a po angielsku znał tylko kilka słów. Zawsze witał je entuzjastycznym „Bella!” Miał pracowników obsługujących stoliki i bar, ale zawsze przychodził osobiście się nimi zająć. Giselle podejrzewała, że podkochuje się we Frei, a przynajmniej podziwiał rozmiar i pełność jej piersi, od których tym razem najwyraźniej nie był w stanie oderwać wzroku, bo ledwie mieściły się w za ciasnej sukience.

Po kolacji przeszły z centrum miasta w rejon, w który Giselle zwykle się nie zapuszczała, niedaleko Porte de Versailles, bramy południowych przedmieść pełnych wieżowców, gdzie mieszkało coraz więcej imigrantów. Na słabo oświetlonych ulicach nie widać było typowych piątkowych tłumów, od czasu do czasu gdzieś zataczał się tylko jakiś pijak, a bokiem przemykali przestraszeni piesi.

– Na pewno wiesz, gdzie idziemy, Freya? – zapytała Giselle. Może fakt, że bała się własnego cienia, był

tylko objawem depresji, ale nie podobało jej się to miejsce. W gęstym mroku wznoszących się wokół kamiennych murów wisiało coś chorobliwego, jakby na tutejszych ulicach już dawno nie było powiewu świeżego powietrza.

– Wiem – odparła Freya. – Zaufaj mi. To mały klub, niezbyt znany, ale w piątek są tam tłumy. To dobre miejsce na potańczenie. Nie przychodzą tu zwykli ludzie. Spodoba ci się.

Po tych słowach Giselle nic już nie powiedziała, szła tylko dalej. Wykorzystywała całą swoją energię tylko na to, żeby żyć; nie miała nic w zapasie na kłótnie.

Freya zatrzymała się nagle przed betonowymi schodami prowadzącymi z poziomu chodnika do podziemi. Na dole widać było przytłumione światło oświetlające metalowe pręty, które służyły jako uchwyty, choć wyglądały trochę jak więzienna brama. Do ściany na dole był przyśrubowany szyld, ale napis tak spłowił, że nie dało się go odczytać – widać było tylko zamazane, obłuszczone pozostałości liter, które kiedyś musiały być jaskraworóżowe i fioletowe.

Przed drzwiami stała kobieta pełniąca rolę bramkarza. Była wzrostu Giselle, muskularna, cała w skórze. Włosy miała przycięte krótko po bokach i długie na czubku głowy, zaczesane w wysoki, utleniony czub. Skinęła głową Frei, zdradzając, że się znają, i pozwoliła im wejść.

Weszły do środka korytarzem pomalowanym na

odcień głębokiej czerwieni. Ostra, agresywna muzyka punkowa z intensywnym basem grała tak głośno, że Giselle miała wrażenie, że ściany dudnią. Bar znajdował się na końcu za bocznymi drzwiami, a Freya miała rację: miejsce tętniło życiem. Nie było tu wydzielonego parkietu, ale na całej sali wirowali tancerze, niektórzy w rytm muzyki, inni do zupełnie odmiennej melodii, jakby w głowach grała im niewidzialna orkiestra. Między tańczącymi przemieszczali się inni klienci, rozmawiając, pijąc i obserwując tych, którzy kręcili się w pojedynkę na parkiecie. W nieruchomym powietrzu wisiał zapach perfum wymieszany z wonią potu, kwaśnego odoru rozlanych napojów i dymu papierosowego.

– Napijesz się czegoś? – zapytała Freya.

– Pewnie – odparła Giselle. – Weź mi to samo, co sobie.

Od czasu trójkąta z Flick Giselle właściwie nie piła. Alkohol przypominał jej o tamtej nocy, co przypominało jej o Flick, która z kolei kojarzyła jej się z wypadkiem Williama. Od tamtego czasu unikała więc mocniejszych trunków. W cichości ducha żywiła też obawę, że była osobą, która nie bardzo umiała się kontrolować. Była żywiołowym człowiekiem z rodzaju tych, którzy wyznają zasadę wszystko albo nic – nie znała umiaru. Dziś jednak chciała zapomnieć o wszystkich swoich zmartwieniach i przetańczyć kilka godzin, a jeśli drink miał jej pomóc przekroczyć granicę zapomnienia, to chętnie wypije jednego lub dwa

– lub tyle, ile będzie trzeba.

Freya została szybko obsłużona, bo wepchała się na przód kolejki. Wróciła z dwoma niskimi szklaneczkami wypełnionymi przezroczystym płynem, w którym pływały plasterki cytryny i podzwaniały kostki lodu.

– Gin z tonikiem – poinformowała. – Jeszcze przez czterdzieści pięć minut mają promocyjne ceny, więc pij szybko.

Giselle usłuchała, przechylając szybko kieliszek i wypijając drinka w kilku łykach, choć gorzkawy posmak chininy i kwaśna cytryna wykrzywiały jej usta. Freya wyjęła jej puste szkło z ręki i gdzieś odstawiła, a potem pociągnęła ją w tańczący tłum, gdzie ciała ocierały się o siebie nawzajem, jakby to była jakaś orgia, choć bez konieczności zdejmowania ubrań. Freya uniosła ręce nad głową i zaczęła kręcić dużymi biodrami, przez co jej sukienka powędrowała tak wysoko, że od czasu do czasu błyskała spod spodu miętowa zieleń majtek z falbanką.

– Freya – syknęła Giselle do ucha przyjaciółki, starając się zachować dyskrecję, ale jednocześnie przekrzyczeć muzykę. – Czy to bar dla lesbijek? Tu w ogóle nie ma facetów.

Freya wzruszyła ramionami.

– Przychodzę tu, kiedy chcę po prostu potańczyć – odpowiedziała Freya, po czym zamknęła oczy i dalej się kołysała, wywijając biodrami i schodząc nisko do podłogi jak tancerka erotyczna.

Giselle poczuła na biodrach czyjeś ręce i lekkie muśnięcie czyjegoś ciała, które nie przycisnęło się jednak do niej natarczywie. Dotyk był niepewny, pytający. Zesztywniała, ale zaraz potem rozluźniła się i zaczęła kołysać się w tym samym rytmie, co tajemnicza partnerka. Jej ciało naparło na nią mocniej, a dłonie przesunęły się na uda Giselle. Kobiety kołysały się i wiły, jakby były jedną osobą, połączone niczym bliźnięta syjamskie. Giselle dała się prowadzić nieznajomej. Koniuszki palców uniosły jej koszulkę, a potem zaczęły rysować delikatny wzór na jej ciele, po czym przeniosły się na jej piersi i ramiona, kierując w górę jej dłonie.

Giselle czuła się tak, jakby leciała, jakby szybowała w powietrzu na skrzydłach ciężkiego punkowego rytmu dudniącego z głośników. Bas zawładnął jej sercem, mięśnie podłączyły się do rytmu. Giselle czuła się jak marionetka – jej ciało było tylko powłoką, wokół której wibrowała muzyka. Giselle poczuła się wreszcie pełna, jakby odnalazła w końcu wyrwę, która w niej powstała, i zdołała ją zasklepić. Odkryła w sobie nowe siły witalne.

Nie zauważyła nawet, że jej partnerka zniknęła gdzieś w półmroku, porzucając ją dla kogoś innego. Giselle była zbyt pochłonięta własnym ciałem i nastrojem, żeby mógł ją zaabsorbować ktoś inny czy nawet żeby dać się skusić perspektywie ustawienia się w kolejkę do baru i pogłębienia upojenia alkoholowego, co mogłoby jej pomóc zapomnieć o smutkach.

Po raz pierwszy w życiu czuła się w pełni z siebie zadowolona. Wciąż doskwierała jej tęsknota za Williamem i wspólnymi chwilami, ale wyszła z Freją z baru z okruczem nadziei, że kiedyś znów będzie szczęśliwa bez niego, choć nadal za nim tęskniła. Pomyślała też o dawnej przyjaciółce Beth, która odkąd doszły ją wieści o wypadku Williama – zapewne przez jakąś znajomą modelkę ze świata sztuki, z którym obie miały powiązania – wytrwale słała jej z Londynu na adres kwiaciarni radosne kartki. Giselle ledwie rzucała na nie okiem i nie zwracała sobie głowy odpisywaniem. Chciała zostać sama ze swoim nieszczęściem, ale teraz poczuła, że chmury nagle się rozstały, a w miejscu, w którym wcześniej panowała zupełna ciemność, błysnął jasny promień światła.

Postanowiła solennie, że wróci do nauki tańca. Tym razem dla przyjemności. Będzie tańczyć dlatego, że to kocha, i mało ją obchodzi, czy zdaniem innych jest wystarczająco dobra.

List, który przyszedł, niósł ze sobą ciężar nieoczekiwanego. Giselle natychmiast rozpoznała pismo Williama. Widziała je wystarczająco często, bo zdobiło prawy górny róg jego obrazów. „W” zaczynało się wąsko, a potem przechodziło w zestaw szerokich, zaokrąglonych pętelek, które zawsze kojarzyły jej się z ciężkimi kobiecymi pośladkami. William postępował po

swojemu. Nie działał celowo na opak, ale był oryginałem, kimś, kto robił wszystko tak, jak mu się podobało, bez względu na modę.

Giselle poczuła ucisk w gardle. Coś więcej niż ucisk – na skutek emocji, które niemal ją obezwładniły, nie była w stanie oddychać. Zaczepnęła powietrza i wzięła łyk espresso, żeby się uspokoić. Nieduża porcelanowa filiżanka, z której piła, zabrzączała przy odstawianiu o spodek. Giselle tak trzęsły się ręce, że prawie rozlała kawę na stół.

Siedziała w ogródku kawiarni u stóp Montmartu. Uwielbiała tutejszą plataninę krętych, brukowanych uliczek i ostre zbocza wzgórza, na którym wznosiła się imponująca bryła Sacré Coeur, górując nad zamkniętą w mieście wioską. Kościół miał w sobie majestat, który wykraczał daleko poza cień samego budynku i obejmował otaczające go okolice niczym przepastna sutanna. Giselle nigdy nie odczuwała pociągu do religii, ale doceniała majestat i dostojeństwo związanych z nią przybytków, bo często odnajdowała w ich pobliżu spokój, zwłaszcza w takie dni jak ten: ciche i nieruchome. Było jeszcze wczesnie, a ranek był chłodny. Na razie była jedynym klientem.

Samotny kelner potraktował ją z dużą życzliwością i przyglądał się jej ciekawie, zastanawiając się pewnie, co robi atrakcyjna młoda kobieta w cytrynowożółtym kardiganie i starannie wyprasowanej kremowej spódnicy, sama, o tak wczesnej porze w niedzielę, bez

płaszcz; jej błyszczące ciemne oczy wyrażały bezbrzeżny smutek, ale przynajmniej nie były już czerwone od płaczu. Przyniósł jej talerzyk maleńkich kruchych ciasteczek w kształcie gwiazdek, których nie zamawiała. Kiedy je przed nią stawiał, poczuła, że jego oczy samoistnie wędrują na jej dekolt.

List był zaklejonny. Kiedy przyszedł, nie chciała otwierać go pod ciekawskim spojrzeniem Frei. Ani w swoim pokoju, tak ponurym, że nie dało się w nim odczuwać niczego poza smutkiem. Przez ponad tydzień nosiła go w torebce w nienaruszonej kopercie. Kilka razy niemal wyrzuciła go do śmieci, tak jak robiła z listami od Olena, bo nie chciała kłaść pamięci o wspólnie spędzonych chwilach ani wyciągać znów ostrza swojego bólu, rozszarpując stare rany. Ale za każdym razem, kiedy próbowała pozbyć się koperty, nie była w stanie tego zrobić. Jej palce ścisnęły gładki biały papier, jakby był zrobiony ze złota, zbyt cenny, żeby wylądować w śmietniku.

W końcu wsunęła kciuk pod zamknięcie i delikatnie otworzyła kopertę. Wyciągnęła z niej złożoną kartkę. Był to pojedynczy arkusz papieru welinowego z wystrzępionym brzegiem. Kartka ze szkicownika. William zapisał ją z obu stron, a litery wryły się tak głęboko, że długopis chyba wrzynał się w papier. Giselle wyobraziła sobie piszącego Williama. Tak mocno przyciskał trzymany w lewej ręce długopis, że kiedy musnęła palcami stronę, miała wrażenie, że

została zapisana brajlem. Nie była w stanie odczytać słów samym dotykiem, ale wyczuwała napięcie, w którym musiał się znajdować William podczas pisania.

„Najdroższa Giselle”, zaczynał się list. Nigdy nie byli parą, która wymyśla dla siebie przezwiska lub zwraca się do siebie czułymi słówkami. Ona zawsze była Giselle, a on Williamem. Przyszło jej kiedyś do głowy, że nawet ich imiona do siebie pasowały, choć szybko odrzuciła tę myśl, bo uznała ją za coś, co mogłyby wymyślić raczej dziewczynki na podwórku. Imiona nie miały znaczenia.

Jak sobie zapewne wyobrażasz, długo się wahałem, zanim zdecydowałem się do Ciebie napisać. Wiesz, że byłem przeciwny naszemu związkowi. Ja z każdym dniem się starzeję, a Ty jesteś taka młoda i piękna, masz w sobie tyle życia. Więcej, niż sam kiedykolwiek miałem.

Chciałem dać Ci wolność.

Ale nie potrafię. Pozostaję Twoim jeńcem. Jesteśmy sobie zaślubieni, jeśli nie zgodnie z literą prawa, to na pewno sercem. Należę do Ciebie.

Czy jestem przez to złym człowiekiem? Czy tylko głupim starcem? Nie wiem. Wiem tylko, że z każdym dniem kocham Cię coraz bardziej. I w dziwny sposób mam wrażenie, jakbym coraz lepiej Cię poznawał, mimo że dzieli nas cały świat.

Pamiętasz Bal, na którym byliśmy razem w tej dziwnej podupadającej dzielnicy za Long Island, której nie było chyba nawet na mapie? Oczywiście, że pamiętasz, choć

nigdy Ci nie wyjaśniłem, co to tak naprawdę było. Jest tyle rzeczy, o których powinienem był Ci powiedzieć. W pewnym sensie chciałem chronić Twoją niewinność. Powinienem być jednak wiedzieć, że masz w sobie dobroć, której nie da się wyplenić niezależnie od tego, na jakie perwersje wystawiłbym Twoje ciało.

Giselle przerwała czytanie. Tak, pamiętała, pomyślała z gorzką ironią. Pamiętała każdą wspólną chwilę, jakby zarejestrowała ich związek na taśmie i mogła odtworzyć go przed oczami niczym trójwymiarowy film w pełnym kolorze.

Przechodzący obok sprzedawca kwiatów z Afryki, gotowy zarzucać niczego niepodejrzewających turystów różami po wygórowanych cenach, przystanął przy niej i podał jej kwiat. Wzięła go i zapłaciła tylko po to, żeby móc dotknąć palcami kolców i poczuć na skórze jedwabisty dotyk płatków. Potrzebowała czegoś znajomego, czegoś, co nie będzie jej się kojarzyło wyłącznie z Williamem, co pozwoli jej wrócić do teraźniejszości. Dopiero co odzyskała równowagę i nie chciała znów jej stracić. Wsunęła ciasteczko do ust i wróciła do lektury. Przywołane listem ulotne wspomnienia Balu przemknęły przez jej umysł, ale połączenie słodczy i chrupiących kawałków pistacji w herbatniku przypomniało jej o tym, że znajdowała się tutaj, na Montmartrze, a nie na obrzeżach Nowego Jorku. Wystarczyło jednak, że zamknęła oczy, a widziała Williama tak, jakby był przy niej, czuła jego

obecność.

Otworzyła szybko oczy i znów zaczęła czytać.

Staliśmy na parkingu przy rzeźbie będącej fontanną. Przedstawiała obejmującą się parę. Mocno przytuloną. Tak mocno, jak chciałbym tulić teraz Ciebie. Zapytałaś mnie wtedy, czy myślałem kiedykolwiek o tym, żeby rzeźbić. Powiedziałem Ci, że nie, że wolę wyrażać się w malarstwie, że chcę zatrzymywać obiekty skąpane w świetle, a nie rzeźbić je w kamieniu. Twardym i zimnym. Tak przynajmniej wtedy myślałem. Myliłem się.

Nie uwierzysz, Giselle, ale dla Balu pracuje jeszcze jeden niewidomy. Nazywa się Walter. Jest nas dwóch! Co tłumaczy, dlaczego Bal tak chętnie mnie przyjął, choć jako artysta jestem praktycznie bezużyteczny. Walter jest rzeźbiarzem. Zaczął mnie uczyć. Nie miałem jeszcze w rękach gliny ani innego materiału. Na razie Walter każe mi tylko przywoływać w pamięci jakiś obraz i rozkładać go na części pierwsze. Jego fakturę, smak, kolor, dokładny kształt każdej linii. Każe mi rysować go w powietrzu.

Oczywiście moją inspiracją jesteś Ty. Zawsze mam Cię przed oczami. Mam nadzieję, kochanie, że nie masz nic przeciwko temu, że wykorzystuję Cię w taki sposób. Jesteś moim jedynym wspomnieniem, które ma w sobie wystarczająco dużo życia, aby nadać się do tego rodzaju zadania. Wszystkie inne zaczęły blednąć, tracić blask. Tylko Ciebie widzę oczyma wyobraźni. Siadam więc codziennie i rzeźbię Cię w myślach.

Mam nadzieję, że któregoś dnia powołam Cię do życia, choć wiem, że nigdy nie będę w stanie oddać Ci sprawiedliwości. Cieszę się tylko, że przynajmniej nie będę w stanie zobaczyć tego, co wyjdzie spod moich rąk!

Giselle popłakała się przy ostatnim zdaniu. Od razu rozpoznała jego dziwaczny czarny humor i optymizm, który kazał mu żartować nawet w takiej sytuacji, jakby mogło być coś pozytywnego w tym, że oślepił. Że ona nieumyślnie go oślepiła. Ta myśl nie dawała jej spokoju, ale odsunęła ją na bok. Wiedziała, że William nie chciał, żeby w ten sposób myślała, i czuła, że ze względu na niego powinna przynajmniej spróbować zmienić nastawienie.

Otarła grzbietem dłoni łzy. Jej kawa była zimna, więc zamówiła drugą.

– Mogę służyć czymś jeszcze? Chusteczką? Szklanką wody? – zapytał kelner. Niepokój w jego oczach mieszał się z pożądaniem. Giselle widziała je na twarzach wystarczająco wielu mężczyzn, żeby je rozpoznać. Pokręciła głową i odpowiedziała:

– Nie, dziękuję.

Dotarła do ostatnich linijek na stronie i miała niemal ochotę znów odłożyć list. Zrobić jeszcze jedną przerwę i wrócić do niego później, żeby lektura trwała dłużej. Czytając słowa Williama, niemal słyszała w głowie jego głos. Widziała jego twarz, czuła szorstki zarost na swoim policzku, kiedy ją całował. Dałaby teraz wszystko, żeby poczuć go w sobie. Żeby ją przygniótł

swoim ciałem i skuł łańcuchami, jak to zrobił wtedy, gdy zapragnęła być jego osobistą Joanną d'Arc.

Ale wiedziała, że tak się nie stanie. Była pragmatyczna. Była realistką. W głębi serca zdawała sobie sprawę, że bez względu na to, jak bardzo to bolało, nie będzie trwało wiecznie. William w końcu o niej zapomni. A ona o nim. Prawda?

Widzę tylko Ciebie.

Zawsze będę nosił Cię w sercu i w umyśle.

Kocham Cię.

Twój,

William

Nawet po przeczytaniu listu nie potrafiła zmusić się do tego, żeby go wyrzucić. Była wystarczająco zdyscyplinowana, żeby nie czytać go na okrągło. Wiedziała, że tylko by od tego oszalała. Ale dyscyplina nie powstrzymała jej przed myśleniem o nim, przed świadomością, że miała ten list, złożony starannie w kopercie, wsunięty do jednej z ulubionych książek. Schowała go do *Wielkiego Gatsby'ego*, bo od czasów przyjęcia w okolicach Long Island, gdzie nikt nie znał gospodyni, książka ta zawsze kojarzyła jej się z Williamem.

Wkrótce miała mieć całą kolekcję listów, bo nie był to koniec korespondencji od niego.

Nie zostawił jednak adresu zwrotnego, więc nawet gdyby chciała mu odpisać, nie wiedziałyby, gdzie wysłać list.

Listy Williama z zagranicy – choć niewiele istniało słów będących w stanie załagodzić jej wyrzuty sumienia i poczucie straty – trochę jej pomogły. Ale niedługo nawet one zaczęły przychodzić coraz rzadziej, niczym lina ratownicza, która rozciąga się do granic możliwości i w końcu pęka. Kilka paragrafów, ledwie dwa razy w roku, czasem jakaś kartka opatrzona egzotycznym znaczkiem z jakiegoś zaskakującego miejsca, uzależnionego pewnie od tego, gdzie akurat urzędował Bal. Przerwy między kolejnymi przesyłkami wydłużały się, zapomnienie postępowało z matematyczną precyzją obmyślaną po to, aby załagodzić ból rozstania i zapełnić pustkę.

Któregoś dnia Giselle opuściła wykład w Censier Daubenton, potem kolejny i kolejny, gdyż czuła się potwornie wyczerpana i nie była w stanie podnieść się z łóżka po nocach intensywnego tańczenia i szaleńczego życia towarzyskiego w klubach rozciągających się od Neuilly do bulwarów Montparnasse – po przyprawiającym o zawrót głowy pobycie w świecie migających stroboskopów, w królestwie ostrych neonów, we wrzasku upojonych tłumów. Wkrótce minęło kilka miesięcy, a Giselle uświadomiła sobie, że rzuciła studia. To nie była świadoma decyzja, raczej zanik silnej woli i determinacji. Ale nie brakowało jej już zajęć. Apetyt na życie zamknięte w książkach przygasł.

Nieregularna praca w kwiaciarni też się skończyła, co

było efektem kłótni z Freyą na temat faceta, którego Giselle poderwała któregoś razu w klubie i z którym spędziła noc. Skąd miała wiedzieć, że Freya ma na niego oko? Żadne z nich nie było trzeźwe, a poza tym Giselle miała wrażenie, że Freya była otwarta na wszystko podczas tych pijackich nocy pełnych tańca i wygłupów. Po tygodniu Giselle nie tylko zapomniała o tym, jak gość miał na imię, ale nawet o tym, z jak dużą wprawą ją ujeżdżał. Ale Freya nadal patrzyła na nią z urazą i wspólna praca stała się nie do zniesienia.

Ojciec Giselle zmarł ledwie kilka dni po wypadku Williama i zostawił jej niewielki spadek, który uzupełniała pieniędzmi zarabianymi podczas pozowania dla artystów, fotografów i studentów École des Beaux Arts przy Rue Bonaparte. W jakimś sensie żałoba po jego śmierci wymieszała się z bólem po utracie Williama. Co prawda nigdy nie łączyła jej z ojcem bliska relacja. Wiedziała, że powinna spędzać więcej czasu z matką, która została sama, ale nie była w stanie znieść dojmującej atmosfery pustki, która spowiła jej dom rodzinny, jakby śmierć ojca wybiła dziurę na samym środku salonu. Trzymała się więc stamtąd z daleka.

Pojawili się za to mężczyźni.

Nauczyciel z akademii sztuk pięknych, który poprosił ją, żeby pozowała mu prywatnie. Był w wieku Williama, może nawet starszy, ale stanowił jego całkowite przeciwieństwo: był mały i żylasty, miał nienagannie

przystrzyżone włosy i zawsze starannie wyprasowane, nieskazitelnie czyste ubranie. Początkowo myślała, że Stephane jest gejem, ale błysk w jego oczach, kiedy zaprosił ją na kolację po pierwszej sesji, szybko kazał jej zmienić to przekonanie. Patrzył na nią pożądlivym wzrokiem mężczyzny, który pragnie jej ciała, a nie z dystansem zachwyconego artysty. Nie starała się nawet udawać szczególnie niedostępnej i została jego kochanką. Stephane był żonaty. Był też czułym, choć pozbawionym polotu kochankiem, romans był jednak frustrujący. Choć jej serce wydawało się wciąż należeć do Williama i jego nieokrzeseanej, rozwiązłej osoby, to Giselle pragnęła jednocześnie normalnego związku: układu, w którym mogłaby zadzwonić do swojego chłopaka o dowolnej porze dnia i nocy i umówić się z nim na kawę w bistro albo pójść do kina lub też zdecydować się w ostatniej chwili, że idą potańczyć lub jadą na weekend na wybrzeże, żeby się pobawić i zrelaksować. Żonaci mężczyźni nie byli natychmiast dostępni i nie znajdowali się zawsze pod telefonem. Giselle rozpoczęła więc równoległy romans z Robertem, jednym ze studentów Stephane'a, kolejnym mężczyzną, który znał linie jej ciała, geometrię jej krągłości i odcienie jej skóry na długo przed tym, zanim w ogóle się z nim przespała, bo szkicował ją, rysował i malował w najróżniejszych jasno oświetlonych amfiteatrach i salach wykładowych akademii przy wielorakich okazjach, w towarzystwie

kilkudziesięciu innych studentów drugiego roku. W łóżku miał równie mało polotu co Stephane i czasem wręcz się czerwienił, kiedy Giselle przejmowała stery w poszukiwaniu przyjemności, każąc mu rezygnować z tradycyjnej pozycji na misjonarza i wprowadzając bardziej niebezpieczne warianty. Choć różnica wieku między nimi wynosiła jedynie pięć lat, czuła się jak starsza kobieta gustująca w dużo młodszych od siebie, jak nierządnicą sprowadzająca młodzieńców na złą drogę przez swoje wyuzdane potrzeby i znajomość seksu wraz z jego rozkosznymi ekstrawagancjami, których przedsmak dał jej William.

Stephane wiedział o Robercie i chyba mu to nie przeszkadzało. Żonaci mężczyźni wiedzą, że nie mają prawa do zaborczości. Przez kilka miesięcy oddzielnego sypiania z nimi oboma Giselle często fantazjowała na temat możliwości sprowadzenia ich razem do łóżka przy jakiejś wyjątkowej okazji, planując coś takiego choćby tylko po to, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że nie stała się zakładniczką miłości i że liczy się tylko ciało. I przyjemność. Zarówno samolubna, jak i dająca satysfakcję.

Nigdy jednak do tego nie doszło.

Czas mijał.

Robert odszedł. Na pewno do kogoś w swoim wieku, a może po prostu do kogoś mniej wymagającego i oziębłego. Przestał odbierać telefony od Giselle. Rozumiała dlaczego.

A potem Stephane wyjechał z Paryża i objął posadę w Rzymie w Villi Medici. Obiecywał, że kiedy już się urządzi, skontaktuje się z Giselle i postara się, żeby mogła do niego przylecieć na jakiś tydzień – nie miał zbyt wielu obowiązków jako nauczyciel. Mogliby spędzić razem trochę czasu i pojeździć po Lacjum. Artysta rezydujący przed nim w Villi zdradził mu, że na północ od miasta znajduje się jezioro, które idealnie nadaje się na schadzki. Nazywało się Bracciano, a nad jego brzegiem stał zamek. Podobno w okolicy odbył się ślub Toma Cruise’a. Niedaleko znajdowała się też średniowieczna wioska Calcata, która zamieniała się powoli w kolonię artystów i w której można było wynająć na weekend stojący na uboczu kamienny domek. Giselle odszukała wszystkie te miejsca na mapie, ale Stephane nigdy nie zadzwonił. Włoskie modelki okazały się pewnie nową atrakcją, bardziej egzotyczną i poręczną.

Mężczyźni.

Kiedy sypiała jeszcze ze Stephane’em i Robertem. W międzyczasie. I po.

Bezimienni mężczyźni podrywani w dusznych klubach podczas kołysania w rytm muzyki, albo w barach. Ich śmiałe, czasem spocone dłonie poruszające się z prędkością światła po jej ramionach lub cienkiej spódnicy, na parkiecie lub pod stołem drogiej restauracji, Procope czy innego lokalu dla smakoszy przy Polach Elizejskich, okolicy, której szczerze nie

cierpiała. Palce przesuwające się cal po calu w górę pończoch.

Giselle pozwalała im rznąć się w toaletach, samochodach albo pod bezpieczną osłoną ciemnego Lasku Bolońskiego. Czasem zabierali ją do tanich hoteli przy stacjach kolejowych, gdzie można było wynająć pokój na jedno popołudnie. Jedyнным miejscem, do którego nigdy z nikim nie szła, było jej malutkie mieszkanie przy Bastylji. Taką miała zasadę, nawet jeśli oznaczało to, że nie prześpi się z danym mężczyzną.

Niektórzy byli gadatliwi, inni milczący. Giselle wolała tych, którzy nie mówili zbyt wiele. Tych, którzy po tym, jak znaleźli się z nią sam na sam, rozstawiali ją po kątach, ocierając się niekiedy o brutalność i zamieniając jej strach w podniecenie.

Dni zamieniały się w tygodnie, tygodnie w miesiące, a miesiące w lata, płynąc siłą bezwładu.

David, który był fotografem, zabrał ją na Bali, gdzie po raz pierwszy kochała się na plaży. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że wszechobecny piasek może być tak nieprzyjemny i irytujący.

Poznany w barze hotelowym pilot zabrał ją do Tokio, gdzie objadała się sashimi i zupą miso. Kiedy nadszedł czas powrotu do Paryża, postanowiła zostać dłużej i znalazła sobie tymczasową robotę jako hostessa w barze, w którym miejscowi płacili krocie za atencje kobiet z zagranicy, głównie z Europy Wschodniej, a do tego nigdy nawet nie żądali seksu. W klubie tanecznym

w Shinjuku oglądała tancerki w klatkach, które w świetle stroboskopów zamieniały się w rozedrgane szkielety, a później tego samego wieczoru przyglądała się z niezdrową fascynacją pokazowi krępowania liną prowadzonego przez malutkiego człowieka z łysą głową i wijącą się białą brodą, przez co przywodził jej na myśl Don Kichota. Wróciła do niego po tygodniu i zapytała, czy ją również zgodziłby się skrepować. Kilka godzin później wyszła z jego studia w upojnym stanie, podniecona romansiem z liną. Wszystkie nerwy w jej ciele znajdowały się na krawędzi ekstazy, a ona sama pragnęła, by ją ujarzmić, by ją wypełnić. Poszła do pierwszego lepszego baru i uwiodła speszzonego dyrektora jakiejś firmy, który nie mogąc uwierzyć we własne szczęście, zabrał ją do pobliskiego hotelu. Jego ciało było całkowicie pozbawione włosów. Po stosunku wyszedł, kiedy brała prysznic, jakby zawstydzony całą sytuacją, zostawiając jej na toalecie plik banknotów.

Wróciła do Europy i zajęła się znów pozowaniem, a co najmniej dwa razy w tygodniu szła szaleć na parkiecie i kolekcjonowała mężczyzn jak motyle. Przelotne relacje, niewidzialne ciała, mężczyźni z fiutami, głosy z dłońmi i czułymi słówkami, a czasem również z nieświeżym oddechem.

Zlecenia przychodziły coraz rzadziej. Nie stało się to z dnia na dzień, był to raczej proces stopniowy, bo artyści i fotografowie przerzucali się powoli na inne modelki, nowe twarze i ciała, wyczerpawszy zapewne

możliwości i wizje, które mogła im podsunąć, w poszukiwaniu świeżych inspiracji. Prawdę mówiąc, Giselle wiedziała, że od jakiegoś czasu przestała wkładać serce w tę pracę: sterczała w pracowniach, na planach i w plenerze zawieszona między przeszłością a przyszłością, obojętna i jałowa, co artyści z pewnością byli w stanie wyczuć. Tylko przy Williamie potrafiła przeobrazić się w pełnowymiarową mużę.

Pieniądze zaczęły stanowić problem. Nawet opłacenie miesięcznego czynszu wiązało się z dużym wysiłkiem.

I wtedy dostała telefon.

Już od jakiegoś czasu myślała o tym, że być może powinna zarejestrować się w agencji, dzięki której znajdzie dodatkowe zlecenia jako modelka, bo do tej pory zdawała się jedynie na to, że potencjalni pracodawcy będą ją sobie polecać, a tylko mała garstka akademii sztuk pięknych zwróciła na nią uwagę – jeszcze za czasów, kiedy zaczęła pozować dla Williama i jego znajomych.

Oferta firmy poszukującej talentów, o której nigdy wcześniej nie słyszała, zjawiała się w samą porę. Giselle poczuła się tak, jakby ktoś nad nią czuwał z daleka, wiedząc o zmianie jej sytuacji życiowej. Firma nazywała się L'Or du Temps, Czas Jest Złotem. Nazwa od początku ją zaintrygowała.

Jej siedziba mieściła się na pierwszym piętrze *hôtel particulier* przy Rue de Verneuil: gładkie lustra, wykończenie z ciemnego drewna, eleganckie meble.

Kobieta, która się z nią skontaktowała, była zadbana i opalona, jej płowiejące kasztanowate włosy były zebrane w gładki kok. Miała na sobie szarą garsonkę, elegancką białą bluzkę i pojedynczy sznur pereł. Nazywała się Madame Fur.

– Ma pani znakomite referencje – powiedziała. – Otrzymaliśmy bardzo pozytywne rekomendacje...

– Mogę spytać, kto zainteresował państwa moją osobą? – chciała wiedzieć Giselle.

Kobieta zignorowała jej pytanie.

– Rozumiem, że ma pani wykształcenie taneczne?

– Tak. Ale od dłuższego czasu nie ćwiczylam – odparła Giselle.

– Rozumiem.

Giselle odniosła wrażenie, że kobieta wie o niej dużo więcej, niż daje po sobie poznać, że jest świadoma tego, ile szaleńczych nocy przetańczyła w najróżniejszych klubach, że wie, iż robiła to sama, niejednokrotnie bez partnera, zanurzona w dźwiękach i we własnym świetle, centrum zainteresowania na zatłoczonym parkiecie. A także o tym, że poznawała tam mężczyzn i puszczała się dla przyjemności. O sekretnym życiu, które wiodła w sercu swojej samotności.

Oczy kobiety miały odcień stalowej zieleni. Przytrzymała wzrok Giselle.

– Możemy zaproponować pani pracę. Dobrze płatną. Stałą.

– Jako modelka?

– Czasami.

– Nie jestem osobą do towarzystwa, jeśli o tym pani myśli.

– W żadnym razie – zaprzeczyła Madame Fur. – Ma pani doświadczenie w pozowaniu dla artystów i w tańcu. Wiemy o tym.

– W takim razie co miałabym robić? – chciała wiedzieć Giselle.

– Praca wiązałaby się z tańcem. Szczególnego rodzaju – dodała kobieta z wciąż nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Nie chcę zostać striptizerką – zaznaczyła Giselle.

– Naturalnie. Interesują nas bardziej przedsięwzięcia artystyczne – usłyszała.

Giselle poczuła się zaintrygowana i zaczęła dopytywać się o szczegóły.

– Po odbyciu niezbędnego szkolenia musiałyby pani przeprowadzić się do Stanów Zjednoczonych – poinformowała rozmówczyni. Ostatnia kartka, którą Giselle dostała dwa lata wcześniej od Williama, życzenia urodzinowe na granicy banału, została wysłana z San Francisco. Madame Fur wzbudziła jej zainteresowanie.

Wyczuwając to, Madame Fur wyraźnie odetchnęła i zaoferowała kawę, proponując, żeby przeniosły się na białą skórzaną kanapę, zamiast siedzieć naprzeciwko siebie przy biurku w atmosferze oficjalnej rozmowy kwalifikacyjnej.

Wyjaśniła, że L'Or du Temps jest paryską filią dużej międzynarodowej organizacji zajmującej się szeroko pojętą sztuką i rozrywką. Zależało im na dużej dyskrecji w związku z nietypową, choć absolutnie legalną naturą ich projektów.

Giselle przyszedł na myśl szokujący, a jednocześnie fascynujący spektakl, którego była świadkiem na Balu w Hamptons, i nie mogła powstrzymać się od pytań.

– Czy była pani zaangażowana w to duże, szalone przyjęcie wiele lat temu na obrzeżach Nowego Jorku, na wyspie?

– Ma pani na myśli Bal?

– Tak, takim określeniem się posługiwano. Mój bliski przyjaciel pracował później dla nich. Dla państwa?

– Nie dla mnie osobiście, ale tak, mamy z tym związek. Angażujemy się w wiele projektów.

– Czy to nie przypadkiem William prosił, żeby się pani ze mną skontaktowała?

– A czy miałyby jakieś znaczenie, gdyby to zrobił?

Giselle zamyśliła się. Nie miałyby. Wciąż jednak związek między L'Or du Temps, Williamem i Balem był czymś więcej niż kwestią przypadku. Giselle miała poczucie, że koło znów się zamyka, jakby kolejny rozdział z książki jej życia dobiegał końca i miało się zacząć coś nowego i nieuniknionego.

– Zgadzam się – powiedziała. – Na szkolenie, o którym pani mówiła, na pracę...

Madame Fur uśmiechnęła się zagadkowo i spojrzała

znacząco, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Nie przedstawiłam jeszcze szczegółowo naszej propozycji...

– Nie szkodzi – powiedziała Giselle. – Na wszystko się zgadzam. Wchodzę w to. Zdecydowanie.

7. Walc Missisipi

Niecałe piętnaście lat później Giselle przeprowadzała rozmowę kwalifikacyjną z nową tancerką w swoim studiu w klubie – dyskretnym miejscu ukrytym za wysokimi murami i pachnącym magnolią ogrodem przy wschodnich krańcach Bourbon Street i Esplanade Avenue.

Wcześniej tego samego ranka spędziła dobrą godzinę przy toalecie, przyglądając się sobie w lustrze. To nie stało się z dnia na dzień. Proces postępował stopniowo, tak że nie dało się tego zauważyć od razu – jak wtedy, gdy rośnie dziecko – ale nagle stanęła w obliczu niepodważalnego dowodu: posiwiały jej włosy.

Były w dalszym ciągu długie i jedwabiste dzięki wielu godzinom szczotkowania i pielęgnacji, zaś dzięki drogim szamponom i odżywkom, na które sobie pozwalała, nie zrobiły się suche i łamliwe, choć zakładała taką możliwość, niemniej jednak siwe pasma były wyraźnie widoczne.

Westchnęła, ale nie ze smutkiem, tylko ze spokojem i

akceptacją.

Z tego, co pamiętała, jej matka też miała siwe włosy, nawet w zamierzchłych czasach Orleanu. Ale choć również długie, jej nigdy nie miały tak ciemnego odcienia i w pewnym sensie siwizna nie rzucała się aż tak w oczy.

Nadeszła jej kolej, aby przyjąć swoje dziedzictwo genetyczne.

Dwie rzeczy wiedziała na pewno: nie chciała ścinać włosów i nie zamierzała ich farbować, aby przywrócić im naturalny hebanowy kolor – czy też nadać jakikolwiek inny. Nigdy nie lubiła uciekać się do żadnych sztuczek.

Jeszcze w Paryżu, kiedy mieszkała z Williamem, od czasu do czasu zauważała nowe siwe pasemka, ale nigdy nie przejmowała się specjalnie faktem, że pojawiały się one często z dnia na dzień, a z biegiem lat przez swoją obojętność nie zauważyła, jak bardzo się one rozprzestrzeniły. Wczesna siwizna była czymś powszechnym wśród kobiet w jej rodzinie. Czuła się tak, jakby oceniając swój wygląd, była na wpół ślepa lub miała tak skonstruowaną podświadomość, że ignorowała zachodzące zmiany.

Dziś postanowiła, że po zamknięciu klubu przejdzie się ulicami Vieux Carré w stronę Jackson Square, a jeśli wcześniej nie zwróci na siebie niczyjej uwagi, pójdzie do Café du Monde, gdzie samotnej kobiecie siedzącej nocą przy narożnym stoliku wychodzącym na Decatur,

popijającej kawę w sposób zdradzający wyczekiwanie i dostępność, nie powinno być trudno znaleźć mężczyznę. Uśmiechnie się z nadzieją, że nieznajomy wykaże się choć odrobiną dowcipu i nie będzie śmierdział alkoholem, a potem pójdzie z nim do hotelu i prześpi się z nim. Da się przelecieć. O świcie zaś wymknie się na paluszkach z pokoju, cichutko jak tancerka, którą była w głębi serca, i wróci do zacisza własnej sypialni kilka przecznic dalej, niedaleko Muzeum Stanu Luizjana, uspokojona świadomością, że wciąż jest wystarczająco atrakcyjna, żeby iść z nią do łóżka.

Mieszkała w niedużym jednopiętrowym budynku, ukrytym za bujną roślinnością porastającą tereny klubu, w dawnej dzielnicy niewolników przystosowanej do współczesnych standardów. Nigdy nie sprowadzała tam mężczyzn. Wielu o to prosiło, ale zawsze dawała im wtedy jasno do zrozumienia, że to by oznaczało koniec i że nigdy do tego nie dopuści. Mężczyźni szybko kapitulowali.

Nowa kandydatka została jej polecona przez Sieć, więc przynajmniej raz miała pewność, że młoda kobieta nie będzie najprawdopodobniej przesadnie zaskoczona niektórymi aspektami pracy. Giselle nie będzie musiała obchodzić się z nią jak z jajkiem podczas wyjaśniania, na czym niekiedy polegają występy. Zupełne nowicjuszeki obruszały się czasem zaskoczone, a bywało i tak, że wychodziły, choć dopiero po tym, jak Giselle im przypomniała, że przed rozmową podpisały klauzulę

poufności.

Organizacja nie chciała niepotrzebnego rozgłosu ani złej sławy.

– Skąd jesteś?

– Z Portland w Oregonie.

Giselle wolała tancerki i artystki z zagranicy, głównie z Europy lub Europy Wschodniej. Były w pewnym sensie bardziej światowe. Amerykankom brakowało często tego, co lubiła określać mianem „poezji”, nawet jeśli miały zachwycające rysy twarzy i nieskazitelną skórę, chociaż niektóre z nich okazywały się wyjątkowe, cudownie wyuzdane i świadome; kobiety z zagranicy, którym brakowało niezbędnej przebiegłości, nie potrafiły takie być. Rodzone Amerykanki zwykle łatwiej i szybciej uczyły się nietypowych układów, choć ich występy były przy tym trochę bardziej mechaniczne i pozbawione uczucia, podczas gdy zagraniczne dziewczyny wkładały w rolę nie tylko swoje ciało, ale i serce.

Giselle spojrzała na pierwszą stronę portfolio, które tancerka przyniosła ze sobą na rozmowę.

– Deborah?

– Wszyscy mówią na mnie Debb...

Dziewczyna wydawała się zestresowana.

Ile wiedziała? Czego się spodziewała?

Kiedy wiele lat temu Giselle znalazła się w analogicznej sytuacji, jak długo się wahała po wysłuchaniu wszystkich wyjaśnień? Czy była

zszokowana? Albo zaskoczona? Czy może podeszła do tego z fatalistycznym spokojem? Nie było jej łatwo przypomnieć sobie swój ówczesny stan umysłu. Od tamtej pory tyle się wydarzyło.

Przeszła długi proces oceny swoich umiejętności tanecznych, sprawności fizycznej i ogólnego stanu zdrowia, a następnie odbyła serię sesji z psychologiem, któremu musiała opowiedzieć o wszystkich swoich upodobaniach i perwersjach seksualnych. Przesłuchanie sięgało głęboko, odsłaniając jej niepokojącą fiksację na punkcie Joanny d'Arc i tortur, a także ukryte skłonności do masochizmu, które ujawniały się w jej stosunku do mężczyzn. W trakcie wielotygodniowych rozmów wyszła też na jaw jej ekshibicjonistyczna natura skrywana pod powierzchnią jej osobowości, maska, którą nosiła, coś, co w dalszym ciągu trudno jej było w sobie zaakceptować.

Jednak najwyraźniej żadna z tych informacji nie zraziła jej potencjalnych pracodawców i wkrótce potem Giselle zaliczyła z powodzeniem wszystkie testy, grad pytań ustał, ona zaś mogła się wreszcie dowiedzieć, co jej oferowano i dlaczego proces rekrutacyjny był tak rozbudowany i drobiazgowy.

– I nie masz problemu z rozbieraniem się w miejscu publicznym?

– Żadnego – odpowiedziała Debb. Wskazała głową portfolio, które Giselle trzymała wciąż w dłoni. – W czasie studiów zajmowałam się trochę striptizem i

tańcem erotycznym. Ale tylko w porządnym miejscach. Wszystko było legalne, żadnych przekrętów.

– I jak ci się to podobało? – zapytała Giselle.

– Początkowo trochę się rumieniłam, ale szybko przywykłam. A potem... – zawahała się chwilę – ...a potem doszło do tego, że z niecierpliwością czekałam na te wieczory, że mnie podniecały. Seksualnie. Upajała mnie władza, którą miałam nad mężczyznami. Kontrola.

– Dobrze – stwierdziła Giselle.

Kiedy już paryski oddział Sieci zyskał pewność, że Giselle znajduje się na właściwej drodze i że jest w stanie wykorzystać swój potencjał, została wysłana do Nowego Jorku, gdzie zamieszkała z dwójką innych tancerzy w małym budynku bez windy na Upper West Side. Jednym z jej współlokatorów był mężczyzna, nieprawdopodobnie przystojny, choć nieco tępowy brutal o imieniu Piotr. Sprowadzono go z Łotwy i – jak wiedziała Giselle – pełnił rolę ogiera podczas specjalnych pokazów, w których w pewnym momencie musiała wziąć udział. Pod względem fizycznym był idealnym egzemplarzem gatunku męskiego i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Kiedy tylko nie było na to zbyt zimno, co latem na Manhattanie oznaczało większość dni, paradował nago po małym mieszkanku, a jego wyprężony członek rzadko opadał. Wciąż mówił łamaną angielszczyzną, więc jakiegokolwiek głębsze kontakty towarzyskie były istną męczarnią. Zarówno Giselle, jak i druga tancerka, z którą dzieliła pokój –

Australijka imieniem Joy – starały się po prostu go ignorować, chociaż ukryte w swoim pokoju ledwie powstrzymywały się od śmiechu, gdy plotkowały i spekulowały na temat tego, czy jego fizyczne atrybuty przekładają się na sprawność w łóżku. Lub na temat tego, jaki w ogóle miał stosunek do seksu, skoro był ewidentnie zakochany w samym sobie do tego stopnia, że wykluczało to wszystko inne. Zawsze wykorzystywał okazję, żeby spojrzeć na siebie z uznaniem w lustrach porozwieszanych w całym mieszkaniu. Napinał wtedy mięśnie, wciągał brzuch, a nawet gładził od niechcienia dłonią członek, jakby chciał sprawdzić, czy na pewno jest sztywny, nie przejmując się tym, że któraś z dziewcząt jest przy tym obecna.

– A lubisz mężczyzn?

– No tak – odpowiedziała Debb. – Oczywiście. Ale, i to chyba też jest w mojej teczce, nie jestem niechętna kobietom. Można by pewnie uznać mnie za osobę biseksualną. – Spojrzała pytająco na Giselle, jakby starając się określić preferencje swojej rozmówczynie.

A Giselle, prawdę mówiąc, choć była wolna od uprzedzeń i potrafiła docenić kobiecą urodę, tylko czasem czuła pociąg do przedstawicielek własnej płci. Stało się tak w przypadku Beth, przyjaciółki ze szkoły baletowej, z którą korespondowała przez wiele lat, ale od której obecnie już rzadko miała wiadomości. A także w przypadku Flick, kobiety, z którą kiedyś pieprzyli się z Williamem pod okiem obiektywu. Uprawiała też seks z

innymi na scenie, ale tylko z kilkoma z własnej woli w łożku. Pod względem estetycznym było przyjemnie, ale sam akt nie był w stanie rozbudzić jej rozkoszy w ten sam sposób, w jaki działało się to z mężczyznami.

– Dobrze – podsumowała Giselle.

W Nowym Jorku została przydzielona do należącego do organizacji prywatnego klubu, który mieścił się niedaleko Columbus Circle, gdzie tańczyła cztery razy w tygodniu. Dyskretnie ukryta w głębi bocznej uliczki kamienica wyglądała z zewnątrz jak zwykły budynek mieszkalny. Występy tancerek odbywały się na parterze, natomiast na piętrze mieściły się biura, których nigdy nie widziała. Klub nie miał nazwy, co – jak przekonała się z biegiem lat – było normalne w przypadku Sieci. Miejscu przyporządkowywano po prostu numer; w tym przypadku dziewiętnaście.

Członkostwo było bardzo ekskluzywne i możliwe do uzyskania wyłącznie na zaproszenie.

Nieznający tematu mogliby uznać to za bardzo luksusowy lokal ze striptizem. Ale Giselle wiedziała, że było to coś znacznie więcej. W Paryżu, kiedy wciąż jeszcze się szkoliła i szlifowała swoje umiejętności taneczne, została zabrana w ramach nauki do najróżniejszych lokali, poczynając od zwykłego klubu ze striptizem przy placu Pigalle, wulgarnego do granic możliwości, tchnącego niewyraźnie komercyjnym seksem, poprzez bardziej wyrafinowane miejsce z wyższych klas, gdzie siedzenia były czystsze, a

ładniejsze i bardziej świeże tancerki nie patrzyły pustym, nieobecnym wzrokiem, po Crazy Horse i inny ekskluzywny klub znajdujący się pod nadzorem Sieci. To jej pokazało, jakich umiejętności, zaangażowania i jakości trzeba, aby odróżnić zwykły lokal ze striptizem od gracji, delikatności i sterowania podnieceniem, które mógł zaoferować autentyczny klub. Nie była w stanie pohamować niechęci, kiedy po raz pierwszy dowiedziała się, że jej praca będzie między innymi polegać na tańczeniu nago dla gotowych zapłacić za to klientów, bo początkowo sprzeciwiała się perspektywie striptizu.

– Wyobraź sobie, że tańczysz w zaciszu własnej sypialni dla mężczyzny, którego pożądasz i który też ciebie pragnie – zasugerowała instruktorka. – To zupełnie zmienia postać rzeczy...

– Ale...

– Nie myśl o tym, że w grę wchodzi pieniądze. To nie ma znaczenia. Pamiętaj o Balu, na którym byłaś, i o pięknie tańca, nagości, o czystej radości, która z tego płynie. Zapewniasz innym wspaniałe doznania estetyczne, więc sama też czerp z tego przyjemność. Umysł jest tu tak samo ważny jak ciało. Nie traktuj tego jak transakcji finansowej.

Odwiedziny w kolejnych klubach pokazały jej, że instruktorka miała rację. Giselle obserwowała z satysfakcją, że tańczenie nago może być piękne i że może pogodzić sprzeczności funkcjonujące w jej ciele i

umyśle. Efektem pozwania dla artystów były niezrównane dzieła sztuki i podobnie mogło być tutaj. Nie było żadnej różnicy. Ta myśl przypadła jej do gustu.

– Czy kiedykolwiek uprawiałaś seks z świadomością, że obserwują cię nieznajomi? – zapytała Debb.

Młoda kobieta zaczerwieniła się.

– Tak – szepnęła, jakby przyciszając głos, mogła liczyć na większą poufność.

– Opowiedz mi o tym.

Nastała długa cisza, bo Debb potrzebowała zebrać myśli. Giselle wielokrotnie znajdowała się w analogicznej sytuacji. Nie miała potrzeby zapełniać przerwy w rozmowie własnymi słowami ani dla rozluźnienia sytuacji zmieniać tematu. Wiedziała, że jeśli zaczeka odpowiednio długo, Debb zacznie mówić.

– Byłam z koleżankami na wakacjach na Karaibach. Któregoś wieczoru poznałyśmy w dyskotecce dwóch chłopaków. Całowaliśmy się, obściskiwaliśmy się trochę i ustaliliśmy, że następnego dnia spotkamy się na innej plaży, która znajdowała się w pobliżu. Miałyśmy wykupiony pobyt w hotelu all inclusive i trochę zaczęło nas denerwować, że jesteśmy w nim wiecznie uwięzione. Miałyśmy ochotę poznać lepiej wyspę. Po niecałej godzinie spaceru dotarłyśmy do wąskiej plaży osłoniętej wystającymi skałami. Można było do niej dojść wyłącznie wtedy, gdy weszło się po pas do wody i ominęło skalne formacje. Miejsce wyglądało sielankowo i choć było jeszcze dość wcześnie, to na

piasku leżało już kilkanaście osób. Wszyscy byli goli. Poszłyśmy za ich przykładem. To rewelacyjne uczucie: leżeć nago na plaży wśród innych ludzi, prawda? – Debb uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Krótko mówiąc, szybko przysnęłam, bo byłam potwornie zgrzana i spocona po spacerze brzegiem morza. Kiedy się obudziłam i na wpół przytomnie otworzyłam oczy, zobaczyłam, że plaża jest jeszcze bardziej zatłoczona i że jeden z mężczyzn, którego poznałyśmy poprzedniego wieczoru, leży tuż obok mnie na plecach z potężnym wzwodem, a moja koleżanka go pieści. Początkowo byłam wstrząśnięta, ale potem zauważyłam, że w kilku miejscach na plaży rozgrywają się podobne sceny. I najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało. Wszystko wyglądało dosyć niewinnie. Nagle chłopak, z którym obściskiwaliśmy się na dyskotecę, zaczął pieścić moje piersi. Poprzedniego wieczoru nie poszłam z nim do łóżka, bo wiedziałam, że jestem trochę pijana, a mam taką zasadę, że nie mieszam seksu z alkoholem. Dotykał mnie leniwie, jakby zainteresował się mną tylko przelotnie, a żar lejący się z nieba dodatkowo osłabiał jego pociąg. Pamiętam, że zaczęłam się wić i...

Giselle spojrzała na twarz dziewczyny z nagłym zainteresowaniem, patrząc, jak fala rozbudzonego na nowo pożądania przetacza się cicho pod wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i jak jej oczy zachodzą mgłą. Kimkolwiek była osoba, która przysłała Debb do Nowego Orleanu, dokonała dobrego wyboru.

– ...chciałam, żeby zsunął ręce i pieścił mnie na dole palcami. Miałam gdzieś to, że nie byliśmy sami i że otaczali nas nieznajomi. Czułam się jak w transie. Chłopak podciągnął mnie do góry, a wokół nas utworzył się krąg ludzi, którzy zrobili nam miejsce i patrzyli, jak klękam na czworakach i pozwalałam się pieprzyć na oczach wszystkich. Miałam wrażenie, że to sen. Czułam, że płonę, byłam pobudzona, a im więcej świadków i utkwionych we mnie par oczu, tym bardziej mnie to podniecało. W drodze powrotnej do kurortu żadna z moich koleżanek się do mnie nie odzywała...

Giselle przeszła do kolejnych pytań, ale teraz była to już tylko kwesta formalności. Debb zdecydowanie stanowiła korzystny nabytek dla jej zespołu.

W numerze dziewiętnastym Giselle doprowadziła swój taniec do perfekcji. Obserwowała, jak każda zmiana wpływa na reakcje nielicznej publiczności. Że to nie zawsze droczenie się z publiką i figlarna prowokacja wywołują największy aplauz. Przyglądała się innym tancerkom pracującym na tę samą zmianę i uczyła się, czego nie robić; co do niej pasowało, a co nie. Wkrótce to jej przysyłano do wspólnej garderoby największe bukiety kwiatów – lub też butelki drogiego szampana czy koniaku oraz koperty z grzecznymi, elegancko ujętymi zaproszeniami na kolację i coś więcej, które zgodnie z regulaminem ignorowała. Chciała być najlepsza. Żyła dla chwil na niedużej scenie.

Aż do Nowego Jorku przyjechała Rosalia. Jej sława

ją wyprzedzała: Giselle wiedziała, że Rosalia była kiedyś uznaną choreografką baletu klasycznego i że pracowała zarówno dla Sadler's Wells, jak i dla La Scali w Mediolanie. Była drobniutka. Giselle uznała, że zbyt drobna jak na tancerkę baletową. Przypominała też sobie, że czytała gdzieś, iż kariera Rosalii zakończyła się nagle w niejasnych okolicznościach. Miało to coś wspólnego z seksaferą, w którą zamieszani byli politycy. Wyglądało na to, że została zatrudniona przez Sieć.

– Słyszałam, że jesteś dobra – odezwała się starsza drobna kobieta ubrana na czarno. Mówiła z silnym włoskim akcentem.

Giselle wymamrotała jakieś podziękowania, które choreografka zwyczajnie zignorowała.

– Jutro rano w sali ćwiczeń. Wcześniej – zarządziła Rosalia. – Wyśpij się. Będziesz potrzebowała dużo sił, młoda damo. Mamy tylko dwa tygodnie na to, żeby dopracować układ, który wykonasz na najbliższym Balu.

Giselle wstrzymała oddech. W końcu weźmie udział w kolejnym Balu? Może znów zobaczy Williama?

Tamtego wieczoru tysięcy marzeń nie wiedziała jednak, że taniec, o którym myślała Rosalia, będzie musiała wykonać z Pietrem i że jego kulminacją będzie stosunek płciowy. To był taniec seksu. Jednoznaczny, wyreżyserowany w najdrobniejszym szczególe, boleśnie dokładny i pożądlivy. Miał się on stać pierwszym z kilku układów, które Giselle wykona z niezbyt bystrym, ale niezawodnym Łotyszem, najpierw na Balu, a później

kilkakrotnie podczas prywatnych przyjęć, organizowanych przez Sieć na całym świecie za słońcą zapłatą dla tych, którzy mogli sobie na to pozwolić. Początkowo Giselle nie wiedziała, co myśleć o tym nowym, perwersyjnym kierunku, w jakim poszedł jej taniec, ale szybko go polubiła, choćby z tego względu, że inni czerpali z tego przyjemność (choć rzadko partnerujący jej mężczyźni, których bardziej zaprzętała zegarmistrzowska precyzja ustalonych kroków, ruchów i pozycji, a także zachowanie sprawności seksualnej). Czuła też doniosłość chwili, kiedy wszystko wychodziło, jak trzeba: taniec i muzyka, muzyka i seks, ciała i uniesienie, umysł, dusza i cipka współpracujące w idealnej harmonii, odbierając mowę i zapierając dech niewidocznej publiczności, podczas gdy Giselle triumfowała z ciężkim oddechem.

Debb odkaszlnęła i przeszłość rozpląnęła się. Giselle spojrzała na siedzącą na tapicerowanej kanapie młodą kobietę. W jej spojrzeniu malowało się lekkie zdziwienie, niepewność co do charakteru przedłużającej się ciszy wywołanej wspomnieniami Giselle.

– Co to ja mówiłam – odezwała się Giselle.

Ale jej myśli wciąż powracały do przeszłości, prześlizgując się przez dawne doświadczenia, wspominając.

Kiedy występowała na przyjęciach organizowanych

przez Sieć lub na Balach – zakrojonych na dużo większą skalę, ale odbywających się bardziej nieregularnie, raz na rok lub dwa lata – rzadko miała okazję nawiązywać kontakty z gośćmi. Było tak częściowo dlatego, że organizatorzy woleli taki układ, a Giselle w miarę zdobywania doświadczenia zaczęła to doceniać. Nauczyła się, że artyści mają być jak duchy i po chwili spędzonej w blasku jupiterów powinni usunąć się w cień. Pomagało to zachować dystans. Byli jak gwiazdy – można było na nich patrzeć i ich podziwiać, ale nie wolno ich było dotykać. Gdyby zaczęli rozmawiać z gośćmi, straciliby swój blask i tajemniczość.

W tańcu Giselle zawsze myślała o Williamie. Czy bywał na przedstawieniach? Wiedziała, że i tak nic by nie zobaczył, więc nie widziała powodu, dla którego miałby zasiadać wśród publiczności. Nigdy nie pasjonował się muzyką samą w sobie. Bardziej prawdopodobne było to, że pracował bezpośrednio z Siecią za kulisami, razem z innymi artystami, którzy konstruowali scenografię, projektowali bogato zdobione, często dziwaczne kostiumy i rekwizyty pasujące do motywów przewodnich imprez planowanych z wielomiesięcznym, a czasem nawet z wieloletnim wyprzedzeniem. Cała rzecz była ogromnym przedsięwzięciem, co oznaczało, że musiały nad nią pracować w pocie czoła setki osób, aby wszystko zawsze wychodziło tak urzekająco i doskonale. I tak cudownie erotycznie.

Docierały do niej plotki na temat Waltera; wiedziała, że przynajmniej przez jakiś czas był mentorem Williama. Że był tym drugim niewidomym, który pracował dla Balu, ale mógł podobno „widzieć” mimo utraty wzroku. Słyszała o dziwacznych spektaklach, które reżyserował, o tańcach, do których układał choreografię – artystów skuwano razem łańcuchami albo nakłuwano – o sytuacjach, gdy zdawał się kontrolować ich ruchy niemal jak za pomocą czarów, niczym lalkarz o nadprzyrodzonych mocach. Giselle wiedziała już, jak działa Sieć, i zdawała sobie sprawę, że przy odrobinie zmyślności i wystarczająco dużych środkach da się stworzyć iluzję praktycznie wszystkiego. Niemniej jednak nie umknął jej fakt, że jeden z ludzi stojących za tym wszystkim był niewidomy. Nie mogła przestać też myśleć o tym, że metody działania Waltera i jego ewidentny talent nie były zwykłą sztuczką i że przekazał on swoją umiejętność „widzenia” bez wzroku Williamowi.

Giselle nabrała nawyku pospiesznego układania włosów, robienia makijażu i ubierania się w przewidziany na daną okazję kostium, aby móc następnie podkraść się z boku sceny i ustawić się tak, żeby przyjrzeć się zgromadzonej publiczności. Potem, aż do momentu, kiedy nadchodziła jej kolej i kiedy musiała wybiec na scenę, przyglądała się gościom w nadziei, że zobaczy Williama. Każdej takiej okazji towarzyszył potworny strach przed tym, co może ujrzeć.

Czy zachował niedźwiedzią posturę? Ciemną, kudłatą czuprynę? A może niepełnosprawność sprawiła, że szybko się zestarzał i zmarniał? Czy w ogóle go rozpozna? Myśl, że mogłoby się to nie udać, była dla niej nie do zniesienia. Opętało ją poczucie winy, do którego nie miała jeszcze powodu, obawa, że jeśliby go teraz zobaczyła, być może nie byłaby w stanie go kochać. A przynajmniej nie tak jak kiedyś, gdy oboje byli piękni i młodzi.

Któregoś razu znajdowała się w garderobie w numerze dziewiętnastym, kiedy do środka wpadł jeden z pracowników baru i poinformował, że jest do niej telefon w biurze. Giselle była tak przyzwyczajona do nagości, że poszła szybko do gabinetu w samych złotych figach, nie zaprzatając sobie głowy wkładaniem szlafroka. Była boso, ponieważ zaraz po występie zawsze zdejmowała buty, jeśli akurat stanowiły część jej stroju. Tamtego wieczoru miała na sobie parę błyszczących sandałów na niebotycznie wysokich obcasach, z paskami, które wrzynały się boleśnie w skórę. Odczuła wielką ulgę, gdy po opuszczeniu kurtyny mogła je ściągnąć. Gladys, ówczesna kierowniczka pracująca na nocną zmianę, piersiasta kobieta po pięćdziesiątce, której brakowało urody typowej dla większości kobiet pracujących dla Sieci, siedziała za zarzuconym papierami i pokwitowaniami biurkiem i podała Giselle słuchawkę. Aparat znajdował się na drugim końcu stołu, a kabel nie sięgał daleko, więc

Giselle musiała stanąć bliżej Gladys, niż miała na to ochotę w swoim obecnym negliżu. Starsza kobieta gapiła się bezwstydnie na jej piersi. Giselle nie wiedziała, czy w jej spojrzeniu było pożądanie, czy zazdrość.

Dzwoniła Rosalia.

– Chcą, żebyś wystąpiła solo – poinformowała ze swoim silnym włoskim akcentem, który zniekształcał słowa, przez co Giselle potrzebowała chwili, żeby ją zrozumieć. – Na następnym Balu. Sama ułożysz choreografię. – To był wielki zaszczyt.

– A jaki jest motyw? – spytała szeptem Giselle.

– Zmysły. Wszystko poza wzrokiem. Będzie wspaniale, niezwykle, inaczej. Tylko dźwięki, dotyk i zapach. Wymyśl coś cudownego. Musisz. Wiem, że sobie poradzisz. – W głosie Rosalii słychać było wyraźne podekscytowanie, a słowa wydobywały się z jej ust jednym ciągiem.

– Tak. Poradzę sobie – potwierdziła Giselle, a Gladys wyciągnęła jej z ręki słuchawkę i odłożyła ją na widełki, zanim Giselle ją upuściła.

Wróciła biegiem do garderoby, gdzie spotkała kilka innych tancerek, które były już po występie i rozczesywały przed lustrem włosy, zeszkrobywały ze skóry brokat, usuwały nakładki na sutki i zmywały makijaż za pomocą wacików. Zazwyczaj Giselle zostawała chwilę w garderobie, żeby pogadać. Dziś jednak wciągnęła dzinsy i kurtkę, spakowała do plecaka

swoje nieliczne przybory sceniczne i poszła prosto do metra, praktycznie nie zamieniając z nikim słowa.

Okazało się, że wykonywana przez nią praca jest zaskakująco samotnym zajęciem. Choć otwierała się przed nieznanymi w sposób najbardziej intymny z możliwych, obnażając się i stwarzając iluzję, że daje jeszcze więcej, to mur tworzony przez scenę był nie do sforsowania. Jej rola artystki estradowej uniemożliwiała nawiązanie jakiegokolwiek prawdziwej relacji z widzami, zaś niewiele osób z zewnątrz było w stanie pojąć piękno i delikatność tego, co robiła, jak również ulotny charakter jej występów. To, jak wpływało na ludzką duszę całkowite odsłanianie się – noc w noc – przez ten krótki wycinek czasu, który trwał w bańce tańca, a potem rozpływał się, kiedy gasły światła. To była ciężka praca, męcząca zarówno dla ciała, jak i dla umysłu, która jednocześnie dodawała energii, jak i wypalała; nieustanna gonitwa kreatywnej duszy, gonitwa tych, którzy wiecznie pragnęli tego, co ich pożerało. Strawa zarówno dla duszy, jak i dla ciała w obliczu braku bardziej konkretnych form osobistego zaspokojenia.

Giselle nie powiedziała swojej współlokatorce Joy o zleceniu. Nie chciała narażać się na jej zazdrość ani pytania. Pochłonęło ją planowanie występu na Bal Zmysłów. Wiedziała, że stoi za tym albo Walter, albo William – a może nawet obaj. Być może William nauczył się widzieć opuszkami palców, domyślać się kształtu ciała za pomocą określonych prądów

powietrznych układających się wokół danej formy, za pomocą zapachu lub innej trudnej do zdefiniowania cechy określającej obecność danej osoby, której nie dało się w żaden sposób wyjaśnić. Być może William w końcu będzie w stanie znów ją zobaczyć. Za dotknięciem magii. Czy rozpoznałby ją teraz? Minęło kilka lat i nie dało się zaprzeczyć, że się zmieniła. Odkąd przekroczyła magiczną granicę dwudziestu pięciu lat, zauważyła, że jej skóra zaczęła powoli tracić jędrność. Musiała też z bólem pogodzić się z tym, że nie może już bez zastanowienia jeść tego, na cokolwiek ma ochotę. Nawet przy tak rygorystycznym podejściu jak jej, musiała wkładać wysiłek w to, żeby zachować płaski brzuch i szczupłe nogi. Nie dało się zatrzymać upływu czasu nawet w przypadku kogoś stosunkowo młodego i wysportowanego jak Giselle.

Poza tym trawiła ją niepewność, w jaki sposób, tańcząc w ciemności, zapewnić rozrywkę zgromadzonemu tłumowi. Czy dało się tego w ogóle dokonać? Oczywiście, że tak. Sieć doprowadziła tę sztukę do perfekcji, a Giselle nie słyszała jeszcze, żeby ich podejście pod względem artystycznym kiedykolwiek zawiodło. Ale łatwiej było rozważać, czy ich kreatywne przedsięwzięcia odniosą sukces, czy nie, gdy to nie ona stała na scenie, żonglując sukcesem lub porażką podczas dziwnego występu, naznaczającego ją albo jako tę, której się udało, albo jako tę, której nie wyszło. Przynajmniej nikt nie zobaczy jej porażki. Uśmiechnęła

się w duchu na myśl o ironii całej sytuacji.

Kiedy wychodziła tego wieczoru na scenę, znajdowała się w stanie takiego podniecenia, że ledwie była w stanie skupić się na tym, co ją otacza. Sieć dotrzymała słowa. Wszystkie światła były zgaszone, zaś artyści i goście musieli zdać się na armię niewidomego personelu, znajacego w najdrobniejszym szczególe rozkład pomieszczeń i wydawał się wyposażony w szósty zmysł, którego brakowało widzącym, a który umożliwiał doprowadzenie konkretnych osób do miejsca przeznaczenia. Giselle zauważyła, że gdy oswoiła się już z ciemnością, wyostrzył się jej słuch i dotyk, dzięki czemu bez pomocy udało jej się odnaleźć drogę z baru do garderoby i na scenę. Skutkiem tymczasowo wyostrzonych zmysłów było to, że każde zakończenie nerwowe znajdowało się w stanie najwyższego pogotowia, jej ciało było maksymalnie nakręcone, a dźwięki i zapachy niemal ją przytłaczały. Jedynie w głębi siebie była w stanie odnaleźć samotność. Tam spoczywała świadomość, że zna choreografię tak dobrze, jakby została zapisana w jej mięśniach. Wiedziała, że jest w stanie ją wykonać bez chwili namysłu i że w fizycznej aktywności odnajdzie spokój.

Ale nie była w stanie odnaleźć Williama.

Pod osłoną ciemności czuła się anonimowo, więc swobodnie pytała każdą napotkaną osobę, czy go znają. Ale nikt nie znał. Najlepszy opis, jaki mogła podać, to

mężczyzna, który stracił wzrok w wypadku, malarz, artysta. Ale wszyscy pytali wtedy: „Walter?” Choć niewielu znało nawet to imię. Goście nie mieli pojęcia, w jaki sposób został zorganizowany ten wieczór, zaś niewidomy personel został zatrudniony przez pośrednika, podobnie jak sama Giselle. Tożsamość ludzi pracujących na stałe w Sieci była starannie strzeżoną tajemnicą.

Najlepsze, co mogła zrobić, to dać z siebie wszystko w tańcu, i tak też uczyniła. Po pierwotnym pomysle zsynchronizowania każdego ruchu z innym dźwiękiem i stworzenia czegoś w rodzaju tańca symfonicznego zdecydowała się jednak na całkowity brak akompaniamentu. Poprosiła, żeby na widowni panowała całkowita cisza. Nie było słycać nic poza jej oddechem. Wykonała najbardziej energiczny układ, jaki kiedykolwiek opracowała, w którym widownia „widziała” jej kroki tylko dzięki uderzeniom i przesuwaniu stóp, dzięki głośnym wydechom i szeptowi rozpuszczonych włosów fruujących luźno podczas podskoków. W jej tańcu było coś jeszcze. Wszechogarniające pożądanie. Z jej porów dosłownie wylewała się przemożna potrzeba odnalezienia w tłumie Williama i rozczarowanie, gdy uświadomiła sobie, że to niemożliwe.

Kiedy zakończyła wreszcie swój układ i stanęła nieruchomo, na widowni rozległ się gwałtowny aplauz. Po wcześniejszej ciszy hałas był ogłuszający, ale Giselle

zaczekała grzecznie, aż ucichnie, po czym zniknęła za kurtyną i schroniła się w stosunkowo spokojnej garderobie. Po policzkach ciekły jej łzy. W pośpiechu zapomniała o ostrożności i choć znała drogę, uderzyła mocno stopą w stojące lustro. Zakłęła głośno. Przeklinała ciemność, przeklinała Bal i przeklinała lekkomyślną, masochistyczną część samej siebie, w dalszym ciągu tęskniącą za człowiekiem, którego przecież już nawet nie znała. I który najprawdopodobniej już o niej zapomniał.

Jednak bez względu na upływ czasu ona nie była w stanie o nim zapomnieć.

Po wyjściu Debb i wypełnieniu wszystkich koniecznych dokumentów – w kwestiach administracyjnych Sieć była bardzo skrupulatna – Giselle wyszła do ogrodu. Klucząc wśród płataniny krzewów i rabat kwiatowych, doszła do swojej ulubionej ławki: białego drewna przebarwionego lekko rozkładem, odrapanych desek naznaczonych mijającymi porami roku i kaprysami pogody.

Popołudniowy wiosenny upał nie dawał się aż tak we znaki, mocno podszyty wilgocią, która lepiała się do bryzy owiewającej ulicę miasta od strony pobliskiej rzeki Missisipi. Zapachy podnosiły się znad ziemi niewidzialnymi kłębami, biorąc swój początek na poziomie gleby – mieszanina gnijących liści, magnolii

w pełnym rozkwicie, luizjańskich irysów, bugenwilli i pleniących się wszędzie dzikich hibiskusów.

Giselle usiadła. Wyciągnęła z przepastnej kieszeni bezkształtnej aksamitnej sukienki, którą miała na sobie, ozdobiony delikatnym haftem wachlarz. Dostała go jakieś dziesięć lat wcześniej w Hiszpanii. Don Gerard był ważną osobistością w Katalonii. Miał rozczochrane siwe włosy, wymizerowane ciało i przygarbione ramiona – cień człowieka, którym był kiedyś, mimo wieku wciąż jednak przystojny. Na Balu w Segowii wytrwale o nią zabiegał i komplementował ekstrawagancko jej śmiały występ, do którego opracowania została zachęcona; wcześniej to inni opracowywali choreografię, więc to, że w końcu pozwolono jej zaproponować własny akcent podczas lubieżnych nocnych celebracji, było wyrazem uznania dla stażu jej pracy i – jak miała nadzieję – dla jej talentu. Szarmanckość Gerarda rodem ze starego świata była pedantyczna, ale ujmująca. Było jasne, że mężczyzna umiera. Nie szukał jednak litości. Dawał jasno do zrozumienia, że zawsze żył pełnią życia i że pozostały mu teraz tylko drobne przyjemności, którymi zamierzał się cieszyć bez zahamowań, a jedną z nich była Giselle. W normalnych okolicznościach byłby zdecydowanie za stary na to, żeby zostać jej kochankiem, ale w takiej sytuacji nie potrafiła zdobyć się na odmowę. Odrzucenie kogoś ze względu na wiek lub fizyczną niedoskonałość przypominało jej o Williamie i o tym, że pozwoliła mu

jednostronnie zakończyć ich związek po to, aby mógł przywrócić jej wolność. Nigdy więcej na to nie pozwoli. Gerard był dobrym człowiekiem i było jej go żal. Z przyjemnością wcieliła się w rolę kurtyzany. Zabrał ją na kolację do restauracji umiejscowionej niebezpiecznie na wysokim klifie wychodzącym na najzłotejsze z mórza i patrzył z kpiącym uśmiechem, jak pochłania owoce morza i najlepsze białe wino. Flirtował z nią bezwstydnie tak, jakby wciąż znajdował się w kwiecie wieku i zamierzał uwieść ją swoim dowcipem i majątkiem. Giselle chętnie by mu się oddała, ale zorientowała się, że nie był już zdolny do seksu – był ewidentnie za słaby. Co zaskakujące, zaprosił ją potem do swojego apartamentu w hotelu, gdzie dla niego zatańczyła. Coś ścisnęło ją za gardło, gdy podziwiając jej ruchy, dyskretnie uronił łzę.

– Nie mogę... – zaczął.

– Wiem. – Giselle widziała żal w jego oczach. Widziała, że rozdziera go pożądanie i że wścieka się na swoje zawodne ciało.

– Przyjdiesz znów jutro? – zapytał po tym, jak zamówił dla niej samochód. Zgodziła się. Miała zostać w mieście jeszcze przez kilka dni, choć wątpiła w to, żeby starszy mężczyzna kiedykolwiek przewyciężył swoją słabość, nawet za pomocą chemicznej stymulacji, a tym bardziej żeby udało mu się to do następnego wieczoru.

Apartament Don Gerarda był skąpany w

przytłumionym czerwonym świetle. Stół był zastawiony ostrygami i soczystymi okładniczkami pływającymi w maślano-czosnkowym sosie, ułożonymi tuż obok góry innych morskich frykasów. W kącie gitarzysta grał cicho przejmujące flamenco. Oczy muzyka były przesłonięte ciasno obwiązanym kawałkiem materiału, aby nie mógł zobaczyć ani jej, ani nikogo innego w pokoju.

– Zatańcz dla mnie – poprosił starszy mężczyzna po posiłku, który ledwie tknął. – Tak jak tańczyłaś na Balu. Tylko dla mnie.

Giselle rozebrała się.

Don Gerard siedział bez ruchu przez cały czas trwania występu, wpatrzony w nią, kiedy tańczyła w najbardziej ponętny i wyuzdany sposób, na jaki było ją stać, dopasowując ruchy swojego nagiego ciała do dźwięków gitary wydobywanych przez muzyka z przepaską na oczach.

Tańczyła długo, bo gitara ani na moment nie przerwała swojego melancholijnego zawodzenia. W końcu musiała stanąć: po stokach jej piersi spływały niczym wodospad perły potu, jej skóra lśniła wilgocią. Gitarzysta, jakby wyczuwając jej bezruch, też przestał grać.

– To było piękne – powiedział Don Gerard z nutą pożądania w głosie.

Giselle starała się uspokoić oddech.

– Mam jeszcze jedną prośbę... – dodał.

- Tak?
- Czy mogłabyś...?
- Cokolwiek zechcesz, Gerardzie...

Podszedł do Giselle, wziął ją za rękę i zaprowadził do znieruchomiałego jak posąg gitarzysty. Szepnął mu coś po hiszpańsku do ucha. Mężczyzna odłożył instrument.

Giselle zrozumiała.

Rozpięła obcisłą, białą, jedwabną koszulę muzyka, a następnie rozsypła szarfę przy spodniach i uwolniła jego męskość. Uklękła. Don Gerard położył dłonie gitarzysty na jej piersiach.

– Kochaj się z nią – poinstruował cicho.

Chciał tylko patrzeć. Czy wyobrażał sobie, że to on ją dotyka, rozchyła jej nogi i pieprzy się z nią, a nie ten niewidomy nieznajomy, który nigdy nawet nie będzie wiedział, jak ona wygląda, i który zostanie szybko wyproszony po tym, gdy otrzyma swoją dawkę rozkoszy? Kiedy młodszy mężczyzna posuwał ją energicznie, Giselle nie mogła oderwać wzroku od twarzy Gerarda, który oglądał zorganizowany przez siebie spektakl. Jego twarz stanowiła enigmatyczną maskę, pod którą szalały tysiące myśli i uczuć. Chciała zrozumieć, co się z nim dzieje, ale jej uwagę odciągnęło nieuniknione podniecenie, które rozrastało się w niej jak winorośl.

Czy w ten sposób widział ją teraz William i myślał o niej zamknięty w swojej ciemności? Czy pamiętał jej

bliskość, dotyk jej skóry, odgłos rwącego się oddechu podczas radości i katuszy współżycia?

Następnego dnia rano, wyglądając jeszcze słabiej niż dotychczas, Don Gerard podarował jej na pożegnanie wachlarz. Był to wyrób najwyższej jakości – rączka została misternie wyrzeźbiona z kości słoniowej, a jedwab dostarczał przy dotyku zmysłowych doznań. Czasem drobne prezenty są najpiękniejsze.

Rok później podczas kolejnego Balu na innym kontynencie Giselle nie spotkała już Don Gerarda. W głębi serca wiedziała, że nie żyje.

Wkrótce potem zaproponowano jej, żeby zaprzestała występów i pokierowała Miejscem, należącym do Sieci klubem w Nowym Orleanie. Znalezienie się w końcu po latach młodzińskich marzeń we Francuskiej Dzielnicy wydawało się istnym zrzędzeniem boskim – jakby jej los był związany z tym miastem, jakby było to miejsce jej przeznaczenia, miejsce, w którym zostało utkane jej DNA. Po kilku miesiącach zakochała się w tym mieście na dobre.

Popołudniowy wiatr zmienił kierunek i podmuch wilgotnego powietrza popłynął teraz w stronę jeziora Pontchartrain, oddalając się od mulistej rzeki. Giselle pogładziła wachlarz, rozkoszując się zmysłową gładkością kości słoniowej i próbując odczytać opuszkami palców hieroglify delikatnego rzeźbienia.

Temperatura w jednej chwili spadła o kilka stopni, słońce zniknęło za zasłoną szarych chmur. Może będzie

padać – często spadały tu strugi tropikalnej ulewy o biblijnych wręcz rozmiarach; woda rozbryzgiwała się o mury i zalewała ulice i chodniki tylko po to, by w ciągu kilku minut wyparować. Giselle wciąż była pod wrażeniem tego zjawiska. Natura rządziła się tu swoimi prawami. Tak jak ogród, który Giselle urządzała powoli po amatorsku w obrębie murów klubu; jej wiedza na temat roślin ograniczała się do krótkiego epizodu pracy w paryskiej kwiaciarni przy Rue de Buci; była przypadkowa, nieuporządkowana, eksperymentalna, ale udało jej się dzięki temu posadzić razem kwiaty i rośliny, które teoretycznie nie miały prawa razem rosnąć. W jednym miejscu pleniły się bujnie, w innym natomiast rosły oszczędnie, jakby w duchu zen: nasiona kupione podczas podróży na targowiskach kwiatowych ciągnących się wzdłuż głównego kanału w Amsterdamie, kaktusy nabyte w ostatniej chwili pod wpływem impulsu na lotnisku w Phoenix w Arizonie na skraju jałowej pustyni, lokalne odmiany, które rozrosły się ze szczepki skradzionych ukradkiem zza murów i ogrodzeń Dzielnicy Ogrodów, z lasów w pobliżu Metairie, z widmowych cmentarzy czy podmiejskich ogrodów wokół domów powstałych jeszcze przed wojną secesyjną, w pobliżu których przejeżdżała w drodze na mokradła lub na wieś.

To było miejsce, w którym dobrze się teraz czuła.

Przeprowadzała selekcję nowych tancerek, nadzorowała ich pracę, organizowała podróże i

zlecenia, czasem pomagała przy układaniu nowych choreografii na potrzeby klubu lub tajemniczych występów Sieci. Jej życie stało się uporządkowane i niewymagające, z wyjątkiem podszeptów dopominającego się o swoje ciała, które zakłócało czasem płynące cicho dni. Giselle wkroczyła niedawno w piątą dekadę życia i w końcu osiągnęła spokój, który wydawał się jej wcześniej niemożliwy. Pozostał tylko żal. On oczywiście zawsze jej towarzyszył.

Pomagał anonimowy seks. Bez zobowiązań, bez imion – namiętność pod osłoną ciemności. Zaspokajanie żądz, ni mniej, ni więcej.

Tak, dziś wieczorem wyjdzie na łowy. W kolejnej beznadziejnej próbie przegnania duchów dnia wczorajszego. Duchów Williama. Im częściej spotykała się z innymi mężczyznami, tym bardziej sobie uświadamiała, ile dla niej znaczył. Jej pierwszy nauczyciel i prawdziwy kochanek, nieokiełznany człowiek, który nadał jej duszy obecny kształt.

Giselle opuściła ogród i wróciła do swojego pokoju. Co dziś na siebie włoży?

Zarządzanie przychodziło jej z łatwością. Dzięki swojemu wzrostowi i spokojnej, stanowczej postawie robiła imponujące wrażenie. Wzmacniała je, ubierając się w eleganckie, sięgające podłogi aksamitne suknie, które wyróżniały ją w Miejscu na tyle, że było widać, iż

nie jest zwykłą tancerką ani pracownicą baru. Nosiła też korzystną, dopasowaną do figury fryzurę.

Giselle postanowiła z determinacją, że pod jej kierownictwem Miejsce będzie doskonale prosperować i zasłynie jako perła klubów tanecznych, jednocześnie zachowując swój ekskluzywny charakter i przynosząc zyski, bez konieczności uciekania się do tanich trików lub przyciągania prostaków, którzy zniszczyliby atmosferę tego miejsca, choć ich dolary miały tę samą wartość co pieniądze innych. Dbając o elitarność Miejsca, mogła przyciągnąć wybraną klientelę, gotową zapłacić więcej za czekający ją przywilej, a także uzasadnić wysoką opłatę za wejście, która miała zrekompensować stosunkowo niskie ceny w barze.

Wszystko to jednak uzależnione było od jej umiejętności wyszukiwania odpowiednich dziewcząt.

W chwili obecnej miała sensowny zespół. Sofia nie była zła, a oprócz niej była Pinnie, niska i krągła, co u tancerki stanowiło dość niezwykle cechy: większość z nich była wysoka i szczupła, często ze szkodą dla biustu. Pinnie jeszcze bardziej się wyróżniała, bo zamiast zakryć duży pieprzyk znajdujący się na środku jej czoła, ścinała włosy w prostą grzywkę, która kończyła się tuż nad nim i zamieniała ów defekt w cechę charakterystyczną.

– Jeśli człowiek nie jest w stanie dostrzec piękna w sobie, nie powinien oczekiwać tego od innych. Tak w każdym razie uważam – powiedziała jej Pinnie podczas

rozmowy kwalifikacyjnej, kiedy Giselle zapytała, dlaczego nie zapaściła odrobinę dłużej grzywki. Giselle z miejsca ją zatrudniła.

Tak, dziewczyny były dobre. Ale od jakiegoś czasu Giselle miała poczucie, że Miejsce potrzebuje czegoś więcej. Kogoś więcej. Gwiazdy. Wcześniej to ona była tancerką, która miała to coś, czego brakowało innym dziewczętom. Trudną do zdefiniowania cechę, która – jak wynikało z doświadczenia Giselle – szła w parze z ciężkimi doświadczeniami życiowymi. Giselle potrzebowała kogoś, kto się kiedyś załamał, ale później się podniósł i stał się nowym człowiekiem. Szukała nieoszlifowanego diamentu, ale tego nie dało się umieścić w ogłoszeniu. Wyjeżdżała więc regularnie na poszukiwania. Chodziła na przedstawienia cyrkowe, do barów ze striptizem, a nawet na konkursy piękności w przekonaniu, że to, czego szuka, może być wszędzie. Choć o tym nie wiedziała, wśród artystów estradowych krążyły o niej legendy: zjawiała się na przedstawieniach jak duch, spowita od stóp do głów w aksamit, i równie niepostrzeżenie znikwała, zawsze w pojedynkę.

Kalifornia była ostatnim miejscem na jej liście i gdyby nie burza, która zatrzymała ją na lotnisku w Los Angeles, nigdy nie trafiłaby do baru motocyklowego w przemysłowej części miasta, niedaleko hotelu, w którym umieściła ją linia lotnicza do czasu poprawy pogody. Z braku lepszego zajęcia Giselle usiadła na jednym z wysokich stołków, popijając rozrzedzonego burbona i

zastanawiając się, co ją podkusiło, żeby zadać sobie trud tak dalekiej podróży tylko po to, aby obejrzeć tancerki z Beverly Hills i Hollywood: w nieodłącznych szpilkach, z silikonowymi piersiami, zazwyczaj zupełnie pozbawione wyobraźni. Dziewczyny, które usiłowały wydostać się za wszelką cenę z hrabstwa Orange i robiły to za pomocą tipsów długich jak szpony, które nadawały ich tańcowi swoistą desperację.

Kiedy usłyszała dobiegający z głośników miękki, rosyjski akcent, nie patrzyła akurat na scenę. Bez odwracania głowy wiedziała, że znalazła to, czego szukała.

– Nazywam się Luba – poinformował nagrany głos.

Zapadła długa cisza, a chwilę potem z systemu nagłaśniającego popłynęły napięte dźwięki utworu Debussy’ego, tym bardziej prowokujące, że zupełnie nie na miejscu w podupadłej knajpie, tylko w połowie pełnej. Siedzieli tu wyłącznie podstarzali surferzy, biznesmeni z dolnej ligi, którym akurat się nie wiodło, i motocykliści.

Giselle słyszała już o tej dziewczynie. W jej pamięci zamajaczyło mgliste wspomnienie. Bianca, która kierowała jednym z klubów Sieci w Nowym Jorku, wspominała kiedyś o kobiecie, która nie chciała tańczyć do niczego poza muzyką klasyczną. „Eteryczna” – tak opisała ją Bianca, blondynka, ale nie jak typowa Amerykanka ani w pozbawionym wyrazu stylu tak lubianym przez dziewczyny z Los Angeles.

Kiedy pojawiła się dwadzieścia minut później, wyglądała jak surferka – ubrana w dżinsowe szorty i stary T-shirt, z wiekowym plecakiem przerzuconym przez ramię. Giselle przygotowała sobie przemowę. Pierwsza zasada pracy z tancerkami brzmiała: nigdy nie okazuj słabości. Nie zdradzaj za wiele o sobie. Podała się więc za Cajunkę z piątego pokolenia, prawdziwą nowoorleańską madame. Francuzka i była tancerka o złamanym sercu miała prawo się ujawnić tylko wtedy, gdy Giselle była sama.

Giselle wyprostowała się i wypięła pierś.

– Cześć! – zawołała.

Dziewczyna odwróciła się.

– Ty jesteś Luba – ciągnęła Giselle. Na jej twarzy nie widać było nawet cienia uśmiechu, ale w głębi ducha uśmiechała się jednak szeroko.

Rosjanka idealnie się nadawała.

Giselle była zadowolona. Jak nigdy. Zadomowiła się w Nowym Orleanie. Zasadziła nawet drzewa w swoim prywatnym ogrodzie na terenie Miejsca i czuła, że zapuszcza razem z nimi korzenie. Nadal pamiętała Williama, ale ból związany ze wspomnieniami o nim był teraz raczej słodki niż gorzki.

Mimo to, gdy przyszła paczka bez żadnej informacji o nadawcy, od razu pomyślała o nim. Nie korespondowali ze sobą od lat, ale tylko od niego

dostawała przesyłki bez adresu zwrotnego.

Kiedy kurier dostarczył paczkę, Eric, piękny Japończyk, który wyglądał na niewiele ponad dwadzieścia lat i był najnowszym nabytkiem Giselle wśród pracowników baru, wycierał kieliszki i przygotowywał Miejsce na pierwsze wieczorne przedstawienie. Giselle podziękowała mu uprzejmie, gdy przyniósł jej paczkę, i odnotowała w pamięci, żeby zachęcić go do pokazywania tatuażu, który zwykle zakrywał w pracy: stylizowanego smoka w kolorach pawia, który ciągnął się na całej długość jego lewej ręki, od nadgarstka po ramię.

Siedziała w swoim gabinecie, zajęta harmonogramem dyżurów swoich pracowników i comiesięcznymi rachunkami. Początkowo uważała robotę papierkową związaną z prowadzeniem klubu za męczący obowiązek, ale z czasem nauczyła się doceniać porządek, który była w stanie zaprowadzić w ten sposób do swojego życia zawodowego. Lubiła też oznaki sukcesu widoczne w postaci stale rosnących zysków w zestawieniu bilansowym.

Giselle czuła na sobie oczy Luby przyglądającej się jej uważnie, kiedy oceniała w dłoni ciężar paczki i przyglądała się adresowi wydrukowanemu na naklejce, który nie zdradzał w żaden sposób tożsamości nadawcy. Rosjanka była dużą częścią sukcesu Miejsca. Wzrost następował cicho, bo Giselle uważała za wulgarne obnoszenie się z takimi rzeczami. Nie dało się jednak

zaprzeczyć, że przychody kasowe niemal się podwoiły, odkąd Luba pojawiła się ze swoim zjawiskowym tańcem, uwerturą Debussy'ego i nagrany na taśmie wstępem, który z uporem odtwarzała co wieczór, zapowiadając swoje wyjście na scenę. Była artystką najwyższej klasy, choć Giselle nigdy by jej tego nie powiedziała, na wypadek gdyby przez rozrost swojego ego Luba miała zacząć zadzierać nosa lub gdyby świadomość jej popularności miała odbić się negatywnie na innych tancerkach. Zarządzanie ludźmi było bardzo trudnym zadaniem i wymagało delikatności wprawnego dyplomaty, aby utrzymać rozmowy za kulisami na cywilizowanym poziomie.

Giselle miała jednak słabość do wysokiej dziewczyny z Europy Wschodniej i godziła się na to, że Luba regularnie wślizgiwała się do jej gabinetu, żeby z dala od paplaniny tancerek w garderobie wypić w spokoju mrożoną herbatę. Łączyła je więc wzajemnego uznania – starsza i młodsza, rozdzielone różnicą dwóch dekad, ale połączone sprawami serca.

Giselle rozcięła kopertę nożem do papieru, wyciągnęła znajdującą się w środku paczkę i odłożyła ją na bok na stertę czekających na wysłanie pasków wypłaty. Wróciła do pracy, jakby w ogóle nie zastanawiała się nad tym, co może się znajdować w pudełku ani kto mógł je przysłać. Jego zawartość była ciężka. Cokolwiek to było, miało więcej wspólnego z przyciskiem do papieru niż z ubraniem albo biżuterią.

Po podliczeniu najróżniejszych wydatków z poprzedniego tygodnia i odłożeniu na bok paragonów zaczęła próbować sobie przypomnieć o jakimś zamówieniu internetowym, które być może złożyła, po czym zupełnie o nim zapomniała, lub o jakimś niedawnym podboju, o mężczyźnie, który w jakiś sposób ją wysledził i wysłał jej coś w prezencie.

Ale w głowie miała tylko Williama i jego nieoznakowane przesyłki.

Wymawiając się bólem głowy, poprosiła Pinnie, żeby została dłużej i zamknęła główny budynek, w którym tego wieczoru mieściła się część klubowa. Po raz pierwszy od czasu objęcia Miejsca wyszła z pracy wcześniej, a jej nieobecność nie uszła niczyjej uwagi, choć jej podwładni byli zbyt dobrze wychowani i zbyt przez nią rozpieszczeni, żeby to w jakikolwiek sposób skomentować.

Wyszła na dwór i ruszyła wąską ścieżką, która wiała się między dziką płataniną roślin i prowadziła do jej domu. Podniosła głowę.

Była pełnia i ulice Nowego Orleanu żyły zapowiedzią hedonizmu. Giselle zastanawiała się, do jakich nieznanych grzechów dochodzi właśnie dokoła – w uliczkach, które szybko mijała, za zamkniętymi drzwiami barów i domów, na brzegach Missisipi, która połyskiwała w półmroku jasnej nocy. Giselle kochała to miasto magii i pożądania, które tętniły pod wszystkimi jego niedoskonałościami: rynsztokami wypełnionymi

piwem i śmieciami oraz powietrzem pachnącym rybą, potem i przyprawami.

Przed pracą i po niej często szła na spacer, żeby oczyścić umysł. Wiedziała, że z ciężkim kartonem w rękach dziś tego nie zrobi.

Po wejściu do kuchni włączyła czajnik i otworzyła szerokie drzwi balkonowe wychodzące na ogród, żeby wpuścić do środka ciepłe nocne powietrze. Rozebrała się przy wyłączonym świetle. Zdjęła majtki i wrzuciła je do kosza na brudną bieliznę, a następnie odpięła stanik i zawiesiła go na klamce drzwi sypialni. Potem starannie wyszczotkowała aksamitną suknię i powiesiła ją w szafie. Zakończywszy te drobne czynności, poszła nago do kuchni i zrobiła sobie kakao. Wzięła ze stolika pudełko i wyszła z paczką i z kubkiem do ogrodu, gdzie usiadła, opierając się gołymi plecami o gładką drewnianą ławkę ustawioną naprzeciwko donic z kwiatami. Było już niemal zbyt ciemno, żeby cokolwiek widzieć, kiedy otworzyła pudełko z jednej strony i ostrożnie wysunęła jego zawartość na dłoń.

Przedmiot był ciężki i chłodny, mimo cienkiej warstwy bibuły, w którą był owinięty. Ściągnęła papier i pomacała delikatnie palcami podarunek. Z jego ciężaru wywnioskowała, że musiał to być kamień, ale tak idealnie wypolerowany, że w dotyku przypominał trochę szkło. Miał walcowaty kształt i był długości jej dłoni, od nadgarstka po czubek środkowego palca. Był odrobinę szerszy niż otwór powstały po zetknięciu

opuszkami palca wskazującego i kciuka. Końcówka była lekko zaokrąglona i rozpląszczona.

Ktoś przesłał jej sztucznego penisa. Myśl o tym, że ktoś wysłał jej anonimowo pocztą przedmiot o charakterze erotycznym, otworzyła natychmiast rzekę pożądania płynącą głęboko w jej ciele. Był naprawdę piękny, ciemnozielony materiał był początkowo zimny w dotyku, ale kiedy tylko jej palce zaczęły wędrować po jego niesamowicie gładkiej powierzchni, zaczął się rozgrzewać – ciepło ciała w mgnieniu oka przeszło na kamień. Rzecz była delikatna i subtelna. Było to raczej dzieło sztuki zaprojektowane z myślą o ekspozycji w galerii niż o półce z akcesoriami erotycznymi. Jej sutki stwardniały, pieszczone delikatnymi podmuchami wiatru, który omiatał ją co jakiś czas. Giselle rozsunęła nogi i uniosła pięty, balansując na palcach. Przygarbiła się i wypchnęła w górę miednicę. Do jej cipki napłynęła wilgoć, wargi sromowe zrobiły się śliskie od podniecenia. Płaska końcówka kamiennego penisa z łatwością wsunęła się między jej wargi, ale Giselle się nie spieszyło. Chciała, by ta chwila trwała jak najdłużej. Przesuwała wciąż na nowo gładkiego penisa wzdłuż swojego sromu, coraz szybciej i szybciej, aż zaczęła ociekać wilgocią, pragnąc poczuć twardy kamień w środku, pragnąc poczuć, jak ją wypełnia. W końcu wsunęła go w siebie i pchnęła mocno. Wrażenie było tak cudowne, że omal nie krzyknęła. Sztuczny penis idealnie do niej pasował, jakby został wykonany specjalnie pod

jej rozmiar i gusta. Jego główka masowała punkt G za każdym razem, gdy Giselle choćby leciutko na niego nacisnęła.

Szczytowała w ogrodzie, wstrząsana dreszczami przetaczającego się przez nią orgazmu. Pomyślała o Williamie i wyobraziła sobie, że ma w sobie nie wypolerowany kawałek kamienia, tylko jego członek.

Żałowała, że nie może wiedzieć z całą pewnością, że to on wysłał jej rzeźbę, bo znalazłaby jakiś sposób na to, żeby mu podziękować za zaspokojenie jej mimo dzielących ich lat i odległości.

Tej nocy śniła o Williamie, a kiedy się obudziła, czuła się pusta i zagubiona.

8. Tańcząc w innej książce

Czas nigdy nie stoi w miejscu.

Giselle aż nazbyt często miała wrażenie, że wszystko się powtarza. Co rano budził ją znajomy szczebiot nowoorleańskich ptaków, które śmigwały między gałęziami drzew, i okrzyki mew, które szybowały wzdłuż pobliskiej rzeki i dawały nura pod przęsła mostów, przerywając ciężką ciszę nocy. Mijały lata wyznaczone kojącą kołysanką wyśpiwywaną przez ptaki i powolnym, lecz nieubłaganym rozrostem roślinności za oknami.

Lub kiedy nie spała we własnym łóżku, uwięziona ciałem kolejnego nieznajomego, przygnieciona żalem, gdy pożądanie powoli przygasało, a ciężar rzeczywistości budził jej umysł, gdy każda twarz tworzyła niewyraźną plamę, gdy każde dotykające jej męskie ciało stanowiło świadome narzędzie rozkoszy, a każdy oddech oznaczał kolejną przewróconą stronę, kolejny dzień w księdze jej życia.

Jak to możliwe, że lata upływały tak powoli? A może

za szybko? Jej umysł nie był nawet czasem w stanie zrozumieć w pełni koncepcji czasu. Dopiero kiedy spoglądała nad ranem nago w lustro – zmęczona i przygnębiona – zauważała jego upływ pod postacią nowych zmarszczek odcisniętych na ciele, niemal niezauważalnie luźniejszej skóry, braku połysku we włosach, przygaszonych oczu, już nie tak wyraźnej linii piersi i bioder. Zastanawiała się, czy jeśli wbrew wszystkiemu zostałaaby z Williamem w przeszłości, której nie dało się już odmienić, a która wciąż lśniła jak diament, to czy ząb czasu mniej by ją nadgryzł, czy bliskość jego miłości ograniczyłaby spustoszenie czynione przez mijające dni?

Giselle nie lubiła pamiętników. Nie miała potrzeby sięgać po pióro i papier, aby spisać listę mężczyzn, których poznała od czasu rozstania z Williamem, drobnych, ulotnych uniesień, które jej zapewniali; tancerek, które szkoliła, a potem posyłała dalej w świat; niesamowitych, skomplikowanych obrazów, które tworzyła ze skóry, muzyki i pornograficznych ruchów na potrzeby występów w klubie, znakomicie płatnych imprez dla zewnętrznych zleceniodawców i corocznego Balu.

Kiedyś była tancerką, teraz zaś była mistrzynią ceremonii, pławiła się w widowisku piękna i żądy, podczas gdy jej gibkie i ogniste protegowane tańczyły i pieprzyły się – ich publiczne, choć przy tym niezwykle intymne obrządki ciała stanowiły niezwykle święto,

które w dalszym ciągu poruszało jej serce i cipkę, przywołując wspomnienia własnej przeszłości i intensywności doznań fizycznych.

Stanowiły inspirację dla jej nocnych podbojów.

Na najwyższym piętrze dziewiętnastowiecznego budynku Lower Pontalba, którego front wychodził na Rue St Ann i Jackson Square, była przygwożdżona do ściany, podczas gdy każde pchnięcie Hiszpana z Gijon przeszywało ją głęboko, a jego dłoń zaciskała się na jej gardle tak, że musiała walczyć o oddech. Zamazany wzrok i nagle, zupełnie niespodziewanie, bolesne uwolnienie, atomowy wstrząs orgazmu i krzyk rozkoszy, który poniósł się aż na pobliski brzeg Missisipi.

W karnawałową noc w ciemnej uliczce w Vieux Carré odgłosy pijackiego śmiechu odbijały się echem w jej głowie. Stała zgięta wpół, z szyi zwisały jej kolorowe korale, kołysząc się pod wpływem uderzających w jej nagi tyłek ciężkich jąder. Jakieś dłonie boleśnie wykręcały jej twarde sutki, a inne klepały ją po pośladkach do wtóru wypowiedanych szeptem sprośności. Giselle była świadoma, że zabawia się z nią po kolei kilku mężczyzn, i delectowała się tym nadmiarem.

Przywiązana do drzewa w ciemności parku Audubon, zakneblowana własną jedwabną apaszką, podczas gdy język nieznajomego uparcie wślizgiwał się między jej uda, liżąc, kęsając, drażniąc, drażąc. W środku

wzbierała niepokonana fala, milcząco błagając mężczyznę, aby ją zerznął. Ale nie zrobił tego, usatysfakcjonowany finałem schadzki: tym, że spuścił się jej po prostu na twarz. Jego sperma ściekła na przód jej kremowej bawełnianej sukienki i zrobiła plamę, której Giselle nie była później w stanie doprać.

Hotele.

Balkony.

Ulice.

W Algierze na brzegu rzeki para turystów z nowojorskiego Upper East Side podzieliła się nią. On wszedł w nią: gruby, brutalny, energiczny; ona swoimi aksamitnymi ustami kołowała jej zmysły i pieściła piersi, jej palce jak grzebień przeczesywały jedwab jej długich włosów.

W minimalistycznie urządzonym pokoju na zapleczu w zrujnowanym domu w Garden District bliźniacy z Rosji z niejasnymi powiązaniem z mafią. Cała trójka naćpana amfą płynęła na fali chwilowego szaleństwa.

Na stalowym balkonie dwupiętrowego łóżka i w jadłodajni serwującej śniadania w niemodnej części Royal Street dosiadła długowłosego nastolatka, od którego była niemal dwa razy starsza; nasadziła się na jego młodzieńczy wzrost. Chłopak kupił jej nawet wcześniej kwiaty i zabrał na drogi obiad do Tujague w zupełnie zbędnej próbie uwiedzenia jej.

Na tylnym siedzeniu tramwaju linii St Charles Avenue palcówkę robił jej futbolista z Cedar Rapids na dzień

przed pucharem Sugar Bowl.

Miejscowi. Przyjezdni. Turyści. Ekspatrianci. Wieczni wędrowcy. A nawet włóczędzy, niemyci i zdziczali. Mężczyźni. Kobiety. Giselle chętnie kosztowała całego menu, które było w stanie jej zaoferować Crescent City.

Ale kiedy patrzyła tego dnia w lustrze na swoją bladą skórę, wszystko się zamazywało. Wszystko wydawało się bez znaczenia.

Westchnęła.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak?

– To ja, Luba...

– Wejdz, drzwi są otwarte.

Giselle ściągnęła kimono z krzesła ustawionego naprzeciwko toaletki. Nie wstydziła się swojej nagości, ale z drugiej strony Luba miała tak doskonałe, posągowe kształty, że wołała unikać porównań.

Wysoka rosyjska tancerka weszła do środka. Miała na sobie dżinsowe szorty, które umiejętnie podkreślały jej opalone, ciągnące się w nieskończoność nogi, i obcisłą białą koszulkę Fruit of the Loom. Była jak zwykle bez stanika, odstające brodawki wyraźnie napierały na naciągniętą tkaninę. Jej złote sandały stanowiły jasną plamę w rozproszonym świetle wczesnego poranka.

– Miło znów cię widzieć – przywitała się Giselle, zaciągając szeroki pasek kimona.

Luba była w Seattle na prywatnym pokazie. Był to jej pierwszy występ poza Nowym Orleanem od czasu

przystania do trupy Giselle. Był to też pierwszy raz, kiedy poza próbami dostała podczas publicznego występu partnera; w Nowym Orleanie z oczywistych względów opłata za wejście do klubu obejmowała wyłącznie taniec w negligżu i nigdy nie wiązała się z seksem.

Partnerował jej tancerz z Hiszpanii, z którym miała wykonać starannie zaaranżowane tango, artystycznym punktem kulminacyjnym był stosunek płciowy. Giselle wahała się początkowo, czy wysłać ją do Oregonu, bo nie była pewna, czy Luba jest gotowa na dalszy krok w swojej karierze, choć Rosjanka sama poruszyła ten temat i wspomniała, że jest niezadowolona z tego, że tylko tańczy i że chciałaby rozwinąć skrzydła i robić coś więcej. Luba była nie tylko ulubioną i najbardziej utalentowaną tancerką Giselle, ale również kimś w rodzaju nowicjuszki, nadal nerwowo podchodzącej do tego dość szczególnego aspektu swojej pracy. Chociaż niezwykle wprawiona w miłosnej sztuce, wciąż jeszcze przeżywała nieudany romans, o czym nie chciała rozmawiać z Giselle, a co było przejawem jej wewnętrznej wrażliwości. Giselle rozumiała ją: ona też chowała się za murem milczenia, aby chronić swoją prywatność i tajemnice.

– Doskonale ci poszło w Portland – pochwaliła ją Giselle. Otrzymała niezwykle pozytywne sprawozdanie z jej występu.

Luba zrobiła wielkie oczy, a na jej twarz wypłynął

enigmatyczny uśmiech.

– Cieszę się, że klientom się podobało.

– Podobało. Mam nadzieję, że nie czułaś się skrępowana.

Luba niezauważalnie skinęła głową, sygnalizując, że jeszcze nie do końca pogodziła się z tym konkretnym aspektem swojej pracy. Giselle wiedziała, że niektóre dziewczęta uważały, iż podczas tańca i występów na prywatnych imprezach wyrażają siebie bez zahamowań, gdy tymczasem ich pokazy były podszyte smutkiem. Luba należała właśnie do grona tych dziewcząt, a Giselle zdawała sobie sprawę, że podobnie było z nią samą. Ciało radziło sobie doskonale, ale serce i umysł gdzieś się wymykały. Przekładało się to na rodzaj wzruszenia, które większość klientów dostrzegała i ceniła, błędnie interpretując je jako nieosiągalność. Uruchomiło w nich ono instynkt opiekuńczy, który w połączeniu z jawnie erotycznym charakterem występu sprawiał, że pożąдали tego, na co patrzyli, bardziej, niż gdyby otwarcie ich prowokowano albo demonstrowano swoją dostępność.

Wypiły razem herbatę, a potem poszły do głównego budynku klubu, gdzie na przestronnym, specjalnie zaadaptowanym poddaszu urządzono salę ćwiczeń: wyposażoną w wypolerowaną, amortyzowaną drewnianą posadzkę oraz lustra i drążki ciągnące się z trzech stron pomieszczenia, dźwiękoszczelnego i jasno oświetlonego.

Giselle otworzyła szeroko okna, wpuszczając poranne zapachy Nowego Orleanu i pozwalając im zabarwić wonią salę. Zbliżał się koniec września i wkrótce zrobi się za chłodno, żeby wietrzyć pomieszczenie w ten sposób. Ciemne, uderzające do głowy aromaty słodkich, na wpół zbutwiałych kwiatów i roślin, przyprawy wzbijające się nad wąskimi uliczkami z setek restauracji, gdzie w wielkich kadziach gotowały się langusty, a w garnkach dusiła się ketmia w rozpuszczalnych sosach. Wszystkie te nuty łączyły się w niewidzialną układankę, wdzierały się do pokoju, wypierały jego sterylność i wprowadzały odrobinę życia.

Do Giselle i Luby dołączyły inne tancerki.

Tango, które Luba wykonała ze swoim partnerem, było jedną z pierwszych choreografii ułożonych przez Giselle, a wysoka Rosjanka nie była pierwszą osobą z jej kolorowej trupy, którą Giselle wyuczyła zawłości układu. Inspiracją do jego powstania stała się jedna z jej pierwszych indywidualnych wizyt na Balu, zaledwie kilka lat po rozstaniu z Williamem. To był niezwykle Bal, który odbył się w starym *palazzo* w Mondello niedaleko Palermo na Sycylii. W odróżnieniu od innych Bali, w których brała udział lub o których słyszała, ten był zupełnie nagi: puste, nieumeblowane pokoje, całkowity brak dekoracji i oświetlenia, gołe ściany w kolorze terakoty z kruszącym się tynkiem, zaniedbane ogrody z rosnącymi z rzadka w nieregularnych kępach

roślinami, a do tego jedynie widok na bezkresne nocne niebo pełne nagich gwiazd. Gościom nie wolno było wkładać kostiumów: żadnych tunik arlekina, sukni z krynoliną, ekstrawaganckich kreacji z setek różnych tkanin, farb do ciała, brokatu ani błyszczącej biżuterii. Początkowo wydawało się, że wymuszenie ascetycznej nagości ma odwracać uwagę od atmosfery napięcia seksualnego spowijającej uczestników Balu, ale wkrótce potem coraz większa ilość białej, całkowicie nagiej skóry i odsłoniętych ciał w całej ich naturalnej świetności wraz ze wszystkimi niedoskonałościami stała się świadkiem stopniowo rosnącego pożądania. Dłonie zapuszczały się na cudzą skórę, obce części ciała, palce, geometryczne linie pięknych mięśni, miękkość wyswobodzonych krągłości. W częściowej ciemności rozpoczął się powolny taniec, spotykały się wargi i języki, wytworzyła się delikatna równowaga między pożądaniem a bezruchem. Z niewidocznych głośników ukrytych między wysokimi gzymsami, którymi wykończony był nierówny sufit sali balowej, popłynęła muzyka klasyczna i nagle, wśród wspomnień, które Giselle dawno pogrzebała, rozpoznała fragmenty melodii *Jeziora łabędziego* Czajkowskiego, utworu, z którym w młodości w londyńskiej szkole baletowej zawsze miała problemy. Muzyka i sposób, w jaki minimalistyczny wystrój podsyczał wiszące w powietrzu uporczywe nici pożądania, na zawsze utkwily w pamięci Giselle. Zamierzała stworzyć nowy taniec, który w

jakimś momencie wykona Luba: albo w przypadku nielicznych rezerwacji, albo pewnego dnia podczas Balu. Luba tańczyła z niezwykle gracją, a jej solowy występ do fosforyzujących motywów *La Mer* Debussy'ego był czymś absolutnie przepięknym. Giselle miała poczucie, że tancerka zdecydowanie zasługuje na nowy numer.

Częściowo w postaci skrawków wspomnień, a częściowo bezkształtnych włókien snów w bezsenne noce, balet Czajkowskiego zdominował jej umysł i przez kilka ostatnich dni, kiedy Luba wyjechała z miasta, Giselle rozrysowywała pomysły, kroki, ruchy, wir rozedrganych figur powstających na niedawno pustej jeszcze stronie, które z notatek i schematów przybierały realną postać.

Giselle wyobraziła sobie Lubę jako białego łąbiedzia, który z pasją i gracją kręci piruety, wciągany w orbitę przyciągania czarnego łąbiedzia. Giselle nie miała w Nowym Orleanie tancerza, który mógłby partnerować Rosjance – mężczyźni, z którymi jej wykonawczynie występowały podczas poszczególnych imprez, byli zawsze zatrudniani przez Sieć i przyjeżdżali na treningi i próby dopiero wtedy, kiedy układ był już gotowy – na razie musiała więc zastąpić go któraś z innych pracujących w klubie striptizerek. Wzrok Giselle powędrował do kamiennego gadżetu, który trzymała na biurku, i znów zaczęła się zastanawiać, kto jej go przysłał oraz dlaczego zrobił to anonimowo. Zaszło

jej w gardle na widok jego obwodu i sztywności.

Punktem kulminacyjnym tańca miał być moment, kiedy biała łabędzica ulega męskim pchnięciom czarnego łabędzia po spektakularnym ujawnieniu jego płci. Luba była wysoka, więc mężczyzna partnerujący jej w tańcu śmierci musiał być znacząco wyższy.

– Luba! – zawołała Giselle. – Mogłabyś znaleźć sobie białe trykoty? Mam pewien pomysł, który chciałabym wypróbować.

Giselle wybrała Marię, jedną ze swoich najbardziej doświadczonych tancerek, równie wysoką artystkę, która poza sceną cechowała się wyraźną figlarnością, i poprosiła, żeby ubrała się na czarno. Odesłała dwie pozostałe tancerki. We trójkę zaczęły uczyć się kroków i ruchów, ale najpierw włączyły muzykę składającą się z samych glissando, pizzicato i poruszających, melancholijnych melodii. Giselle zdawała sobie sprawę, że doprowadzenie choreografii do perfekcji będzie wymagało wielu miesięcy pracy, zostało więc jeszcze dużo czasu na obmyślenie kostiumów. Próbując wcielić w życie swoją wizję, kazała Lubie położyć się na brzuchu na końcu sali, a Marii krążyć wokół niej. Chciała zamienić to, co sobie wymyśliła, w coś realnego.

Najpierw młode kobiety musiały opanować taniec od strony technicznej. Namietność i seks miały przyjść później, najprawdopodobniej z ich woli.

Po godzinie wszystkie były wyczerpane i postanowiły

zrobić sobie przerwę. Ale Giselle widziała już przebłysk tego, co da się osiągnąć. Trzeba się było zająć bieżącymi sprawami związanymi z dzisiejszymi bardziej przyjemnymi występami w klubie. Ustaliły, że przeznaczą na nowy projekt godzinę dziennie, na co obie tancerki się zgodziły.

Giselle miała świadomość, że to wszystko potrwa, ale efekt końcowy był tego wart.

Druga rzeźba, którą otrzymała, była wykonana z drewna i miała kształt niedźwiedzia, oczywiście odpowiednio wydłużonego, cylindrycznego i pomyślanego tak, żeby mogła go w siebie włożyć. Była trochę większa niż pierwsza, a Giselle aż zaparło dech, kiedy zaspokoiła się za jej pomocą, tym razem pod osłoną Pirate's Alley niedaleko Domu Faulknera, gdzie się schroniła, aby przeczekać przelotną burzę. Przesyłka została doręczona wcześniej tego samego dnia do klubu.

Po powrocie do domu Giselle włączyła lampę w sypialni i przyjrzała się figurce, zachwycając się kształtem, który jednocześnie tak zmyslnie ją pobudził i miał w sobie tyle życia i szczegółów. Linia barków niedźwiedzia sugerowała napięcie i brutalność, podobnie jak kształt głowy i głębokie żłobienia ukazujące pysk zwierzęcia, który jeszcze przed chwilą doprowadził ją do orgazmu, kiedy stała z rozstawionymi nogami, zadartą spódnicą i plecami

przyciśniętymi do kamiennego muru, rozpaczliwie usiłując zawrzeć nozdrza i powstrzymać napływ unoszącego się nad chodnikiem zapachu moczu.

Początkowo myśl o penetracji podobizną zwierzęcia wydała jej się dziwna, ale wątpliwości szybko zniknęły. Teraz myślała nie tyle o zwierzęciu, co o cechach samych figurek. Druga rzeźba, której często używała z przekory jako przycisku do papieru w swoim gabinecie, miała kształt ptaka. Nie zauważyła tego tamtej nocy, kiedy wsunęła ją w siebie w zaciszu swojego ogrodu, ale następnego dnia, kiedy lepiej jej się przyjrzała, dostrzegła, że jadeit o głębokim zabarwieniu i wielu odcieniach ma na końcu spłaszczony dziób i ptasie oczy w kształcie migdałów starannie wyżłobione na głowie.

Jedna rzeźba kojarzyła jej się z wolnością, a druga z rozdzierającym pożądaniem, za którym tak tęskniła i którego tak rzadko doświadczała. Usiłowała odnaleźć to odczucie, kiedy ma się ochotę zostać rozdartym przez kochanka, w przygodnych spotkaniach, których poszukiwała w mroku Francuskiej Dzielnicy, gdy włóczyła się po ulicach miasta i barach, rozglądając się za kimś, kto mógłby ją zaspokoić. W końcu uświadomiła sobie, że to, czego chciała, mógł zapewnić jej tylko ktoś, kogo kochała z wzajemnością. Ramiona nieznamomych mogły przynieść więcej szkód niż pożytku.

Spała niespokojnie.

Nie miewała takich snów od czasu, kiedy poznała

William, który poprosił ją, żeby wcieliła się dla niego w Joannę. Od tej pory aż do dnia, kiedy skuł ją łańcuchami, nie mogła się uwolnić nocami od wizji tortur. Teraz z kolei nie dawały jej spokoju obrazy równie żywe, ale różniące się tematyką. W niektórych z nich uprawiała seks ze zwierzętami albo sama zamieniała się w zwierzę, przemierzając na czterech łapach niczym jakiś pozaziemski potwór Dzielnicę Francuską w poszukiwaniu seksu, przemieniona przez wudu w ektoplazmę czy stworzenie, które obnaża kły, póki nie zostanie zaspokojone. A Giselle nigdy nie czuła się zaspokojona. W innych snach pojawiał się William, który rzeźbił ją na oślepiec.

W swoich marzeniach sennych pozowała dla niego w ogromnym pomieszczeniu z drewnianą posadzką, gdzie nie było niczego: tylko oni i biała płachta, którą przesłaniała swoje ciało, dopóki William jej z niej nie zerwał.

– Ale przecież i tak mnie nie widzisz – szepnęła do niego jej postać ze snu.

– Owszem, widzę – odpowiedział William.

Potem zaś patrzyła, jak jego dłonie tańczą nad kawałkiem marmuru, obrabiając go tak, jakby to była glina, i jak z bezkształtnej bryły kamienia z prędkością wschodzącego na ciemnym niebie słońca – maleńkiego przebłysku światła, który w jednej chwili zamienia się w świt – powstaje jej podobizna. Kiedy dotknęła swojego sobowtóra, marmur był ciepły i delikatny jak jej ciało.

Miał w sobie zarówno wszystkie jej niedoskonałości, jak i walory. Jej długą, szczupłą szyję. Pełne piersi, obecnie jeszcze cięższe niż kiedyś. Wciąż jędrne uda. Zaokrąglony łuk brzucha. Prostą linię kości policzkowych i skierowane w górę kąciaki oczu. To szczególne zaciśnięcie ust, gdy uśmiechała się, słysząc żart zrozumiały tylko dla niej i Williama.

Po przebudzeniu jej policzki były zawsze mokre od łez.

Tak bardzo za nim tęskniła.

Nastały te dziwne dni między Bożym Narodzeniem a sylwestrem, wciśnięte między świętowanie; w powietrzu wisiało półtrwałe podniecenie, wyciszenie po bogactwie doznań równoważone oczekiwaniem na dalszą hulankę.

Nie dało się tak po prostu wejść prosto z ulicy do klubu, bo nie był ogólnodostępny. Nie tylko trzeba było wiedzieć o jego istnieniu i lokalizacji, ale również dysponować zaproszeniem. Dla wielu jego istnienie owiane było legendą.

Ludzie, którzy brali udział w Balach lub mieli powiązania z Siecią, wspominali czasem w zaufaniu o Miejscu, zaś zaufani konsjerże w najwyższej klasy hotelach przy Canal Street i w Dzielnicy przeprowadzali selekcję ciekawskich i w jakiś sposób system działał. W niedużej sali głównej, która stanowiła centralny punkt klubu, było miejsce dla nie więcej niż pięćdziesięciu

gości.

Większość tancerek pojechała na święta do domu, więc Giselle zastanawiała się, czy w ogóle otwierać w tym okresie klub. Została tylko Luba i jeszcze jedna tancerka, ale grupa zamożnych przemysłowców, którzy przyjechali z wyprzedzeniem na wielki styczniowy mecz w Superdome zrobiła wcześniejszą rezerwację, choć w obecnej chwili wydawało się, że bardziej im zależy na piciu niż na oglądaniu przedstawienia.

Kiedy przy drzwiach wejściowych rozległ się dzwonek, Giselle znajdowała się w swoim gabinecie. Nikogo więcej się nie spodziewała. Pośrednik z Sonesty polecił klub parze turystów, która spełniała wymagane kryteria, ale goście nie zadzwonili wcześniej, żeby zarezerwować miejsce. To musieli być oni. Ubrany w smoking pracownik ochrony o zgolonej głowie poszedł po nowo przybyłych. Wyglądało na to, że byli Anglikami. Podał im szampana i poprosił Giselle o dalsze wytyczne. Mogła mu powiedzieć, żeby zaprowadził ich prosto do stolika pod malutką sceną, ale czuła zaciekawienie. Założyła swoją białą maskę karnawałową. To był pewien rytuał. Dziś miała na sobie klasyczną czerwoną suknię z aksamitu, którą kupiła wiele lat wcześniej w dawno już nieistniejącym sklepie przy French Market. Tego ranka po raz pierwszy zafarbowała włosy, żeby powstrzymać inwazję siwizny, a jej kroki nabrały sprężystości. Łatwiej było unikać sztucznej interwencji w swój wygląd, kiedy była

wystarczająco młoda, żeby takowej nie potrzebować.

Zeszła do salonu.

– Będę dziś państwa obsługiwać. Tędy, proszę – powiedziała i zaprowadziła parę na górę.

Było w nich coś nietypowego.

W ubranym swobodnie mężczyźnie kryła się mroczna, gorączkowa intensywność. Giselle uznała, że zbliża się do czterdziestki. Był ubrany w czarną skórzaną kurtkę do pasa, jasnoniebieską koszulę na guziki i markowe dżinsy, a do tego miał porządnie wypolerowane półbuty. Jego oczy były ciemnobrązowe, podobnie jak lekko rozmięzwione włosy. Nosił okulary. Mówił po angielsku bez akcentu, bez żadnych regionalnych naleciałości, głosem, który zapamiętała ze swojego pobytu w Londynie – radiowym głosem podszytym zmysłowym ciepłem. Pomyślała, że biło od niego charakterystyczne zagrożenie. Ale on był zaabsorbowany wyłącznie towarzyszącą mu kobietą.

Ona również zwracała uwagę. Była odrobinę młodsza od mężczyzny, średniego wzrostu, przeciętnie zaokrąglona. Na jej głowie, niczym u Meduzy, piętrzyła się góra kasztanowatych loków, które opadały jej na ramiona. Miała w sobie wyraz silnej determinacji, żywy ogień płonący głęboko w czeluściach jej oczu – spojrzenie, które Giselle znała aż za dobrze. Wygląd, który naznaczał ją jako jedną z opętanych, jako osobę żyjącą podwójnym życiem, z pozoru normalnym, a nawet konserwatywnym, ale w środku wrzącym żądzą,

ambicją i pragnieniami. Giselle była kiedyś taka sama. Nadal była taka sama, ale jej płomień został lepiej ukryty pod powłoką średniego wieku; poza tym nauczyła się samodzielnie o niego dbać, unikając niekontrolowanych popędów, którymi się kierowała jako dwudziestoparolatka i przez które zbyt często lądowała w łóżkach niewłaściwych mężczyzn.

Rudowłosa kobieta miała na sobie cienką, lnianą, dwuczęściową garsonkę w kremowym kolorze, a do tego złote sandały na płaskiej podeszwie. Marynarka zapięta na szczupłej talii otulała ciasno jej skromne krągłości, a spódnica kończyła się tuż powyżej kolan. Poza jaskrawą linią szkarłatnej szminki nie miała makijażu. Zaraz po wejściu do głównej sali klubu jej oczy zaczęły wodzić gorączkowo dookoła z ciekawością i poządlivością, szybko ogarniając wzrokiem wnętrze i chłonąc jego atmosferę. Ścisnęła dłońmi swojego towarzysza. Miała w sobie nerwowy apetyt.

Giselle usadziła parę w samą porę, bo zaraz potem przygasły światła i popłynęła melodia Debussy'ego, akompaniament do najlepszego tańca Luby.

– Jestem Luba. – Z głośników rozległ się seksowny szept Rosjanki, zapowiadając teatralny ton przedstawienia.

Przez cały czas trwania występu Giselle nie spuszczała z oczu stolika, przy którym siedziała para z Wielkiej Brytanii, zafascynowana posturą, reakcjami i

językiem ciała rudowłosej kobiety. Zaczęła snuć fantazje na jej temat: na temat tego, czym się zajmowała, do czego dążyła w życiu, w co była wcześniej zaangażowana. Giselle domyślała się, że można by o niej opowiedzieć niejedną historię, miała poczucie, że ma coś wspólnego z tą wyjątkowo piękną nieznajomą.

Połysek i grymas jej uszmkowanych warg, w których odbijało się leciutko ustawione pod kątem światło na sali, drzenie jej ramion, sposób, w jaki co jakiś czas wpijała paznokcie w uda mężczyzny, zdenerwowanie, z jakim oglądała wyszukany i dramatyczny striptiz Luby wyłaniający się z impresjonistycznego tła muzyki klasycznej, jak gdyby utożsamiała się z ekstrawagancką artystką, a nawet chciała się znaleźć na scenie razem z nią.

Giselle wiedziała, że kobieta ma na imię Summer. Ochroniarz, który ich wpuścił, podsłuchał mówiącego do niej mężczyznę.

Uwaga Giselle była podzielona między fascynującym widowiskiem Luby, droczącej się tańcem seksu, a ukrytą przed wzrokiem burzą szalejącą w młodej kobiecie. Obserwowała twarz dziewczyny, która tak osobiście podchodziła do spektaklu. Towarzyszący jej mężczyzna wydawał się niewzruszony. Jego oczy utkwione były w Luby, a na ustach błąkał się cień uśmiechu.

– Prosimy o uznanie dla Luby... – Przedstawienie dobiegło końca, zmieniły się światła.

Giselle przyglądała się Summer, oddychając głęboko,

jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że wolno jej to robić. Podeszła do stolika swoich gości, żeby zapytać, czy podobało im się przedstawienie. Z głośników płynęło *Bolero* Ravela.

Podobało się.

– Ogromnie – powiedziała Summer, która siedziała dalej jak zahipnotyzowana. Nie patrząc na swoją towarzyszkę, mężczyzna zapytał, czy klub organizuje prywatne spektakle. Pozostali klienci zaczęli już wychodzić. Anglika spowijała aura milczącego autorytetu i determinacji.

Giselle namyśliła się. Mieli w planach kolację na sylwestra, tylko ona i jej pracownicy, stara tradycja. Mężczyzna wydawał się zawiedziony. Zasugerowała, że może w takim razie po kolacji. Na przykład koło pierwszej w nocy? Była przekonana, że poprosi o Lubę, ale tego nie zrobił. Chciał, żeby zatańczyła Summer. Dla niego i dla wszelkich gości, których zechce zaprosić Giselle. Siedząca obok niego dziewczyna unikała jej wzroku, wierząc się na krześle, kiedy jej towarzysz przedstawiał swój plan. Jej blada twarz zarumieniła się leciutko, kiedy zasugerował, że jej występ mógłby się składać z czegoś więcej niż tańca. W jej oczach odmalowało się przyzwolenie, mieszanina nerwowego wyczekiwania i wyzwania.

Negocjacje były krótkie i rzeczowe. Klub miał zapewnić Summer odpowiedni kostium; wybrano też muzykę: *Cztery pory roku* Vivaldiego. Mężczyzna miał

jeszcze jeden dość szczególny wymóg, który ostrożnie przedstawił, kiedy Summer poszła skorzystać z toalety. Giselle była zaskoczona, ale jednocześnie podekscytowana wyobraźnią mężczyzny. Imponujący Anglik wręczył jej kartę kredytową w celu opłacenia rezerwacji i wkrótce potem para wyszła, trzymając się za ręce. Trudno było powiedzieć, kto kogo prowadził.

Giselle męczyły tej nocy niespokojne sny.

W swojej wizji to ona tańczyła przed surrealistyczną publicznością złożoną z długodziobych ptaków w ciemnych okularach. Miała na sobie wyłącznie ozdoby brutalnie przytwierdzone do brodawek i warg sromowych, stalowe piętno będące źródłem pożądanego, afirmującego życie bólu. Wirowała na wypolerowanej posadzce jak kołowrotek, póki jej umysł nie zatonął w morzu pożądania. Potem zapadła ciemność, a po chwili Giselle zorientowała się, że patrzy na scenę z przyprawiającej o zawrót głowy wysokości, i zdała sobie sprawę, że nie jest już tancerką, bo na proscenium zastąpiła ją rudowłosa kobieta, która miała wrócić do klubu następnej nocy. W tym właśnie momencie Giselle obudziła się gwałtownie. Było jeszcze za wcześnie, żeby wstawać, wzduż sufitu w jej sypialni płynęły zapachy Dzielnicy Francuskiej, okno było otwarte na zdziczały ogród, z oddali dochodziło słabe echo nawoływań statku kołowego. Giselle przypomniała sobie ostatnie żądanie mężczyzny.

Podeszła w ciemności do toaletki i niemal po omacku

wzięła do ręki otrzymane rzeźby, wyczuwając opuszkami palców ich upajającą gładkość, znacząc ścieżki na ich powierzchni. Jej umysł usiłował odszyfrować ich znaczenie, jakby fizyczny kontakt z przedmiotami miał w jakiś czarodziejski sposób przekazać jej myśli i słowa tajemniczemu nadawcy. Giselle otrzymała do tej pory kurierem pół tuzina przesyłek. Rzeźbionych przedmiotów, ptaków, zwierząt, rogów, penisów, zabawek, talizmanów. Uformowanych z absolutną perfekcją. Dla niej. Zawsze po ciemku, używała ich regularnie w celu, do którego zostały stworzone.

Rozwarła szeroko uda.

Wsunęła w siebie jadeitowego ptaka.

Ostrożnie rozluźniła zwieracze i dopełniła obustronnej penetracji. Gładkie, ciepłe drewno rzeźbionego niedźwiedzia rozciągało jej odbyt. Wypełniało ją.

Zapachy nocy mieszały się w przedziwny sposób z silną, piżmową wonią jej soków. Poczwała, że robi się senna. Położyła się, trzymając wciąż w sobie oba falliczne przedmioty. Zasnęła spokojnie.

Następnej nocy para wróciła.

Summer była wyraźnie zdenerwowana, ale również odrobinę arogancka. Nie chciała włożyć wydekoltowanej sukienki, którą Giselle przed nią położyła. Może czuła, że jest coś bardziej naturalnego w tańczeniu nago niż w konieczności upokarzającego

rozbierania się na oczach starannie wyselekcjonowanej publiczności. Ale jej sponsor jasno wyraził swoje żądania, więc zamiast tego Giselle w ramach wyrafinowanej kary, którą sam jej zasugerował, przymocowała groźnie wyglądające nakładki na sutki, klipsy w formie obręczy, z których zwisały ciężkie rdzawoczerwone klejnoty. Umieściła je na drobnych, ale zadartych piersiach kobiety, a podobne ozdoby trafiły na każdą z zewnętrznych warg sromowych, wpijając się boleśnie w ciało. Summer skrzywiła się. Giselle dopełniła słodkiej tortury, wsuwając w odbył młodej kobiety szklaną zatyczkę analną i zaprowadziła ją za aksamitne kurtyny, przez klub na scenę, na której miała zatańczyć. W słabo oświetlonej garderobie, wprowadzając młodą kobietę w stan jeszcze większego niepokoju, przez cały czas trwania tych zabiegów całej scenie przyglądała się Luba wyłożona w ptasiej klatce zawieszanej pod sufitem, ubrana na biało, z twarzą przesłoniętą maską, nadając przygotowaniom aurę niepokojącej cudaczności.

Summer wyszła na scenę w całkowitej ciemności. Giselle wiedziała, że kiedy zapali światła, kobieta będzie początkowo oślepią i oszołomiona.

Zaczęła grać muzyka, a Summer stała jak wmurowana, wyraźnie rozdarta między upokorzeniem związanym z bezruchem a tym, którego by doświadczyła, gdyby zaczęła się ruszać i jeszcze bardziej obnażyła swoją nagość i bezbronność,

wykonując pierwsze kroki powolnego tańca. Giselle oparła się o bar na końcu kameralnego salonu i przyglądała się jej, wspominając w ciągu ulotnych obrazów przesuwających się przed jej oczami pierwszy raz, kiedy w podobny sposób zatańczyła przed innymi nago, wyciągnięta z bezpiecznej strefy sali ćwiczeń czy własnego pokoju, gdzie z jakiegoś względu wydawało jej się to bardziej naturalne. Albo gdy na początku swojej kariery modelki pozowała na golasa – autostrady pożądania dudniły w jej wnętrzu, a ona balansowała chwiejnie między rodzącym się pomrukiem jej seksualności a niezaprzeczną chęcią prowokacji, akceptacji, stanu równowagi, który przemieszczał się pod jej stopami jak piasek.

Zadrzała.

Przypomniała sobie linie, które jakiś czas temu odkryła na swojej twarzy, ulotne zmarszczki w kącikach ust, siwe włosy, które od tamtej pory maskowała. Żałowała, że nie jest wciąż na tyle młoda i atrakcyjna, żeby robić to, co za chwilę będzie robić Summer, aby oddać siebie do tego stopnia wyłącznie dlatego, że zażądał tego mężczyzna.

Sypianie z miłym nieznanym, pieprzenie się anonimowo, w ciemności i bez zobowiązań, odhaczanie kolejnych dni w księżde seksu – każda kobieta mogła robić coś takiego. Ogarnął ją niewymowny smutek i zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś będzie miała chęć, siłę i okazję, żeby oddać siebie tak otwarcie jak

kiedyś i jak robiła to teraz Summer. Czy stała się tylko stręczycielką, która zaspokaja pożądanie innych, zarządza swoją zadziorną, zróżnicowaną trupą zmysłowych tancerek i nie znajduje nawet przyjemności w tym, co robią, poza satysfakcją z dobrze wykonanej pracy? Opanowana mistrzyni ceremonii. Jak do tego doszło? Czyżby straciła swój ogień? Znieczuliła swoją duszę?

Summer w końcu zaczęła tańczyć.

Początkowo była niezdarna, ale potem szybko dała się ponieść melodii. Jej goła skóra rozjaśniła się w świetle reflektorów, warstewka potu spowodowana zdenerwowaniem i wysiłkiem uwydatniała jej nagość. Widać było, że nie uczyła się tańczyć, ale w jej sposobie rozumienia muzyki było coś organicznego. Nawet jej rozmierzwione rude loki poruszały się do wewnętrznego życia szalejących skrzypiec, jak liście na drzewie podczas silnego wiatru.

Kiedy krótki występ dobiegł końca, w Summer dokonała się transformacja. Stała się bardziej giętka, śmiała i wyuzdana. Odśloniła swój skrywany apetyt i swoje wewnętrzne pożądanie w sposób, który Giselle rozpoznawała, z pełnym zapamiętaniem wyrażał się jej słownik seksu. Giselle rozejrzała się po nielicznej widowni w poszukiwaniu mężczyzny, który przyprowadził Summer i zorganizował pokaz. Wyobraziła sobie, jak będzie ją później pieprzył w pokoju hotelowym, jak ją ujarzmi, jak ją spustoszy w

najśłodszy z możliwych sposobów, cementując wyjątkową więź między nimi.

Wkrótce przedstawienie dobiegło końca i para wyszła, Giselle pozostało zaś zgasić światła, posprzątać i zamknąć klub po prywatnym występie. Ochroniarz miał tego wieczoru wolne, a Luba spała w pokoju w górnym skrzydle.

Kim była para przyjezdnych?

Mężczyzna, którego Summer nazwała raz Dominikiem, pochodził z Anglii, ale młoda rudowłosa kobieta nie, choć Giselle nie była w stanie rozpoznać jej akcentu. Była w każdym razie anglojęzyczna.

Domyślała się, co teraz robili w jakimś pobliskim hotelu, przekładając szaleństwo tej nocy na wyższe poziomy pożądaniami. Summer wyszła, nie zdejmując swoich ozdób – jej towarzysz nalegał na to (i zapłacił za nie); zimne stalowe klipsy ocierały się pewnie teraz o jej delikatne ciało, odciskając głębokie ślady na kolejnych warstwach jej skóry, które będzie zapewne drażnił, wykręcał, kasał i pieścił, wydobywając z niej swoim wystudiowanym atakiem każdy stopień bólu i przyjemności.

Giselle westchnęła. Ile czasu minęło, odkąd jakiemuś mężczyźnie udało się doprowadzić ją do jęku, o krzyku nawet nie wspominając?

Jutro zapewne wyjadą z Nowego Orleanu. Nigdy więcej ich nie zobaczy ani o nich nie usłyszy.

Coś ścisnęło ją za gardło, a w jej myśli wtargnęła

potężna tęsknota. Co się stanie z tą parą? Z Summer i Dominikiem? Czy kiedykolwiek się dowie czegoś więcej o ich życiu? Przed i po intermezzo w Nowym Orleanie?

Czy może pozostaną na zawsze twarzami przyplływającymi nocą jak postaci z książki, której nie wolno przeczytać do końca, obecne tylko po to, aby prześladować ją w snach i w trakcie bezsennych nocy? Podobnie jak wielu innych: William, Beth, Olen, Flick... Giselle przewróciła kartkę z ich historiami na kolejną stronę, zostawiła ich zagubionych w swoich opowieściach, pozwoliła im odpłynąć.

Rozpięła ciężką aksamitną suknię i wysunęła się z niej. Położyła się na łóżku i w końcu napłynęły łzy, obfite, żyzne, ciepłe. Opłakiwała tych, których straciła.

Przebudziwszy się, podjęła decyzję. Zrobi sobie wolne. Pinnie wiedziała wystarczająco dużo, żeby móc samodzielnie pokierować Miejscem, i była wystarczająco ambitna, aby skorzystać z nadarzającej się możliwości. Apetycznie zaokrąglona brunetka z prostą grzywką, ciężkimi piersiami i dużymi sutkami była sprytna, ale jednocześnie uczciwa; nie będzie się zastanawiać dwa razy nad skorzystaniem z możliwości wiążącej się z korzyściami finansowymi. Giselle postanowiła zadzwonić do pośrednika i wynająć swoje mieszkanie. Wśród turystów zawsze był popyt na coś

bardziej przytulnego niż hotel.

Odkryła się, wzięła prysznic i zaparzyła sobie espresso, które popijała, chodząc nago po domu i zbierając rzeczy potrzebne do wyjazdu. Od lat miała tę samą walizkę. William kupił ją, kiedy planowali swoje pierwsze wspólne wakacje za granicą, weekend poza Long Island, który w odczuciu Giselle miał miejsce w innym życiu. Walizka nie miała kółek i było w niej miejsce jedynie na kilka zmian ubrań i jedną lub dwie pary butów, ale Giselle to wystarczało. Zawsze miała lekką walizkę, poza tym nie lubiła nadmiaru rzeczy. Wsunęła do środka paszport, tak na wszelki wypadek, choć nie zamierzała opuszczać Stanów Zjednoczonych.

Kartka była biała; widniało na niej nazwisko i numer telefonu wydrukowane prostą czarną czcionką. Leżała w szufladzie jej toaletki od początku pobytu w Nowym Orleanie, a trafiła do jej kiseni jeszcze wcześniej.

Giselle wyciągnęła ją, musnęła kciukiem i palcem wskazującym gładki papier i blednące litery i dała się ponieść fali wspomnień z ostatnich dni w Paryżu, ale tylko na moment. Czas reminiscencji już minął. Giselle była gotowa do działania.

Wykręciła numer. Gdyby należał do jakiegokolwiek innej organizacji niż Sieć, mogłaby się spodziewać komunikatu o błędnym numerze, ale oczywiście nic takiego nie nastąpiło i po kilku sekundach odezwał się kobiecy głos.

– Madame Fur? – upewniła się Giselle.

– Tak?

– Potrzebuję pani pomocy – powiedziała Giselle. Głos jej się załamał. Od wielu lat nie używała francuskiego i słowa wracały do niej powoli, odbywając w jej głowie podróż długim korytarzem lat i dopiero potem pojawiając się na końcu jej języka. Luizjański francuski należał już w Nowym Orleanie do rzadkości, a nawet jeśli ktoś go jeszcze używał, to i tak nie był to jej język ojczysty.

Madame Fur parsknęła, gdy Giselle przedstawiła jej sytuację.

– Nie śmieję się z ciebie, moja droga – zapewniła. – Wszystkie ścieżki, które prowadzą do Sieci, są usłane złamanymi sercami. Każdy z nas mógłby opowiedzieć podobną historię.

Giselle nachyliła się, zaciągnęła żaluzje i otworzyła okno. Na dworze zaskrzeczał wilgowron, a może szpak. Giselle zawsze wołała rośliny niż zwierzęta i nadal niezbyt dobrze znała lokalne ptaki, nie nabrała też wprawy w odróżnianiu jednego gatunku od drugiego tylko na podstawie wydawanych przez nie odgłosów.

W końcu Madame Fur zaczęła mówić dalej. Giselle uśmiechnęła się w duchu. Zgoda na przedłużające się milczenie była zręczną sztuką negocjacji, często niedocenianą i rzadko stosowaną. Giselle wyszła zwycięsko z wielu dyskusji wyłącznie dzięki temu, że potrafiła zaczekać, aż jej rozmówca przerwie wymowną ciszę.

– Moja odpowiedź brzmi tak. Pomogę ci. Pozwól, że wykonam kilka telefonów i do ciebie oddzwonię.

Giselle podała swój numer, powtarzając go dwukrotnie, a potem odłożyła słuchawkę. Zsumowała w myślach upływ czasu i doszła do wniosku, że Madame Fur jest pewnie już po siedemdziesiątce, ale ponieważ była tak elegancko ubrana i umalowana, kiedy spotkały się po raz pierwszy, trudno było określić jej wiek. Giselle zastanawiała się, czy Madame nadal kieruje paryskim oddziałem L'Or du Temps i czy dalej werbuje przystojnych i wrażliwych emocjonalnie młodych ludzi, żeby występowali dla Sieci. Giselle zdawała sobie jednak sprawę, że nie miała prawa jej osądzać. Zarabiała na życie dokładnie w taki sam sposób. Poza tym była głęboko przekonana, że kobietom pokroju Luby i Pinnie było znacznie lepiej w Miejscu niż w jakichś podupadłych barach, w których zanim je zwerbowała, występowały jako tancerki erotyczne. Żadna z dziewcząt pracujących dla Giselle nie nadawała się do The Royal Ballet i żadna nie wyrażała chęci pracowania w roli prawniczki, bankierki czy sekretarki zamiast tancerki erotycznej.

Nie, klub i Sieć miały swoje miejsce i Giselle niczego nie żałowała. Lubiła swój zawód i odłożyła wystarczająco dużo, żeby móc żyć oszczędnie bez pracy przez wiele miesięcy.

W dużej mierze przypadkiem odłożyła pieniądze na czarną godzinę. Po prostu nie potrzebowała ani nie

wydawała dużo, więc w konsekwencji zdołała zaoszczędzić większą część swoich dochodów, które w ostatnim czasie znacząco wzrosły na skutek mądrego posunięcia w postaci zatrudnienia takich tancerek jak Luba, a także zdecydowanych działań niedopuszczających do obniżenia renomy baru funkcjonującego jako elitarne miejsce dla amatorów przyjemnego spędzania czasu; nie próbowała przyciągać większej liczby klientów, a w efekcie obniżyć standardów.

Giselle zawsze umiała się wyłączać, rozgraniczać jedno życie od drugiego. Szybko podejmowała decyzje i rzadko żałowała działań podejmowanych pod wpływem intuicji. Kiedy spakowała niedużą walizkę i ubrała się, miała wrażenie, że dom w Nowym Orleanie nie należy już do niej. Zamykając wychodzące na ogród drzwi balkonowe i przekręcając klucz, poczuła tylko lekkie ukłucie żalu. Najprawdopodobniej niedługo wróci, więc na wszelki wypadek zamierzała poprosić Pinnie, żeby znalazła najemców mających rękę do roślin, którzy pod jej nieobecność zatroszczą się o ogród.

Zapakowała swoje aksamitne suknie w pokrowce z pralni chemicznej i postanowiła przechować je w klubie, w dużej garderobie na zapleczu, wypełnionej już naręczami kostiumów. Na drogę włożyła lniane spodnie, którego nie przymierzała od wieków. Z przyjemnością przekonała się, że nadal na nią pasuje.

Kiedy spojrzała na siebie w lustrze, zobaczyła, że nie

jest już madame, tylko elegancką, wyrefinowaną kobietą, która przygotowuje się do rozpoczęcia nowej przygody. Z gładko zaczesanymi włosami, z parą złotych kolczyków w uszach i w klapkach na płaskim obcasie wyglądała jak zupełnie inna Giselle.

Zawsze intrygowało ją to, w jaki sposób ona sama i inni wykorzystują swój zewnętrzny wizerunek jako wyraz wewnętrznego ja. Tajemnice szafy garderobianej.

W tej samej chwili, w której uświadomiła sobie, że Madame Fur nie sprecyzowała, czy zamierza zadzwonić później tego samego dnia, czy może później w tym tygodniu, odezwał się dzwonek telefonu.

– Jest w Portland – poinformowała. – W Oregonie.

– Aha – odpowiedziała Giselle. – Dziękuję. – Nigdy nie zastanawiała się nad tym, gdzie może być William, ale gdyby to zrobiła, pewnie uznałaby, że jest w bardziej romantycznym miejscu niż Portland. Ale to miało sens. Bał miał tam duże biuro, w którym niedawno stacjonowała Luba, a Giselle podejrzewała, że William wciąż dla nich po cichu pracuje.

– Mogę dać ci radę? – zapytała Madame Fur.

– Oczywiście.

– Świat się zmienia. Ludzie się zmieniają. On nie jest już tym samym człowiekiem, którego kiedyś znałaś, a ty nie jesteś tą samą kobietą. Upływ czasu zabarwia wszystko na różowo, zwłaszcza dawnych kochanków. – Tym razem jej śmiech przypominał bardziej rehot czarownicy.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedziała Giselle.
– Ale muszę go odnaleźć. Bo inaczej jeszcze na łożu śmierci będę się zastanawiać, czy coś się mogło między nami wydarzyć.

W ostatniej chwili Giselle wcisnęła do walizki dwie ze swoich rzeźb, te, które otrzymała jako pierwsze. Jej ulubione. Reszta powędrowała do pudła z rzeczami osobistymi, które chciała przechować w klubie. Zawsze mogła nadać bagaż, żeby uniknąć ryzyka, że ochrona na lotnisku zawróci ją podczas kontroli bezpieczeństwa, kiedy przekona się, że falliczne rzeźby były wystarczająco ciężkie, żeby mogły posłużyć jako broń.

Przyleciała do Portland w słoneczny, bezchmurny dzień, nielicujący z falą podenerwowania, która ogarnęła ją w chwili, kiedy pilot oznajmił, że niedługo będą lądować. Jeśli w życiu było jak w książkach, myślała Giselle, ściągając marynarkę, aby ciepły wietrzyk mógł pieścić jej skórę, to będzie padać. Do krawężnika podjechała taksówka. Wsiadła do środka i poprosiła kierowcę, żeby zawiózł ją do taniego sieciowego hotelu, w którym zarezerwowała sobie przez internet pokój, a który miał się znajdować w odległości krótkiego spaceru od centrum miasta. Był blisko Powell's, księgarni, do której zawsze chciała wstąpić.

Madame Fur była w swoich poszukiwaniach nie tylko szybka, ale i dociekliwa. Dowiedziała się, że William mieszka i pracuje w północno-wschodniej części miasta

i jest właścicielem niewielkiej galerii przy Alberta Street, gdzie jego prace doczekały się sporego uznania. Był nadal zatrudniony przez Sieć, ale jednocześnie sprzedawał swoje wyroby i organizował warsztaty. Wyposażona w laptop i nazwę galerii Williama – L'Art des Sens, Sztuka Zmysłów – Giselle dowiedziała się, że William ma w planach wystawę i wernisaż, więc zarezerwowała lot tak, żeby móc się na nich pojawić. Dotychczas powstrzymywała się od prób odnalezienia go, bo miała przeczucie, że jeśli to zrobi, zapoczątkuje obsesję, która każe jej śledzić jego samego i jego artystyczne postępy, co nie oznaczałoby dla niej nic dobrego. Ale skoro już tu była i naprawdę go szukała, wpisanie w Google jego nazwiska wydawało się zupełnie rozsądne.

Nie znalazła wiele ponad nazwisko, adres galerii i garstkę recenzji. Jego niepełnosprawność zwracała uwagę, podobnie jak erotyczny charakter jego prac. Giselle była pewna, że bez względu na to, co pokazywał w galerii, nie mogło się to równać z perwersyjnymi kreacjami, które wymyślał na potrzeby Sieci. Nagle zaczęła się zastanawiać, czy dla innych też rzeźbił sztuczne penisy, czy może te należące do niej były jedyne. Jego lekcje cieszyły się dużą popularnością i wszystkie zajęcia przewidziane na pozostałą część roku były już wykupione. Uwagi dotyczące kursów były krótkie, ale komentarze wcześniejszych uczniów dowodziły, że nauczyli się czegoś więcej niż tylko

sztuki. „Miejsce, w którym nauczysz się innego rodzaju widzenia” – można było przeczytać.

Giselle przeciągnęła się na małym podwójnym łóżku. Leżała tam, wpisując nazwisko Williama w pasek wyszukiwarki tak długo, że zrobiło się ciemno i cała zdrętwiała. Burczało jej w brzuchu. Zamknęła laptopa i schowała go ostrożnie do sejfu w pokoju hotelowym, nie tyle ze względów bezpieczeństwa, ile po to, żeby nie siedzieć przy komputerze do rana, usiłując wygrzebać jeszcze jakieś skrawki informacji o kochanku sprzed lat.

Wędrując po centrum w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, odnosiła wrażenie, że na ulicach Portland jest miejsce dla wszystkich. Mijała dzieciaki na deskorolkach z nastroszonymi na żel włosami, ubrane w szorty za kolana, mamuśkowate kobiety w pastelowych bluzkach zapiętych na ostatni guzik, rastamanów z dreadami w długich, jaskrawych sarongach, typowych mieszczuchów, po których wciąż było widać całotygodniowy trud pracy w korporacji, mimo że był niedzielny wieczór. Giselle zabrała ze sobą parasolkę, ale jej nie potrzebowała; nie marzła mimo gołych nóg w sięgającej kolan białej sukience z dekoltem w łódkę. Miała też na sobie cytrynowożółty kardigan, który nosiła jeszcze za czasów, kiedy mieszkała w Paryżu. Ostatecznie kupiła kawałek pizzy od ulicznego sprzedawcy i zjadła go w drodze do hotelu, ignorując odzywający się głęboko w środku głos, który mówił, żeby znalazła jakiś bar, wybrała faceta i poszła się z nim

pieprzyć, aby zagłuszyć mrok samotnego pożądania.

Dzień otwarty i wernisaż były zaplanowane na późne godziny popołudniowe następnego dnia, a towarzyszyć im miały warsztaty, aby potencjalnym nabywcom nie zabrakło czasu na swobodne krążenie po galerii i podjęcie decyzji o rozstaniu z okazałą sumą pieniędzy w celu nabycia jednego z eksponatów. Żaden z wystawionych przedmiotów nie miał metki z ceną, co – jak wynikało z doświadczenia Giselle – oznaczało, że były one bardzo drogie. Przyjechała w godzinę po rozpoczęciu imprezy, częściowo dlatego, żeby móc niezauważenie wtopić się w tłum, który jak miała nadzieję, zastanie w środku, a częściowo dlatego, że przeciągnęły jej się przygotowania: wkładała naszyjnik, po czym znów go zdejmowała, wiązała włosy, a zaraz potem je rozpuszczała, przymierzała najpierw jedną, a potem kolejną parę butów tylko po to, żeby na koniec uznać, że zwariowała. William był ślepy. Nie będzie nawet wiedział o jej obecności, a tym bardziej zwracał uwagę na to, w co jest ubrana.

Zatrzymał się przy niej kelner niosący talerz z kanapkami i zaproponował jej cieniutki kawałek chleba na zakwasie ze skrawkiem łososia i jeszcze mniejszym kleksikiem kwaśnej śmietany, który Giselle wsunęła sobie do ust. Stała przed ścienną ekspozycją przedstawiającą rzeźbione sromy; były niesamowicie realistyczne, więc nie mogły być wytworem wyobraźni. Ktoś musiał do nich pozować. Sromy były wykonane z

marmuru, więc musiały zostać wyrzeźbione ręcznie, a nie odlane z formy. Giselle wyobraziła sobie, jak William starannie – niemal jak lekarz – bada kobiece waginy, aby odtworzyć je następnie w kamieniu. Poczwała, jak na tę myśl robi się wilgotna. Cofnęła się o kilka kroków, aby obejrzeć ekspozycję z innej perspektywy. Całość wyglądała jak zamknięty pod szkłem ogród różany z płatkami kwiatów niekończących się odmian. Pod wpływem nagłej chęci wejścia w posiadanie kolejnego dzieła Williama Giselle przywołała gestem jednego z pracowników. Niemal krzyknęła na widok metki z ceną przymocowanej do wybranej przez siebie rzeźby, ale podała pracownikowi kartę kredytową, a następnie schowała pakunek do torby. Zastanawiała się, czy William wyrzeźbił może z pamięci i jej części intymne. Może w domach miłośników sztuki na całym świecie znajdowały się skrawki jej samej? To była dziwna myśl. Czy da się zredukować człowieka do jego podobizny? Czy podobizna może być wspanialsza niż osoba, która ją zainspirowała?

Zastanawiając się nad dziwactwami filozofii artystycznej, zaczęła znów powoli krążyć po galerii, chłonąc jak najwięcej szczegółów, starając się wywnioskować coś na temat rzeźbiarza na podstawie jego dzieł. Druga ściana była zapełniona penisami, a Giselle mogła potwierdzić ich realizm, bo osobiście doświadczyła rozkoszy ze strony wielu różnych kształtów i rozmiarów. W żadnym jednak nie dostrzegła

elementów surrealizmu obecnych w sztucznych penisach, które sama otrzymała, co ją ucieszyło. Być może William wykonał je specjalnie dla niej. A może to nie on był odpowiedzialny za anonimowe fallusy. Oczywiście byłby to dziwny zbieg okoliczności, ale coś takiego mogło przydarzyć się w Sieci na skutek powszechnego w całej organizacji przekonania, że dostarczyciele przyjemności powinni systematycznie sami jej doświadczać, podobnie jak pracownicy innych przedsiębiorstw otrzymywali na święta notatniki, karty podarunkowe czy szynkę.

Na wystawie nie było żadnych prac przedstawiających całe ciało lub sceny penetracji. Giselle domyśliła się, że na tego rodzaju dzieła trzeba by poświęcić wiele godzin, może nawet lat, więc być może z konieczności były wykonywane wyłącznie na zamówienie. Nie miała pojęcia, ile kosztują materiały, z których korzystał teraz William, ale pamiętała, że płótna, pędzle i farby były drogie. Skrzywiła się na wspomnienie Williama mieszającego farby.

Gdyby tylko.

Gdyby tylko nie... Gdyby tylko... Giselle straciła rachubę, jak często jej myśli zaczynały się od tych słów. Ale myślami nie dało się zmienić przeszłości. Westchnęła. Otrząsnęła się z poczucia winy. I przecisnęła się z frontowej części galerii, gdzie znajdowały się eksponaty na sprzedaż, do pokoju na tyłach, w którym odbywał się właśnie mały pokaz.

Starła się trzymać za niewielką zgromadzoną grupką. Nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że William może ją w jakiś sposób rozpoznać. Może po zapachu. Nadal używała tych samych perfum, które kiedyś jej kupił. Dłonie jej się trzęsły, a oddech przyspieszył. Zrezygnowała na jakiś czas z pracy, poinstruowała Pinnie, żeby wynajęła jej mieszkanie, przyleciała z Nowego Orleanu do Portland, a mimo to nie potrafiła zdobyć się na to, żeby ujawnić swoją obecność. Nie na oczach tak wielu nieznanym. Nie w czasie jego pracy.

Stała więc tylko i patrzyła, poza linią jego wzroku, nawet gdyby był w stanie ją zobaczyć. Była do tego stopnia uwięziona za murem zainteresowanych, że w ogóle go nie widziała. Ale go słyszała. W pomieszczeniu panowały całkowita cisza i niesamowite skupienie, zaś głęboki, mocny głos Williama niósł się tak, jakby mówił wyłącznie do niej.

– Zapomnijcie na chwilę o widzeniu – poinstruował swoich słuchaczy. – I pomyślcie o postrzeganiu. Oczy przyswajają znacznie mniej informacji, niż wam się wydaje. Spróbujcie doświadczyć rzeczywistości, zamiast na nią patrzeć. Stańcie się jej częścią. Użyjcie języka i dłoni, aby odkryć stojącą przed wami osobę.

Giselle rozumiała już, dlaczego jego zajęcia cieszyły się tak dużą popularnością. Jego słowa hipnotyzowały. William uczył czegoś więcej niż samej techniki rzeźby. Pokazywał kochankom, w jaki sposób poznać swoją geografie intymną, wychodząc poza ograniczenia

wzroku.

Wykład miał jeszcze trwać piętnaście minut, a potem słuchacze mieli mieć możliwość przyjrzenia się sposobowi, w jaki William pracował z modelką. Giselle nie potrafiła zmusić się do tego, żeby zostać. Zobaczyła i dowiedziała się na razie wystarczająco dużo. Usłyszała jego głos i obejrzała jego prace – zobaczyła kurs, jaki obrał bez niej w życiu. Nie była w stanie znieść więcej, jeśli nie chciała się załamać i zalać łzami na środku sali, zwracając na siebie uwagę, na którą nie była jeszcze gotowa. Znalezienie się po tylu latach w tym samym pomieszczeniu co on sprawiło, że poczuła się jak narkoman, któremu dano do spróbowania odrobinę zakazanej substancji. Obawiała się, że jeśli zostałaby w środku choć chwilę dłużej, mogłaby zacząć krzyczeć lub przedrzeć się przez tłum i rzucić się Williamowi w ramiona.

Wróciła piechotą do hotelu, choć znajdował się w odległości wielu kilometrów. Bez wątpienia byłoby szybciej i bezpieczniej wziąć taksówkę. Było ciemno, ale nie zrobiło się jeszcze późno. Chłodne wieczorne powietrze pomogło jej ukoić nerwy i otrząsnąć się z przygnębienia, które opadło na jej umysł i serce, tak że znów była w stanie myśleć. Co miała teraz zrobić? Pewnie mogła wrócić prosto do Nowego Orleanu i zacząć dokładnie w tym samym miejscu, w którym przerwała. Minęło dopiero kilka dni. Wątpliwe, żeby znalazł się już chętny na jej mieszkanie. Pinnie byłaby

zawiedziona degradacją, ale szybko by się z tego otrząsnęła, zaś Giselle wymyśliłaby sposób, żeby jej to osłodzić. Nie była jednak w stanie myśleć o powrocie do dawnego życia, skoro podjęła już decyzję, żeby z nim zerwać i spróbować czegoś nowego.

Może zacznie podróżować, ale tym razem jak należy. Zjeździła całe Stany, ale niewiele więcej, poza tym każdy jej wyjazd wiązał się praktycznie bez wyjątków albo z jej własnymi występami, albo z działalnością Sieci, zwiedziła więc więcej barów ze striptizem niż zabytków. Przez większą część życia zajmowała się turystyką, tudzież dostarczaniem ciała.

Giselle postanowiła niemal zapomnieć o rozsądku, zakręcić globusem i wyruszyć w nieznane, kiedy po powrocie do hotelu otrzymała informację, że ktoś zostawił dla niej wiadomość.

To była Madame Fur. Jakim cudem odszukała ją w tym hotelu?

W pierwszej chwili się zirytowała, sądząc, że starsza kobieta, która w czasie jednej, krótkiej rozmowy połączyła jej losy z Siecią i zmieniła całkowicie bieg jej życia, chciała tylko poplotkować i pastwić się nad jej złamanym sercem, ale mimo to czuła się zobowiązana oddzwonić, mając świadomość, że bez informacji dostarczonych przez Madame Fur nigdy nie odnalazłaby Williama w Portland.

Ale temat jej podróży z Nowego Orleanu w nadziei na rozniecenie dawnego romansu nawet nie wypłynął.

– Mam dla ciebie propozycję – oznajmiła Madame. – Zostań w Portland. Wkrótce ma się tam odbyć kolejna impreza, oczywiście prywatna, przy której twoje doświadczenie wyjątkowo dobrze się sprawdzi. Poza tym moglibyśmy też wykorzystać twój nieoceniony talent podczas zbliżającego się Balu. Mamy ekipę nowych tancerek, które trzeba odpowiednio przygotować.

– Jeśli na imprezę, o której pani wspomina, potrzebujecie tancerki, to już dawno z tym skończyłam – odpowiedziała rozbawiona Giselle.

– Nie potrzebujemy tancerki. Ale nawet gdybyśmy jej potrzebowali, to pozwolę sobie stwierdzić, moja droga, że człowiek nigdy nie kończy z tańcem. Taniec to życie... Ale odbiegłam od tematu. Potrzebujemy choreografa. Kogoś, kto stworzy coś... spektakularnego.

– Co ma pani na myśli? Na pewno macie specjalistów od Balu, którzy lepiej znają zatrudnione tancerki. Kogoś, z kim regularnie współpracujecie.

– Ależ naturalnie, ale w tym przypadku nie chodzi o Bal. To jeszcze bardziej ekskluzywna rzecz. Przyjęcie urodzinowe. Poproszono nas o przygotowanie tej uroczystości, a główny zainteresowany ma gusta wykraczające poza wyobraźnię naszych standardowych choreografów. Poza tym chcemy, aby wydarzenie zachowało całkowicie prywatny charakter. Wszyscy nasi artyści są oczywiście dyskretni, ale uznaliśmy, że będzie

roztropnie organizować pewne imprezy oddzielnie. Jestem pewna, że mnie rozumiesz.

Giselle pokiwała bez zastanowienia głową, choć była w pokoju sama, zaś Madame Fur znajdowała się po drugiej stronie słuchawki w jakimś innym miejscu świata. Może nawet przeniosła się już do Stanów.

Madame ciągnęła dalej.

– Oczywiście zapłacimy. Pokryjemy wszystkie koszty. Poza tym jestem przekonana, że uznasz swoje wynagrodzenie za niezwykle hojne.

– O jakiego rodzaju przedstawieniu właściwie mówimy?

– Sprawa jest zbyt delikatna, żeby omawiać ją przez telefon. Ale ponieważ dzieli nas ocean i dysponujemy ograniczonym czasem, musimy załatwić to w ten sposób. Mam nadzieję, że wybaczysz mi wścibstwo, ale podczas poszukiwań twojego Williama natrafiłam na jego wcześniejsze prace.

Słowa „twojego Williama” zabrzęczały w uszach Giselle tak głośno, że nie od razu się domyśliła, co ma na myśli Madame Fur, póki kobieta nie zaczęła mówić dalej.

– Obrazy są wspaniałe. Wyglądasz na nich przepięknie. Świetliście.

– Dziękuję – mruknęła uprzejmie Giselle, choć wiedziała, że piękno jest wyłączną zasługą malarza, który ją na nich uchwycił.

– Podobały mi się zwłaszcza te, na których jesteś

Joanną d'Arc.

Giselle omal nie wypuściła z rąk słuchawki, bo zalała ją z całą mocą fala wspomnień równie żywych jak w dniu, w którym odcisnęły się w jej umyśle – w dniu, w którym pozowała do obrazów.

Ale zgodziła się.

– Dobrze – powiedziała. – Zajmę się tym.

Balet Joanny...

9. Zatańcz ze mną ostatni taniec

Giselle miała tylko miesiąc na to, żeby doprowadzić do perfekcji Balet Joanny: żeby wybrać, zatrudnić i wyszkolić tancerki. W jej kontrakcie zapisano, że artystki nie mogą mieć powiązań z Balem, z żadnym z należących do Sieci klubów ani z organizowanymi przez organizację imprezami.

– To niemożliwe – szepnęła blada Giselle, gdy omawiała z Madame Fur szczegóły.

Starsza kobieta przyleciała z Paryża do Portland, żeby nadzorować postęp prac, i siedziała właśnie w przepastnym, pasteloworóżowym, półokrągłym fotelu. Patrzyła na Giselle nieruchomym wzrokiem spod ciężkich powiek z drugiej strony swojego pokoju hotelowego. Włosy miała ścięte w krótkiego boba i zafarbowane na olśniewający ciemny granat – ironiczny wariant jasnofioletowych płukanek wybieranych często przez kobiety w jej wieku. Miała na sobie gładką, czarną, szytą na miarę garsonkę i skórzane czółenka. Siedziała z nogą założoną na nogę i opierała brodę na

splecionych dłoniach.

Giselle patrzyła jak urzeczona na paznokcie Madame Fur, które były spiłowane w szpic niczym szpony i pomalowane na taki sam głęboki odcień nocnego nieba jak jej włosy. Na jej szyi wisiał duży onyksowy wisiorek na srebrnej obróżce. Kobieta była wciąż szczupła, ale jej skóra zwisała grubymi fałdami jak u indyka, jakby Madame miała mieć w założeniu więcej ciała i jej skóra stosownie do tego się rozciągnęła.

– W tańcu nie ma rzeczy niemożliwych – odpowiedziała Madame Fur. – Musisz być po prostu bardziej kreatywna. Nie starasz się wystarczająco.

Wkrótce po tych słowach Madame przeprosiła ją i wyszła, nie zostawiając Giselle żadnych innych uwag ani choćby minimalnych wskazówek. Było jasne, że przyjechała do Portland, żeby mieć oko na końcowy efekt, zanim zostanie zaprezentowany klientowi, ale nie zamierzała w żaden sposób wspomagać procesu twórczego, który został w całości powierzony Giselle.

Sieć przeniosła Giselle do Nines, do pokoju na przedostatnim piętrze z widokiem na rozległy miejski pejzaż Pioneer Square. Zapewniono jej wszelkie wygody. Łóżko było ogromne, a pościel luksusowa.

Mimo to Giselle nie była w stanie spać. Nie dawał jej spokoju męczący kontrast banału i boskości; ponownie przeżywała w najdrobniejszym szczególe swoją największą i najostrzejszą życiową fantazję, a jednocześnie musiała siedzieć podczas przesłuchań, co

było piękne i męczące, zamawiać baletki, chodzić do sklepów z narzędziami i prosić o odpowiednie przycięcie łańcuchów, które następnie były kasowane po 5,99 dolarów za metr. Była wystawiona na powolną, lecz niezmienną torturę artystki, która tworzy coś pięknego, wyzymając do cna swoje serce i duszę, ale robi to jednocześnie z dystansem i krytycznym podejściem obojętnego widza, jakby to nie własne życie i marzenia rzucała na pożarcie swojej opowieści, ale należące do kogoś zupełnie innego.

Przełożenie treści swoich snów na scenę wydawało się początkowo całkiem łatwe, ale w praktyce okazało się znacznie bardziej kłopotliwe, niż się spodziewała. Sama choreografia wydawała się prostym zadaniem, skoro od czasów dzieciństwa Giselle wyobrażała sobie na okrągło historię Joanny z filmową wręcz szczegółowością. Kiedy jednak odtworzyła wszystkie kroki dokładnie tak, jak widziała je tyle razy w swoich wizjach, liniom jej ciała odbijającego się w dużym hotelowym lustrze brakowało głębi i precyzji, którymi te same ruchy cechowały się, gdy wykonywała je w swojej głowie. Musiała skonfrontować się z faktem, że w soczewce rzeczywistości wszystko wyglądało inaczej niż w zwierciadle wyobraźni.

Zastanawiała się ciągle nad tym, co usłyszała podczas krótkiego wykładu Williama na temat postrzegania i „widzenia”, pewna, że w tym znajduje się odpowiedź i że gdyby tylko potrafiła ją odnaleźć, mogłaby wybudować

most między swoimi fantazjami a sceną, na której zamierzała je wystawić i ożywić.

Przez te kilka tygodni wielokrotnie wracała do galerii Williama. Przed wejściem zawsze zaglądała najpierw przez okno wystawowe, żeby sprawdzić, czy był w sklepie. Za każdym razem, kiedy to robiła, serce podchodziło jej do gardła; jednocześnie modliła się o to, żeby go zobaczyć, i obawiała się tego. Kupowała coraz więcej jego rzeźb, przeznaczając na to hojną zaliczkę, którą Madame Fur przelała jej na konto. Wszystkie powierzchnie w jej pokoju hotelowym stały się domem dla jego dzieł.

William stworzył serię na wpół mitycznych stworzeń. Konika morskiego z trąbą i uszami słonia. Zająca z długimi, smukłymi nogami żyrafy. Zwierzęta były wytworem jego wyobraźni, ale były przy tym niesamowicie realistyczne: efekt pracy umysłu, który postrzegał świat w zupełnie inny sposób, a mimo to był w dalszym ciągu w stanie tworzyć wizualną rzeczywistość dla innych – rzeczywistość, która poruszała serca i przyciągała spojrzenia. Tak jakby William umiał dostrzec istotę danej rzeczy, nawet jeśli nie był w stanie zobaczyć jej samej. Potrafił nadać jej rozpoznawalną przez innych postać.

Był też inny zestaw prac, przed którymi Giselle zatrzymywała się przy każdej bytności w galerii, nie mogąc oderwać od nich wzroku, choć jednocześnie nie potrafiła zdobyć się na to, żeby wejść w ich posiadanie.

Połowy twarzy przedzielone od czoła wzdłuż nosa aż do brody, rozpływające się jak zegary Dalego z rysami zbyt rozmazanymi, żeby dało się je rozpoznać, ale przy tym niezaprzeczalnie ludzkimi i męskimi. Przywodziły Giselle na myśl ten straszny dzień, kiedy William został poparzony, a także blizny, które na skutek tego nosił. Czy właśnie w taki sposób postrzegał siebie po wypadku? I czy mężczyzna, którym kiedyś był, stał się tak odległy, że został zupełnie zapomniany, odcięty, jakby się rozplątał?

Praca nad Baletem Joanny i myślenie o Williamie były czynnościami, których Giselle nie potrafiła rozdzielić. Jedna łączyła się nieodmiennie z drugą. Czuła jednocześnie przygnębienie i uniesienie i nie mogła nic z tym zrobić poza mozolnym posuwaniem się w stronę wyznaczonego terminu z nadzieją, że jakimś cudem uda jej się stworzyć z roztrzaskanych kawałków swojej przeszłości coś pięknego, że uda jej się spleść razem pożądanie wobec mężczyzny, którego nadal kochała, i pokrętną plątaninę swoich najmroczniejszych marzeń, oraz odegrać na oczach publiczności myśli, z którymi do tej pory zdradziła się wyłącznie przed Williamem.

Nie wiedziała nawet, kto będzie zasiadał na widowni. Madame Fur odmówiła informacji na ten temat, a Giselle nie naciskała. Pracowała dla Sieci wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że była tylko kolejnym trybikiem w jej machinie i że dopóki nie straci talentu, Sieć będzie

z niego korzystać, nagradzając ją za to hojnie, ale za nic nie zdradzając choćby skrawka dokładniejszych informacji, dzięki którym Giselle mogłaby poradzić sobie sama. Organizacja trzymała kasę i miała władzę, ale Giselle wiedziała też, że opary ignorancji, które spowijały ją podczas pracy nad Baletem, nadadzą mu szczególny wymiar. Między widownią a wykonawcami istniało milczące, ale zawsze obecne podniecenie, które zmieniało charakter wraz ze zniknięciem anonimowości.

Giselle powoli werbowowała tancerzy. W ciągu kilku pierwszych dni od przyjęcia zlecenia odwiedziła wszystkie miejscowe szkoły tańca, lokale ze striptizem i kluby w mieście i poza jego granicami, ale szybko porzuciła ten trop. Marzyła o tym, żeby złamać ustalenia umowy i ściągnąć do Portland Pinnie czy Lubę albo poprosić o rekomendacje Biankę z Grandu, która jako pierwsza odkryła Rosjankę. Przeszło jej nawet przez myśl, żeby skontaktować się ze swoją dawną znajomą ze szkoły baletowej, Beth. Ale odrzuciła wszystkie te pomysły.

Tu trzeba było czegoś więcej niż talentu czy umiejętności wykonania danego gestu, ułożenia łydki pod odpowiednim kątem czy wygięcia kręgosłupa w pełen życia i emocji sposób. Tyle że Giselle nie doszła jeszcze do tego, czego konkretnie. Ale wierzyła, że się tego dowie, nawet jeśli wiara ta wiązała się z dojmującym uczuciem paniki, że tak się nie stanie, że

któregoś straszego dnia straci swój talent i że nie będzie w stanie wymyślić kompletnie nic.

Pierwszym zwerbowanym członkiem trupy był młody Włoch Antonio, student medycyny, który pracował w hotelu. Wypatrzyła go na jednym z długich, wyłożonych wykładziną korytarzy, kiedy pchał wózek z praniem, wyładowany białymi puszystymi ręcznikami kąpielowymi. W ruchach jego bioder było coś, co kazało jej przystanąć i pójść za nim korytarzem, a na końcu zaprosić go na przesłuchanie. Podejrzewała, że uznał ją początkowo za trochę niezrównoważoną i być może sądził, że jej propozycja pracy w roli tancerza była w rzeczywistości eufemizmem dla zupełnie innego rodzaju zadania, i to takiego, którego z przyjemnością by się podjął, ale tak czy inaczej, przyjął jej ofertę.

Wkrótce potem Giselle ściągnęła do zespołu sprzedawczynię z małego butików niedaleko galerii Williama. Dziewczyna była niska, trochę po trzydziestce i miała olbrzymie piersi – nietypowa tancerka pod każdym względem. Na identyfikatorze widniało imię „Lacey”, które zdaniem Giselle w ogóle do niej nie pasowało. Ale było coś w ostrej linii jej brwi i w sardonicznym uśmiechu, który pojawiał się na jej twarzy, kiedy obsługiwała kolejkę przy kasie, podczas gdy Giselle przeglądała pobliskie wieszaki, co zdradzało skrywaną naturę buntowniczkę. Giselle celowo poprosiła ją, żeby zdjęła szkarłatną sukienkę wiszącą w połowie wysokości ściany, aby móc przyjrzeć

się ruchom Lacey, kiedy sięgnęła po wieszak długim kijem zakończonym hakiem, aby ściągnąć na dół ubranie. Tak, nada się.

Antonio zaproponował do roli Joanny swoją dziewczynę Celię – solidnie zbudowaną Kanadyjkę, która trenowała wioślarstwo, co było widać po szerokich barach i mocnych nogach. Celia była dumna i stała prosto z wysuniętą brodą, w pozie graniczącej z arogancją, ale przy tym z wewnętrzną bezbronnością, która ujawniła się, kiedy stanęła obok Antonia i całkowicie się mu poddała. W ich związku płonął prywatny ogień, który Giselle natychmiast rozpoznała. Uważny i wprawny obserwator szybko potrafił wyłapać typowe sygnały: sposób, w jaki Antonio odruchowo nią kierował, naciskając lekko na jej łokieć. To, że Celia pochylała leciutko głowę, kiedy na niego patrzyła. Zmiana, jaka zachodziła w barwie ich głosu, kiedy do siebie mówili. Jego głos się pogłębiał, jej miękł.

Charakter przedstawienia, do którego ich zaprosiła, początkowo zaniepokoił część z nich ze względu na swoją jednoznaczność i ekshibicjonistyczną naturę, ale oferowane pieniądze szybko uciszyły ich skrupuły.

Na widok Antonia i Celi Giselle odczuwała dziką, palącą zazdrość. Nie dlatego, że zależało jej na którymś z nich, ale dlatego, że pragnęła tego, co ich łączyło, tego, co miała kiedyś z Williamem. Tęskniła za tego rodzaju wymianą energii, a wiedziała, że było to coś, co przychodziło z czasem, a nawet wówczas pojawiało się

wyłącznie w szczególnych okolicznościach, podczas spotkania dwóch osób urodzonych pod tą samą gwiazdą. Nie dało się tego podrobić, kupić, sprzedać ani znaleźć w barze lub ciemnej sali klubu.

Ale im bardziej cierpiała, patrząc na nich, tym głębiej była przekonana, że idealnie nadają się do tej roli. Wiedziała, że im silniej gorzał ogień w jej sercu, im głębiej wbijał się w nią nóż w procesie tworzenia, tym lepsze będą efekty jej pracy. Więc jakoś to znosiła.

Byli też inni. Z konieczności jedynie garstka. Najlepsze – jedyne – co mogła zrobić, to sprowadzić ludzi bez żadnego doświadczenia, zatrudnić tych, którzy mieli te same wewnętrzne demony co ona. Spektakl być może nie będzie dopracowany, ale będzie przynajmniej autentyczny. To najlepsze, co mogła zrobić.

Balet Joanny był dla Giselle czymś więcej niż pracą – to była obsesja. Bez wątpienia właśnie dlatego Madame Fur zatrudniła ją do wyreżyserowania przedstawienia. Ludzie, których stać było na to, żeby zamówić w Sieci organizację imprezy, byli rzadkimi typami – zamożnymi i nietypowymi – i jeśli udałoby się ich zaintrygować, zachwycić i zrobić na nich wrażenie, a nie jedynie zadowolić, to zwykle można było liczyć na to, że powrócą z kolejnymi zamówieniami i że zostawią duży napiwek, niezależnie od astronomicznej kwoty wydanej już na samo przedstawienie. Reputacja Sieci opierała się na legendach bazujących na ostrożnie dozowanych informacjach, a dbanie o zadowolenie klientów z

najwyższego szczebla przez odpowiednią realizację tego rodzaju niedużych, wyspecjalizowanych zamówień było tym, co wynosiło przeciętny Bal ponad zwykły wieczór w klubie.

Giselle rozważała zorganizowanie spektaklu bez dźwięku, jak ten, który wykonała wiele lat temu na Balu, a który odbył się w całkowitej ciemności i od tego czasu zyskał status swojego rodzaju legendy. Ale ostatecznie uznała, że potrzeba im muzyki. Ściągnęła i przesłuchała tysiące piosenek. Chodziła nocą ulicami miasta ze słuchawkami w uszach, starając się znaleźć odpowiednie połączenie mrocznej i jasnej instrumentacji. Ostatecznie znalazła je, ale nie online, tylko w formie singla na CD w jednym z niewielu sklepów z muzyką niezależną, które jeszcze się uchowały. To było solo skrzypcowe, smętne i niepokojące, podszyte jednak refrenem nadziei, który pozostawał po przebrzmieniu ostatnich nut. Utwór wykonywała Summer Zahova, a zdjęcie na obwolucie przedstawiało klatkę piersiową młodej kobiety, częściowo zasłoniętą skrzypcami. Na ramiona opadała jej burza ognistoczerwonych włosów.

Madame Fur zjawiała się na próbie generalnej i bez słowa komentarza zaaprobowwała spektakl, choć Giselle odniosła wrażenie, że w oczach starszej kobiety dostrzegła błysk zadowolenia. Nie miała wątpliwości, że Madame okazałaby swoje rozczarowanie, gdyby nie była usatysfakcjonowana końcowym efektem.

Spektakl został wystawiony w małej kapliczce

przylegającej do okazałego domu w Irvington. W odległości kilku przecznic od docelowego miejsca wszystkim poza Madame Fur zawiązano oczy, więc Giselle nie była pewna dokładnego adresu, ale rozpoznała styl domu po schodach, w górę których została powiedziona, i po przestronnych korytarzach, którymi ją poprowadzono do kaplicy, gdzie przywrócono jej wzrok. Na scenę patrzyło ośmioro gości: po równo mężczyzn i kobiet, usadzonych na przedzie w jednym rzędzie jak wrony na linii wysokiego napięcia. Wszyscy mieli na sobie maski, więc Giselle nie była w stanie zobaczyć, jak wyglądają; wiedziała tylko, że są zamożni, co widać było w kroju ubrań i nienachalnym stylu zegarków i biżuterii.

– Majątek rodzinny – szepnęła jej Madame Fur.

Siedziały z boku w miejscu, w którym ksiądz czekał zwykle przed wyjściem na ambonę. Giselle pokiwała głową. Każda z oglądających spektakl osób miała postawę człowieka, który od dzieciństwa cieszył się przywilejami. Kobiety miały wyprostowane plecy i nie dotykały oparcie drewnianych ławek, na których siedziały. Mężczyźni siedzieli w pewnej sobie, otwartej pozycji dobrze wykarmionych młodych lwów, świadomi swojej siły i napawający się nią.

Giselle odruchowo wygładziła spódnicę, nagle świadoma znaczącej różnicy w swoim statusie społecznym, czym w normalnej sytuacji rzadko zaprzętała sobie głowę.

Tego wieczoru miała na sobie jedną ze swoich starych aksamitnych sukni. Madame Fur zorganizowała przesyłkę. Ciemnozielona szata sięgała do samej podłogi, była usztywniona w talii fiszbinami i miała głęboki dekolt eksponujący piersi oraz koronkowy kołnierzyk, który nadawał Giselle wygląd dziewiętnastowiecznej guwernantki.

Światła były przygaszone, rozległy się pierwsze zawodzące dźwięki skrzypiec – znak dla Celi do wyjścia na scenę. Giselle zorientowała się, że w pracę nad przedstawieniem musiały być zaangażowane również inne osoby, których nawet nie poznała. Oświetleniowcy i technicy dźwięku. Rekwizytorzy. Odsunęła od siebie tę myśl.

Ze swojego miejsca za kulisami miała ograniczoną widoczność. Dostrzegała tylko urywki tego, co się działo na scenie. Mignięcie gołej łydki Celi, jej udo, zaokrąglony pośladek. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie spektakl. Wiedziała, że Celia jest naga i że ma na ciele smugi ciemnoczerwonej farby oznaczające krew, że jej włosy są potargane, a oczy szeroko rozwarte i rozbiegane na skutek walki. Nieduża widownia wciągnęła z sykiem powietrze. Niemal niesłyszalne westchnienie, kiedy Celia i inni tancerze znajdujący się już razem z nią na scenie, zaczęli poruszać się z większą werwą, odgrywając walkę i pojmanie.

W wyobraźni Giselle to ją wleczono teraz na tył sceny i przywiązywano do prowizorycznego drewnianego

słupa, który tam postawiono. Ale nie miała zostać skalana przez żołnierzy, tylko przez Williama. Wyobraziła sobie długie łańcuchy ocierające się o jej skórę, przebiegające między jej udami, wciskające się głęboko w ciało.

Zrobiło jej się słabo i przytrzymała się ściany. Poczwała na ramieniu delikatny dotyk dłoni Madame Fur, nietypowy gest pocieszenia, który jednak nie wystarczył, żeby oderwać ją od jej fantazji. Rwący prąd wspomnień i wyobrażeń wymieszanych z rzeczywistością był zbyt silny; Giselle czuła, że wciąga ją w swój wir.

Zacząła szybciej oddychać. Trzęsły jej się ręce. Dłonie zaczęły się pocić. Otaczające ją ściany i podłogi pod jej stopami zaczęły tracić stabilność, w miarę jak zanurzała się w świat wyobraźni akcentowanej odgłosami swoich fantazji, które przełożyła na ruch odgrywany teraz przez innych.

Jej przeszłość i teraźniejszość, pożądanie i wstyd, ujęte w krokach i muzyce i zamknięte w spektaklu, podczas gdy ona słuchała i przypominała sobie, jak dokładnie to samo robił z nią William – jej kochanek, jej miłość – kiedy dobrowolnie się mu podporządkowała.

Omam nie zemdlala.

Ucichło ostatnie słodkie pociągnięcie smyczka Summer Zahovy.

Madame Fur ścisnęła ją za rękę.

Przedstawienie dobiegło końca.

Ciepły oddech na jej policzku. Muśnięcie skóry jak papieru. Madame Fur szepcząca jej do ucha.

– To było piękne. Moja droga, jest tu ktoś, kto chciałby, żebyś wcieliła się w Joannę.

Giselle odebrało mowę.

– Ja? – szepnęła.

– Tak. Teraz. Zgodzisz się?

Giselle pokiwała głową. Co innego miała zrobić?

Poprowadzono ją z zamkniętymi oczami przez kolejne korytarze, a potem w dół schodami do innego dużego pomieszczenia. Wyczuwała w powietrzu niewyraźne muśnięcie kurzu, jakby pokój od dawna nie był wietrzony. Jeszcze jedno klepięcie w rękę, kiedy Madame Fur dawała jej znać, że ją puszcza, a potem stukanie i chrobot jej obcasów do wtóru niewyraźnego szelestu materiału, kiedy odwróciła się i wyszła. Zaraz potem trzask zamykanych drzwi.

Giselle nie była sama. Usłyszała zbliżające się do niej kroki, lekkie i delikatne, powolne i celowe. Chód był znajomy, ale jednocześnie inny, jak niewyraźne echo dźwięków, które już kiedyś słyszała, tyle że zagranych na innym instrumencie. Poczła zapach, który znała, ale którego nie potrafiła nigdzie umiejscowić. Dotyk na policzku, delikatny. Palec przesuwający się badawczo wzdłuż jej brody.

Dłoń pieścząca jej wargi, a potem zasłaniająca jej usta i na chwilę odcinająca oddech.

Westchnęła i poczuła, że rozluźniają jej się ramiona.

Z jej mięśni uszło całe napięcie. Poczwała się tak, jakby wyjechała na długo i wreszcie wróciła do domu.

Opuszki palców należących do dużych, silnych dłoni musnęły jej kark. Chłodne powietrze koło jej skórę, podczas gdy ktoś zdejmował z niej sukienkę. Strój opadł na podłogę, chrzęszcząc fałdami materiału – niczym szelest towarzyszący rozsuwaniu ciężkiej zasłony. Powietrze wokół Giselle zawirowało, kiedy jej towarzysz schylił się po jej sukienkę i oddalił się, pewnie po to, żeby ją powiesić, a potem wrócił i energicznym ruchem ściągnął jej majtki, obrębione koronką, ciemnozielone satynowe figi pod kolor sukienki. Dłoń, która ściągnęła jej bieliznę, uderzyła najpierw o wcięcie jej talii, a dopiero potem przeniosła się niżej i odnalazła gumkę opiętą nisko na biodrach.

Jej towarzysz rozstawił jej szeroko kostki, a Giselle zachwiała się, potykając się o własne figi leżące niedbale u jej stóp. Stulona dłoń złapała ją za łokieć i przytrzymała. Ale kiedy tylko Giselle odzyskała równowagę, znów została popchnięta. Kiedy już myślała, że się przewróci, otarła się pośladkami o szorstką powierzchnię drewna. Pal. Nieoszlifowany i chropowaty. Została złapana za nadgarstki, które uniesiono nad jej głowę i przywiązano ciasno do drewna.

Głos szepczący „moja Joanna”, głęboki i ochrypy; wspomnienia rozkwitające znów w technicolorze, mieszanina myśli i emocji, sprawiająca, że wszystkie

strefy erogenne rozbudziły się w jednym momencie, niczym iskra spadająca na beczkę z fajerwerkami, które wybuchają jednocześnie.

Jej ciało trzęsło się w niekontrolowany sposób, a zakończenia nerwowe drgały. Siła reakcji jej ciała na bodźce, zarówno dawne, jak i obecne, fizyczne, jak i psychiczne, niemal przytłumiła jej zmysły. Warstwy natychmiastowego pożądania połączyły się z tęsknotą i wytworzyły coś bliższego gorączce niż podnieceniu.

Giselle wciąż śniła, ale jej sen budził się wokół niej do życia, działał się naprawdę. Rzeczywistość i fantazja wirowały na długich korytarzach jej umysłu.

Giselle zaciskała instynktownie oczy i nie otworzyła ich nawet wtedy, kiedy wokół jej nadgarstków i kostek zacisnęły się więzy, nawet wtedy, kiedy ciepłe wargi zaczęły muskać jej sutki, a ostre zęby kąsać jej skórę. Pożądanie wypłynęło z jej cipki i zmoczyło wewnętrzną stronę jej ud. Dłonie złapały ją za nogi i rozchyliły jej ciało, a język zlizwał krople, które z niej wypłynęły, niczym pszczoła spijająca nektar.

Palce sondowały kontury jej ciała, jakby nanosiły każdy jego centymetr na mapę, jakby je badały i eksplorowały niczym nieznany teren po raz pierwszy przemierzany przez człowieka. Dotyk był delikatny i powolny, ale w swojej wyobraźni Giselle widziała, jak jej oprawcy chłoczą ją i kneblują, przez co nacisk każdej delikatnej pieszczoty wzmagał się stokrotnie, a mięśnie opuszków zamieniały się w miazdzące ciosy.

Giselle wiała się, choć ledwie była w stanie się ruszyć, mocno przywiązana do drewnianego słupa.

– Joanno – odezwał się znów głos, który знаła każdą cząstką swojego jestestwa. To był głos z jej przeszłości i przyszłości, głos rozpaczy i nadziei, głos z jej snów i z rzeczywistości.

Doszła.

Jej orgazm wydobywał się stopniowo z jej głębi, początkowo w formie iskry wrzącej i kipiącej w jej lędźwiach, która w pędzie ogarnęła całe ciało jak dziki ogień – szarpiący całym ciałem i wyprężający plecy orgazm, który rozpałił jej serce i umysł na równi z fizycznością.

Powoli opadły wstrząsy szarpiące jej ciałem. Wizje, które zawładnęły jej umysłem, rozplynęły się. Giselle wiedziała zaś, że nie spłonęła w pożodze, która rozpałiła jej ciało, tylko narodziła się na nowo, gotowa na świeże pędy wyrastające spod popiołów.

Rozwiązano ją.

Otworzyła oczy, a noc, w której dobrowolnie się zamknęła, w końcu ustąpiła.

Pomieszczenie spowite było bladym światłem. W miarę jak jej wzrok oswajał się z nowym otoczeniem, odkrywała, że pokój ciągnie się w nieskończoność, przekracza granice jej pola widzenia i przypomina scenę czy nawet jaskinię.

Jej oddech wciąż był skrócony i łapczywy.

Jej ciało chwiało się niebezpiecznie, balansując między bólem, rozkoszą i przerażeniem. Jej umysł przypominał zamroczone kłębowisko myśli i przerażenia.

Zamrugąła.

Wypłynęła z ciemności.

I oto zobaczyła jego.

William.

Siedział w cienkiej smużce światła, zwrócony twarzą do niej, zaledwie kilka kroków dalej. Jego twarz niknęła w półmroku.

To nie był sen, tylko rzeczywistość.

Giselle była naga, włosy miała potargane, czuła się nieprzyjemnie spocona, ale to już nie miało znaczenia. W końcu miała przed sobą mężczyznę, który pierwszy nauczył ją, jak łączyć nagość z niewinnością, jak być dumnym z własnego ciała, jak w pełni odpowiedzieć na wezwanie zmysłów i zaprezentować się światu.

Uśmiechał się, ale w kącikach pustych oczu widniał ślad łez.

Dopiero wtedy Giselle przypomniała sobie, że jej nie widział. Był niewidomy. Cuda nie istniały, nawet w fantasmagorycznym świetle Balu. Poczowała ból w sercu.

Odezwał się, jakby wyczuwając, że Giselle uświadomiła sobie jego obecność.

– Giselle.

Jego głos miał fakturę grubego aksamitu: był ciepły,

troskliwy, melancholijny.

– To ty?

– Tak. A spodziewałaś się kogoś innego? – W jego tonie dało się wyczuć cień ironii.

– Nie. – Nawet wtedy, kiedy była zanurzona w głębokiej nieświadomości, dryfując na fali szalejących emocji, zupełnie bez kontaktu z rzeczywistością, w jakiś sposób wiedziała, że tylko William mógł zaaranżować jej ekstazę. Nikt inny nie był do tego zdolny. Nigdy.

– Chcę cię dotknąć – powiedział i wstał, nie czekając na jej odpowiedź, po czym podszedł do niej pewnym krokiem. Mimo swojej niepełnosprawności dokładnie wiedział, gdzie stała, i wyczuwał, że nie ruszyła się z miejsca.

– Ale przecież już mnie dotknąłeś – odpowiedziała, odruchowo odwracając głowę, żeby się upewnić, że rzeczywiście nikogo innego tam nie było.

– Zgadza się – przyznał. – Ale teraz chcę dotknąć Giselle, a nie Joanny.

Powoli wracały jej zmysły i zobaczyła wyraźnie jego twarz.

Jego włosy były nadal plątaniną gęstych loków odstających we wszystkich kierunkach, nieujarzmionych i zupełnie siwych. Twarz nosiła już jednak oznaki starzenia: czoło przecinały głębokie linie, a w kącikach oczu usadowiła się pajęczna sieć zmarszczek. Broda była w kolorze włosów i zasłaniała blizny na policzkach. Na grzbiecie nosa kładł się cień. Ale William nadal

emanował tą samą zwierzęcą energią, która całkowicie ją rozbrajała.

Poczuła ucisk w żołądku.

Kiedy do niej podszedł, przewyższał ją o głowę i znajdował się tak blisko, że słyszała jego oddech i czuła na twarzy jego ciepło. Omal nie zemdląła, wyczuwając jego charakterystyczny zapach.

– Mogę? – zapytał.

Nie była pewna, o co prosi. Oblizła wargi.

Jego martwe oczy powiodły po jej ciele, a Giselle mogłaby przysiąc, że William widzi jej twarz w najdrobniejszym szczególe, że potrafi wyczuć dreszcz emocji przebiegający po jej wilgotnej skórze, odczytać strach i wyczekiwanie w jej spojrzeniu, wytropić niewidzialne blizny, które odcisnął na jej skórze upływ czasu, lata z dala od niego.

William uniósł ręce i dotknął jej twarzy.

Czas stanął w miejscu.

Twarde opuszki pieściły jej policzki i przesuwwały się zmysłowo po jej skórze, przywołując tak wiele wspomnień, tym jednak razem bez zbędnego udziału widmowych fantazji. Jego palce podążały za kształtem jej policzków, rysowały opadającą linię nosa, oznaczały na mapie wydatne wargi, wędrowały z imperialistycznym rozleniwieniem, rzeźbiąc jej kontury w najdrobniejszym szczególe, na nowo się jej ucząc.

Giselle stała nieruchomo jak posąg, podczas gdy William pochylał się nad nią, zaznajamiając się na

powrót z jej ciałem i miękkimi liniami, tworząc na nowo przeszłość i powołując ją do życia na własny, szczególny sposób. Nie była już jego Joanną, tylko jego Giselle.

Jego dłonie zsunęły się niżej, muskając sutek, szacując ciężar piersi z precyzją i delikatnością jubilera oceniającego rzadki kamień, rysując linię między delikatną doliną rozdzielającą ją pośladki, zanurzając się w wilgoć między jej udami. William wsunął mokry palec do ust i oblizał go chciwie, wzdychając na koniec z zadowoleniem, najwyraźniej uspokojony faktem, że Giselle wciąż smakuje tak samo. W ciszy ogromnego pomieszczenia odbywała się dobrze znana ceremonia powitania.

Ze względu na ślepotę Williama każdy gest i ruch wydawał się przepełniony czułością i podniosłością, której Giselle nigdy wcześniej nie doświadczyła, zamieniając karnawał dotyku w niemal religijną uroczystość.

Giselle spróbowała oczyścić głowę z wszelkich zbędnych myśli, pragnąc skupić się w pełni na niezwyklej chwili ponownego spotkania.

William ścisnął dwoma palcami jej łechtaczkę, a Giselle zrobiło się słabo i wpiła się palcami w jego plecy.

– Tak – westchnął. Wyciągnął palce z waru jej cipki, złapał ją w talii i ułożył delikatnie na podłodze.

Pieprzyli się.

I było tak, jakby dzielące ich dekady nigdy nie miały miejsca.

Jakby ustąpiły pod wpływem szaleńczego stosunku.

Zwolnili.

A potem się kochali. Zaspokoiwszy pierwszy głód, zmienili tempo na bardziej leniwe. Ze swojską swobodą, z sercami bijącymi w jednym rytmie, w miarę jak każde z nich przypominało sobie odpowiednie gesty i osobliwości, które ich pobudzały. William delikatnie ukąsił ją w płatek ucha, a potem polizał ukradkiem bruzdę między jej uchem a szyją – pieścizna, przy której z niewyjaśnionej przyczyny Giselle całkowicie się rozpląwała; ona natomiast przypomniała sobie, jak William wije się z niepohamowanej rozkoszy, kiedy wsadzała mu głęboko w odbyty palec, podczas gdy on posuwał ją w pozycji na misjonarza. Poczwała, jak ich złączonymi ciałami wstrząsa dreszcz.

Krzyknęli głucho.

Jęknęli.

A potem znów się pieprzyli.

Ciała zmagają się ze sobą, walczyły, odstawiały balet wyswobodzonego pożądania, skóra przy skórze; ich płyny mieszały się, cudowny koktajl spermy, śliny i wydzielin z okolic intymnych, rozgrywki władzy i dominacji, uległości i akceptacji, flirt z otchłanią w wiecznej, szaleńczej pogoni za nirwaną i spokojem. Poszukiwanie schronienia w czasie burzy.

Kochali się.

Całowali.

Pieścili.

Pieprzyli się do bólu, skóra i emocje misternie ze sobą połączone, wtopione w siebie, zespolone w intymności.

Później w wygodnym pokoju hotelowym.

– To ty, prawda?

– Ja?

– Te rzeczy. Które przychodziły pocztą.

– To ja.

– Tak myślałam, ale nie miałam do końca pewności. Mogłeś dołączyć jakiś liścik. Jakies wyjaśnienie.

William rozprostował nogę, złapał stopą kołdrę i pociągnął ją w dół, odsłaniając pierś Giselle. Giselle odruchowo podciągnęła pościel do góry i znów się nakryła. Od bardzo dawna nie spała w jednym łóżku z żadnym mężczyzną, odwykła od dzielenia się pościelą i kołdrą, była raczej przyzwyczajona do rozkładania się bez skrępowania na miękkim materacu jak pajak.

– Mogłem – przyznał William, po czym znów zamilkł.

– Są piękne. Zawsze miałeś utalentowane dłonie.

– To wszystko, co mi zostało po utracie wzroku. Muszę rozszyfrowywać świat za pomocą dotyku. Ale nie przeszkadza mi to, polubiłem to, nauczyłem się czerpać przyjemność z dotykania rzeczy i ludzi. Wiesz, że większość przedmiotów i ludzi wibruje? To dziwne. Ciemność wzmacnia tak wiele doznań. Człowiek

porusza się między dźwiękami i zapachami.

– Dlaczego przestałeś pisać? Dlaczego nie zostawiłeś adresu zwrotnego i nie pozwoliłeś, żebym ci odpowiedziała?

– Z jednej strony miałem poczucie, że źle postępuję. Chciałem, żebyś zaczęła nowe życie, nieobciążone moją obecnością. Nie chciałem, żebyś stała się zależna od inwalidy, który był do tego starszym mężczyzną...

– Wiek nigdy nie miał dla mnie znaczenia, nawet przed... – Giselle urwała.

– Incydem?

Tak.

– Wiem, ale któregoś dnia stałbym się dużo starszy od ciebie, jak teraz, a ty wciąż byłabyś młoda.

– Teraz jedziemy na tym samym wózku. Też mam już siwe włosy.

– Mogę się tylko tego domyślać. Ale cieszę się, że ich nie ścięłaś. Wystarczyło, że przesunąłem między nimi palcami, żebym zrobił się twardy...

– Złotousty jak zawsze.

– Poza tym nawet gdybym podał adres, to na pierwsze listy i tak byś nie odpowiedziała.

– Wiem.

Bo miała zbyt duże poczucie winy, czuła się zbyt wściekła i zagubiona.

Jej dłoń wsunęła się pod kołdrę i pogładziła jego uśpiony członek. Zadrżał pod wpływem jej dotyku, jakby był żywy; w jego nabrzmiąłych żyłach dało się

wyczuć bicie serca Williama. Giselle chwyciła go całą dłonią. Poczowała, jak sztywnieje. Znowu.

– Mam wrażenie, jakby nic się nie zmieniło.

– Liczyłem lata – powiedział William.

– Ja też. Tęskniłam za tobą każdego dnia.

– Ja starałem się nie tęsknić, ale chcąc nie chcąc, i tak o tobie myślałem. Dużo. Często wyobrażałem sobie, że jestem jakimś nieznanym, który spotyka cię po raz pierwszy, skrada ci całusa, dotyka cię po raz pierwszy, rozbiera cię. Zastanawiałem się, jakby to było być dla ciebie jak zupełnie nowy mężczyzna. Mam świadomość, że przez tak długi czas musiałaś poznać innych mężczyzn. Nie chciałbym nawet, żeby było inaczej, ale byłem zazdrosny o każdego z nich, niezależnie od tego, czy znałem ich osobiście, czy nie. To, jak na ciebie patrzyli, jak cię traktowali. Chciałem zamienić się z nimi miejscami. Chciałem znaleźć się w tobie, dać się rozpaść twoim ogniom. Właśnie dlatego wyrzeźbiłem w końcu te gadżety, z drewna i kamienia, polerowałem je z zapałem, mierzyłem ich długość i obwód, ważyłem je, póki miałem pewność, że były takie, jak trzeba, póki nie było wątpliwości, że cię wypełnią i że idealnie będą do ciebie pasować. To był mój sposób na to, żeby znów cię poznać, choć nie bezpośrednio...

Giselle westchnęła. Chciała powiedzieć, że nie pamięta już żadnego z tych mężczyzn, ich imion, wyglądu czy uśmiechu, że z tyłu głowy, w dalekiej, obojętnej części jej umysłu, pozostał jedynie zlewający

się w jedno obraz ich sterczących fiutów. Chciała mu wyjaśnić, że każdy z nich był jedynie środkiem do celu, narzędziem, pretekstem pozwalającym zagłuszyć pustkę. Przez chwilę ją kusiło, żeby spytać Williama o kobiety, które poznał w tym samym czasie, ale uświadomiła sobie, że wcale nie chce się o nich dowiedzieć, że nie jest w najmniejszym nawet stopniu zazdrosna.

Zamknęła oczy. Nie wiedziała, czy na dworze jest dzień czy noc. Siedzieli tu tak długo. Czas znieruchomiał, został zapomniany, podczas gdy oni trwali w objęciach.

– Opowiedz mi o Nowym Orleanie – poprosił William. – Gdzie mieszkasz?

Giselle próbowała opisać mu miasto, jego urok i atmosferę, ale słowa ją zawodziły, i zdawała sobie sprawę, że jej wyjaśnienia są prozaiczne i mało inspirujące; nie była w stanie oddać istoty tego miejsca. Mogła opowiedzieć o dziesiątkach sytuacji, kiedy wracała o świcie do Miejsca po bezmyślnym pieprzeniu się lub spotkaniu z jeszcze jednym szablonowym kochankiem, o tym, jak wyobrażała sobie w drodze powrotnej, że czekając na nią na stopniach przed głównym wejściem, będzie siedział William. Że będzie miał dla niej czułe słowa przebaczenia, a nawet że będzie miał zdrowe oczy, a jego obecność będzie dla niej ostoją spokoju. Ale na schodach nigdy nikt nie czekał. To było tylko nawracające marzenie, którym sama siebie dręczyła.

– Myślę, że by ci się tam spodobało – powiedziała. – To bardzo zmysłowe miejsce. – Miała zamiar wspomnieć o pałacie kolorów, ale przypomniała sobie, że był to element zmysłu, którego William został pozbawiony, co dla malarza musiało być wyjątkowo bolesne.

Wyczuwając jej rosnące zakłopotanie, William przytulił się do niej, obejmując ją swoimi silnymi ramionami. Spłynęło na nią jego naturalne ciepło.

– Chodź tutaj – poprosił, więc Giselle położyła głowę na jego piersi.

Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy będąc stale zanurzonym w mroku, nadal widzi ją tak jak wtedy, kiedy się poznali: jako młodą dziewczynę bez skazy, czy może wędrujące po niej dłonie i palce były w stanie rozpoznać to, jak się zmieniała, jak się zestarzała. Uznała, że pewnie było po części i tak, i tak.

Wyczerpani wysiłkiem w końcu zasnęli, trzymając się za ręce.

Następnego ranka na żadne z nich nie czekały obowiązki związane z Balem, więc William poprosił Giselle, żeby zawiozła go nad morze, które znajdowało się mniej więcej godzinę jazdy z Portland. Jeden z pracujących dla Balu sztukmistrzów zgodził się pożyczyć im samochód.

– Chcę znów poczuć morską bryzę – powiedział William. Od dawna chciał odbyć taką podróż, ale nigdy nie nadarzyła się okazja.

Przed wiekiem Oregon stanowił żyzne siedlisko imigracji z krajów skandynawskich. Wybrzeże na północ od Portland było urwiste i skaliste, pełne głębokich, malowniczych fiordów wcinających się ostro w ląd. W dole pienię się burzliwe morze, w powietrzu powoli podnosiła się mgła – po legendarnej Gorączce Złota to ten właśnie nieujarzmiony krajobraz przyciągał tak wielu przybyszów ze Skandynawii. Większość zajęła się wyrębem lasów, ale część założyła winnice rozsiane po całej dolinie Willamette. Kiedy je minęli, droga weszła w gęsty las sosnowy, który kończył się na wybrzeżu. William siedział na siedzeniu pasażera, niewzruszony, obojętny na mieniącą się kolorami jesień widoczną za oknami samochodu. Kiedy dojeżdżali do morza, otworzył okno i wciągnął głęboko w płuca powietrze.

Trzymając go za rękę w niepewności, czy powinna ścisnąć ją mocno, czy zwyczajnie poprowadzić go krętą ścieżką na klif, Giselle powiodła Williama z parkingu na cypel, z którego rozciągał się widok na wzburzony ocean. Kiedy William znajdował się w otoczeniu, które dobrze znał, poruszał się z zadziwiającą łatwością, całkowicie zaprzeczając swojej ślepotcie, ale w nowym miejscu potrzebował pomocy. Nie chciał używać laski. To było coś więcej niż kwestia zasad, to była kwestia uporu i dumy.

Znaleźli drewnianą ławkę. Deski były wilgotne od oceanicznego wiatru. Usiedli.

Widok był zachwycający. Fale rozbijały się z hukiem o skały, horyzont przygniatało stado wielkich jak mastodonty szarych chmur zasnuwających niebo, biorących w posiadanie jego bezmiar, pokazujących przyglądającym się ludziom, kto tak naprawdę włada planetą.

Giselle chciała opisać Williamowi to, co widzi przez zasłone mgły, ale on wyczuł, że otwiera usta, i poklepał ją po ręce, sugerując, żeby lepiej pomilczeć.

Giselle było zimno, bo nie wzięła ze sobą nic cieplejszego, więc oparła głowę na ramieniu Williama w poszukiwaniu jego ciepła. Miał na sobie rozciągnięte dzinsy i grubą bluzę. Pachniał farbą, tytoniem i wyschniętym potem. Pachniał sobą.

Znów miała ochotę się odezwać, ale William ją uciszył.

– Nie mów niczego, czego mogłabyś później żałować – powiedział. – To chwila, przepiękna, ale ulotna. Nie ma po co mówić o miłości, a tym bardziej o dniu jutrzejszym, Giselle.

Kontemplowali w ciszy ocean.

Tej nocy znów spali w pokoju, który został jej przydzielony przez Sieć. William zdążył zapomnieć jego rozkład, bo miał ograniczony czas na to, żeby zapamiętać położenie mebli, więc po drodze z łazienki potknął się, zahaczając kolanem o kant łóżka. Nie zaproponował jeszcze, że zabierze ją do swojego mieszkania przylegającego do galerii, twierdząc, że

głupio by było tłoczyć się w jego małym pokoiku, podczas gdy ona miała do dyspozycji takie luksusy.

Odgonił ją z poirytowaniem machnięciem ręki i wstał.

– Widzisz? – powiedział. – Chyba nie chcesz bawić się w moją niańkę? Masz lepsze rzeczy do roboty.

Takie jak szkolenie kobiet w subtelnej sztuce uwodzenia i tańca? Przydzielanie im niemoralnych zleceń polegających na publicznym uprawianiu seksu ku uciechu bogatych podglądaczy, a wszystko to pod pozorem sztuki? Praca w ogrodzie? Zapełnianie pustki nocy i pocieszanie się w ramionach nieznajomych, póki była jeszcze wystarczająco atrakcyjna? Czy byłaby w stanie wrócić do tego życia teraz, kiedy odnalazła Williama i drżała pod wpływem jego dotyku, wypełniona jego siłą i rozpaczą? To nie miałyby sensu.

Madame Fur zaproponowała jej pracę przy kolejnym Balu, który miał się odbyć gdzieś na dalekiej północy. W planach było skomplikowane przedstawienie, tancerki na lodzie rozmieszczone na gigantycznych zmrożonych połaciach jak morskie ptaki. William też był oczywiście mile widziany. Trzeba było wyrzeźbić wiele przedmiotów, rekwizytów i scen, które miały być nie tylko piękne, ale i funkcjonalne.

Propozycja była kusząca. Ale wszystko to było w fazie prototypu. Madame Fur zapewniła ich, że w Sieci jest miejsce dla nich obojga, bez względu na to, czy zdecydują się jechać. Nie musieli podejmować decyzji

natychmiast. Mogli spokojnie się zastanowić.

Odnaleźli razem spokój.

Nauczyli się od nowa, jak znów być parą i jak zapomnieć o latach rozłąki.

Co nie było łatwe.

Unikali rozmów o przyszłości i o tym, co każde z nich być może będzie chciało robić później.

Trzecia w nocy; William w szponach koszmarów. Ogień kolejnego pogrzebanego wspomnienia z czasów sprzed Giselle? Trzyma się kurczowo pościeli, rozgorączkowany, bezbronny. Zaniepokojona Giselle przytula go, bierze go za rękę, uspokaja, znów targana poczuciem winy z powodu mroku, w którym musi żyć. Skóra zmysłowo przyciśnięta do skóry uruchamia synapsy pożądania; dopasowywanie pozycji, delikatne wchodzenie do portu, początkowo powoli, po czym następuje zmiana biegu; robi się wilgotno, członki stapiają się ze sobą, znajomy, porywający walc seksu.

Kolejna noc; cisza głębsza niż ocean. Giselle w sieci własnego obłądu, znów jako Joanna, wyobraża sobie ból, pragnie go wbrew rozsądkowi obecnemu gdzieś z tyłu jej głowy, batalion mnichów bez twarzy rozrywa ją, rozciąga na kole podczas ceremonii spowiedzi, sutki katowane ostrzami noży i monstrualnymi narzędziami, gardło zaciskające się pod naporem szorstkiej liny, aż tkwiący w nim gdzieś głęboko krzyk nie jest już w stanie znaleźć ujścia. William przesuwa się wargami po jej policzkach, scałowuje jej łzy, bierze ją w ramiona, tuli

ją, a potem ciężka masa jego ciała znika pod kołdrą, a język pociesza jej łechtaczkę i z wprawą nadaje kierunek rodzącej się ścieżce pożądania. Jego członek w jej ustach, aksamitnie gładki i twardy w jej wybornej miękkości. Karmi ją.

Noce.

Epilog

Był sylwester.

Na Jackson Square, gdzie rozstawiono tymczasową scenę, na której miały zagrać zespoły bluesowe i jazzowe, kłębiły się tłumy. Zarezerwowali z wyprzedzeniem stolik na dziesiątą wieczór na górnym piętrze Tujague na Decatur, naprzeciwko Café du Monde, gdzie po ciastka i kawę ustawiały się długie kolejki balowiczów, podczas gdy uliczni artyści nadawali balonom coraz to dziwniejsze i niejednokrotnie obsceniczne kształty, a wokaliści bluesowi zabawiali wszystkich dokoła, sprzedając przy okazji z otwartych pokrowców na gitary wyprodukowane metodą chałupniczą płyty.

O północy goście mieli wyjść na balkon, aby zobaczyć elektryczną świecącą kulę opadającą na fasadę starego browaru Jax, a także pokaz sztucznych ogni wystrzeliwanych z barek zacumowanych na Missisipi.

William poprosił Giselle, żeby opisała mu fajerwerki. Odmówiła.

– Jak według ciebie mam to zrobić, Williamie? – zaprotestowała. – To tylko kolorowe światełka, a do tego achy i ochy, sam wiesz... – Choć rozumiała tego rodzaju prośby, miała ochotę mu wytłumaczyć, że ona potrafi operować emocjami, a nie słowami.

Postanowili, że podczas gdy pozostali goście sylwestrowi wyjdą na zewnątrz, oni zostaną w środku i będą się raczyć dobrym koniakiem i kawą, a do tego sernikiem pralinkowym i puddingiem z chlebka bananowego. Tujague było jedną z ich ulubionych restauracji, a William zaklinał się, że serwowany tam tradycyjny mostek wołowy był najdelikatniejszym mięsem, jakie jadł w życiu.

W ciągu kilku tygodni od przyjazdu do Nowego Orleanu William zakochał się w kreolskim jedzeniu i kulinarnych specjałach, jakie miało do zaoferowania miasto. Giselle nigdy nie umiała gotować, ale teraz kupiła sobie kilka książek kucharskich i zaczęła powoli szlifować swój warsztat, chcąc dogodzić zdrowemu apetytowi Williama. Nigdy wcześniej nie przyszłoby jej do głowy, że mogłaby stać się taką domatorką. I to w całkowitej zgodzie ze sobą. Była szczególnie dumna ze swojej zupy z owoców morza.

Czasem kiedy gdzieś wychodzili, przez większą część trwania posiłku milczeli, rozkoszując się jedzeniem i wspólną ciszą. Jak stare dobre małżeństwo, pomyślała Giselle. Na ulicy trzymali się za ręce, jakby całe życie spędzili razem. William nie używał laski, nosił tylko

ciemne okulary, a dzięki jej subtelnym wskazówkom chodził tak pewnym krokiem, że tylko nieliczni przechodnie zauważali, że jest niewidomy. Giselle była z niego dumna.

Reszta gości zaczęła przemieszczać się na balkon, żeby wziąć udział w sylwestrowych uroczystościach. Giselle i William zostali na swoim miejscu.

Młoda kelnerka w surowym, czarno-białym stroju zaproponowała im dolewkę. Miała długie, zgrabne nogi otulone ołówkową spódnicą, a jej jędrny tyłek napierał na obcisły materiał. Kasztanowate włosy były upięte w ciasny kok. Poruszała się z gracją, a Giselle miała ochotę zapytać ją później, czy kiedyś tańczyła. Miała zabójcze kości policzkowe i małą niebieską gwiazdkę wytatuowaną na szyi. Giselle nie zarządzała już Miejscem, ale w dalszym ciągu utrzymywała kontakty z klubem i Siecią i zawsze była wyczulona na nowe talenty.

– O czym myślisz? – zapytał William, zaalarmowany subtelną zmianą w jej milczeniu.

– Później ci powiem – odparła Giselle, bo kelnerka nalewała im właśnie wrzącej kawy ze szklanego imbryczka. Drugą rękę trzymała z tyłu na plecach w myśl tradycyjnych zasad usługiwania. Obsługując ich, patrzyła Giselle w oczy.

Bardzo konkretna możliwość, pomyślała Giselle. Przebłysk tej buntowniczej natury doskonale by się sprawdził, gdyby dziewczyna choć trochę lubiła tańczyć.

Lub gdyby lubiła seks, a było widać, że tak jest, bo zdradzała ją postawa ciała i błysk w oku. Giselle stała się już specjalistką w tej dziedzinie.

William uniósł głowę, wyczuwając obecność kelnerki i kontakt, który nawiązała milcząco z Giselle. Grymas na jego twarzy zamienił się w niewyraźny uśmiech.

Z dworu dobiegły ich oklaski i okrzyki.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedziała kelnerka.

Jej życzeniom zawtórowała przytłumiona fala wystrzałów, bo właśnie rozpoczął się pokaz sztucznych ogni.

William posłał Giselle całusa nad stołem zastawionym pustymi talerzami i kieliszkami. Złapała go za rękę. Kelnerka oddaliła się, zanim Giselle przyszło do głowy, że mogła jej dać swoją wizytówkę.

Patrząc na cienką pajęczynę zmarszczek wytrawionych głęboko na twarzy Williama, Giselle poczuła, że ogarnia ją spokój. Kilka tygodni wcześniej podczas wizyty w Paryżu przystrzygł brodę, co w jakiś sposób sprawiło, że wyglądał młodziej i mniej niechlujnie. Niemal jak zupełnie nowy człowiek, wyrzeźbiony w bólu i ogniu doświadczeń. Jego tęsknoty zniknęły, a w ich miejsce pojawiła się łagodna akceptacja – uczucie, które Giselle też już знаła. Pogrzebali przeszłość i wchodzili w Nowy Rok w stanie psychicznej nagości, odrodzeni. Razem.

Postanowili nie wyjeżdżać z Balem na północne

puszki i zamiast tego zrobić sobie na jakiś czas przerwę od ekscesów Sieci. William zapytał, czy zanim osiądą na stałe w Nowym Orleanie, jak zaproponowała Giselle, mogliby pojechać na jakiś czas do Paryża. Ostatni spacer wzdłuż Sekwany, przechadzka wąskimi uliczkami i ruchliwymi bulwarami, pielgrzymka do źródeł, szpik i ślimaki w czosnku w restauracji przy Rue Guisarde, gdzie stoliki nakrywano serwetami w tureckie wzory i gdzie kiedyś bywali regularnie, zapachy targu kwiatowego w cieniu Notre Dame. William uznał, że wręcz wypada tam wrócić, zanim rzucą się w wir zupełnie nowego życia – wykonać ostatni ukłon w stronę przeszłości, z wszystkimi jej radościami i tragediami, rodzaj egzorcyzmu. Początkowo Giselle stresowała się tą perspektywą, ale William szybko przekonał ją do wyjazdu. Z Portland i Seattle nie było bezpośrednich lotów za Atlantyk, więc William wyszukał okrężną trasę z przesiadką w Montrealu i poprosił Giselle, żeby zatrzymali się tam na dwa dni. Stamtąd pochodził i było to kolejne miejsce, z którym chciał się pożegnać: pójść na grób rodziców, ostatni raz wspiąć się na najwyższe wzgórze w mieście, zanurzyć się w tym wycinku swojej przeszłości, o którym Giselle niewiele wiedziała.

Zgodziła się.

– *Oui, Monsieur Tremblay* – powiedziała.

William uśmiechnął się szeroko.

– *Merci, Mademoiselle Denoux.* – Dziwnie było znów

być nazywaną Mademoiselle. Wszystkie tancerki z Miejsca przez całe lata posłusznie zwracały się do niej per Madame! Giselle zawsze kładła to na karb swoich nieodłącznych aksamitnych sukni, które celowo nosiła jako menedżerka, ale chodziło o coś więcej. O jej sposób bycia.

Ku swojemu zaskoczeniu Giselle z trudem rozumiała francuski w Quebecu, dziwną mieszaninę gwary i gardłowego akcentu połączoną z archaicznymi słowami i wyrażeniami. Czuła się jak cudzoziemiec na obcej ziemi. Nie była już niezastąpioną przewodniczką Williama, a stała się raczej pasażerką, której wszystko musiał tłumaczyć, kiedy wydawał polecenia taksówkarzowi. Rano przed wylotem z Montrealu zabrał ją do niedużego muzeum na Mount Royal, w którym można było zobaczyć stałą ekspozycję miejscowych artystów.

– Ale po co? – zapytała Giselle, boleśnie świadoma jego ślepoty oraz faktu, że nie będzie w stanie zobaczyć wystawionych tam dzieł.

Nie odpowiedział. Mruknął coś pod nosem, kiedy opisywała mu układ sal.

– Jeśli wszystkiego nie poprzestawiali – poinformował – powinien być w sali po prawej. – Wzięła go za rękę i zaprowadziła we wskazane miejsce.

Podeszli do ściany w głębi. Na tle bielonego kamienia wisało pół tuzina różnych obrazów.

Giselle przebiegła wzrokiem po ekspozycji i szybko

zwróciła uwagę na wiszące na środku średniej wielkości malowidło. Natychmiast rozpoznała ten styl. Nie dało się go z niczym pomylić.

Był to obraz Williama, którego nigdy dotąd nie widziała.

Wstrzymała oddech.

Był zatytułowany *Jeanne au Bucher*.

– Joanna na stosie.

Hiperrealistyczny wizerunek Joanny d’Arc przywiązanej do drewnianego pała, otoczonej bezimiennym tłumem. Płomienie lizały jej stopy, a wokół wznosiły się kamienne mury wież w Rouen. W odróżnieniu od klasycznych przedstawień, tu Joanna była zupełnie naga. Zza słupa dymu wzbijającego się ponad językami ognia, które pochłaniały już Dziewicę, błyskały jej nieduże piersi, otwarte, czerwone rany znaczące jej blade ciało jak stygmaty, nagie części intymne.

Giselle przełknęła ślinę.

– Dlatego od samego początku cię pragnąłem. To było przeznaczenie, nie sądzisz? – powiedział William przyciszonym głosem w uroczystej ciszy niewielkiego muzeum.

Giselle wpatrywała się w twarz Joanny. Miała jej oczy. I wbrew temu, czego można by się spodziewać, jej twarz nie wykręcała się z bólu, tylko z rozkoszy. Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Giselle zatrzęsała się na całym ciele. Jakby sama

płonęła na stosie.

Przy ramie obrazu widniał kartonik z nazwiskiem malarza i datą powstania dzieła.

William Tremblay. Obraz został namalowany dokładnie dwa lata przed tym, zanim się poznali.

– Już wtedy o tobie myślałem – powiedział William. – To był pierwszy obraz, który sprzedałem do galerii.

Trzy dni później w Paryżu Giselle obudziła Williama w środku nocy w pokoju hotelowym niedaleko Ogrodów Luksemburskich i zaprowadziła na cypel na końcu Ile de la Cité przy Pont Neuf. W całkowitej ciemności, osłonięta przed wzrokiem nieznamym, rozebrała się na zimnym, jesiennym wietrze i poprosiła Williama, żeby się z nią pieprzył. Doszła z krzykiem, a odgłosy jej rytualnego oczyszczenia poniosły się wzdłuż rzeki jak ptaki wypuszczone z uwięzi.

Nadziana na niego, raz na zawsze uwolniła się od swoich wspomnień i demonów.

Młoda kelnerka przyniosła im rachunek. William zaczął szukać karty kredytowej w wewnętrznej kieszeni marynarki. Podczas pobytu w Paryżu podpisał lukratywny kontrakt z galerią przy Rue du Cherche-Midi, której wcześniej dostarczył próbki swoich małych, intymnych figurek. Zaoferowano mu pokazną prowizję za serię posążków i większych rzeźb.

William domyślił się, że kelnerka zaintrygowała Giselle.

– Niech zgadnę... Zastanawiałaś się, jak by się

sprawdziła w roli tancerki? – zapytał, kiedy kobieta oddaliła się w stronę kasy.

– Chyba dysponujesz drugim wzrokiem – stwierdziła Giselle. – Tak właściwie to równie dobrze nadawałaby się na modelkę. Spodobałaby ci się. Ma w sobie coś takiego, *je ne sais quoi*...

– No tak, ale teraz, żeby rzeźbić, muszę dotykać źródła inspiracji, pieścić je, ugniatać głęboko materiał... – uświadomił jej William. – Nie byłabyś zazdrosna?

Kiedy kelnerka wróciła z paragonem, Giselle nie wręczyła jej wizytówki.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Narodziny piękna mnie pociągają. Ostatecznie to tylko sztuka. Myślisz, że powinniśmy spróbować?

Kupili mały dom w stylu kolonialnym na niemodnych obrzeżach Dzielnicy Ogrodów. Giselle udało się przesadzić większość roślin, które wyhodowała w Miejscu, a szopę na tyłach ogrodu zamienili w pracownię Williama. Poza tym nadal przyjmowali drobne zlecenia z Sieci i Balu. Po raz pierwszy w życiu dla każdego z nich przyszłość była pewna i przewidywalna.

Nowy rok, nowe życie.

Była trzecia w nocy, kiedy dotarli wreszcie do domu, przebiwszy się przez rozbawiony tłum w Dzielnicy Francuskiej. To była ich godzina duchów.

Rozebrali się.

William zdjął ciemne okulary.
– Zatańcz dla mnie, Giselle – poprosił.
I w końcu rozpoczął się ich wspólny walc, który mieli
tańczyć już zawsze. Nuta za nutą.

Table of Contents

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[1. Smutek i nagość w Londynie](#)

[2. Nago w Paryżu](#)

[3. Ogrody ziemskich rozkoszy](#)

[4. Ciało i światło](#)

[5. Świetlista aureola](#)

[6. Całun ciemności](#)

[7. Walc Missisipi](#)

[8. Tańcząc w innej książce](#)

[9. Zatańcz ze mną ostatni taniec](#)

[Epilog](#)